

Kasey Michaels

„A potem ślub”

Z angielskiego przełożyła Anna Wojtaszczyk

**Michelowi Seidickowi i jego żonie Susan,
dwóm połówkom, które tworzą idealną całość.**

*Kiedy przysięga, iż z prawdy jest cała,
Wierzę jej chętnie, choć wiem, że mi kłamie.*

- William Szekspir (przeł. Jerzy S. Sito)

Miły Czytelniku!

Moi przyjaciele od dawna ostrzegali mnie, że jestem stanowczo za bardzo ciekawy, by mi to wyszło na zdrowie, no ale ci sami ludzie przysięgali również, że nigdy się nie ożenią... i proszę, książkę Bramwell Seaton nosi okowy małżeńskie ze szczęściem w oczach i ma dwójkę malców w pokoju dziecinnym, a wicehrabia Kipp Rutland płacze się gdzieś po świecie podczas miesiąca miodowego. Zamiast litować się nad nimi, nie odczuwam chyba nic poza zazdrością! Najprawdopodobniej musiałem oszaleć.

Bo jak inaczej mógłbym wyjaśnić moje zafascynowanie Reginą Bliss? Od czasu, kiedy Kipp trafił na tę zakłamaną kokietkę, zebrzącą na ulicy, nie schodzi mi ona z myśli. I to właśnie zainteresowanie przeszłością panny Bliss doprowadziło do tego, że trzech mężczyźni, których obecnie tropię, wykorzystując przy tym wszelkie dostępne mi środki, związali mnie jak barana, wrzucili do Tamizy i zostawili na pewną śmierć.

Nieczęsto się zdarza, żeby człowiek był naocznym świadkiem swojego pogrzebu. Ale poszukując moich niedoszłych zabójców, zamierzam podawać się za własnego spadkobiercę - pretensjonalnego dandysa, kompletne moje przeciwieństwo. A jeżeli do osiągnięcia tego celu potrzebne będą znaczne talenta aktorskie panny Bliss, przystanę i na to.

Ta dziewczyna może być moją potajemną bronią... jeżeli całkowicie niestosowne pożądanie, jakie odczuwam do niej, nic doprowadzi mnie wcześniej do zguby!

Brady James, hrabia Singleton

1

- Znudzony, Brady, stary przyjacielu? - zapytał Bramwell Seaton, księżę Selbourne, sprzątnąwszy mijającemu ich służącemu dwa kieliszki z tacy. Podał jeden przyjacielowi, który w tej chwili opierał się o marmurowy filar w przegrzanej sali balowej i zakrywając usta dłonią, usiłował powstrzymać się od ziewania.

- Najwyraźniej nie trzymałeś ręki na pulsie, Bram. Ponad rok temu przekroczyłem już granice znudzenia - odrzekł Brady James, hrabia Singleton, Z wdzięcznością przyjmując kieliszek. - Stan, który masz teraz przed oczami, można określić mianem „otępiały”. Niemalże z mumifikowany. Proszę, wytłumacz mi raz jeszcze, dlaczego towarzystwo z wyższych sfer uważa takie popisywanie się bogactwem za konieczne.

Bram pociągnął łyk wina i uśmiechnął się na widok swojej ślicznej żony, tańczącej walca w ramionach pewnego oficera. Wyraz twarzy tego ostatniego informował wszystkich bez wyjątku, że oficer właśnie umarł i dostał się do raju.

- Przecież dokładnie o to tutaj chodzi, Brady. O popisywanie się bogactwem. „Patrzcie na mnie wszyscy, na moim balu jest więcej cieplarnianych kwiatów, niż było u lady Jak-jej-tam. Patrzcie na mnie wszyscy, ja mam więcej diamentów w diademie. Patrzcie na mnie wszyscy, mogę sobie pozwolić na to, by najlepszy krawiec spowijał moje korpulentne wdzięki w najwspanialsze jedwabie. Patrzcie na mnie, patrzcie na mnie. Patrzcie, proszę, wszyscy na mnie”.

- Twoja Sophie wcale się tak nie zachowuje - zwrócił mu uwagę Brady i pokiwał ręką do księżnej Selbourne, która akurat wesoło machała do niego okrytymi rękawiczką paluszkami. - Dobrze się bawi niezależnie od tego, gdzie się znajduje. - Odepchnął się do filara i ironicznie skrzywił. - Chcę powiedzieć, że ona chyba cię lubi.

- Pozwól, że cię poprawię, przyjacielu. Sophie mnie ubóstwia. Powtarza mi to na tyle często, że jej zapewnienia powstrzymują mnie od dokładniejszego zastanawiania się nad chwilami, kiedy bynajmniej mnie nie ubóstwia.

- Nauczyła się już rzucać bardziej celnie? - zapytał Brady, kiedy obydwoj kierowali się do sąsiedniej sali, gdzie, jak miał nadzieję hrabia, uda im się znaleźć jakiś spokojny kąt i rozegrać partyjkę kart.

- Na całe szczęście, nie. Chociaż zawsze ma mi trochę za złe, kiedy schodzę z linii strzału. Dużo bardziej byłaby zadowolona, żebym złapał to, czym rzuca. Pamiętasz tę przeokropną wazę, którą Prinny ofiarował nam w prezencie ślubnym? Tę wielką, niebieską, z

gołymi nimfami i rozbrykanymi centaurami? Zupełnie nie udało mi się jej złapać, gdy leciała w moim kierunku, a działo się to w dzień, kiedy zapomniałem pokazać się na popołudniowej herbatce, którą Sophie wydawała dla lady Sefton. Ależ ta waza narobiła nieporządku, powiadam ci. Rozleciała się na tysiąc kawałków.

- Kiedyś pewnie wywarłaby zły wpływ na twoje dzieci -uśmiechnął się Brady. - Przyjrzałem się jej bacznie któregoś wieczora, kiedy czekałem, aż pojawicie się z Sophie. Jestem głęboko przekonany, że kilkoro z tych rozbrykanych nimf i centaurów... kopulowało ze sobą.

Bram odpowiedział mu uśmiechem.

- Próbowałem zwrócić Sophie uwagę na ten fakt, ale powiedziała, że po prostu bardzo przyjaźnie się zachowują. Natomiast prawdą jest, że kiedy szukała, czym by tu we mnie cisnąć, przeszła niemal przez cały pokój, by wybrać tę właśnie wazę, więc sądzę, że o tym wiedziała. Nawiasem mówiąc, Sophie znalazła dla ciebie jeszcze jedną.

- Jeszcze jedną wazę? Na miłość boską, po cóż mi coś takiego? Proszę cię tylko, nie mów mi, że zapomniałem się do tego stopnia, by to cholerstwo pochwalić. Cechą charakterystyczną naszego drogiego księcia regenta jest portfel godny nędzarza oraz gust i wytworność godne burdelmamy.

- Nie, wcale nie chodzi o wazę, jak dobrze sam wiesz, tylko o następną przedstawicielkę płci pięknej. Jak mi się zdaje, nazywa się ona panna Sutton. Dobra rodzina, słodka panienka, bardzo potulna.

- Miej mnie w opiece, dobry Panie Boże - mruknął Brady, potrząsając głową. - W tym tygodniu byłaby to już czwarta, a przysięgam, Bram, że tej ostatniej nie wyrznęły się jeszcze stale zęby. Stanowczo nie powinienem był mówić Sophie, że czuję się trochę poza nawiasem, od kiedy ty i Sophie, i Kipp, i Abby, i jak się zdaje cała reszta moich przyjaciół, jesteście tacy szczęśliwy, tacy... tacy żonaci.

- Odpręż się, mały sezon wkrótce się skończy i już niedługo będziesz mógł uciec na wieś.

Brady rozejrzał się po pokoju karcianym, zobaczył, że wszystkie miejsca są zajęte. Ale i tak nie miał wielkiej ochoty grać o banalne stawki, na które pozwalała pani domu.

- Może całkiem niedługo, Bram - powiedział, okręcając się na pięcie. - Ale niezależnie od tego, czy wyjadę, czy zostanę, postanowiłem teraz uciec z tego nudnego balu, zanim Sophie ubierze mnie w pannę Sutton. Wpadnę jutro, żeby przeprosić twoją kochaną, wścibską żoneczkę.

- Tylko żebyś nie zapomniał - zawołał za nim Bram. -A ponieważ jestem twoim

dobrym przyjacielem, nie uprzedzę jej. Gdybym to zrobił, to już widzę siebie, jak pomagam zabawiać pannę Sutton przed twoim przyjściem. Czy myślisz, że spodobałaby jej się podniecająca partyjka chińczyka?

Chichocząc pod nosem, Brady utorował sobie drogę do pani domu, życzył jej miłego wieczoru, zabrał kapelusz, rękawiczki, laseczkę i pelerynę i wyszedł na szeroki marmurowy ganek.

W dosyć jaskrawym świetle pochodni, przymocowanych do fasady po obu stronach drzwi, robił całkiem przystojne wrażenie. Wzrostu miał ponad sześć stóp, zbudowany był jak człowiek, który lubi wysiłek fizyczny; cylinder nasadził sobie na brązowe włosy trochę na bakier, tak że ocieniał on bystre, brązowe oczy. Opalona cera kontrastowała pięknie z czystą bielą koszuli i czarnym jak heban, wieczorowym strojem oraz peleryną.

Głęboko zaczerpnął powietrza, którego w Londynie nigdy nie można było określić mianem balsamicznego, wciągnął rękawiczki i wsunął sobie laseczkę pod pachę. Nie minęła jeszcze północ, a to oznaczało, że niektóre obszary modnego Mayfair dopiero teraz się ożywiały; wyczuwał otaczające go podniecenie. Podniecenie, którego sam niestety nie podzielał, ponieważ jakoś przestał go pociągać wir życia towarzyskiego.

Ale jeżeli nie życie towarzyskie, to co? Chwilowo nie było wojny, na której mógłby się bić. Nie huczało od żadnego skandalu, chociaż w każdej chwili można było się czegoś takiego spodziewać, bo przecież był w Londynie. Nawet rząd wydawał się działać gładko, co samo w sobie było osobliwe, ale tylko dodatkowo przypomniało hrabiemu, że jeżeli chce coś zrobić, to może odwiedzić swojego krawca albo pograć w karty w jakiejś speluncie, i właściwie na tym koniec. Zostało bardzo niewiele rzeczy, na które miałby ochotę.

A gdyby tak wyjechał z miasta i wrócił do swojego majątku w Sussex? Mógłby oddać się bez reszty przejażdżkom konnym po polach i sprawdzaniu ksiąg majątkowych, a długie, spokojne wieczory spędzać z banieczką brandy przy kominku, patrząc, jak ukochane psy śpią przed ogniem.

Zanotował sobie w pamięci, że musi kazać komuś poszukać jakichś psów. Najlepiej wielkich, takich, co to chętnie wywieszają języki i układają się człowiekowi do snu na stopach.

Ale przede wszystkim musi uporządkować myśli. Rzucił monetę w kierunku najbliższego lokaja i polecił mu znaleźć w tłumie powozów, stojących przy Berkeley Square, swojego stangreta i poinformować go, że pan trafi tego wieczora do domu sam.

Jak na tak późną jesień powietrze było ciepłe, strzępy mgły pętały się hrabiemu w okolicy stóp, a peleryna tak naprawdę okazała się niepotrzebna. Za pomocą laseczki zręcznie

odrzucił ją do tyłu, drapując końce na ramionach i ujawniając wspaniały krój wieczorowego stroju, po czym ruszył w kierunku swojej rezydencji przy Portman Square.

Na ulicach wciąż jeszcze gęsto było od ludzi, jako że przedstawiciele wyższych sfer spieszyli w różne strony, a jezdnie przepelnione były powozami, które albo całymi stadami gdzieś jechały, albo stały wszędzie, gdzie tylko się dało, w oczekiwaniu na właścicieli. Jak zwykle przenikliwa woń nawozu końskiego brała górę nad ekstraktem emanującym z arystokratycznych, naperfumowanych, często niedomytych ciał dam i dżentelmenów, udających się na jeszcze jedno przyjęcie, na jeszcze jeden bal.

Dopiero kiedy Brady minął kilka przecznic, znalazł w końcu odrobinę miłej mu samotności. Cieszył się nocą, jej odgłosami, zapachem, gęstniejącą już teraz, głuszącą wszelkie odgłosy mgłą oraz posmakiem niebezpieczeństwa, który zawsze dawał się wyczuwać w londyńskim powietrzu nawet tutaj, w wyrafinowanej atmosferze Mayfair.

Pomyślał o swoich przyjaciółach i uśmiechnął się w ciemności. Bram i jego zachwycająca Sophie, rodzice już dwójki malców, a w oczywisty sposób nadal kochankowie. Kip Rutland, wicehrabia Willoughby, i jego młoda żona, Abby, którzy wyjechali z Londynu do majątków Willoughbych na przeciągający się miesiąc miodowy. I rozesłali liściki do Brama, Brady'ego i innych, dziękując im serdecznie za to, że ich nie odwiedzają.

Trzech zatwardziałych kawalerów, a dwóch z nich już po ślubie; patrząc na szczęście przyjaciół, Brady czuł się bardzo samotny i bardzo poza nawiasem. Prawda, że sam wcale nie tęsknił za żoną, nie potrzebował żony, nie potrafił też sobie nawet wyobrazić, jak huśta na kolanie zaślinionego niemowlaka.

Skończył właśnie trzydzieści lat, był za młody, za dobrze się bawił... bawił? Nudził się. Niech to wszyscy diabli, nudził się.

To musiała być nuda. Bo w przeciwnym razie czemu traciłbym czas na uganianie się po zabitej deskami wiosze w rodzaju Little Woodcote w głupim przekonaniu, że uda mi się tam odkryć jakąś informację, dotyczącą samotnego dziewczątka, które Kipp i Abby ostatnio zabrali do siebie z londyńskiej ulicy?

- Ponieważ skłamała - wypowiedział te słowa na głos, skręcając znowu za róg i nadal wędrując bez celu, troszkę poirytowany, jako że sekrety Reginy Bliss były nadal bezpieczne, a podróż okazała się całkowicie daremna. - Ponieważ ma przedziwny zwyczaj patrzeć przez człowieka tymi cudownymi, szarymi oczami, jakby go wcale nie widziała. Ponieważ jest piękna i nie potrafisz pozbyć się z pamięci jej twarzy. Ponieważ nie potrafisz znieść niczyich sekretów. I, przyznaj się, człowieku, ponieważ nie zostało ci nic innego do zrobienia. Absolutnie, kompletnie nic, poza tym jednym: pojechać i dowiedzieć się, czemu to

jakaś panna służąca niemal po mistrzowsku opanowała język angielski i posługuje się nim po to, by łąć jak najęta.

Brady skrzywił się, zażenowany, że sam do siebie mówi, i rozejrzał się w nadziei, że nikt go nie usłyszał.

- A niech mnie cholera - mruknął zadziwiony brakiem ludzi, dorożek, powozów, po czym zauważył, że mgła z romantycznej zmieniła się groźną, i wymierzył sobie w myśli celnego kopniaka.

Tak to się kończy, jak się człowiek włóczy bez celu. Zabłądził.

Przystanął w nadziei, że jakoś uda mu się rozeznac się w tej mgle, i przymknął oczy, starając się przypomnieć sobie trasę wędrówki. Kiedy wyszedł z Berkeley Square, skręcił na północ. Minał kilka przecznic, potem skręcił na zachód i skierował się, ogólnie rzecz biorąc, w stronę Portland Square. Tylko że powinien był skręcić na północ o kilka przecznic wcześniej.

Cholera! Niech to diabli! Powinien był dojść tylko do parku i trzymać się głównych ulic. Tak właśnie powinien był zrobić. Ale w głównych ulicach nie podobało mu się właśnie to, że były główne, że tam gromadzili się arystokraci, ich powozy, cały ten zgiełk i nawet koński nawóz. A on pragnął ciszy i spokoju. Chciał być sam.

I udało mu się to, bez dwóch zdań.

Odrzucił poły peleryny jeszcze dalej, żeby mieć wolne ręce, i ujął laseczkę za główkę; pewności dodawała mu świadomość, że w tym dekoracyjnym przedmiocie pod hebanową otoczką ukryty jest rapier.

Nie tyle obawiał się ataku, ile raczej nie miał ochoty, by następnego ranka ktoś znalazł go w rynsztoku i rozgłosił wszem i wobec, że Brady był na tyle głupi, iż dał się obrabować na samym środku Mayfair. Prawda, że ktoś mógłby uznać przyczynę jego zmartwienia za nierozsądną, że płeć słaba nigdy by jej nie zdołała pojąć. Ale nie to go gnębiło, że trafi na jakichś korzystających z okazji rzezimieszków; pragnął tylko, by nikt nie dowiedział się, że jest z niego taki ciołek, iż niechcący sam wdepnął w niebezpieczeństwo.

Skupił uwagę na otoczeniu, nasłuchując, czy zza rogu nie dochodzi jakiś lekki odgłos, jakieś kasznięcie. Zawrócił, by po własnych śladach dotrzeć na bardziej zaludnioną ulicę.

- Teraz!

Na to ochryple wyszeptane słowo, które wydawało się dochodzić zewsząd i znikąd - diabli nadali tę mgłę! - Brady okręcił się jak fryga, ostrze już błyskało w słabym, żółtawym świetle dalekiej latarni ulicznej. Przygotowując się do walki, ugiął nogi w kolanach, by równo rozłożyć ciężar, i uniósł w górę rapier oraz - dla równowagi - drugą rękę.

Nic. Nikogo tam nie było. Nic, tylko noc i mgła, i jego przepracowana wyobraźnia.

To już przekraczało wszelkie granice. Najpierw sam do siebie gada. A teraz zaczyna słyszeć głosy. Poczul się jak ostatni głupek; przyszło mu na myśl, że może zmienia się w znerwicowaną starą babę. Zaczął pochylać się, by podnieść osłonkę rapieru, i kontynuował pochylanie, dopóki nie trafił twarzą w mokry bruk - pod ciosem pałki, która grzmotnęła go w ramię.

Zmaltretowany, krwawiący nos piekielnie zabolął, ale Brady otrząsnął się po mocnym uderzeniu i szybko przeturlał się na lewo w nadziei, że uda mu się wstać.

Zdażył się podnieść na kolana, zanim następny cios złamał mu prawą rękę - czuł, jak pęka. Słyszał to. Rapier wypadł mu z nagle odrętwiałej dłoni.

- Sukinsyn! - zawołał, ponownie podnosząc się na kolana. Zaparł się lewą ręką o bruk, by dźwignąć się na nogi. Bezwzględnie chciał zobaczyć przynajmniej twarz napastnika.

Napastników. Było ich trzech, wszyscy zamaskowani, każdy trzymał paskudnie wyglądającą pałkę. A zanim spadła na niego istna ulewa ciosów i świadomość zaczęła przygasać, umysł Brady'ego zdążył jeszcze zarejestrować, że są to najlepiej ubrani złodzieje uliczni, jakich kiedykolwiek widział.

Następna refleksja, jaka przyszła Brady'emu do głowy, kiedy znowu udało mu się coś pomyśleć, była następująca: jeżeli jeszcze nie umarł, śmierć przyjdzie w ciągu najbliższych kilku minut. A pomyślał tak, ponieważ czuł, że spowija go workowe płótno. Czuł zapach gnijących jarzyn, które ktoś trzymał w tym worku, zanim wetknięto tam jego, a worek otulał go jak jakieś bardzo niegościnnie łono.

Czuł kołysanie pojazdu, który turkotał po ulicach. Miejscowi rabusie zabiliby go, zabrali mu portfel, niewykluczone, że zdarli z niego cenne ubranie, a potem zostawili ciało w rynsztoku - a wszystko to nie trwałoby dłużej niż minutę. Tu musi chodzić o coś innego. Gdzieś go wieźli. Nie rokowało to dobrze. W żaden sposób nie mogło rokować dobrze.

Brady niemal przegryzł sobie wargę na wylot, kiedy para butów, którą ktoś oparł o niego, jakby był jakimś podnóżkiem w ludzkiej postaci, uniosła się na chwilę, a potem wbiła mu się obcasem w bok; raz, drugi, trzeci. Miał wrażenie, że zadano mu ten gwałt niemal bezwiednie, w sposób typowy dla człowieka, który ma zwyczaj wyrządzać komuś krzywdę tylko dlatego, że może ją wyrządzić.

Leżał bardzo spokojnie w nadziei, że prześladowca straci zainteresowanie ofiarą, która nie jęczy, nie krzyczy, nie usiłuje odpłacić pięknym za nadobne. Boże, jak to bolało. Wszystko go bolało. Żołądek mu się niemal przewracał od mdlącego bólu połamanych kości, od przeszywającego bólu Igłowy. Ile razy oni go uderzyli? Czy Cezar wytrzymał tuzin

dźgnięć sztyletem? Czy one bolałyby mniej niż uderzenia tych trzech brutalnych palek?

- Poruszył się. O Boże, on się poruszył - zabrzmiał gdzieś w górze jakiś głos.

Ten sam but wbił się w plecy Brady'ego. Raz. Drugi.

- Nie bądź taką babą. To tylko powóz się porusza. On nie żyje.

- A jeżeli nawet żyje, to umrze za parę minut - dodał trzeci głos. A może to znowu odezwał się ten pierwszy? Brady nie potrafił powiedzieć. Grube płótno workowe pozwalało wychwytywać tylko po kilka słów z tego, co mówili, a żaden nie mówił wiele.

Przynajmniej nie pojadali bułeczek i nie popijali herbatki, wioząc go tam, gdzie go wieźli. To byłoby upokarzające, czyż nie?

Brady'ego zaczynał ogarniać wisielczy humor, zdawał sobie z tego sprawę. Nie mógł się poruszyć. Przez ten ból. Przez ten ciasno zawiązany worek. Przez to, że mógłby wtedy dostać kopniaka, a tego z pewnością nie pragnął.

Powóz skręcił na dużo bardziej wyboistą drogę, taką, której na pewno nie brukowano od co najmniej dziesięciu lat, potem zwolnił i się zatrzymał.

Brady słyszał krzyki mew, czuł zapach mętnych wód Tamizy... i już wiedział. Sprawy nie miały potoczyć się ani trochę lepiej dla niego. Miały potoczyć się dużo gorzej. Ale dlaczego? Dlaczego?

Otworzyły się drzwiczki, chwyciły go czyjeś ręce. Brady słyszał podzwanianie ciężkich łańcuchów, kiedy na wpeł wnoszono go, a na wpeł wywlekano z powozu i bezceremonialnie rzucano na ziemię. Usilnie starał się nie stracić przytomności, chociaż przeszył go taki ból, że skłonny był modlić się o błogosławione omdlenie. Musieli mu chyba połowę kości połamać.

- Czy to wystarczający ciężar, jak sądzicie? Dałoby się pewnie gdzieś znaleźć jeszcze więcej łańcuchów. Nie chcielibyśmy, żeby nam wypłynął.

- Och, prędzej czy później wypłynie. Po tym, jak ryby uporają się z workiem i trochę go poskubią. No, do roboty. Jednego wścibskiego sukinsyna mniej, a wciąż jeszcze starczy nam czasu na parę partyjek faraona.

To była prawda. Wszystko, co sobie myślał, było prawdą. Te sukinsyny miały go zamiar utopić. Co gorsza, miały go zamiar utopić, a potem pojechać na karty.

Brady spróbował wierzgać nogami, zwinął się wpeł w grubym worku. Daremna to była działalność, bolesna, ale konieczna, ponieważ niech go cholera weźmie, jeżeli pozwoli im się utopić, pozwoli im się zabić, nie podejmując walki, jeżeli pozwoli, by wrzucili go do Tamizy jak jakiegoś niechcianego szczeniaka.

Po celnym kopniaku w głowę zadzwoniło mu w uszach; kopniak przypominał mu, że

szarpiąc się, straci tylko siły i może dorobić się następnego okaleczenia. Nie chciał, żeby wrzucili go do wody, to było pewne, ale jeszcze bardziej nie chciał, żeby go wrzucili tam nieprzytomnego.

Tak więc jęknął raz - nie musiał udawać, że jęczy szczerze -i z rozmysłem opadł bezwładnie. W chwilę później napastnicy podnieśli go, podzwaniając przy tym łańcuchami - wszystkie kości i mięśnie Brady'ego rozwrzeszczały się w milczącym proteście - a potem upuścili z wysokości do najmniej czterech stóp na dno czegoś, co musiało być małą łódką.

Boże. Naprawdę do tego doszło. Był kompletnie bezsilny. Napastnicy wiosłowali na środek Tamizy i tam zamierzali go wyrzucić za burtę. Żeby umarł. Na miłość boską - żeby umarł. Żeby poczuł, jak zimna woda zamyka mu się nad głową, żeby poczuł, jak ciężar ciągnie go na dno, żeby wstrzymywał oddech, aż w głowie mu zacznie huczeć, a w płucach palić.

Żeby w końcu poddał się niemożliwemu do opanowania pragnieniu zaczerpnięcia oddechu.

I do tego nie mając pojęcia, nie wiedząc, dlaczego ani kto. To było nawet gorsze od śmierci. To, że nie wiedział.

Brady podniósł powieki, uświadomiwszy sobie w końcu, że szczelnie je wcześniej zacisnął. Płótno workowe było na tyle rzadko tkane, że mógł oddychać przez śmierdzący zjełczalym tłuszczem materiał, a nawet widzieć światło małej latarni, która wisiała na dziobie łódki. Ale nie mógł zobaczyć zabójców; nie mógł zobaczyć ich twarzy.

Tańczył. Dwie godziny temu tańczył. Godzinę temu rozmawiał z Bramem, żartował z Bramem. Godzinę temu się nudził.

Teraz się nie nudził. Dobry Boże, teraz się nie nudził.

- Starczy już - usłyszał głos jednego z mężczyzn; potem usłyszał, jak podnoszą wiosła, usłyszał, jak woda chlupie o burty łodzi. To było to. To naprawdę już koniec. Właśnie tutaj miał umrzeć.

Zalała go fala rozpacz i pokonała, nie pozwalając dłużej bronić się przed dręczącym bólem, uświadamiając, że znikąd nie może spodziewać się pomocy, że w żaden sposób nie uda mu się uniknąć losu, który zgotowali mu trzej obcy.

Umrze. Zjedzą go ryby. I tylko kilku przyjaciół będzie płakało. Żadnej rodziny, żadnych spadkobierców, żadnej wdowy. Żadnego nawet lojalnego psa. Została już tylko elegancka ceremonia - jeżeli znajdą jego ciało - dobrze przygotowany, uroczysty lunch po pochówku, a potem wszyscy rozjadą się do własnych rodzin, wrócą do swego życia.

Przeżył trzydzieści lat i nic po nim nie zostanie. Ta wiedza wstrząsnęła Bradym i

oburzyła go.

I wtedy się wściekł.

Ciało miał pogruchothane, duszę w strzępach, jego osoba wetknięta została do śmierdzącego worka, owinięta łańcuchami, czekał go już tylko podwodny grób, a tu Brady James, który już niedługo miał zostać świętej pamięci hrabią Singleton, po prostu rzetelnie się wściekł.

Na wpół go podnieśli, na wpół podtoczyli; Brady poczuł, jak przerzucają go przez burtę. Głęboko zaczerpnął powietrza pomimo protestu uszkodzonych żeber i przygotował się na zetknięcie z zimną wodą, która gwałtownie zamknęła się nad jego głową.

Uderzenie zimnej wody otrzeźwiło go jeszcze bardziej, wymierzyło prosto w umysł mocnego klapsa i wymiotło resztki rozpacz, tak że mógł znowu myśleć. I zdołał przypomnieć sobie, że w specjalnie obszytej skórą pochewce wewnątrz kamizelki ma schowany sztylet.

Jak mógł o czymś takim zapomnieć? Zawsze nosił ze sobą nóż, schowany w cholewie buta. Do wieczorowego stroju wysokie buty jednak nie pasowały, a bez noża czuł się nagi, tak więc polecił krawcowi zrobić tę kieszonkę. Kipp droczył się z nim wtedy, przypominając mu, że większość mężczyzn zadowala się kieszonkowym zegarkiem, ale teraz Brady wdzięczny był swemu przezornemu ja, że pozwoliło sobie na coś, co wszyscy inni nazwaliby pretensjonalnością.

Sztylecik znajdował się po lewej stronie kamizelki, łatwo było do niego sięgnąć prawą ręką. Tylko że akurat teraz prawa ręka była właściwie do niczego i Brady mozolnie usiłował porozpinać guziki obcisłej kamizelki lewą.

Lata. Trwało to całe lata. Żeby rozwiązać pelerynę i pozbyć się jej zdradliwego ciężaru. Żeby po omacku gmerać przy guzikach kamizelki. Żeby, zapadając się coraz głębiej w mroczną wodę, wykrczać się, aż udało mu się - eureka! -chwycić za rękojeść sztyletu.

Mokre, workowe płótno diabelnie ciężko było przeciąć, ale ponieważ panika w niczym mu pomóc nie mogła, Brady dźgał sztyletem w szorstki materiał i piłował go tam i z powrotem, tam i z powrotem, oszczędzając siły i oddech, aż worek rozchylił się na tyle, że dało się go odepchnąć, zsunąć z głowy, pozbyć się go.

Głupcy. Ci głupcy obwiązali łańcuchami worek, ale ręce i nogi zostawili Brady'emu wolne, nie obciążyli łańcuchami ciała. Dzięki dobremu Panu Bogu za dyletantów.

Brady wierzgnął mocno raz jeszcze i uwolnił się. Uwolnił się trzydzieści stóp pod powierzchnią wody, mając tylko jedną nadającą się do czegokolwiek rękę i płuca, które aż paliły z braku powietrza. Dawno już pozbył się wieczorowych butów, a teraz, machając

nogami jak nożycami, odchylił głowę w tył, jakby naprawdę był w stanie zobaczyć światła nad powierzchnią, i ruszył w górę. W górę.

Zaczynał powoli tracić czucie w całym ciele, może z braku powietrza, może przez temperaturę wody. Ale nie przeszkadzało mu to, ponieważ przestał odczuwać również ból w prawej ręce i zębach. Został tylko ten narastający ucisk w piersiach. I paląca, powracająca panika, i to koszmarnie pragnienie, żeby odetchnąć... po prostu odetchnąć.

Wynurzył się nad wodę w chwili, kiedy zaczynało mu się wydawać, że co prawda walczył dzielnie, ale przegrał. Odchylił głowę do tyłu i usiłował utrzymać się na wznak na powierzchni, chwytając gwałtownie ustami powietrze, słodkie, życiodajne powietrze.

Ma dwie zdrowe nogi. A przynajmniej jedną. Lewa chyba jakoś nie całkiem dobrze działała. Ma jedną zdrową rękę. Głowa go boli jak cholera, jedno oko zapuchło tak, że zdecydowanie nie da się go otworzyć.

Ale żyje. Płynąc z prądem i powoli wiosłując zdrową ręką pod wodą, Brady zrobił coś bardzo dziwnego. A w każdym razie wydawało mu się, że jest to coś bardzo dziwnego.

Rozpłakał się.

Gniew. Ból. Panika. Ulga. Kto wie, z jakiego powodu płakał; sam Brady z pewnością tego nie wiedział. Poddał się emocjom na samym środku Tamizy, samiuteńki w ciemnościach, i powoli płynął do najbliższego brzegu, płacząc tak, jak nie zdarzyło mu się od czasów dzieciństwa.

Zapłacą za to. Ci, którzy mu to zrobili, obojętne kim są.

Och, tak, zapłacą. Własne łzy bezradności doprowadzały Brady'ego do furii, doprowadziły dalej, niż mógłby to zrobić gniew, doprowadziły aż do bezlitosnej nienawiści, która go podtrzymywała, która dała mu siłę, by podciągnął się jedną ręką na gładkie przybrzeżne skały.

Leżał tam przez długą chwilę, chwytając powietrze.

Znajdzie ich.

Próbował się poruszyć, podnieść i upadł z powrotem na skały.

Znajdzie ich.

Przeklinał, potykał się, obejmował bezużyteczną rękę tą drugą, zdrową, i w końcu udało mu się wspiąć na nabrzeże. Kulejąc, zaczął oddalać się od doków.

Znajdzie ich i dowie się, jaki był powód tego ataku, nawet gdyby miał wyduszać zeznania z nich siłą.

Wolałby wyduszać je siłą.

Opierał się o wilgotne kamienne mury, przemykał się z jednego zacienionego miejsca

w drugie, żeby żaden rzeźmieszek go nie zobaczył i nie rozpoznał w nim łatwej ofiary, zataczał się, potykał i kierował w stronę latarni ulicznych w oddali.

Zniszczy ich, obojętne kim są. Dopadnie ich, jednego po drugim, i zniszczy.

Dorożka. Brady nie mógł uwierzyć, że mu się tak poszczęściło. Naprawdę trafił na dorożkę. Musiał puścić prawą rękę, żeby wyłowić - cholera, nie miał najmniejszej ochoty myśleć o łowieniu! - swój portfel z kieszeni.

- Na Portman Square, a dostaniecie jeszcze pięćdziesiąt funtów, kiedy tam dojedziemy. Pospieszcie się - tyle udało mu się wykrztusić, rzucając portfel dorożkarzowi, któremu mało oczy na wierzch nie wyszły.

Kiedy poruszył szczęką, by wypowiedzieć te słowa, rozpalone do białości igły bólu przeszły mu twarz i niemal rzuciły go na kolana. Jakoś udało mu się jednak wdrapać na za-tłuszczone skórzane siedzenie, wdzięczny był nawet za zapach spleśniałej słomy na podłodze dryndy.

- Zaulek za numerem dwudziestym pierwszym. Na miłość boską, człowieku, pospieszcie się. O Boże. Zapłacą za to.

Książę Selbourne naprawdę przeszedł samego siebie, a pomogła mu w tym żona oraz para znacznych przyjaciół, Kipp oraz Abby.

Cały Singleton Chase spowity został w czarną materię, od jedwabście hebanowych lambrekinów na lustrach począwszy do czarnego wieńca z krepy na drzwiach wejściowych.

Obecnych było ponad osiemdziesięciu żałobników, całkiem niezła frekwencja, jeżeli uwzględnić fakt, że chcąc wziąć udział w uroczystościach, musieli przyjechać aż do Sussex. Zaproszeni goście rozchodzili się na paluszkach do swoich pokoi i potrzęsali głowami, mijając drzwi do sypialni świętej pamięci hrabiego oraz wieniec z krepy, który na nich wisiał.

Popijali małymi łydkami wino i portwajn w saloniku świętej pamięci hrabiego, zjedli solidny lunch oraz przygotowane na stypę ciasta w jadalni świętej pamięci hrabiego i nisko pochylali głowy w małej prywatnej kaplicy świętej pamięci hrabiego, kiedy miejscowy pastor przemawiał nad spowitą w czerń trumną.

Następnie, dokładnie tak, jak się tego spodziewał Brady, przyglądali się, kiedy ciało świętej pamięci hrabiego składano w marmurowym mauzoleum, a potem udali się z powrotem do salonu i znowu zaczęli się opychać. Pić jego najlepsze wina, rozkazywać jego służącym, zastanawiać się, kto też mógł zamordować poczciwego, starego Singletona, i planować wieczór przy kartach, zanim rano wszyscy rozjadą się do swoich domów.

Słychać było nawet śmiechy, a sir Roger spędził tę noc w pokojach lady Bledsoe, podczas gdy lord Bledsoe odsypiał nadmiar trunków na fotelu w gabinecie świętej pamięci hrabiego.

Człowiek naprawdę cieszył się, że żyje, patrząc, jak żałobnicy go oplakują.

- Wyglądasz, jakby cię przepuścili przez wyżymaczkę - powiedział Bram, odwracając się od okna, przy którym w dzień po pogrzebie stał i przyglądał się, jak ostatnie z karet oddalają się podjazdem.

Brady usiłował się uśmiechnąć, ale twarz go tak bolała, że uśmiech bardziej przypominał jakiś grymas. Szczęki mu na szczęście nie złamali, dzięki Bogu, ale nos tak, a skóra wokół oczu była wciąż mocno posiniaczona. Pan hrabia aparycją świetnie pasował do tego, co się stało: wyglądał na kogoś, kogo po przegranej walce wepchnięto w jakiś cholerny, brudny worek.

- Czy chcesz powiedzieć, stary przyjacielu, że już nie jestem śliczny?

- Mówię, że robisz takie wrażenie, jakbyś mógł zdobyć się wyłącznie na to, żeby

tu leżeć i dać się Wadsworthowi niańczyć. Wciąż jeszcze gorączkujesz?

- Czy gorączkuje? Jak człowiek wypije wystarczająco dużą porcję Tamizy, Bram, to nie ogranicza się do gorączkowania. Mało mnie nie przenicowało, tak wymiotowałem. Były chwile, kiedy obawiałem się, że nie będziesz musiał do tej trumny prokurować żadnego innego ciała.

- No tak, prawda - mruknął Bram, obciągając sobie mankiety. - Czy wspominałem ci już, jak bardzo nie byłem ci wdzięczny za twój liścik? Chwileczkę, jak to szło? Och, tak. Coś w tym rodzaju, Kipp, jeżeli robisz notatki. „Bram, stary przyjacielu, muszę cię prosić o drobną przysługę. Masz trzy dni, żeby znaleźć jakieś ciało, ubrać je w wieczorowy strój, kazać je wrzucić do Tamizy, a potem zgłosić się po nie, kiedy je znajdą, miejmy nadzieję, że wcześniej popracują nad nim rybki. Wykorzystaj pierścień, który załączam, jako dowód, że to moje ciało, dopilnuj, żeby miało go na palcu, kietly będzie leciało do wody. Zorganizuj pogrzeb w Singleton Chase w dwa tygodnie po tym liście. Wszystko zostanie wyjaśnione później”. Dużo wyżej cenilem sobie eleganckie pismo Wadswortha niż samą treść listu, gdyby ktoś pytał. I, staruszkule, wydaje mi się, że teraz jest już „później”; czekam na wyjaśnienia.

- W takim razie jest nas dwóch - odezwał się Kipp Rutland z fotela przy kominku. - A nawet czworo, jeśli liczyć damy. Jeżeli wkrótce nie wpuścisz tu mojej Abby i nie pozwolisz jej cackać się ze sobą, to naprawdę przekonany jestem, że ona i Sophie znajdą jakiś sposób, by wyłamać drzwi.

Brady usiłował poprawić się na łóżku, jako że jedna z poduszek, którą Wadsworth podłożył mu pod plecy, zsunęła się niżej. Przycisnął zdrową nogę do materaca, odepchnął się zdrową ręką, skrzywił się i padł z powrotem na płask.

- Cholera. Bezradny jestem jak niemowlę.

- A rozkapryszony jak dwoje niemowląt - prychnął Kipp i oddał Brady'emu honory kieliszkiem wina, a potem się napił. - Och, zapomniałem ci powiedzieć. Bram się już chyba domyślił, że mam zamiar wykorzystać to w mojej następnej powieści. Aramintha Zane nigdy jeszcze nie pisała o człowieku powstałym z martwych. Chociaż takie rzeczy się zdarzały. - Spojrzał na Brama. - Czy to jest bluźnierstwo? Nie chciałbym bluźnić.

- Wciąż jeszcze nie udało mi się połapać, po co się wcielasz w Araminthę Zane - droczył się z nim Bram, poprawiając Brady'emu poduszki. - Mam wrażenie, że Byron radzi sobie nie najgorzej z damami, a one omdlewają z zachwyty nad jego bazgraniną.

- Wolę anonimowość - powiedział, krzywiąc się, Kipp. - Bo chyba nie wierzysz, że chciałbym, by stado rozchichotanych kobiet dreptało za mną i omawiało moje książki,

zupełnie jakby stanowiły cokolwiek poza moją osobistą rozrywką?

Brady odetchnął i odprężył się, kiedy Bram przesunął poduszkę tak, że lepiej podpierала jego prawe ramię.

- Wybaczcie mi, proszę, tysięczne pardon za to, że wam przerywam, ale wydawało mi się, że rozmawiamy o mnie?

- Właściwie to chętniej porozmawiałbym o tym biedaku, którego właśnie pochowaliśmy - zaprotestował Kipp. - Żeby zebrać materiały do mojej nowej książki, rozumiecie. Bram, jakim cudem można sprokurować ciało?

- Prawdę mówiąc, gotów już byłem je kupić, jak to robią studenci medycyny, kiedy szczęście się do mnie uśmiechnęło i w Południowych Dokach woda wyrzuciła jakiegoś topielca na brzeg. Jeden z naszych londyńskich ambitnych, świeżo upieczonych chirurgów miał się właśnie za nie zabrać, kiedy pojawiłem się ja, szybko rozpoznałem w nieboszczyku Brady'ego, a potem ukryłem w dłoni pierścień, udając, że przed chwilą ściągnąłem go z palca trupowi. Facet przebywał w wodzie od jakiegoś czasu i nie poznałaby go nawet rodzona matka, nie mówiąc już o tym, że nikt nie ośmieliłaby się podawać w wątpliwość słowa dżentelmena, który przyszedł po zwłoki swego przyjaciela. Bycie księciem niesie ze sobą pewne korzyści, chociaż nigdy jeszcze nie przyszło mi na myśl, żeby w taki sposób spożytkować swój tytuł, muszę to przyznać.

- Nie mogło to być sympatyczne - wtrącił Brady, który marzył już o tym, żeby pojawił się Wadsworth i przyniósł mu coś zimnego do picia. Ta cholerna gorączka to przychodziła, to odchodziła, a w tej akurat chwili paliła go od środka żywym ogniem. - Wdzięczny ci jestem nieskończenie za zorganizowanie całego przedstawienia. Nie znajdziesz w Londynie jednego człowieka, który nie byłby przekonany, że hrabia Singleton umarł i pogrzebion.

- A co najmniej trzech z nich świętuje z tej okazji, nieprawdaż? Nadal jesteś przekonany, że to nie były zwyczajne rzezimieszki?

Brady popatrzył na Kippa.

- Wyrażali się jak ludzie wykształceni, a ich wieczorowe stroje z pewnością wykluczają wszelką możliwość, by mogli na mnie napaść zwyczajni uliczni złodziejaszkwie. Pamiętaj też, że mnie nie obrabowali. Chcieli tylko, żebym stracił życie. Nie jestem pewien, ale mającą mi w pamięci jakieś ich wypowiedzi na temat mojego wścibstwa. Przecież ja nie jestem wścibski, prawda?

Bram i Kipp wymienili spojrzenia i uśmiechy.

- Ani trochę - powiedzieli unisono i parsknęli śmiechem.

- Przypominasz sobie może, Brady, jak nie potrafiłeś spocząć, dopóki nie dowiedziałeś się, jak nazywa się najnowsza kochanka Fanleya? O ile dobrze pamiętam, na trzy noce rozłożyłeś się obozem pod jego domem na Grosvenor Square, tylko po to, by móc go śledzić.

- Chodziło o zakład, Kipp - mruknął Brady, którego nagle ogarnęło zażenowanie. - Chodziło o zakład z Freddie Robertsem o to, który z nas dojdzie do tego pierwszy. Byłem wtedy nowicjuszem w Londynie, młodym i zielonym jak wiosenny szczypiorek. I to ja wygrałem ten zakład, jak pamiętacie.

- Młody - powtórzył Bram. - Zielony jak wiosenny szczypiorek. Rozpierała go młodzieńcza energia, nic więcej, Kipp. Oczywiście nie wyjaśnia to, dlaczego w zeszłym roku nasz zacny przyjaciel poświęcił kilka tygodni na śledztwo w sprawie barona Chalmersa, przekonany, że ukrywa on pewne fakty, związane z pechowym, fatalnym upadkiem pani baronowej ze schodów.

- Przyznał się, czyż nie? - zapytał Brady, piorunując wzrokiem Brama.

- Och, przyznał się, przyznał. Nie miał wielkiego wyboru, jeśli wziąć pod uwagę, że najpierw przekupiłeś kilku z jego służących, by opowiedzieli ci o kłótni baronostwa w ten ostatni wieczór, a potem na balu lady Herford postawiłeś go przed faktem. - Bram przerwał i podniósł palec do góry. - Czy przypuszczasz...?

- Nie, nie przypuszczam. Chalmersa powiesili sześć miesięcy temu, a nikt nie pałał do niego taką sympatią, żeby z zemsty mnie atakować. Ja nie mam wrogów, Bram. Starczyło mi czasu, żeby się nad tym zastanowić. Nie mam żadnych wrogów.

- Jako twój przyjaciel, Brady, powiedziałbym - rzekł Kipp, podnosząc się z fotela, by rozprostować nogi - że masz przynajmniej trzech. Albo to, albo jakieś wesolutkie trio serdecznych przyjaciół władowało cię w worek i wrzuciło do Tamizy. W co raczej wątpię.

- Podobnie jak ja - przyznał Brady. - I to dlatego tak kategorycznie prosiłem, byście zabrali ze sobą na pogrzeb Reginę Bliss.

- Dlatego, że wybrałeś się do Little Woodcote i pytałeś o nią? Chyba mówiłeś, że zachowałeś dyskrecję?

- Najwyraźniej miał zbyt wygórowane mniemanie o własnej dyskrecji - mruknął Bram, z namysłem pocierając podbródek. - Tak więc, jeżeli dobrze rozumiem, odnosisz wrażenie, że ty sam nie masz wrogów, ale być może ma ich panna Bliss?

- To śmieszne - wtrącił Kipp, zbywając słowa Brama. - Regina jest dzieckiem...

- Nie tak do końca dzieckiem, Kipp - przerwał mu Bram. - Pod opieką Abby jest

coraz lepiej odżywiona i ubrana, i powiedziałbym, że dorośleje z dnia na dzień. Moim zdaniem twoja mała sprzedawczyni szmacianych laleczek osiągnęła już wiek co najmniej siedemnastu lat, a może nawet więcej. Jest drobniutka, ale oczy ma zbyt mądre na swoje lata. Poza tym wyraża się w sposób, którego nie można nauczyć się na ulicy. Musisz przyznać, Kipp, że trochę jest tajemnicza. A przynajmniej wystarczająco tajemnicza, żeby zaintrygować naszego znudzonego, acz wścibskiego przyjaciela.

- No i kto teraz zabrał się za układanie bajeczek? - zapytał Kipp, najwyraźniej poirytowany. - No, dobrze już, dobrze. Nawet Abby twierdzi, że Regina ma pewnie raczej dziewiętnaście niż siedemnaście lat. Powiada, że ja tego dziecka nie widziałem bez ubrania, a ona widziała, więc wie. Nie pytajcie mnie, skąd miałyby wiedzieć, bo kiedy moja żona mówi coś takim tonem, ja zwykle staram się znaleźć sobie jakąś robotę w zupełnie innym miejscu.

- Ona ukrywa jakąś tajemnicę - przerwał im Brady; coraz szybciej ogarniało go zmęczenie, więc chciał zakończyć rozmowę i się zdrzemnąć. Jeszcze jeden powód, by pragnął zemścić się na tym kimś, kto chciał go zabić. Ale nie główny powód, daleko mu do tego. Urazili jego męską godność, przestraszyli go, doprowadzili do tego, że mazał się jak małe dziecko. Wciąż jeszcze śniły mu się koszmary. Potworne koszmary, w których ostrze sztyletu łamało się, zanim zdążył przeciąć worek i wydostać się z niego. Koszmary, w których pograżał się coraz głębiej w mrocznych wodach Tamizy, w czerni wieczystej nocy.

- Każdy z nas ma sekrety, Brady - powiedział Kipp. - A przynajmniej mieliśmy je kiedyś, dopóki ich wszystkich nie wywęszyłeś. Wciąż usiłuję dość do tego, skąd dowiedziałeś się, że Aramintha Zane to ja.

Brady spróbował się uśmiechnąć i niemal mu się to udało.

- Genialny, oparty na pewnych informacjach domysł? - podsunął. Nigdy nie chciał nic więcej na ten temat powiedzieć. Prawda była taka, że czekał pewnego dnia na Kippa w jego gabinecie, ale postanowił zostawić wiadomość i wyjść, bo umówiony był ze swoim winiarzem. Szukając na biurku kawałka papieru, trafił na list od wydawcy Kippa. Ale ta historia była stanowczo zbyt przyziemna; wolał, by myślano, że jest genialny, niż że ma szczęście.

- Czy możemy wrócić do Reginy? - zapytał Kipp. - Znasz już jej historię. Znalazła się w strasznych opałach, dopiero co przyjechała ze wsi. Dostała pracę przy wyrobie i sprzedawaniu szmacianych laleczek pod okiem dość szmatławej wiedźmy nazywanej Żeliwną Gertą. Kiedy Abby i ja trafiliśmy na nią pod Covent Garden, Regina była zgięta w pół jak garbuska, do twarzy poprzylepiane miała sztuczne wrzodzianki i udawała niewidomą. Abby sądziła, że ma nie więcej niż dziesięć czy dwanaście lat, dopóki tego nie sprostowałem.

- Stara sztuczka żebraków ulicznych, ale działa, zwłaszcza wobec osób o miękkim sercu, jak twoja żona. I dziewczyna sobie z tym radziła? Ślepa garbuska? - zapytał Bram. - Niezła aktorka, powiedziałbym.

- Niezła kłamczucha - sprostował Brady i odetchnął z ulgą, bo w drzwiach pojawił się Wadsworth, niosąc tacę, i na której stała jedna szklanka i dzbanek lemoniady. - Ach, mój zbawicielu i dobrodzieju. Dzięki ci.

Wadsworth, wysoki, szczupły mężczyzna w nieokreślonym wieku, postawił tacę i nalał szklankę chłodnego płynu dla swego chlebobdawcy.

- Muszę zwrócić się z prośbą do waszych lordowskich mości, byście panowie wyszli. Wielmożny pan potrzebuje odpoczynku - powiedział następnie, prostując się; jego zdumiewająco niebieskie oczy przeniosły się z Brama na Kippa, uświadamiając im, iż prośba w rzeczywistości równoznaczna jest z rozkazem.

- Jeszcze tylko kilka minut, Wadsworth - zaprotestował Brady. - Niemalże już skończyliśmy.

- Bardzo dobrze, proszę pana. Ale kiedy będzie pan słaby jak kot i będzie pan przeklinał gorączkę, niech pan nie szuka u mnie pocieszenia, bo go pan nie znajdzie.

Brady podążał spojrzeniem za oddalającymi się plecami Wadswortha, dopóki kamerdyner nie wyszedł z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

- Ten człowiek po prostu świata za mną nie widzi - oznajmił, a Bram i Kipp parsknęli śmiechem. - I uratował mi życie - dodał, na co obydwaj spoważnieli.

- Bardzo było źle z tobą, prawda? - zapytał Bram, opadając na krzesło.

- Gorzej już chyba być nie mogło - przyznał Brady spiętym głosem, przypominając sobie ten lęk, tę ślepanikę, te upokarzające łyzy. Codziennie budził się z nadzieją, że wspomnienia zbledną, a co noc w panice rwał rozpaczliwie palcami workowy całun, dopóki Wadsworth, który wciąż jeszcze sypiał w pobliżu na kozetce, nie rozbudził go i nie uspokoił. - Ale zamierzam im odpłacić pięknym za nadobne, Bram, masz na to moje słowo. Zamierzam znaleźć tych ludzi i zamierzam dowiedzieć się, jaki mieli powód, by mnie zaatakować.

- I przekonany jesteś, że powód ten wiąże się jakoś z Reginą - uzupełnił, kiwając głową, Kipp. - Mówiłem ci już, że wysłałem do Little Woodcote człowieka, by sprawdził tę jej opowieść o pastorostwie, wuju i ciotce, którzy wybrali się gdzieś powozem i zginęli w wypadku, po czym Reginę wyrzucono bez grosza na bruk.

- Wiem, że to zrobiłeś, i pamiętam, że mówiłeś mi, iż twój człowiek zastał pastora i jego żonę w całkiem dobrym zdrowiu. Ale nie zrobił nic więcej - zwrócił mu

rozsądnie uwagę Brady. - Ja ze swej strony porozmawiałem z pastorem, porozmawiałem z kilkoma osobami w wiosce. Popelnilem również idiotyczny błąd, bo u kiltorga z moich rozmówców zostawiłem wizytówkę i poprosilem, by skontaktowali się ze mną, jezeli przypomną sobie coś o niewysokiej, bardzo wygadanej, miedzianowłosej dziewczynie z wielkimi, szarymi oczami. W miesiac później ktos pobil mnie na kwaśne jablko, władowal do worka i wrzucil do Tamizy. Nie jest to zbieg okolicznosci, panowie. Nie moze być.

- Zawsze mowilem, ze to wscibstwo nie wyjdzie ci na zdrowie - mruknel, wzdychajac, Bram.

- Zawsze wiedzialem, ze kiedyś wetknie ten swój nochal w takie miejsce, ze mu to zaszkodzi - dodal Kipp.

- Och, po prostu cudownie - zrzedit Brady, starajac się popijac lemoniade w taki sposob, by jej nie rozlac na posciel. Lewą ręką poslugiwal się diabelnie niezrecznie, a mijajacy czas ani troche nie zwiexszal jego bieglosci. - Tego wlasnie najbardziej potrzebowalem i pragnalem w tej chwili. Dodajacych otuchy slow moich najlepszych przyjaciol.

Kipp potrzasnal glową i ruszyl w kierunku drzwi.

- Pewnie chcialbys, zebym tu sciangal w tej chwili do ciebie Regine, bys mogl znowu zadac jej kilka pytan i moze dowiedziec się, iz jest dawno zaginiona spadkobierczynią albo czymś rownie nieprawdopodobnym? Ale pozwol, ze cie ostrzegę: ona myśli, ze nie zyjesz, a my doszlismy do wniosku, ze im mniej osob bedzie wiedzialo o tym twoim oszukaństwie, tym mniejsze bedzie ryzyko zdemaskowania.

- Nie idz po nią, Kipp - powstrzymal go Brady. - Bedę miał dośc czasu na rozmowy, bo zatrzymam tutaj Regine, przynajmniej do wiosennego sezonu.

- Czy dobrze slyszę? - zapytal Kipp i odwrócił się, by spojrzec na Brady'ego. - Zdawalo mi się, ze Wadsworth mowil, iz okres delirium masz juz za soba. Musisz chyba zartowac.

- Och, wcale nie zartuje, Kipp - powiedzial Brady, ostroznie odstawiajac pustą szklanke. - Na samym poczatku chcialem, zebym wszyscy uwierzyli w moja smierc, bo dzieki temu moglbym skradać się po Londynie i poznawac nazwiska moich niedoszlych zabojcow. To byl dobry pomysl, jezeli wziac pod uwage stan, w jakim się znajdowalem, ale potem wymyslilem coś lepszego. Coś duzo lepszego.

- I masz zamiar opowiedziec nam o tym, co wymysliles? - podsunal Bram, wyciagajac z kieszeni krotkie cygaro i zapalajac je cienką swieczką od ognia. - No, no, Kipp, ale nam się poszczescilo, czyz nie?

Regina Bliss pochylała się nad tamborkiem i szyla idealnym, nieskończenie drobnym ścięciem. Podjęła się tej pracy, chcąc wydawać się użyteczna i możliwie niewidzialna. Słodka, potulna, pomocna. Cała Regina Bliss. Wcielenie cnót wszelkich.

Kto jak kto, ale ona powinna to umieć. Wystarczająco ciężko nad tym pracowała.

Nie podnosiła głowy, chcąc ukryć wyraz oczu, a słońce, wpadając przez wielodzielne okna, budziło w jej lśniących włosach koloru miedzi refleksy jaskrawszej czerwieni i nawet złota.

- Proszę mówić dalej, milady - podsunęła z szacunkiem, kiedy lady Willoughby przerwała swoje coraz bardziej niepewne wyjaśnienia, które wstrząsnęły Reginalą do głębi. - Mówiła pani, że hrabia wcale nie zszedł z tego świata? Jakże to dziwne. Byłabym przysięgła, że dwa dni temu wszyscy państwo braliście udział w nabożeństwie za jego duszę.

- Braliśmy udział w nabożeństwie za duszę jakiegoś nieszczęśnika, daj mu, Panie, wieczny odpoczynek - powiedziała jej Abby. - Ale to prawda, Regino, hrabia bez wątplenia żyje. Jest zmaltretowany i rozbity, ale żyje. I potrzebuje twojej pomocy. Na takie dictum głowa Reginaly podskoczyła do góry; popatrzyła na Abby na wpół wstrząśnięta, na wpół zaniepokojona.

- Mojej pomocy? Nie rozumiem.

- My również nie - wtrąciła Sophie i przechodząc obok Reginaly, poklepała ją po ramieniu, a potem usiadła w pobliżu na fotelu i ułożyła suknię wokół siebie z wdziękiem niemal artystycznym. - Ale jego lordowska mość jest chory i musimy mu dogadzać, prawda?

Regina popatrzyła na księżnę. Co za piękna kobieta. Piękna i czysta, i dobra, i dużo mądrzejsza, niż pozwalała światu wierzyć. Regina w tajemnicy bacznie ją obserwowała, analizując jej maniery i gesty, naśladując je, kiedy była sama w swoim pokoju, wypróbowując figlarne pochylenie na bok głowy, sposób, w jaki Sophie spuszczała oczy, a potem podnosiła je, jakby próbowała ukryć jakiś rozkoszny sekret, który mogłaby zdradzić wzrokiem. Och, ta kobieta była istnym dziełem sztuki: ktoś ukształtował ją tak dobrze, że każdy gest zmienił się z wyćwiczonego w naturalny. Była pełna podziwu dla księżnej.

- Przepraszam bardzo, wasza wysokość, milady, ale to panie mogą musieć dogadzać hrabiemu. Ja jednak nie muszę. Ani mi on brat, ani swat.

- Ach, ale on się tobą interesuje, moja droga - wyjaśniła Sophie. - Prawdę mówiąc, jest przekonany, że to przez ciebie niewiele brakowało, by wyprawiono go na tamten świat.

- Przeze mnie? - Regina przycisnęła obydwie dłonie do piersi i wybałuszyła

oczy na obie panie. - To śmieszne! Dlaczego miałabym chcieć, żeby ten człowiek umarł? Prawie go nie znam.

- Och, nie, nie - zaprotestowała pospiesznie Abby. - To nie tak. To wcale nie jest tak. Rzecz w tym, że bardzo starałaś się ukryć swoją przeszłość, moja droga, a to w takim stopniu rozbudziło ciekawość jego lordowskiej mości, iż pojechał zasięgnąć języka na twój temat w Little Woodcote. On już taki jest, nigdy nie spocznie, dopóki nie pozna wszystkich sekretów. - Tu zaróżowiła się ślicznie; należała do kobiet, które coraz silniej rozkwitają powabem po ślubie. - A na koniec rozstrzyga sprawy tak, jak jego zdaniem jest najlepiej.

- A jak ślicznie mi poszło odgrywanie roli Kupidyna względem ciebie i Kippa, nieprawdaż? - wtrąciła Sophie i z uśmiechem. - Chociaż ja też pomagałam.

Och, cudownie. Teraz obie panie uśmiechały się z rozmarzeniem w oczach, przypominając sobie coś, co dla nich musiało być cudowne, ale nie miało absolutnie nic wspólnego z Reginą.

- Pamiętam już - odezwała się, usiłując skłonić obie damy, by wróciły do tematu. - Jego lordowska mość był obecny tego dnia, kiedy lord Willoughby zarzucił mi cygaństwo w sprawie Little Woodcote.

- Tak - zgodziła się Abby - to drobne cygaństwo, jakobyś była osieroconą siostrzenicą pastora. Którą to historyjkę następnie bardzo zręcznie przeredagowałaś i przedstawiłaś się nam jako pasierbica pewnego niegodziwego nikczemnika; miał on przejąć interes twego ojca i po śmierci twojej matki traktować cię jak najędzniejszą wyrobnicę, więc od niego uciekłaś. W to również nie uwierzyliśmy, jeżeli sobie przypominasz, chociaż naprawdę dość dobrze to opowiadałaś. Powinniśmy byli pewnie więcej z tobą rozmawiać, zadawać ci więcej pytań, ale... no cóż, obawiam się, że mieliśmy wtedy inne sprawy, które nas zajmowały.

Regina wstała i zaczęła spacerować po pokoju.

- Byłam zaskoczona, że nie nalegaliście państwo na więcej informacji.

- Więcej cygaństw - wtrąciła Sophie. - Bo przecież znowu byś cyganiła, prawda? I znowu, i znowu?

- To byłyby opowieści, wasza wysokość - poprawiła ją Regina. - Przedstawiłabym paniom następną opowieść. To pewna różnica. Ale pani wiedziała, milady, pani i lord Willoughby wiedzieliście oboje. Wiedzieliście, że musiałam mieć ważne powody, by tak właśnie sprawę przedstawiać, i ufaliście mi na tyle, by wziąć mnie do siebie, zatrzymać mnie przy sobie, uszanować moją prywatność. Ten okres, kiedy służyłam pani i jego lordowskiej mości, przypominał raj w porównaniu z pobytem u Żeliwnej Gerty.

- Nigdy nas nie rozczarowałaś, Regino, a stałaś się dla mnie bardziej przyjaciółką i towarzyszką niż służącą - zapewniła ją Abby. - Zgodziliśmy się z mężem, że masz prawo do sekretów. Jednak lord Singleton niczego takiego nie obiecywał. Pojechał do Little Woodcote, zasięgnął tam języka, zostawił wizytówkę u kilkorga ludzi i wkrótce potem tonął w Tamizie, owinięty workiem i łańcuchami. Nie uważa tego za zbieg okoliczności.

- Nie - zgodziła się Regina i zwiesiła głowę. - Pewnie nie zechciałby tak uważać.
- Odetchnęła głęboko, podniosła oczy na Abby i zapytała: - Czego on ode mnie chce?

Sophie klasnęła w dłonie.

- Ach, teraz przechodzimy do szczegółów, czy tak? On chce, moja droga, wręcz domaga się, byś została tutaj, w Singleton Chase, dopóki nie zagoją się jego rany. Kilka miesięcy, moja droga, to potrwa kilka miesięcy. A potem, kiedy wyzdrowieje, a nam wszystkim zagrozi wiosenny seson, życzy sobie, żebyś towarzyszyła mu do Londynu.

Regina potrząsnęła głową, zdezorientowana, ale również bardzo zaintrygowana i zdecydowanie podniecona tą perspektywą. Londyn! Tak bardzo pragnęła dostać się do Londynu, a jaśnie pani powiedziała już, że nie wybiera się tam wiosną z jego lordowską mością.

- Dlaczego? Z jakiego powodu?

- No jak to, oczywiście po to, żeby odkryć morderców -zdziwiła się Abby. -
Chociaż, szczerze mówiąc, wciąż jeszcze nie jestem pewna, jak on chce tego dokonać.

Regina przygryzła dolną wargę, popatrując to na wicehrabinę, to na księżnę, widząc zatroskanie w oczach Abby i pełen rozbawienia błysk w oczach Sophie.

- Ale pani wie, prawda, wasza wysokość? Zaprzecza pani, ale pani wie. Nie zgodziłaby się pani na nic innego.

- Moja droga, stawiam sobie za cel wiedzieć wszystko, to prawda - przyznała Sophie. - Wadsworth i ja zaprzyjaźniliśmy się, rozumiesz. Zawsze mnie to zdumiewa, jak bardzo podatni są panowie na komplementy. Tak więc, nawet jeżeli nasi dżentelmeni uznali, że nie musimy wiedzieć więcej, niż nam powiedzieli, ja wiem już wszystko.

- I powie mi pani? - poprosiła Regina, rozglądając się po prześlicznie wyposażonym saloniku, usiłując wyobrazić sobie, jakby to było, gdyby w nim rezydowała. Chociaż dokładnie rzecz biorąc, nie zostałaby tutaj, w salonie. Mieszkałaby w kwaterach dla służby. Ale przecież nie marzyłaby i byłaby bezpieczna, i wróciłaby do Londynu, a tam właśnie musiała się ostatecznie znaleźć. Przezornie pilnowała się, by zachować obojętny wyraz twarzy, chociaż dusza jej fikała koziołki ze szczęścia.

- Powiem ci, co jego lordowska mość powiedział lady Willoughby i mnie, kiedy widziałyśmy się z nim jakiś czas temu. Będiesz miała dobrą opiekę, pewnie w najśmielszych

snach nie marzyłaś o czymś takim. A to ma największe znaczenie, prawda?

- Czy będę otrzymywała kwartalne pobory? - Sprawa otrzymywania poborów była dla Reginy bardzo ważna, ponieważ miała własne plany, chociaż nie widziała żadnego powodu, by się nimi z kimkolwiek dzielić.

- Podwojone kwartalne pobory, Regino - wyjaśniła jej Abby z uśmiechem. - Jego lordowskiej mości bardzo zależy, żeby cię tu zatrzymać.

- Żebym zaczekała, aż wyzdrowieje, a potem wróciła z nim do Londynu i powiedziała mu, kto go próbował zamordować? - Regina wstała i podeszła do okna, wychodzącego na wypiełgnowany ogród. Odwróciła się i podparła się z tyłu rękami o parapet. - Ale skąd ja miałabym to wiedzieć?

- Jest to pytanie - rzekła jej Abby - na które tylko ty potrafisz odpowiedzieć, moja droga. Ale jego lordowska mość pewien jest, że znasz odpowiedź. Czy ma rację?

Regina popatrzyła Abby prosto w oczy. Wiedziała, że bardzo dobrze umie zbijać ludzi z pantafyku. Ale zamrugła i pierwsza spuściła wzrok, bo tak wiele tej kobiecie zawdzięczała. Powinna powiedzieć jej prawdę, a przynajmniej coś na tyle zbliżonego do prawdy, na ile mogła sobie pozwolić.

- Niewykluczone.

3

Księżstwo odjechali z Singleton Chase w godzinę po rozmowie Sophie z Regina; nie mogli się już doczekać, żeby ruszyć w drogę z powrotem do Londynu i do swoich dzieci.

Następnego ranka Regina stała na szerokich, marmurowych schodach przed olbrzymią wiejską rezydencją i machała na do widzenia lordowi i lady Willoughby; Abby wyglądała na nieco onieśmiałą, chociaż uśmiechała się, za to Kipp wyraźnie zadowolony był, że będą mogli kontynuować swój bardzo osobisty miesiąc miodowy.

Regina zeszła ze schodów i ruszyła podjazdem z tłucznia, kopiąc od czasu do czasu jakiś kamyk; ręce spłotła za plecami i wdychała chłodne wiejskie powietrze.

Sama. Znowu była sama. A przynajmniej na tyle sama, na ile człowiek mógł być sam w domu z czterdziestoma sypialniami i przynajmniej tylomaż służącymi. Na tyle sama, na ile mogła być, kiedy pan tej rezydencji leżał ranny w swoich pokojach, kryjąc się przed światem.

Żadnych gości nie będzie, to pewne. Nie składało się wizyt w opustoszałym domu żałoby.

Przystanąła, odwróciła się i obejrzała się na dom. Główna jego bryła, zbudowana z przydymionej, pomarańczowej cegły, stanowiła właściwie wielki kwadrat z kwadratowym, centralnie umieszczonym dziedzińcem pośrodku. Wysoka była na dwa piętra, z olbrzymią ilością poddaszy; w każdym pokoju znajdowało się okno, z każdego pokoju rozpościerał się inny widok - albo na otaczające rezydencję grunta, albo na centralnie położony, kwadratowy ogród.

Wiedziała, że na tyłach domu znajduje się drugi, mniejszy budynek, otaczający jeszcze jeden ogród, całkowicie oddzielny, chociaż przylegający do głównego domu kwadrat, w którym mieściła się sala balowa, kuchnie i nawet kaplica, gdzie wszyscy modlili się tamtego ranka.

Tyle dachów, tyle kominów. Okna imponowały swoją wielkością i symetrią, z jaką kroczyły w poprzek fasady. Całą wioskę dałoby się zakwaterować w tych murach, a przecież mieszkał tam tylko jeden człowiek. Jeden mężczyzna i ponad czterdziestu służących.

Po co ludziom aż tyle przestrzeni? Dlaczego uważali to za konieczne?

A przecież Regina wiedziała, że Singleton Chase daleko ustępował pod względem wielkości najwspanialszym majątkom w Anglii. Wiedziała, że są domy, które mogły pochwalić się setką sypialni, majątki tak olbrzymie, że potrzebna była cała armia służących,

by napalić w kominkach i wyczyścić srebra.

Może to coś w rodzaju współzawodnictwa wśród arystokracji. Jeżeli tak, to zdaniem Reginy było ono dosyć niemądre.

Stała, kołysząc się lekko na piętach, i usiłowała wyobrazić sobie siebie w roli pani na Singleton Chase. W końcu, jeżeli już miała marzyć, dużo lepiej być tam panią niż służącą, która będzie szorowała paleniska.

Podawałaby herbatkę w salonie, siadywała przy końcu stołu w sali balowej, przemeblowanej na wielkie przyjęcia, patrzyłaby przez niekończącą się długość blatu na swego pana i władcę, którego zasłaniałyby dziesiątki świec oraz wysoka na dobre trzy stopy dekoracja kwiatowa pośrodku.

Śmiałyby się - ha, ha, ha! - kiedy goście by ją bawili i sama z kolei też by ich bawiła. Z diamentami na szyi, diamentami w uszach, w kremowej sukni z najdelikatniejszego jedwabiu, byłaby obiektem zazdrości wszystkich kobiet i potajnym marzeniem każdego mężczyzny.

A potem, kiedy goście już by się rozeszli, ona i ubóstwiający ją - niewolniczo wręcz zakochany w niej - mąż weszliby ramię w ramię po szerokich, wygiętych w łuk schodach i zniknęli za zamkniętymi drzwiami sypialni pana domu.

A tam? Regina zmarszczyła brwi, w tym momencie jej marzenie na jawie się urwało. Och, wiedziała dobrze, co by się potem działo. Nie była takim cymbałem, żeby tego nie wiedzieć. Po prostu nigdy nie rozumiała, czemu miałyby to się komuś wydawać atrakcyjne, w czym rzecz. Zdawała sobie sprawę, jaki jest potencjalny skutek takiej działalności: dziecko, spadkobierca. Ale metoda prokreacji była jej zdaniem bardzo ograniczona pod względem pomysłowości. Oraz estetyki.

Nie żeby musiała się czymś takim martwić. Miała coś innego do roboty, niż snuć marzenia na jawie, istniały plany, które raczej nie wiązały się ze znalezieniem sobie mężczyzny.

Musiała znaleźć trzech mężczyzn.

Jak długo to potrwa, zastanawiała się, zanim jego lordowska mość, hrabia Singleton, będzie w stanie jej pomóc?

Zawróciła do domu, wiedząc, że w jakiś sposób musi okazać się użyteczna, że jakoś powinna dopasować się do plusów i minusów życia w Singleton Chase, wtopić się znowu w tło, nijaka, niezauważalna. Bezpieczna.

Ale kiedy wchodziła po kuchennych schodach do kwater dla służby, zobaczyła pokojówkę, która właśnie opuszczała jej pokój na poddaszu, niosąc niewielką walizeczkę,

mieszczącą wszystkie doczesne dobra Reginy.

- Ach, tu panienka jest - zaświergotała pokojówka. Była kobietą o rumianych policzkach i pełnej figurze, spod olbrzymiego czepka wymykały jej się pasemka jasnych włosów; taka kobieta instynktownie matkuje każdemu, kogo tylko zobaczy.

- No, tak... tu jestem - powiedziała Regina, pokazując na walizkę. - Ale nie na długo?

- Och, to? - zapytała pokojówka, podnosząc walizkę, jakby ważyła nie więcej niż piórko. - Mam to tylko zanieść na dół, tak kazał pan. My nie pytamy dlaczego, nie tutaj, w Singleton Chase, nie zadajemy takich pytań hrabiemu ani nie zadawaliśmy ich wcześniej jego ojcu. Obydwaj byli dobiymi ludźmi, a nie kwestionuje się poleceń dobrych ludzi, prawda? Zwłaszcza że wielmożny pan za bardzo jest zmalretowany na jakieś podejrzane sprawy, jeżeli mnie panienka rozumie. Nawiasem mówiąc, nazywam się Maude i z przyjemnością będę panience służyła. - Na zakończenie dygnęła.

Regina przycisnęła dłoń do czoła i potarła palcami skronie.

- Rozumiem - szukała odpowiednich słów, wiedząc, że niczego takiego nie znajdzie. - Rozumiem, dziękuję ci, Maude. Może... może po prostu mnie zaprowadzisz?

- Jak sobie panienka życzy - powiedziała Maude i Regina cofnęła się o krok, żeby pozwolić jej przejść, a potem podreptała za nią po schodach, skręcając w prawo głównym korytarzem; minęły sypialnię jego lordowskiej mości, potem skręciły w lewo w inny korytarz, aż w końcu zatrzymały się przed jedną z czterdziestu sypialni.

- Tutaj? - Regina rozejrzała się, spodziewając się, że zaraz ktoś, byle kto, wyskoczy zza jakiegoś fotela i brutalnie każe jej wracać tam, skąd przyszła, i po drodze zabrać ze sobą cerowanie. - Ale... ale to są pokoje, które zajmowali lord i lady Willoughby, kiedy tu gościli.

- Tak, wiem, ale są już przygotowane, łącznie z czystą bielizną pościelową, i pani Gaines, to nasza gospodyni, pomyślała, że nie będzie to panience przeszkadzało. To dużo, dużo łatwiej, niż ściągać pokrowce z mebli w jeszcze jednym pokoju. Są też pokoje, które zajmowali księstwo, ale jeszcze w nich nie posprzątałyśmy, a to dlatego, że pokojówki wciąż zajęte są sprzątaniami po tym stadzie londyńskich gości, co to tyle narobili bałaganu. Porozsypywany puder i czernidło do butów, i podarte prześcieradła. Można by pomyśleć, że chowali się w stodole, naprawdę.

Apartament za tymi drzwiami, jak Regina wiedziała, obejmował wielką sypialnię, połączoną z dużym pomieszczeniem, gdzie można było po prostu siedzieć i odpoczywać. Znajdowała się tam też mała garderoba oraz pokoik z łóżkiem, na wypadek, gdyby gość

zyczył sobie, by pokojówka czy lokaj byli pod ręką. No i łazienka. Naprawdę śliczna łazienka, w której nie brakowało nawet rozkosznej, ręcznie malowanej wanny.

Ona miałaby tutaj mieszkać? Przez całe miesiące, zanim lord Singleton zdoła wyzdrowieć - pozwolą jej mieszkać tutaj?

- Taak... tak, tak, Maude - powiedziała; pozbierała myśli i wcieliła się w rolę wielkiej, acz życzliwej damy, pani tej rezydencji, pani swoich własnych spraw. Trochę to było naciągane, skoro Maude bardzo dobrze wiedziała, że Regina przyjechała jako jedna z pokojówek lady Willoughby, ale poradzi sobie. - Myślę, że to będzie... wystarczające. Dziękuję ci.

Maude nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi.

- Proszę nawet o tym nie myśleć, panienko. A teraz porozkładałam te kilka rzeczy. Nie ma panienka ich za wiele, prawda? Przypuszczam, że to się zmieni.

Regina w myśli dokonała przeglądu własnej garderoby, co nie zajęło jej długo. Ile mogło trwać przeliczenie sukni, którą miała na grzbiecie, oraz dwóch innych, podobnych jak dwie krople wody? Wszystkie trzy były tak ciemnoniebieskie, że aż granatowe, osłaniała je jednym z trzech wielkich, białych fartuchów.

- Tak sądzisz? - zapytała, zastanawiając się, czy nie powinna się uszczypnąć i na ile marzeń może sobie pozwolić.

- Zważywszy na to, że pani Waters z wioski już została wezwana, i zważywszy, że jest ona szwaczką, muszę powiedzieć, że bez wątpienia tak sądzę. Nie żebym należała do tych, co to wtrącają się w sprawy innych ludzi, niech panienka zwróci uwagę. Nikt nie powie, że Maude wtyka nos tam, gdzie nie jego miejsce. A teraz, czy panienka będzie chciała zjeść lunch w swoim pokoju, czy może będzie panienka tak, miła, żeby zejść na dół?

Regina zrozumiała aluzję, podsuniętą przez Maude, i zgodziła się zejść na południowy posiłek na dół.

- Ale proszę, nie róbcie sobie kłopotów z obsługiwaniem mnie w jadalni - powiedziała, przypominając sobie swoje marzenia. Głupsze od nich mogło być chyba tylko jedno: widok, jak siedzi samotnie przy takim olbrzymim stole, pogryza chlebek i rozmawia sama ze sobą. - Naprawdę nie chcę, żeby się ktoś ze mną cackał. Czy nie mogłabym zjeść z wami wszystkimi, proszę?

- Pani Gaines mogłaby się nie zgodzić, panienko - zaprotestowała Maude, pierwszy raz Regina zobaczyła u niej niepewną minę. - Rozumie panienka, jest panienka w tym domu gościem. Gościem wielmożnego pana. Najlepiej, żeby od razu panienka pokazała służbie, kim jest. Oni szybko zapomną, że sypiała panienka na poddaszu razem z nami

wszystkimi przez te kilka ostatnich nocy.

- Zapomną, Maude? Czy tylko niby to przypadkiem nie będą pamiętali?

- Zrobią tak, jak im pan Wadsworth każe, panienko. Wszyscy tak postępują, nawet wielmożny pan. Pan Wadsworth to bardzo groźny człowiek.

A przecież Sophie udało się owinąć sobie tego groźnego człowieka wokół małego palca. A co Sophie potrafi zrobić, z tym sobie również poradzi Regina. Może to potrwać trochę dłużej, ale poradzi sobie.

Weszła za Maude do pokoju, przycupnęła na wielkim, sze-rokim łożu i przyglądała się, jak jej mizerny dobytek układany jest w szufladach oraz w wielkiej bieliźniarce z czereśniowego drewna.

- Czy nie wiesz przypadkiem, jak się wielmożny pan dzisiaj czuje? - zapytała, zanim pokojówka zdążyła wyjść. - Naprawdę chciałabym się z nim zobaczyć. Podziękować mu za wszystko, co zrobił.

- Nie potrafię powiedzieć, panienko. Nikt z nas nie widział wielmożnego pana na oczy. Pan Wadsworth sam go tu przywiózł późną nocą i nikt z nas nie orientował się, że on tu jest, aż do następnego ranka, kiedy pan Wadsworth kazał nam wszystkim przysiąc, że dochowamy tajemnicy. Groźny jest ten pan Wadsworth, bardzo groźny.

- Tak, wspominałaś już o tym - wymamrotała Regina; przygryzła z boku paznokcie na kciuku, ale szybko przestała, uświadomiwszy sobie, co robi. Damy nie przygryzają paznokci. - A może zechciałabyś zapytać pana Wadswortha, czy mogłabym zobaczyć się z jego lordowską mością dzisiaj. Albo kiedyś jutro - dodała pośpiesznie, nie chcąc okazywać arogancji.

- Zapytam, panienko. Och, i musi panienka zwracać się do niego „Wadsworth”. Tylko służący mówią do niego „proszę pana”. Ale panienka wiedziała to, prawda?

Regina spuściła oczy na dłonie, które splatała i rozplatała na podolku. Dobry Boże, musi wyglądać jak ktoś, kto właśnie uciekł z domu wariatów. Gryzie paznokcie, załamuje ręce. Jeszcze trochę, a zacznie wyć do księżyca.

- Tak, oczywiście, wiedziałam.

Maude ponownie dygnęła i odwróciła się do drzwi.

- Maude? - zawołała za nią Regina, która nagle zaczęła bać się samotności. Zsunęła się z łożka, podeszła do tej pełnej matczynej ciepła kobiety i położyła dłoń na jej ręce. - Maude, to wszystko jest bardzo miłe, ale równocześnie przerażające. Nie muszę mówić ci, że nie jestem damą, że pojęcia nie mam, jak powinien zachowywać się gość w czyimś domu. Nie wiem, co mam robić, co mam mówić. Jak się zachowywać, czym wypełnić sobie

czas. Czy zechcesz mi pomóc?

Maude popatrzyła na nią, jej szeroka, nieładna, wiejska twarz złagodniała i pokojówka objęła Reginę ramionami.

- Och, kochana, kochana panienko. Oczywiście, że panience pomogę. Wszyscy panience pomożemy. Dobrze się panience tutaj ułoży, bardzo dobrze. Zobaczysz panienka.

Regina była dobrze karmiona. Zapomniała o fartuchach i wkrótce miała dostać trzy nowe suknie: różową, białą i w delikatnym odcieniu zieleni. Nosiła nowe giemzowe pantofelki i miękką bawełnianą koszulę nocną, którą Maude wykopała z kufrów po świętej pamięci matce hrabiego na strychu.

Wyprawa na strych zaowocowała również czterema ślicznymi szalami, dwiema parami rękawiczek, które pasowały na jej małe, szczupłe dłonie wręcz znakomicie, oraz wstążkami do włosów w całkiem szerokim wyborze. Znalazła się też gołąbkowa, wełniana peleryna podbita futrem, które - jak powiedziała Reginie pani Gaines - było sobolowe i przyjechało z jakichś dzikich krain w Rosji. Regina zachwycała się peleryną niemal w tym samym stopniu co sobolową mufką od kompletu, ale przekonana była, że w życiu nie ośmieli się założyć ani jednego, ani drugiego.

Przez większość dni spacerowała albo po dziedzińcu, albo po zewnętrznej stronie kwadratowego domu, po ogrodach. Spędziła jeden deszczowy dzień na wędrówkach po długiej na sto stóp galerii portretów (zmierzyła ją krokami), przyglądając się bacznie wszystkim przodkom rodziny James, i znalazła jednego, który - była tego pewna - miał ten sam błysk w brązowych oczach co obecny hrabia. Brązowy kolor jest pospolity, ale w oczach hrabiego było coś, czego nie dawało się zapomnieć. Ten błysk. Musiał to być ten błysk.

Czytała. Wadsworth przyniósł jej farby i pędzle, i kazał lokajowi rozstawić sztalugi na południowym trawniku, żeby mogła malować, ilekroć najdzie ją taki kaprys. Regina namalowała trzmiela z twarzą lorda Singletona.

Poznała wszystkie pokoje w tym olbrzymim domu, zajrzała do każdej sypialni, przesunęła palcami po fortepianie w pokoju muzycznym, a nawet usiłowała brzdąkać na harfie, przy sposobności rozcinając sobie palec. Znalazła pokój bilardowy w zakamarkach na tyłach drugiego kwadratu, ale nie była pewna, czy damom wolno grać w taką grę, i zaciekawiała się, czy nie znalazłyby się gdzieś szachy. A potem zamyśliła się nad tym, kto miałby zostać jej partnerem, gdyby miało jej się trafić na szachownicę.

Wieczorami przychodziła do niej Maude, do jej pokoi i tam razem cerowały prześcieradła, popijały herbatę i jadły cisteczka, które pokojówka przynosiła na górę w

kieszeszeniach fartucha. Śmiały się. Maude szczotkowała panience włosy po kąpieli, a Regina czytała pokojówce fragmenty książek, które znalazła w olbrzymiej bibliotece.

Nie minęły dwa tygodnie, a Regina знаła już po imieniu wszystkich służących i, podobnie jak wcześniej księżna Sellbourne, owinęła ich sobie wokół małego paluszka. Z natury była osobą życzliwą, a cała służba Singletona charakteryzowała się niezawodnie przyjaznym usposobieniem.

Z jednym wyjątkiem.

W żaden sposób nie udawało jej się podejść Wadswortha. Próbowwała, Bóg jej świadkiem, że próbowała. Dziękowała mu uprzejmie za każdym razem, kiedy oddawał jej jakąś przysługę, co zdarzało się rzadko; nigdy nie zapomniała przywitać się z nim, kiedy mijał ją na którymś z korytarzy, chwaliła profesjonalizm, z jakim - stojąc przy stole - nadzorował podawanie dań, przy każdym posiłku powtarzała, że jeszcze nigdy czegoś tak doskonałego nie jadła, nie wykluczając zielonego groszku, który z trudem przełknęła tylko dlatego, że kamerdyner na nią patrzył.

Zwracała uwagę na dobre maniery, a mogła to zrobić dzięki znalezionej w bibliotece książce, w której autor wyjaśniał zawilosci posługiwania się tymi wszystkimi sztuczkami, które trzy razy dziennie znajdowała obok swego talerza.

Jednym słowem zachowywała się przykładnie. Była słodka. Uległa. Starła się uśmiechać, pragnęła aprobaty.

I wiedziała, że jeżeli wkrótce nie znajdzie sobie innego tematu do rozmyślań, to zwariuje, bez reszty i dokumentnie!

Przechodziła obok pokoi jego lordowskiej mości przynajmniej z tuzin razy dziennie, o różnych porach, w nadziei że przynajmniej raz trafi na niezamknięte drzwi albo usłyszy z wewnątrz głosy, świadczące o tym, że Wadsworth jest z hrabią.

Pytała Wadswortha grzecznie, czy mogłaby złożyć hrabiemu wizytę. Uśmiechała się, pochlebiała mu. Spuszczała powieki, potem spoglądała na niego z niewinnością, która stopiłaby najsurowsze nawet serce.

Tego ranka tupnęła nogą i podniosła głos, zażądała, by pozwolono jej spędzić pięć minut z jego lordowską mością, który uwięził ją tu wbrew jej woli.

Nic nie działało.

Jego lordowską mość odpoczywał. Jego lordowską mość dochodził do siebie. Jego lordowskiej mości nie można zakłócać spokoju. Nie życzy sobie, by mu zakłócać spokój.

I to dlatego w tej chwili Regina przemykała się ukradkiem, na bosaka, w samych pończochach, wąskim korytarzykiem, biegnącym między kuchniami a kwaterą kamerdynera,

i kierowała się w stronę wieszaka z kluczami na ścianie.

Kucharka mieszała w garnkach, pomywaczka obierała krewetki, lokaj w małym pokoiku polerował buty, a Regina skradała się na paluszkach, przystawała, nadśluchiwała i skradała się dalej.

Każdy klucz miał swój własny haczyk, a każdy haczyk umieszczony był tuż pod ręcznie wypisaną etykietką, przyczepioną do długiej drewnianej listwy. Regina przebiegała wzrokiem rzędy różnego kształtu kluczy, jeden za drugim, w głowie nie chciała jej się pomieścić sama ich ilość, zwłaszcza że pani Gaines nosiła tylko około dwudziestu sztuk na grubym metalowym kółku, które zwisało jej przy pasku.

W końcu, na samym dole, odczytała: „Sypialnia pana domu”. Brwi jej podjechały do góry, usta wykrzywiły się w bezczelnym - wiedziała to - uśmiechu. Gdyby nie to, żeby była taką „dama”, cmoknęłaby wargami z satysfakcji.

Zdjęła klucz, potem popatrzyła na inne haczyki. Żaden nie był pusty, muszą tu więc wisieć duplikaty kluczy, będących w posiadaniu pani Gaines, oraz klucze rzadko używane. Jeden pusty haczyk łatwo byłoby zauważyć. A dalibóg, Wadsworth zauważał wszystko.

Co robić, co robić. I nagle Regina wpadła na pomysł: na jednym z haczyków wisiał komplet dwóch kluczy. Szybko zdjęła jeden z nich i zawiesiła go na pustym miejscu. Idealnie. Może powinna zastanowić się nad karierą przestępczyni, dobrze jej to szło, chociaż sama nie powinna się chwalić.

Wetknęła klucz na małym kółku do kieszeni, zwróciła na paluszkach, wsunęła znowu buty na stopy, a potem skręciła do kuchni, wesoło się ze wszystkimi przywitała i zapytała, czy przypadkiem nie mogłaby dostać jeszcze kawałka tej przepysznej szarlotki, którą wieczorem kucharka podała do kolacji.

O, wcale nie traciła głowy. Złodziejka przy apetycie. A ręce prawie jej się nie trzęsły, kiedy podnosiła pierwszy kęs ciasta do ust.

Wypiła szklankę zimnego świeżego mleka, którym poczęstowała ją kucharka, elegancko dotknęła warg płócienną serwetką, a potem odegrała całe przedstawienie, udając, że jest zmęczona i ma ochotę wcześniej się położyć.

Maude podążyła za nią na górę po kilku minutach - jej obowiązki ograniczały się teraz właściwie do obsługiwania panienki - i zaproponowała, że pomoże się Reginie rozebrać.

- Och, nie ma potrzeby, Maude. Planowałam, że sobie chwilkę poczytamy. A może nie chcesz dowiedzieć się, co dalej dzieło się z bogatym i przystojnym panem Darcy?

- Myśli panienka, że panna Elizabeth Bennett przyjmie jego oświadczenia? Był niegrzeczny, ale panna Jane Austen wyjaśniła całą sprawę, prawda? Panna Elizabeth bez

wątpienia wydawała się rozumieć. Och, ten mały szalapat, panna Lydia, żeby tak uciekać z panem Wickhamem. Powinna się wstydzić! Damy tak nie postępują, wie panienka. Panience trzeba wiedzieć, co damy robią, a tego akurat nie robią.

- Będę o tym pamiętała, Maude, kiedy następnym razem ktoś poprosi mnie, żebym z nim uciekła - zapewniła sucho Regina, gestem zapraszając Maude, by usiadła przy świeżo rozpalonym ogniu; następnie sama usiadła naprzeciw niej i otworzyła książkę tam, gdzie tkwiła zakładka.

W godzinę później w domu zapanowała cisza; Maude chrapała przy kominku. Regina zamknęła książkę, zsunęła pantofelki i na paluszkach podeszła do drzwi. Otworzyła je powoli i wyjrzała na lewo, potem na prawo, żeby upewnić się, czy na korytarzu nikogo nie ma.

Zegar na gzymsie nad kominkiem w jej pokoju wydzwonił właśnie godzinę dziesiątą. Regina już wiedziała, gdzie Wadsworth przebywa co wieczór o dziesiątej, ponieważ kamerdyner, daj Boże zdrowie jego nakrochmalonej osobie, był człowiekiem systematycznym. O dziewiątej otulał jego lordowską mość kołderką na noc, a o dziesiątej w swoim własnym saloniku wypijał kieliszek portwajnu z panią Gaines.

Mniej więcej w tej chwili Wadsworth pociągał pierwszy łycecz portwajnu, a pani Gaines recytowała menu na dzień następny i, uporczywie nie tracąc nadziei, trzepotała rękami w kierunku zdecydowanie nie zważającego na to kamerdynera. Zdaniem Maude obracali się oboje w tym tańcu już od lat, a żadne nie decydowało się na krok, który mógłby doprowadzić do zacieśnienia znajomości.

- Wszystko dlatego, że Wadsworth nie ma serca - szeptała Regina pod nosem, przemykając pod ścianami, okrążając stoły i wykrzywając się w kierunku zbroi, która nieodmiennie straszyla ją w ciemnościach. Doszła do rogu, wyjrzała, pogratulowała sobie, że dotarła tak daleko i nikt jej nie zauważył, i pożałowała, że nie ośmieli się zgasić chociaż kilku świateł na tym jaśniejszym korytarzu.

Teraz czekała ją naprawdę trudna część zadania. Sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła klucz, ścisnęła go mocno w dłoni. Tak mocno, że wrzynał się boleśnie w delikatne ciało.

Stąpając nadal na paluszkach, skierowała się ku dwuskrzydłowym drzwiom, prowadzącym do sypialni pana domu, zatrzymała się przed nimi, rozdygotana zaczerpnęła głęboko powietrza i wsunęła klucz w zamek.

Klik.

Czy to było słychać? Czy „klik” może być aż taki głośny? Miała wrażenie, że na korytarzu wystrzeliła armata.

- Przestań - wyszeptała i zażądała od siebie spokoju oraz skończenia z tym

pensjonarskim zachowaniem. Zamierzała przecież po prostu złożyć wizytę jego lordowskiej mości. W jego sypialni. Po ciemku. Tylko ich dwoje. Sam na sam.

Nie było w tym nic złego. Absolutnie, ani trochę.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, nawet nie pisnęły. Dobry, poczciwy Wadsworth, że tak dba o wszystko, utrzymuje w idealnym porządku i w ogóle.

Zamknęła za sobą drzwi, wstrzymała oddech, kiedy naciskała klamkę, potem odwróciła się i zamarła w bezruchu. Czekwała, aż oczy przyzwyczają jej się do mroku, ponieważ w środku paliło się tylko kilka świec w świecznikach stojących obok łóżka, na stoliku pod lustrem, mającym podwajać ich blask.

Parę kałuż światła i poświata od kominka, nic więcej. Zdecydowanie za ciemno do czytania, więc jego lordowska mość mógł tylko leżeć w łóżku, pogrążony w głębokim śnie, całkowicie nieświadom tego, że panna Regina Bliss wpadła do niego z wizytą. Nieświadom, że przyszła zażądać kilku informacji na temat „planów”, które ponoć wyległy się w jego głowie, tych planów, które obejmowały jej udział i współpracę.

A nie będzie mógł liczyć ani na jedno, ani na drugie, dopóki nie powie jej wszystkiego, co chciała wiedzieć.

Wzrok przystosował jej się na tyle, że rozróżniała już zarysy mebli, a łóżko widziała niemal wyraźnie dzięki palącym się na stoliku nocnym świecom. Dlaczego więc stała bez ruchu? Dlaczego nie przeszła przez pokój, nie stanęła przy łóżku i nie zbudziła pana posiadłości?

Na tym właśnie polegał problem. W jaki sposób należy budzić pana posiadłości?

Regina skrzywiła się, zła na siebie samą. Przy planowaniu skupiała się wyłącznie na problemie, jak tutaj dotrzeć, jak dostać się do tego pokoju, i raczej nie zastanawiała się, co dalej. A teraz, kiedy tu już dotarła, nie wie, jak obudzić hrabiego? Po prostu śmieszne.

Zastanawiała się, ile czasu minęło, od kiedy słyszała ostatnie bicie zegara. Z pewnością nie więcej niż kilka minut. Miała mnóstwo czasu, zanim o północy wróci Wadsworth.

- No, już, ruszać się - ponagliła półgłosem swe odporne stopy, zacisnąwszy dłonie w pięści. - Nie doszłaś aż tutaj tylko po to, żeby mieć atak waporów. Rusz się wreszcie, z łaski swojej.

Ruszyła się. Stapała bardzo powoli, ostrożnie stawiając jedną stopę przed drugą, aż stanęła tuż przy łóżku. Udało się. Naprawdę stała tuż przy łóżku.

Przy pustym łóżku.

Zanim Regina uświadomiła sobie ten fakt, zanim jej dusza zdążyła uciec w pięty,

usłyszała jakiś głos, który powiedział chłodno:

- Dobry wieczór, panno Bliss. Ciekawe, czy wie pani, jak niewiele brakowało, a zdmuchnąłbym pani tę ładną główkę z ramion?

Brady leżał w łóżku, żeby nie powiedzieć w więzieniu, zasnąć nie pozwalały mu przeróżne bóle, pragnął już snu, a przecież bał się koszmarów. Usiłował skupiać się na swoim planie, oceniać ryzyko, rozważać możliwości. A nawet smakować zwycięstwo, jeżeli wszystko ułoży się zgodnie z jego nadzieją.

I wtedy to usłyszał. Leciutkie kliknięcie. Odgłos wcale nie był głośny, ale w jego cichej sypialni zabrzmiał jak strzał. To nie mógł być Wadsworth; kamerdyner zostawił go przed godziną i obiecał, że wróci dopiero o północy.

Instynkt wziął górę, instynkt i przebłysk paniki, który zmienił się w gniew i dał Brady'emu siłę oraz pozwolił zignorować ból, odzywający się przy najlżejszym nawet ruchu.

Kuśtykając i starając się nie urazić okaleczonej ręki, wziął naładowany pistolet, który uparcie kazał zostawiać przy swoim łóżku, i wślizgnął się w cienie. Czekał.

Drzwi otworzyły się i zanim zostały szybko zamknięte, do pokoju wpadł z korytarza trójkąt światła. Brady opuścił pistolet. Co za idiotka! Czy myślała, że jej nie zobaczy?

Zaczekał, aż przejdzie przez pokój, podejdzie do łóżka, i potem odezwał się do niej z ciemności. Radość go ogarnęła, kiedy ze spłoszonym wyrazem twarzy okręciła się gwałtownie, szukając go w mroku.

- No? - poganiał ją, kiedy dalej milczała. - Czy nie ma pani nic do powiedzenia? Może chciałaby pani wmawiać mi, że przez pomyłkę weszła do całkiem niewłaściwego pokoju? Nie, musiałyby to być coś bardziej pomysłowego, prawda, panno Bliss? W końcu jest pani całkiem pomysłowym łgarzem.

Regina nadal milczała. Wzięła tylko świecę i podchodząc do niego, podniosła ją wysoko. Brady odwrócił się od światła, ale wcześniej zdążyła zobaczyć jego twarz.

- Naprawdę jest pan chory - powiedziała z pewnym zaskoczeniem, zwracając uwagę na coś, co było oczywiste. - Pana twarz... pana ręka...

- Moja ręka, moje kolano, mój niegdyś śliczny nos, moje żebra. Moja duma. Myślę, że to z grubsza koniec listy - dokończył za nią Brady, czując, że siły zaczynają go opuszczać. Chyba nawet pistolet robił się dla niego za ciężki. Boże, jak nienawidził tego, że jest taki słaby!

Regina odebrała mu pistolet, położyła broń na stoliku, postawiła obok świecę, a potem podeszła do hrabiego i objęła go ramieniem w pasie.

- Niech mi pan pozwoli sobie pomóc. Proszę się oprzeć o mnie, a ja zaprowadzę

pana z powrotem do łóżka i zajmę się panem.

- Cóż za pełna uroku propozycja, moja droga - powiedział Brady sarkastycznie - ale obawiam się, że w tej akurat chwili nie będę mógł na nią przystać.

- Niech się pan nie sili na zuchwałość, bo muszę panu powiedzieć, że to w najmniejszym stopniu nie przystoi - zbesztła go Regina i lekko popchnęła w krzyże, poganiając w stronę łóżka. - Musi być pan jednym kłębkim cierpienia i cały jest pan rozpalony. Co Wadsworth daje panu na gorączkę?

Kuśtykając i opierając się na tej drobnej dziewczynie mocniej, niż miał chęć, jakoś wrócił do łóżka, a tam zaczął dzwonić zębami. Regina otuliła go kołdrą. Brady pewien był, że to gorączka każe mu patrzeć na Reginę i widzieć anioła tam, gdzie w świetle świec stała bardzo rzeczywista dziewczyna.

- Co on mi daje? Coś. Nie wiem. Coś obrzydliwego.

- No cóż, jeżeli jest obrzydliwe, to musi być skuteczne - zapewniła Regina, uśmiechając się do niego. - Ale nie przypuszczam, żeby miało to panu zaszkodzić, jeżeli przetrę panu twarz i ręce szmatką, umoczoną w zimnej wodzie.

Brady'emu huczało w głowie tak, jakby załagał mu się tam cały rój pszczół.

- Co? - zapytał, podnosząc na nią wzrok.

- Wszystko jedno - mruknęła, poklepując kołdrę i owijając go jeszcze szczelniej.
- Tak czy owak zaczekamy, aż zrobi się panu cieplej.

- To będzie już lada... lada chwila. - Cholera jasna. Znowu dzwonił zębami. Był taki chory. Taki diabelnie chory i słaby przez te ostatnie dwa tygodnie. Przed pogrzebem czuł się już dużo lepiej. Daleki był od zdrowia, ale mimo to lepiej. Wadsworth ostrzegał go, że za bardzo się forsuje, kiedy przebywali tu jego przyjaciele, i później, kiedy zażądał pióra i papieru, i całymi godzinami ślęczał nad planami i doskonalił je.

Gdyby umarł, Wadsworth prawdopodobnie stanąłby nad jego ciałem, pogroził palcem i powiedział:

- Przecież pana ostrzegałem, sir.

Do diabła, kazałby mu pewnie wyryć te słowa na płycie w mauzoleum. No ale to miejsce zostało już zajęte, nieprawdaż?

- Pewnie tylko wypchaliby mnie i postawili w jakimś ciemnym kącie - odezwał się, nieświadom, że mówi głośno.

- Co za śliczny obrazek - skomentowała Regina, unosząc mu głowę jedną ręką, a drugą przystawiając szklanekę do ust. - Ale czym mielibyśmy pana wypchać, milordzie? Nie za dobrze pana znam, ale przekonana jestem, że można by spokojnie powiedzieć, iż po brzegi

jest pan już pełen swojego ego.

- Śmieszne - fuknął Brady, a potem zakrzuszył się zimną wodą, rozkaszał i skrzywił, bo od kaszlu zagrzehotała każda złamana kosteczka w ręce i żebrach. - Diabli nadali. Diabli, diabli, diabli!

Regina otarła mu brodę miękką szmatką i osuszyła usta.

- Coś mi się zdaje, że powinnam okazywać Wadsworthowi dużo więcej życzliwości. Ten człowiek musi być święty, że znosi tak marudnego pacjenta.

- Marudnego! Ja wcale... - Brady odrzucił przykrycie, nagle przestało mu być zimno, a zrobiło się potwornie gorąco. - Tylko nie marudnego. Boże, cały płonę.

- Pójdę po te chłodzące okłady - powiedziała Regina, kiwając głową. - Niech pan się stąd nie rusza, dobrze?

Mimo całej udręki Brady dostrzegł komizm w jej stwierdzeniu.

- Pani, a dokąd miałbym się wybierać?

Przymknął oczy i niemal natychmiast, jak mu się zdawało, Regina wróciła, niosąc miednicę, którą postawiła przy nim na stole.

- No to do roboty, milordzie - rzekła, wyjęła z miednicy szmatkę, wykręciła ją, a potem złożyła i umieściła na jego czole. - To by było na dobry początek. A teraz reszta. Pozwoli pan, że podciągnę mu rękawy? I porozpinam u góry koszulę nocną, żeby mogła przemyć panu szyję i pierś.

- Ja... co pani mówi?

- Och, niech pan tak na mnie nie patrzy. Nie mam zamiaru pana zniewolić ani nic takiego. Próbuję po prostu spędzić gorączkę. To nie może tak dłużej trwać, wie pan. Mój ojciec przed kilku laty miał straszliwą gorączkę i mama i ja dniem i nocą pracowałyśmy nad tym, żeby ją spędzić. Tak, widziałam już wcześniej męski tors, milordzie. Przysięgam, że nie będę mdlała ani pana nie wykorzystam.

- Nie jestem pani ojcem, panno Bliss.

- Tak, wiem. On był dużo cierpliwszym pacjentem. A teraz niech pan leży spokojnie i pozwoli mi się wziąć do roboty.

Czy miał jakiś wybór? Nie, nie miał. Z pewnością nie mógł wołać o pomoc, nie mógł wzywać Wadswortha, żeby uratował go przed tą zuchwałą dzierlatką. To by już chyba przekraczało wszelkie granice.

Poza tym było mu przyjemnie. Ten chłód okładu na czole, to, jak trzymała go za dłoń, poklepując po ręce chłodną, moką szmatką.

Otworzył oczy, kiedy zsunęła się niżej na łóżku, podwinęła mu koszulę do kolan,

uniosła stopę i zaczęła przecierać nogę.

- Co... co pani robi?

- Ma pan paskudnego siniaka tu, na kolanie. Gorszego nawet niż te na twarzy, chociaż jeden i drugi chyba już blednie. Zaczyna się pojawiać odrobina karmazynu i prześlicznej odcieniu żółci. Z wielką chęcią poprosiłabym pana, by opowiedział mi, jak się to wszystko stało, ale wolę, żeby pan teraz o tym nie myślał. Proszę tylko leżeć i pozwolić mi spędzać gorączkę. Porozmawiamy, jak nabierze pan sił.

To było szaleństwo! Młoda dziewczyna sam na sam z nim w jego sypialni; do tego leżał odkryty, czuł na ciele dotyk dłoni, które gładziły... koily.

Brady zamknął oczy. Poczuł, że Regina podnosi okład z czoła i w kilka chwil później kładzie go z powrotem; poczuł chłód na rozpalonej skórze. Poczuł, że owija jego zdrową, lewą rękę w drugą zimną ściereczkę, że unosi ją, myje. Jak mógł prosić ją, by przestała, skoro sam nie wiedział, czego pragnie bardziej - chłodnych okładów czy jej delikatnego dotknięcia.

Musiał zasnąć, pewnie mu się to śni. Słyszał głos Reginy, która cicho mu śpiewała, słowa były niezrozumiałe, ale miłe dla ucha.

Słyszał Wadswortha, ale nie mógł otworzyć oczu, powieki zbyt mu ciążyły.

- Bardzo dobrze, panienko - mówił kamerdyner - pozwolę się pani tym zająć.

Usłyszał własne westchnienie ulgi, że Regina nie zostawi go na pastwę kompetentnej, acz mało delikatnej opieki służącego.

Brady zapadł w głębszy sen, z dłonią Reginy w ręce.

A koszmar nie przyszedł. Po raz pierwszy od wielu tygodni koszmar się nie pojawił.

Brady obudził się następnego ranka; zamrugał oczami na powitanie kolejnego dnia pełnego bólu, frustracji, gorączki i jeszcze większego bólu. Tylko że wcale nie czuł gorączki; czuł się po prostu słaby. Słaby jak kocię, ogłupiająco słaby, słaby tak, że doprowadzało go to do szału. A mimo to czuł się lepiej, nie wiadomo jak i skąd, ale zdecydowanie lepiej.

Uniósł głowę na poduszkach i oczy mu się rozszerzyły, kiedy zobaczył Reginę. Przysunęła sobie nocą fotel i spała teraz mocno z głową opartą na materacu, nadal trzymając go za rękę.

Brady popatrzył na nią, przypominając sobie powoli, co się działo, zdumiony faktem, że ona wciąż tam jest, że w ogóle do niego przyszła i że potem została.

Co za śliczne dziecko; ciemnomiedziane loki otaczały aureolą jej głowę w porannym słońcu, które dopełzło już na łóżko; rzęsy miała długie, czarne, policzki kwitły delikatnym rumieńcem róż. Siedemnaście, powiedział Kipp, może dziewiętnaście. Ale pod pewnymi

względami dużo starsza, a pod innymi dużo młodsza.

I taka tajemnicza. Bardziej niż cokolwiek innego pociągała go w niej ta tajemniczość, sekrety, które ukrywała.

Nie mógł obwiniać jej za to, co mu się przydarzyło, ale pewien był, że atak na niego wiąże się jakoś z pytaniami na temat Reginy, które zadawał w Little Woodcote. Tak, ta mała księżniczka miała sekrety, niebezpieczne sekrety, i możliwe, że w równym stopniu potrzebowała jego, jak on jej.

Poruszył się na łóżku, usiłując przeciągnąć się, by rozruszać choć trochę zeszywniałe co rano kolano, a mimo to nie przeszkodzić śpiącej.

- Nie śpi pan.

Nie na wiele przydały się próby, by jej nie przeszkodzić. Regina wyprostowała się w plecach i cicho jęknęła, przyciskając dłoń do kręgosłupa, a potem uśmiechnęła się do niego.

- Teraz boli i pana, i mnie - powiedziała i podniosła się z fotela, nadal nie puszczając jego dłoni. Drugą rękę przycisnęła mu do czoła, do policzków. - Gorączka spadła - oznajmiła radośnie. - Czy jest pan głodny?

Zaskakujące, zdumiewające, ale był.

- Tylko już żadnych więcej rosółków - przestrzegł ją. - Wadsworth niemal utopił mnie w rosole. A ja jestem wielkim wrogiem tonięcia.

- Tak, potrafię sobie to wyobrazić. Ale nie wiedziałam, że woda może być taka twarda. Skąd się wzięły wszystkie pana siniaki i ta złamana ręka?

- Powiedzmy, że poczułem się urażony atakiem trzech mężczyzn i stawiałem opór. Niestety, nie sądzę, by udało mi się spowodować choć jedną czwartą tych uszkodzeń, jakie sam odniosłem.

- Trzech? - Regina odwróciła wzrok i wysunęła dłoń z jego ręki. - No cóż, to raczej nie było sprawiedliwe, prawda? Powiedziano mi tylko, że poskromili pana, zawiązali w worek i wrzucili do Tamizy. Nie zdawałam sobie sprawy, że pana jeszcze pobili. Jeżeli mam powiedzieć prawdę...

- Czy pani to czasem robi? Kiedykolwiek? - przerwał jej Brady i samo wypowiedzenie tych słów pozwoliło mu uświadomić sobie, o ile jest mu lepiej, ile bardziej żywy czuje się tego ranka.

- Sporadycznie - oznajmiła Regina, przewracając oczami, ani trochę nie urażona. - Tak czy owak próbowałam właśnie powiedzieć, że czuję, iż powinnam przeprosić za... no, za to, że się tu wdarłam zeszłej nocy. Zaczynałam wierzyć, że po prostu mnie pan unika. Unika moich pytań.

- A musi ich pani mieć dziesiątki - odrzekł Brady. Uśmiechał się raczej krzywo, ale mimo to z zadowoleniem. - Czy przypuszcza pani, że mogłyby jeszcze trochę zaczekać? Dopóki się nie spionizuję?

- Nienawidzi pan tego poczucia słabości, prawda? Tej bezradności?

- To nie mogło być jedno z pani pytań, mała księżniczko.

- Nie, ale teraz, kiedy już zgodziłam się... a pan wie, że się zgadzam... chwilowo nie nalegać, by ujawnił pan, jakie ma dla mnie plany, cała chmara innych pytań aż kipi w moim wnętrzu. Na przykład, czy pana nos będzie już zawsze tak wyglądał? Oczywiście nie posiniaczony, tylko taki odrobinę wykrzywiony? Mnie się to wydaje bardzo szykowne. W końcu mężczyzna nie powinien być za ładny.

- Szykowny - powtórzył Brady, lekko dotykając nosa. - Czy on aż tak zmienia mój wygląd?

Regina przechyliła głowę na bok, jakby zastanawiała się nad tym pytaniem.

- Tak. I nie. Wciąż jeszcze poznaję pana, ale jest pan nie tak do końca sobą. Przypuszczam, że mógłby pan być własnym bratem. Do tego szykownym - dodała, grożąc mu palcem. - Mówię to serio. Oczywiście nikt pana jeszcze dziś rano nie ogolił, a to również zmienia pana wygląd.

Teraz Brady potarł brodę i pod palcami wyczuł poranną szczecinkę swojego zawsze gęstego, szybko rosnącego zarostu.

- Zmienia mnie, czy tak? Na dobre czy na złe?

Regina potrząsnęła głową.

- Czy naprawdę jest pan taki próżny? Czy też może istnieje jakiś inny powód tych pytań?

- Zostawmy to chwilowo - powiedział Brady, ostrożnie podsuwając się wyżej na poduszkach. - Co najbardziej by mnie zmieniło? Przyszczepiona broda? Wąsy? Dłuższe bokobrody?

- Och, już rozumiem. Lady Willoughby mówiła mi, że na wiosnę zamierza pan zabrać mnie ze sobą do Londynu. A ponieważ pan nie żyje, z pewnością nie może się pan tam pojawić we własnej osobie, prawda? Czy o to chodzi? Pan nie tylko planuje pojechać do Londynu, pan planuje dać się w Londynie widzieć. Czy mam rację?

Brady'ego przed udzielaniem odpowiedzi uratowało pojawienie się Wadswortha; przyniósł on następną srebrną tacę, na której po przykryciu bez wątpienia musiał znajdować się dzbanek słabej herbaty i jakiś wodnisty kleik.

- Jajka, Wadsworth! - zawołał Brady, uznając, że najwyższy czas dochodzić

swoich praw pana we własnym domu. -Jajka na szynce i niewielki pagórek grzanek.

- I żebym później musiał trzymać pana za głowę nad wiadrem, kiedy będzie pan to wszystko zwracał? Nie, sir. Nie pozwolę na to.

Brady już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale uprzedziła go Regina.

- Wadsworth, twój pan wyraził prośbę, którą ty masz uważać za rozkaz. Niech pan zacznie pić jego lordowską mość herbatą, a ja pójde na dół i poproszę kucharkę, by przygotowała porządne śniadanie. A jeżeli ktoś będzie musiał mu podtrzymywać głowę nad wiadrem, to będę ja, ponieważ przyjmuję na siebie pełną odpowiedzialność za wszelkie możliwe reperkusje. Czy zrozumieliśmy się, Wadsworth?

Brady podciągnął do góry przykrycie, chcąc ukryć szeroko uśmiechnięte usta; Wadsworth wyprostował się jak struna i patrzył z wysoka na Reginę, która odpowiadała mu bezceremonialnym spojrzeniem, siedząc po drugiej stronie łóżka.

Nozdrza Wadswortha się rozszerzyły.

Brady zerknął na Reginę.

Jej nozdrza też się rozszerzyły.

Wrócił spojrzeniem do Wadswortha... i ze zdumieniem patrzył, jak kamerdyner zamrugął.

- Bardzo dobrze, panienko - powiedział, postawił tacę i zabrał się do nalewania herbaty do filiżanki.

Regina popatrzyła na Brady'ego, puściła do niego oko i niemal tanecznym krokiem wyszła z pokoju, jakby wygrała długą, od dawna już prowadzoną walkę. Znajac Wadswortha, Brady przypuszczał, że tak właśnie się sprawy miały. Albo może Wadsworth chciał, by ona w to uwierzyła. Zawsze jeszcze była taka możliwość...

Drzwi do sypialni Brady'ego przestały być zamykane na klucz po tym poranku, kiedy Regina nakarmiła go pierwszymi od tygodni kąskami stałego pożywienia. Przy przeżuwanu szynki hrabiego bolały szczęki, ale nie ustawał w wysiłkach, a Regina pokroiła wędlinę na tak drobniutkie kawałeczki, że w końcu udało mu się ją spożyć.

Karmiąc go, Regina nieustannie paplała o tym, co robiła, od kiedy przyjechała do Singleton Chase. Dowiedział się o jej codziennych spacerach, o książkach, które znalazła w bibliotece, o fakcie, że pokojówka imieniem Maude stała się „moją bardzo dobrą przyjaciółką i towarzyszką”.

Wiedział, o co jej chodzi. Mówiła po to, żeby nie pozwolić mu zastanawiać się nad faktem, iż siedzi podparty na łóżku jak jakiś cholerny inwalida, a ona karmi go łyżeczką jak

niemowlaka.

Nigdy nie zdoła w sposób zadowalający wyrazić swojej wdzięczności wobec tego mądrego dziecka.

Jego serdeczne, choć niezbyt sprecyzowane uczucia zbladły jednak w ciągu kilku następnych dni, kiedy Regina całkowicie przejęła rolę opiekunki, i to z wielkim zapałem. A kiedy ściągnęła przykrycie z łóżka i upierała się, że jego lordowska mość powinien codziennie myć się, ubierać i siadać na fotel przynajmniej na kilka godzin, z rozrzewnieniem zaczął wspominać rzeczową opiekę Wadswortha.

Nie chciał. Naprawdę, naprawdę tego nie chciał. Bolało go wszystko, kiedy się ruszał. Czy ona nie wie, że to boli, kiedy się rusza? A może jest ślepa i nie widzi, że Brady ma rękę na temblaku?

Ale kiedy próbował jej na to wszystko zwrócić uwagę, podrzuciła tylko głowę, nazwała go „dzieciakiem” i uprzedziła, że jeżeli nie wezwie lokaja, by ten przyszedł i pomógł mu się ubrać, to ubierze go własnymi rękami.

- Wdzięczność ma swoje granice, pani - oznajmił Brady, przeszywając ją wzrokiem spod w półprzymkniętych powiek.

- Tak, tak, okropnie się boję. Niech pan na mnie popatrzy, cała się trzęsę. No, niechże się pan ruszy. Przejrzę tylko pana garderobę i poszukam czegoś, co będzie panu łatwo włożyć.

- Zechce pani łaskawie trzymać z daleka od mojej garderoby, panno Bliss - ostrzegł ją Brady, a potem spuścił wzrok i ze zdumieniem zobaczył, że wysunął nogi z łóżka i właśnie wstaje, poruszony gniewem albo może pragnieniem, by nie obmacywała jego ubrań, nie niszczyła mu fularów... nie zobaczyła jego niewymownych.

- Acha! - niemal krzyknęła Regina, pokazując na niego palcem, na wypadek gdyby sam nie zauważył, że stoi na własnych dwóch niemal stabilnych nogach. Podbiegła do drzwi garderoby, otworzyła je- na zewnątrz stał lokaj Rogers, trzymając dzbanek wody i brzytwę w pogotowiu. - Zdziałało dokładnie tak, jak się spodziewałam. Może już się pan za niego zabrać, Rogers. Wróćę gdzieś za godzinę. Proszę, niech go pan nie zmęczy.

- Bezczelna psotnica. Wścibska, zdradziecka, nieznośna psotnica.

No i już przez cały zeszyły tydzień ubierał się codziennie i coraz dłużej przesiadywał w fotelu, chociaż wciąż jeszcze nie próbował wchodzić na schody. Zaczęły mu wracać siły, bóle ustępowały, a gorączka chyba opadła na dobre.

Pozostawały tylko koszmary, ale nawet one stawały się coraz rzadsze.

Był dłużnikiem Reginy Bliss. Był jej wielkim dłużnikiem.

Ale nie mógł pozbyć się przekonania, że gdyby nie ona, nigdy by do tego napadu nie doszło. Jeżeli pominąć jego własną ciekawość i to spartaczone dochodzenie w Little Woodcote, winę za całą tragedię, którą ostatnio przeżył, ponosiła po prostu ona.

Myśl ta koła jego zmaltretowaną dumę, chociaż wiedział, że nigdy nie zdoła spojrzeć w lustro i nie zachwiać się w przekonaniu, że jest prawdziwa. To nie ona wysłała go do Little Woodcote. Pojechał tam z własnej, nieprzymuszonej woli.

Polubił ją jednak. Codziennie po południu grywała z nim w szachy i co najmniej dwa razy go pokonała, dowodząc, iż jest niezłym strategiem, który, pogrążając się w myślach, w charakterystyczny, pełen uroku sposób przygryzał dolną wargę.

Zaskoczyła go, cytując Szekspira oraz kilka wierszy ostatniej sztuki Richarda Sheridan, która przed dwoma sezonami weszła na londyńskie sceny.

Poddawał ją próbie, rzucając kilka francuskich zwrotów, a ona odpowiedziała mu bez wahania w tym samym języku.

I zadawała pytania, siadała u jego stóp i zadawała pytania.

Pod koniec tygodnia wiedziała już wszystko o jego dzieciństwie, jego świętej pamięci rodzicach, jego sympatiach i antypatiach, jego nadziejach i marzeniach. Umiała jakoś tak przekrzywiać głowę, obdarzać go niepodzielną uwagą, przynaglać dokładnie we właściwym momencie, dokładnie w taki sposób jak trzeba, że nie przestawał mówić, nie przestawał dzielić się z nią sprawami, którymi nie dzielił się z nikim albo o nich w ogóle od lat nie myślał.

Dopiero kiedy wymykała się na trochę, żeby poczytać Maude albo pospacerować na rześkim, jesiennym powietrzu, i Brady zostawał sam, uświadamiał sobie, że wciąż jeszcze nie wie o niej nic. Nic.

Zrobiło się chłodniej. Regina w końcu poddała się zarówno własnym pragnieniom, jak i pogodzie, i na codzienne spacerunki zakładała popielatą pelerynę i mufkę. Kaptur podszyty był również sobolami i otulona tą całą delikatną puszystością dziewczyna czuła się jak rozpieszczona królewna.

Matka jego lordowskiej mości musiała również być drobna, ponieważ peleryna była tylko odrobinę za długa, akurat na tyle, żeby Regina, spacerując, mogła podbijać ją nogami i patrzeć, jak przed nią wiruje. W tej chwili, nie podnosząc głowy, wracała po własnych śladach przez ogrody i kierowała się do drzwi prowadzących z tarasu do salonu.

Dopiero wspiąwszy się po kilku stopniach na male, ceglano-patio poniosła wzrok i zobaczyła jego lordowską mość; pan domu siedział w fotelu, na ramiona narzuconą miał pelerynę, a nogi otulone niebiesko-zielonym, kraciastym wełnianym pledem.

- Boże drogi, patrzcie państwo! - wykrzyknęła zaskoczona. - Nie tylko na parterze, ale na dodatek na powietrzu. Czy długo już pan tu siedzi?

- Wystarczająco długo, żeby przyglądać się, jak tańczy pani w pelerynie mojej matki - odrzekł, ale wypowiadając te słowa, uśmiechał się, a spojrzenie miał łagodne i ciepłe.

-Właśnie tę najbardziej zawsze lubiła.

Regina podniosła dłoń i pogładziła futrzane oblamowanie kaptura.

- Nie powinnam jej nosić...

- Niech pani nie będzie śmieszna. Zobaczywszy ją, bardzo się ucieszyłem. Ale przypomniała mi o pewnej sprawie. Poleciałem, by uzupełniono pani garderobę, choć tylko w niewielkim stopniu, by mogła pani jakoś przetrwać te kilka miesięcy. Będzie pani potrzebowała dużo więcej strojów, zanim pojedziemy do Londynu. Suknie, pantofelki do tańca, szale, rękawiczki. Amazonka, jeżeli jeździ pani konno. Umie pani jeździć?

- Pod warunkiem, że koń się nie rusza - uśmiechnęła się Regina pod nosem. Wiedziała, że odpowiedź musi być dla niego niezrozumiała, ale nie ulegało kwestii, że odsiedziała swoje na drewnianych koniach, mających słomę zamiast grzywy. Żeglowała również wielokrotnie po wzburzonych morzach na statkach wcale nie wychodzących z portu. Wystarczyło kilka rekwizytów i widownia, skłonna do tego, by wykorzystać własną wyobraźnię.

- A czy chce pani się nauczyć? - zapytał Brady po chwili. - Nie na wiele się przydam jako instruktor, dopóki będę miał rękę w tym stanie, ale mogę znaleźć kogoś, kto udzieli pani lekcji.

Regina potrząsnęła głową.

- Nie, chyba nie, dziękuję panu. Ale...

- Ale? - zapytał Brady, a Regina poczuła, że się czerwieni.

- Chciałabym się nauczyć powozić. Potrafię kierować wozem, ale to byłoby takie cudowne, siedzieć na wysokim koźle, przed sobą mieć ognisty zaprzęg, na rękach rękawiczki do powożenia i może nawet piórko przy kapeluszu.

- A, tak, koniecznie piórko przy kapeluszu. Potrafię zrozumieć, jakie to pociągające. W porządku. Zaczekamy, aż moja ręka będzie w lepszym stanie. Wtedy, jeżeli weźmie pani zakręt zbyt szybko i zrzuci mnie do rowu, będę mógł sobie złamać jakąś nową kość, a nie tę samą, starą.

- Na pewno powoziłabym bardzo dobrze - zapewniła Regina, zadzierając brodę. - A nawet świetnie.

- Przekonany jestem, że tak będzie, mała księżniczko. A teraz może pomogłaby

pani niedołężnemu inwalidzie wstać i wejdziemy do środka, zanim pani sobie nos odmrozi? Wadsworth powiada, że grywa pani na fortepianie, a nawet śpiewa. Może, skoro już zamierzam pozostać na parterze aż do wieczora, zgodzi się pani zaśpiewać mi po kolacji serenadę.

Regina wyciągnęła rękę i pomogła mu wstać. Tak naprawdę nie potrzebował już, by go podtrzymała, ale okazało się, że sprawia mu to przyjemność. Podobał mu się świeży zapach jej włosów, jej skóry. Podobała mu się miękkość ciała, kiedy nalegała, by się na niej oparł. Była mała i drobna, czubkiem głowy sięgała mu tylko do ramienia, ale jeżeli chce go podpierać, z chęcią jej na taką fantazję pozwoli.

- Z radością zagram dla pana, milordzie - powiedziała, przytrzymując przed nim otwarte drzwi. - Za pewną cenę.

- Och, czy aby. A jakaż ona będzie?

- Dziś wieczorem opowie mi pan, po co właściwie potrzebne mi są te suknie, pantofelki i cała reszta. Jeżeli nie, to jutro rano wyjadę do Willoughby Hall. Chyba że jestem tu uwięziona?

- A czy czuje się pani jak w więzieniu, panno Bliss?

Regina przystanąła i podniosła na niego oczy.

- Nie - powiedziała miękko. - Czuję się dokładnie tym, czym pan mnie nazwał. Czuję się jak księżniczka.

Regina zaśpiewała dla Brady'ego. Wiedziała, że jej głos nie jest szczególnie mocny, chociaż czysty i wzruszający. Powiedziała jej o tym matka.

„Mogłabyś zatwardziałego żołnierza do łez doprowadzić, najdroższa” - tak to wyraziła.

Regina zamrugała, chcąc powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu na myśl o matce, i przeszła do następnego utworu, nie wymagającego akompaniamentu głosowego, a potem, kiedy odzyskała już panowanie nad sobą, brawurowo zakończyła recital, wstała z wyściełanego taboretu i popatrzyła na jego lordowską mość.

- Brava, panno Bliss, farava - pochwalił ją Brady. - Proszę mi wybaczyć brak oklasków i uwierzyć na słowo, że komplementy Wadswortha nie były wystarczająco wylewne.

- Dziękuję panu, milordzie - odrzekła Regina, dygając i równocześnie szeroko się uśmiechając. - Wyrazy wdzięczności dla Wadswortha. Żyjemy teraz w doskonałej komitywie.

- Niech pani nie będzie taka z siebie zadowolona. Wadsworth robi wyłącznie to, czego sobie życzy. A ponieważ niedługo będzie sobie życzył, bym wrócił na górę do mojego więzienia, proponuję, byśmy się wzięli do dzieła.

- Ma pan absolutną rację. - Regina usiadła obok Brady'ego na niewielkiej kanapce. Jakie to dziwne, że nie tak dawno myła go, karmiła i wcale jej to nie przeszkadzało. A teraz musiała zebrać się na odwagę, by przy nim usiąść, świadoma aż nadto faktu, że on jest mężczyzną, ona kobietą i że ich kontakty do niczego doprowadzić nie mogą... no, może tylko w jej marzeniach. Jej niemądrych marzeniach. - Na początek chciałby się pan pewnie dowiedzieć, dlaczego zadawanie pytań na mój temat doprowadziło do tego, że został pan pobity i wrzucony do Tamizy. Czy tak?

- Zwięźle to pani ujęła, panno Bliss. Tak, tego właśnie chciałbym się dowiedzieć.

- Nie mam zielonego pojęcia - stwierdziła promiennie Regina i spojrzała mu prosto w oczy, zdając sobie sprawę, że pan hrabia ma zapewne w tej chwili ochotę ją udusić.

Te słowa jakby go sparaliżowały, ale tylko na przeciąg dwóch uderzeń serca; dwóch uderzeń jej serca.

- Jestem dżentelmenem, panno Bliss. Dumny jestem z tego, że jestem

dzentelmenem. A przecież muszę panią nazwać kłamczucha.

Regina wzruszyła ramionami. Tak było lepiej. Potrafiła dużo lepiej radzić sobie i z nim, i ze swoimi myślami podczas pojedynku na słowa.

- No, dobrze już, dobrze. Pomyślałam sobie, że nie zaszkodzi spróbować, ale wyczuwam, że wzbrania się pan stanowczo uznać dochodzenie w Little Woodcote i pana... pana kąpiel za czysty zbieg okoliczności.

Brady popatrzył na nią bacznie.

- Nielatwo panią zbić z tropu, prawda, księżniczko? Czy nie mogłaby pani przynajmniej udawać, że się mnie pani boi? Że chociaż odrobinę panią onieśmiałam?

Regina szeroko się uśmiechnęła. Teraz czuła się już całkowicie swobodnie. Nie wiedziała, dlaczego, ale tak było.

- Widziałam pana kolana, milordzie - przypomniała mu, a potem się roześmiała, bo hrabia się zaczerwienił. Naprawdę się zaczerwienił!

- Panno Bliss, zaczynam tracić cierpliwość.

- Tracić ją? Najpierw, milordzie, musiałby pan ją skądś wziąć. No dobrze. Ale czy nie przyszło panu na myśl, że moja opowieść może pod względem osobistym być równie bolesna jak pańska?

- Nie - odpowiedział Brady po chwili. - Nie, przyznaję ze wstydem, że nie. Za bardzo byłem zajęty rozczulaniem się nad sobą. Panno Bliss, proszę mi wybaczyć.

- A potem wszystko panu opowiedzieć?

Hrabia wyciągnął zdrową rękę i uściskał jej palce.

- Tak. Przykro mi, ale naprawdę muszę się tego dowiedzieć.

Regina zaczerpnęła powietrza, a następnie je wypuściła.

- Bardzo dobrze. Jestem aktorką, milordzie - oznajmiła bez ogródek, ujawniając możliwie dużo prawdy w jak najkrótszych słowach i wiedząc, że część z tej prawdy zachowa na czas, kiedy będzie mu bardziej ufała. Jeżeli kiedyś mu bardziej zaufa. Ponieważ pomiędzy lubieniem kogoś a ufaniem mu była przeogromna różnica. A teraz, kiedy dowiedział się tego, co mu powiedziała, będzie go w stanie lepiej ocenić.

Brady puścił jej dłoń i klepnął się w czoło.

- Oczywiście! Przecież Bram nawet coś takiego mówił. Dlaczego sam na to nie wpadłem? Ta farsa, o której opowiadali mi Kipp i Abby, którą odgrywała pani dla Żeliwnej Gerty, kiedy panią znaleźli. Łatwość, z jaką weszła pani w rolę kalekiego, ślepego dziecka i wyciskała łzy z oczu łagodnej Abby. No i ta wyraźna dykcja i Szekspir; kameleon, który zmienia barwy, żeby dopasować się do każdego miejsca pobytu, każdej nowej sytuacji.

Naprawdę jest pani aktorką!

- Prędzej czy później domyśliłby się pan - pocieszyła go Regina życzliwie. Na razie szło nieźle. Chyba, w przeciwieństwie do wielu innych, nie pogardzał nią za to, że miała taki zawód. A nawet wydawał się zadowolony.

- Może - zgodził się. - Jest pani jednak taka młoda. Nie uwierzyłbym, że może być pani tak znakomita. A przecież początkowe domysły, że była pani czyjąś towarzyszką albo pokojówką jakiejś damy, nie całkiem mi pasowały, również z powodu pani wieku. - Spojrzał spod przymrużonych powiek i pochylił się w jej kierunku z uśmiechem. - A może również i tutaj popełniamy wszyscy pewien błąd, mała księżniczko? Może jest pani staruchą, ma całe dwadzieścia pięć lat i tylko udaje pani młodszą?

- Czy to ma znaczenie? Brady natychmiast spoważniał.

- Nie powinno mieć. Uśmiech Reginy również zniknął.

- Nie, nie powinno, to prawda. Ale i tak panu powiem. Skończę dwadzieścia lat na dzień przed Bożym Narodzeniem. Jestem dorosłą kobietą.

- Dorosłą kobietą? Trudno mi się z tym zgodzić, panno Bliss - zaooponował lekkim tonem, robiąc takie wrażenie, jakby się od niej odsuwał, chociaż nawet nie drgnął. - Ale wracajmy do tematu, jeżeli pani pozwoli. Jest pani aktorką? Z Little Woodcote?

- Trudno mi się z tym zgodzić, milordzie - odrzekła Regina, naśladując jego słowa i ton. - Podróżowaliśmy po całej Anglii. - No, to przynajmniej była prawda. Nie cała prawda, ale chwilowo wystarczy.

- My? Pani trupa?

- Bardzo niewielka trupa - poprawiła go Regina; zalały ją serdeczne wspomnienia, niektóre dobre, niektóre złe. - Urodziłam się na tyłach wozu, którym podróżowali po kraju moi rodzice, zatrzymując się na targach i w małych miasteczkach, żeby przynieść tubylcom kultury kaganiec, jak to ujmował mój ojciec. Było nas wszystkich sześcioro. Dwa wozy.

Ale przez ostatnie trzy lata tylko jeden z nich zatrzymywał się dwa razy do roku w Little Woodcote.

- A pani występowała razem z rodzicami i innymi?

Regina pozbyła się smutnych myśli, odsuwając na później to, czego i tak się uniknąć nie dało.

- Jak rozumiem, debiutowałam w powijakach, grając w dzień po urodzeniu Dzieciątka Jezus. - Opadła na oparcie kanapy i westchnęła. - To było dobre życie.

Otworzyła przed Bradym pewną możliwość, a on natychmiast z niej skorzystał.

- Ale to dobre życie skończyło się w Little Woodcote. Kiedy?

Regina zamknęła oczy, oparła głowę o wysoki zagłówek kanapy i wyszeptała:

- Całe wieki temu. Minęło już wiele miesięcy, to było, zanim trafiłam do Londynu, gdzie znalazła mnie i uratowała Żeliwna Gerta. Widzi pan, umiałam szyć, ponieważ pomagałam przy kostiumach, i potrafiłam malować, bo zawsze pomagałam również przy dekoracjach. Nie było mi trudno robić te laleczki, które sprzedawałyśmy.

Odwróciła głowę, nie unosząc jej, i uśmiechnęła się do Brady'ego.

- I potrafiłam grać. Powinien był pan mnie zobaczyć. Umiem być bardzo przekonującym ulicznikiem. Niech pan spojrzy.

Zeskoczyła z kanapy, lekko się otrząsnęła, a potem powoli opadła w kierunku podłogi; kolana ugięła pod dziwnym kątem, jedno ramię opuściła, drugie uniosła. Jasnoszare oczy skierowała w stronę sufitu, tak że widać było niemal tylko białka, a głowę przechyliła pod niezdarnym kątem.

- Pan kupi lalunie dla swojej pani, szefuniu? - zapytała niezwykle autentyczną, piskliwą gwarą uliczną, wyciągając na ślepo jedną dłoń, jakby trzymała w niej lalki. - Chocia taką malušką?

- Boże - wyszeptał Brady.

Regina wyprostowała się, otrząsnęła znowu i przysiadła obok niego na kanapie.

- Jestem mała, a to pomaga. Ale uwierzyłby mi pan, gdyby mnie pan zobaczył, prawda? Proszę też pamiętać, że Żeliwna Gerta przylepiła mi do twarzy i rąk kilka niezwykle zaropiałych wrzodziańek. Niech pan mi uwierzy, milordzie, w Londynie dużo mniej jest ślepców i kalek, niż się ludziom wydaje.

Brady potrząsnął głową.

- Ale jak? Jak to się stało, że spadła pani na takie dno? Wróćmy znowu do Little Woodcote, dobrze? Ponieważ to tam się wszystko zaczęło, prawda?

Regina przygryzła dolną wargę; chciała uporać się szybko z resztą swojej opowieści - która po części miała być prawdziwa, po części fałszywa i zmyślona, a po części ukryta - i równie szybko skierować znowu uwagę milorda na jego własny problem.

- Pewnej nocy napadli nas złodzieje. Na szczęście, jak się okazało, byłam taka zmęczona, że położyłam się w ubraniu. Obudziłam się, słysząc, jak mój ojciec woła swoim najgroźniejszym, najbardziej donośnym głosem: „Uciekaj, dziecko. Uciekaj co sił”. Nie zrozumiałam, wyjrzałam zza zasłony otaczającej moje łóżko i zobaczyłam, że matka i ojciec wpadli w szpony złoczyńców. Złapaliby mnie, gdyby nie to, że ojciec zaczął... zaczął szaleć, kopać i bić, i poświęcił siebie, żebym mogła wyrwać się na swobodę i uciec do lasu.

- A ich zabili? Całą trupe?

Regina przytaknęła. Teraz trudniej jej było kłamać, ale powinna wyjawic jego lordowskiej mości tyle prawdy, ile koniecznie musial poznać, tyle, ile trzeba, by posluzyl jej pomocą. A moze naprawde wierzyl, ze zostala tu, w Singleton Chase, tylko dlatego, ze wszyscy sie tego po niej spodziewali?

- A pani widziala zabojców?

- Widzialam. Bylo ich trzech. - Otarla lze wierzchem dloni. - A pana zaatakowalo trzech mezczyzn, milordzie. Czy sady pan, ze to ci sami?

- Przekonany jestem, ze to bardziej niz tylko mozliwe. Ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego zamordowano pani rodziców i reszte trupy. Komu mogloby zalezec na mordowaniu wędrownych aktorów? Z pewnoscia nie zamierzali ich obrabowac, jezeli mieliby to byc ci sami mezczyzni, ktorzy napadli na mnie. Tamci ubrani byli jak dzentelmeni.

- Tak.

- Tak? Ci ludzie, ktorych pani widziala? Oni rowniez ubrani byli jak dzentelmeni?

Regina uniosla dlonie i potarla nimi policzki. Musi przerwac teraz albo sie potknie o wlasny jezyk.

- Proszę, nie chce juz wiecej myslec o tym dzis wieczorem. Moich rodziców nie ma. Nie wiem, dlaczego. Naprawde nie wiem. Wiem tylko, ze kazali mi uciekac, i tak zrobilam. Bieglam i bieglam, i bieglam, i nie zatrzymywalam sie, az nie moglam juz dluzej biec. Nie zostalam tam, nie pomoglam...

Brady znowu ujal ja za reke. Bylo jej tak dobrze, czula sie taka bezpieczna, kiedy trzymal ja za reke.

- Nie miala pani wyboru, ksiezniczko. Pani ojciec kazal sie pani ratowac, poswiecil siebie za pania. Tego chcial.

- Wiem - powiedziala Regina, odwrócila wzrok i wyjrzala za okno, w noc. - Wiem.

- A czy ci ludzie pania widzieli?

Regina potrzasnela glowa. Ojciec dopilnowal, by nigdy jej nie zobaczyli przez te wszystkie lata, kiedy jezdzili do Little Woodcote.

- Nie wydaje mi sie. Ja tylko tak jakby zerknalam przez zaslone. Ale w wozie palila sie latarnia, wiec bylo ich widać. Moglam im sie lepiej przyjrzec, ale patrzylam na matke, na ojca. Lecz domyslalam sie, domyslalam sie dosyc dokladnie, kim musi byc jeden z nich. I to dlatego znalazlam sie w Londynie. Zeby go znalezc, tylko ze caly czas musialam

poświęcać na to, żeby przeżyć. Zbudziły się we mnie ogromne nadzieje, kiedy wzięli mnie do siebie wicehrabiostwo Willoughby... ale tak szybko wyjechaliśmy z Londynu. Pojechałam z nimi, jako że miałam niewielki wybór, a wiedziałam, że potrzeba mi pieniędzy... moich poborów, rozumie pan... żeby mogła wrócić do Londynu.

- Rozumiem. I teraz jest pani tutaj ze mną. A uświadomiwszy sobie, że jestem w pełni zdecydowany, by odkryć tożsamość tych trzech mężczyzn, musiała pani ich atak na mnie uznać za coś w rodzaju daru niebios.

- Mam nadzieję, że pan ich wszystkich zabije - powiedziała, zaciskając dłonie w pięści Regina, ogarnięta wściekłym gniewem. - Mam nadzieję, że pan ich zabije i pozwoli mi się przyglądać.

Brady leżał w łóżku. Czuł się znużony, ale zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie, by mógł odpocząć.

W opowieści Reginy ziały dziury, olbrzymie dziury, ale Brady nie chciał jej na razie zwracać na to uwagi, nie teraz, kiedy powierzyła mu przynajmniej część swojej historii.

Nie naciskał nawet, by podała nazwisko mężczyzny, którego podejrzewała, głównie dlatego, że przekonany był, iż sam już je zna. Trupa odwiedziła Little Woodcote. Nie było tam niczego, nawet wystarczającej liczby mieszkańców, by uzasadnić wizytę małej objazdowej trupy.

Zwłaszcza że Regina wspomniała, iż morderstwo miało miejsce wiele miesięcy temu. Wiele miesięcy temu, to znaczy w szczytowym okresie sezonu dla wędrownych aktorów. Zatrzymywaliby się we wsiach targowych, w miasteczkach. A nie zabitych deskami miejscowościach takich jak Little Woodcote.

Nie, trupa Reginy znalazła się tam z jakiegoś innego powodu, nie po to, by grać. Panna Regina Bliss mogła być znakomitą aktorką i naprawdę pomysłowym kłamczuchem, ale tego wieczoru zdradziła ją pewna nerwowość, ponieważ wspomnienia sprawiały jej ból, a ponad wszystkim dominowało poczucie winy, że zostawiła rodziców, i te dwie emocje przez chwilę były silniejsze niż pragnienie, by ukryć przed nim część prawdy.

Dlaczego? Dlaczego, jeżeli wiedziała już, że może liczyć na jego pomoc - pomógłby co prawda z własnych, egoistycznych powodów, ale jednak - dlaczego miałaby dalej kłamać, starannie omijać tę część prawdy, którą uznała za konieczne ukrywać?

Czym jeszcze zajmowali się jej rodzice, poza objeżdżaniem kraju i niesieniem na prowincję kagańca kultury?

Wojna się skończyła; szpiedzy nie byli już potrzebni.

Przemytnicy? Mogli być przemytnikami, tak przypuszczał, przemytnicy istnieli zawsze, tak samo jak kupcy na towary przemycane przez kanał z Francji. Nie byłoby niczym trudnym dla trupy zatrzymywać się w miastach portowych, ukrywać francuskie jedwabie i brandy w swoich wozach, potem dostarczać je chętnym nabywcom w czasie corocznego objazdu południowej Anglii.

Było to możliwe, ale mało dochodowe, jeżeli brały w tym udział tylko dwa wozy.

Chyba że to, co szmuglowali, co rozwozili po kraju, miało niewielką objętość. Co jest małe, ale cenne? Diamenty? Klejnoty? Sekrety?

Sekrety. Wszyscy mieli jakieś sekrety. Wszyscy. Brady wiedział to i znalazł sobie taką potrzebę, żeby odkryć jak największą ich ilość. Ale nigdy nie wykorzystywał sekretów, które odkrył, dla korzyści osobistych.

Czy rodzice Reginy igrali cudzymi sekretami? Przehandlowywali je za pieniądze, za mieszki złota obiecywali je chronić, żeby nie wyszły na jaw?

Regina musiała to wiedzieć. Ale mu tego nie powie. Oznaczałoby to zdradę rodziców, zmarłych rodziców. Niemniej jednak na pewno wiedziała. Musiała wiedzieć.

Czy miał rację? Niewykluczone. Nic dziwnego, że kłamała.

Wadsworth wszedł do pokoju i na palcach zbliżył się do łóżka.

- Milordzie, powinien pan spać. Jeżeli będzie się pan forsował tak, jak się to zdarzyło dzisiaj, znowu wszystko zacznie się od początku. Będzie pan chory, rozgorączkowany, słaby jak szczeniak, i stanie się pan ponownie przekleństwem mojej egzystencji. Spodziewałbym się po panu większej troskliwości, milordzie, naprawdę.

- Czy to dlatego pozwoliłeś pannie Bliss, by siedziała ze mną tamtej pierwszej nocy, Wadsworth? - zapytał Brady, podnosząc oczy na kamerdynera, który spoglądał na niego, marszcząc brwi. - Została teraz już ostatecznie skompromitowana, rozumiesz to chyba.

- Jest powszechnie znanym faktem, że dżentelmen nie może skompromitować służącej ani aktorki, milordzie - przypomniał mu Wadsworth; Brady przekazał kamerdynerowi, czego dowiedział się o Reginie, kiedy ten pomagał mu się położyć.

Hrabia poczuł ukłucie gniewu, ale wzbraniał się rozważać, skąd się coś takiego wzięło.

- Czy tak ją widzisz? Jako służącą? Aktorkę?

- Dostrzegam w niej różne rzeczy, milordzie. A w tej akurat chwili widzę w niej ratunek dla siebie. Mam co innego do roboty, niż obsługiwać niechętnego do współpracy pacjenta. A teraz, gdyby zechciał pan zażyć to lekarstwo, będę mógł wrócić do łóżka i dać odpocząć moim obolałym kościom. Postarzałem się przez te tygodnie, kiedy tu z panem

opałem. Tęsknię za własnym łóżkiem.

- Istnieję tylko po to, by sprawiać przyjemność tobie i twoim obolałym kościom, Wadsworth. Jutro zapoznam pannę Bliss z moimi planami, a przynajmniej z większą ich częścią. Sądzę, że chętnie mnie wysłucha. Bardziej niż chętnie. Niewiele będzie trzeba pracy, by mogła uchodzić za moją podopieczną. Ta mała księżniczka mówi nawet po francusku.

- Moje gratulacje dla pana, sir, i dla małej księżniczki - rzekł Wadsworth, odmierzając łyżeczką jakąś obrzydliwą ciecz do poł szklanki wody, a potem zatykając korkiem ciemną buteleczkę i stawiając ją na stole. - Ma pan bardzo wiele szczęścia. Panna Bliss mogłaby przecież okazać się handlarką ryb.

- Daj jej troszkę czasu, a pewnie zdoła cię przekonać, że tak właśnie się rzeczy mają - powiedział Brady rozbawiony. Wypił wodę, potem zmarszczył brwi, uświadamiając sobie, co właśnie zrobił. - Co ty mi dałeś?

- Laudanum, sir. Pomoże panu zasnąć.

- Nie rób tego więcej, Wadsworth - polecił Brady spięty. -Potrzebne mi są wszystkie władze umysłowe.

- A te koszmary, sir? Czy one też są panu potrzebne?

- Pozbędę się ich już niedługo, Wadsworth. Kiedy wyzdrowieję, kiedy znajdę się w Londynie i zacznę tropić tych trzech ludzi. Wtedy koszmary znikną.

- Tak, milordzie - zgodził się Wadsworth, odwrócił się od łóżka, ale zaraz przystanął, zawahał się i znowu spojrzął na swego pana. - Ja... chciałem panu powiedzieć... to jest, jestem z pana rodziną od czasów, kiedy pan założył pierwsze spodnie, milordzie.

- Wiem. Coś jeszcze? Waham się, czy zwracać ci na to uwagę, ale wspominałeś, że powinienem odpocząć.

- Tak, milordzie, jest coś jeszcze, a potem może obydwaj będziemy mogli odpocząć. Patrzyłem, jak pan dorasta, znosiłem pana psoty, raz czy dwa nawet skłamałem, by chronić pana przed gniewem matki, przed rozczarowaniem ojca. Rzadki urwis był z pana, milordzie, rzadki urwis. Nigdy nie był pan złośliwy, ale zawsze swawolny, zawsze był pan radością dla milorda i jego słodkiej pani. I nigdy nie okazał mi pan niczego poza życzliwością. Próbuję właśnie powiedzieć... chodzi mi o to, że... że czuję do pana pewną sympatię, sir. Tamtej nocy, kiedy pojawił się pan przy drzwiach, a dorożkarz ledwo był pana w stanie podtrzymać, i zobaczyłem pana... jak pan... Sir, nie chciałbym widzieć, że znowu naraża się pan na niebezpieczeństwo.

- Dziękuję ci, Wadsworth - szepnął Brady, zdumiony i spokorniały. - Obiecuję, że będę bardzo uważał.

- To dobrze... dobrze. Pomyślałem tylko, że o tym napomknę. Dobranoc, milordzie. Niech pan śpi dobrze.

- Ty również. Dobranoc, Wadsworth - odpowiedział Brady, spoglądając na oddalającego się kamerdynera, który plecy miał proste, jakby kij połknął, krok pewny. Drzwi się zamknęły. - A niech mnie cholera... - mruknął, uśmiechając się w ciemnościach.

- Gawain Caradoc? A cóż to za nazwisko?

Brady siedział za biurkiem w swoim prywatnym gabinecie i z rozbawieniem patrzył, jak oczy Reginy rozszerzają się, kiedy powtarzała nazwisko, które jej właśnie podał.

- Nie mam zielonego pojęcia. Wymyśliłem je. Gawain Caradoc, dwunasty hrabia Singleton. Powiedziałbym, że brzmi dźwięcznie, czyż nie?

- Raczej wrzaskliwie, moim zdaniem. - Regina wzruszyła ramionami, pochyliła się do przodu w fotelu i oparła łokciami o biurko. - A jak ja mam się nazywać?

- Czy Regina Bliss to pani prawdziwe nazwisko? Regina odchyliła się do tyłu i potrząsnęła głową.

- A jak pan sądzi?

- Myślę, że lepiej go nie tykać, ot, co myślę. Czy mam rację?

- A ja myślę, że wcale mi się nie podoba to, jak się pan robi taki zadowolony z siebie, ot, co myślę - poinformowała go, krzyżując ręce na piersiach. - Mogłam podać jasnie pani prawdziwe nazwisko.

- Wątpię, czy by się to pani udało. Nie urodziła się pani do tego, by mówić prawdę, charakter pani na to nie pozwala, panno Bliss. Postanowiłem uznać to za wadę, związaną z obranym przez panią zawodem. Graniem ról i tak dalej. A czy sądzi pani, że uda się pani odegrać rolę podopiecznej Gawaina Caradoca?

Regina pochyliła głowę i przemyślała to sobie. Miała zostać przedstawiona towarzystwu jako podopieczna nowego hrabiego, człowieka, który dopiero co wrócił po latach spędzonych na kontynencie, dalekiego kuzyna, który nigdy wcześniej nie widział Londynu. Chodzić na bale, tańczyć, być zapraszaną na herbatki, bywać w teatrze...

- Mogłabym to zrobić - powiedziała w końcu, unosząc głowę i patrząc na Brady'ego spokojnie. - Ale czy ryzyko nie byłoby mniejsze, gdybym została pana paziem albo może lokajem? Raz czy dwa grałam rolę Romea, wie pan, i umiem fanfaronować w męskim ubraniu.

- Mężczyźni nie fanfaronują, panno Bliss. I nie zgodzę się, by podawała się pani za mojego pazię czy lokaja. Po pierwsze, jest pani za niska, i tylko ostatni tępak nie

rozpoznałby w pani kobiety. Moja podopieczna, panno Bliss. Zostanie pani moją podopieczną. Jedynie bywając w towarzystwie będzie miała pani okazję przyglądać się twarzom i może przypomni pani sobie jedną... dwie... albo nawet trzy. Poza tym, gdyby pani podróżowała ze mną w roli służącego, nie mógłbym mieć pani na oku, a przekonany jestem, że będę czuł i się bardziej bezpiecznie, jeżeli będę panią widział.

- Och, bardzo dobrze - zgodziła się Regina niewesoło. - Ale przekonana jestem, że powinniśmy zmienić nieco bardziej moje nazwisko. Strzeżonego pan Bóg strzeże, rozumie pan.

- Bliss za bardzo przypomina pani prawdziwe nazwisko? Naprawdę? A może poda mi pani swoje prawdziwe nazwisko i pozwoli, bym ja to osądził?

- A może podam panu nazwisko człowieka, o którego, jak sędzę, nam chodzi?

- George Kenward, hrabia na Allerton - palnął bez namysłu Brady. - Aileron leży w bliskim sąsiedztwie Little Woodcote. Och, niech pani nie robi tak zdumionej miny, panno Bliss. Miałem w ciągu minionych tygodni aż nadto czasu, by sprawę przemyśleć. No i jak, mam rację?

Regina kiwnęła głową.

- Nie jestem całkiem pewna. Ale myślę, że to musi być on. Tak naprawdę, to za dobrze żadnego z nich nie widziałam. Kiedy przyszedł ranek, ośmieliłam się zakraść z powrotem tam, gdzie założyliśmy wcześniej obozowisko, ale niczego już nie znalazłam. Niczego. Po śladach wozu trafiłam do dworu w Allerton. Bramy były zamknięte, więc nie mogłam się dostać do środka, a potem wyszło słońce, zaczęli kręcić się ludzie... i znowu uciekłam.

- Niczego innego nie mogła pani zrobić, księżniczko - pocieszył ją Brady. Potem westchnął. - Umie pani rozpraszać moją uwagę, prawda? Zmusza mnie pani do tego, żeby mi było jej żal, żebym jej współczuł. W porządku, nie będę już więcej nalegał. Niech pani sobie wybierze nazwisko.

- Felicity - powiedziała, nie ociągając się, Regina. - Angielskie „bliss” i francuskie „felicite” oznaczają to samo, „szczęśliwość”. Regina Felicity. Tak, to brzmi doskonale. Romantycznie, prawda?

- Okropnie - stwierdził stanowczo Brady.

- O? Czyżby? A ten Gawain Caradoc to ma być niby coś pięknego? Sama potoczność? Coś mi się zdaje, że nie, sir!

Brady podniósł do góry ręce, sygnalizując, że się poddaje.

- W porządku, w porządku. Mamy ważniejsze rzeczy do omówienia. Proszę mi,

na przykład, powiedzieć coś o mojej twarzy. Czy sam nos wystarczy, czy może powinniśmy omówić jakieś brody i wąsiska?

- Zawsze wracamy prosto do pana, milordzie. Jakież to niezaskakujące - rzekła Regina, ale mówiąc to, uśmiechała się. Musi być na tyle do siebie podobny, żeby mógł uchodzić za własnego kuzyna, ale nie tak bardzo, by wzbudziło to czyjąś ciekawość. - Gdyby tak pan sobie tylko zapuścił włosy? - podsunęła, myśląc, że wstyd byłoby zakrywać takie przystojne oblicze brodą. - Widziałam francuskie rysunki.

- Obawiam się, że musiały to być stare rysunki. Długie do ramion włosy wyszły już w mody.

- No to dzięki panu staną się znowu modne, milordzie -oznajmiła Regina. Miała wrażenie, że bez reszty wciągnęły ją emocje związane z planami Brady'ego. - Nie może się pan pokazać w towarzystwie, zmieniawszy wyłącznie nazwisko. Musi się pan od siebie różnić. Być swoim absolutnym przeciwieństwem, jeżeli chce pan naprawdę wszystkich nabrać.

Brady zmarszczył brwi.

- Zgodnie z moim planem miałem być mroczny i posepny. Ten nos, rozumie pani. Rogers twierdzi, że wyglądam teraz na jeszcze bardziej bezwzględniejszego niż wcześniej.

Regina potrząsnęła głową, wstała i zaczęła spacerować.

- Nie, nie. To do niczego. Jeżeli będzie pan mroczny i posepny, to co prawda ściągnie pan na siebie uwagę, ale całkiem niewłaściwego rodzaju, zwłaszcza kiedy zacznie pan zadawać pytania o swego świętej pamięci kuzyna. Musi pan być...nieszkodliwy. - Okręciła się jak fryga i pokazała na niego palcem. - To jest to! Musi pan być nieszkodliwy!

Brady oparł się zdrowym łokciem na poręczu fotela i opuścił brodę na dłoń, delektując się widokiem Reginy, która perorowała, najwyraźniej w przypływie weny twórczej. A Regina wiedziała dobrze, dlaczego. Nikt nie będzie mógł go oskarżać, że zmusił ją do tego oszustwa, że zrobił z niej współnika wbrew woli, jeżeli okazywała tyle zapału przy współpracy.

- Proszę mówić dalej.

- Nieszkodliwy - powtórzyła raz jeszcze. - Taki, który wtapia się w tło. Nie zapisuje się nikomu w pamięci, wcale niegroźny. Chociaż nie! - wykrzyknęła i wysunęła rękę, jakby wymazywała z myśli wcześniejszy pomysł. - Nigdy się pan niczego nie dowie, jak będzie pan fajtłapą, kryjącym się za filarami, nieśmiałym i niczym się nie wyróżniającym, Musi się pan rzucać w oczy! Dać się zauważać! A przecież nie mogą pana traktować poważnie. Tak, tak! To jest to. Zdecydowanie.

Brady szeroko się uśmiechnął.

- Czy pani w ogóle siebie słucha? Mówi pani coś bez ładu i składu.

Regina zbyła go machnięciem ręki, bo nie skończyła się jeszcze zastanawiać, a pomysły po prostu kłębiły się jej w głowie.

- Mam! - powiedziała w końcu, podchodząc do biurka i przyciskając dłonie na płask do blatu. - Musi pan zrobić z siebie fircyka. Dandysa. Zwariowanego na punkcie strojów, tuptającego chwiejnie na wysokich czerwonych obcasach, wymachującego koronkową chusteczką, zażywającego tabakę. Piszącego okropne wierszydła i recytującego je publicznie, jeśli ktoś wykaże choćby cień zainteresowania. Wszystko to bez wyjątku. Dokładnie tak, jak każdy fircyk i dandys w farsach; musiał pan widzieć jakieś farsy w Covent Garden. Dokładnie tak, milordzie. Musi stać się pan taki niemądry, że aż się powiedzieć nie da.

- Wolałbym wskoczyć z powrotem do Tamizy z cegłą przywiązaną do szyi - oznajmił Brady, a szczęki mu się zacisnęły.

Regina pohamowała irytację.

- Ale czy pan nie rozumie? To doskonały pomysł. Był pan na kontynencie. Podróżował pan, unikając wojny, popijając wino, tańcząc i romansując po całej Europie, trwoniąc lata. A teraz los się do pana uśmiechnął i został pan nowym hrabią. Nie posiada się pan ze zdumienia. Nie posiada się pan z radości. Jest pan zachwycony! - Pochyliła się bliżej, przymrużając oczy. - Czy umie pan chichotać?

- Chichotać? - Brady'ego podniosło na fotelu. - Z całą pewnością nie.

Regina cofnęła się i skrzyżowała ręce pod biustem.

- Nic nie szkodzi. Nauczę pana.

- Nie sądzę - rzekł Brady, dźwigając się z fotela. - Mroczny i posepny, panno Bliss. Postanowiłem. I wąsaty.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Niefrasobliwy i niemądry, a nawet głupawy. Taki, którego nie obchodzi nic poza dobrym losem, który się do niego uśmiechnął, i który cieszy się sezonem do wypęku. I z włosami do ramion.

- Nigdy - uciął Brady, odwracając się do okna. - Wolałbym umrzeć.

- Nie, milordzie, nie wolałby pan - sprostowała Regina, która w tej chwili zdecydowanie spoważniała. - Ale proszę pamiętać. Ci mężczyźni, których szukamy, mają już za sobą zabójstwa. Nie będą się wzdrali przed tym, by zabić ponownie. - Podeszła do Brady'ego, położyła dłonie na jego zdrowej ręce. - Proszę, niech pan pamięta jeszcze o jednym, milordzie. To ja jestem aktorką, to ja wiem, jaką moc niesie ze sobą dobrze zagrana rola, jakie wrażenie na publiczności wywiera podniesiona brew, opuszczona dłoń... a także

chichot. Wiem, o czym mówię, i będę umiała pana nauczyć.

- Definitywnie? - zapytał Brady, odwracając się, by na nią popatrzeć, przekonany już, że go dopadła.

- Definitywnie, milordzie.

- Będę się czuł jak konkursowy idiota, a wszystko odbędzie się na oczach Brama i Sophie. Nigdy nie przestanę ze mnie żartować i drwić. Wolałbym... nie, nie powinienem tego jeszcze raz powtarzać, prawda? Och... bardzo dobrze. Jeżeli jest pani pewna. Firecyk. Dobry Boże, firecyk. - Potrząsnął głową. - Ale żadnych chichotów. Absolutnie nie pozwolę na chichoty.

- Tak, milordzie - zgodziła się Regina; zadowolona ze zwycięstwa mogła sobie pozwolić na pokorę. - Zaczniemy naukę od dzisiejszego popołudnia. Miejmy tylko nadzieję, że okaże się pan równie dobrym uczniem, jak ja nauczycielką.

- Wie pani, księżniczko, naprawdę powinna pani spróbować bardziej wierzyć w siebie. Jest pani ciut za skromna.

Regina zachichotała.

6

Minęło sześć tygodni. Brady stał na środku pokoju i potrząsał głową, spoglądając na swoje odbicie w lustrze.

- Jedwabie. Fioletowe jedwabie.

- Haftowane fioletowe jedwabie - poprawiła go Regina, siadając w pobliżu na fotelu i popijając herbatę. - Ale mnie najbardziej podobają się guziki. Czy sądzi pan, że ktokolwiek uwierzy, że to naprawdę są ametysty?

- Naprawdę należałoby raczej zapytać, księżniczko - powiedział uszczypliwie Brady - czy mnie to obchodzi?

- Zechce pan zwrócić uwagę, milordzie, że podszewka jest również jedwabna, ale biała, by pasowała do... proszę panią o wybaczenie... do pana spodni, milordzie. Kamizelka, choć również biała, pokryta została specjalnym haftem, pasującym do obszycia surduta. Trzy dziewczyny, zgodnie z moim poleceniem, mozoliły się nad pana ubraniem przez cały tydzień.

- A rezultat jest cudowny, panie Watkins - pochwaliła go Regina, kiedy Brady okręcił się i skrzywił, zobaczywszy przez ramię swój widok od tyłu. Brakowało mu tylko wetkniętego za ucho bukiecika, żeby zakasował każdego prowadzonego na wiejski jarmark wieprza, którego wcześniej właściciel pięknie przyozdobił.

- Czy te złote klamerki przy butach są konieczne? - zapytał. - Strasznie to odpustowo wygląda.

Regina się roześmiała.

- Najdroższy kuzynie Gawainie, przy tych fioletach i haftach pewnie nikt na klamerki nie zwróci najmniejszej uwagi. A jak się panu podoba fular? I czy kołnierzyk nie jest przez ten fular zbyt wysoki?

- Gdyby był odrobinę wyższy, to kręcąc głową poobcinałbym sobie uszy... jeżeli w ogóle mógłbym kręcić głową, a nie mozę. Co jeszcze? Na pewno jest coś jeszcze.

- Tak, milordzie, cały czas poświęcałem wyłącznie na spełnianie pańskich życzeń, od chwili, kiedy w zeszłym tygodniu otrzymałem pana list. I, jeśli pan pozwoli, to powiem, że czuję się zachwycony, zastając pana w dobrym zdrowiu, jak również zaszczycony tym, że obdarzył mnie pan swoim zaufaniem.

- Jest pan moim krawcem od lat, Watkins - powiedział mu Brady. - Nie miałem wątpliwości, że mogę panu zaufać, a chociaż może pan o tym nie wiedzieć, jedno z pana

mniej egzotycznych, a przecież jedynych w swoim rodzaju dzieł pomogło mi uratować życie. Na dodatek miał pan już moją miarę, co całą sprawę ułatwiało. Co powiedział pan swoim pracownikom?

- Ze dostałem polecenie, by ubrać nowego hrabiego Singleton, milordzie, i stosować się ściśle do instrukcji, odnoszących się do materiałów, jak również... kroju. Przyznaję, że czuję się zdumiony, milordzie. Te ubrania bardzo są niezwykle. Weźmy lorda Cummingsa, on autentycznie świata nie widzi poza jedwabiami i jaskrawymi kolorami, podobnie jest w przypadku wielu innych moich klientów, niemniej jednak przekonany jestem, że przygotowując pana nowe stroje, przeszedłem sam siebie, milordzie. Będzie pan sensacją Mayfair w nadchodzącym sezonie.

- Będę pośmiewiskiem Mayfair, chciał pan powiedzieć - burknął Brady, starając się bez większego powodzenia pozbyć obcisłego surduta. Nie nosił już od dwóch tygodni ręki na temblaku, ale nadal czuł się sztywny i obolały. - Jestem pewien, że nie musimy się już umawiać, Watkins, niewątpliwie wszystko będzie pasowało. Może teraz popatrzylibyśmy na nowe suknie panny Felicity? Mieliśmy wielkie szczęście, że pana siostra jest krawcową. Przyjechała tu razem z panem, jak rozumiem?

- Tak, milordzie. Bessie... to jest, chciałem powiedzieć Madame Elizabeth... oczekuje z przymiarką na pannę Felicity w jej pokoju.

Brady popatrzył na Reginę, która wciąż popijała herbatę.

- No jak? Nie jest pani ciekawa swoich nowych strojów?

Regina odstawiła filiżankę.

- Nie chciałam, by wyglądało na to, że nadmiernie mi na nich zależy, milordzie. Damom to nie przystoi. Jeżeli jednak mam pana pozwolenie, by oddalić się do moich pokoi...

- Och, niechże pani już idzie, na miłość boską - prychnął Brady i w chwilę później Regina zniknęła z fotela i prawie biegiem wypadła z pokoju. - Jej stroje będą odpowiednie dla takiej młodziutkiej podopiecznej, Watkins? Nic nadmiernie modnego, rozumie pan.

- Na pewno pana nie przyćmi, milordzie - zapewnił go Watkins, podając następny surdut, tym razem z niebieskiego jedwabiu w odcieniu jasnego błękitu.

- To nie jest to, co ja... diabli nadali, Watkins, czy ma pan choć jedną normalną rzecz w tym wielkim kufrze, który pan przywiózł ze sobą?

- Nie wydaje mi się, milordzie.

- Nie - pokiwał głową Brady, przyglądając się niebieskiemu surdutowi. - Mnie również się tak nie wydaje.

Regina do kolacji założyła prostą, bładożółtą suknię z wydekoltowanym stanikiem i długimi rękawami. Weszła do salonu, gdzie czekał na nią jego lordowska mość, i przytrzymując z boków spódnicę okręciła się przed nimi, a potem upadła w głębokim ukłonie.

- Milordzie, jakże miło pana znowu zobaczyć.

Brady poczuł nagłą chęć, by zerwać z okna którąś z zasłon i przykryć nią piersi Reginy. Diabli nadali Watkinsa i tę jego cholerną siostrę Bessie! Czy oni oboje uważają, że „wedle francuskiej mody” oznacza również „na golasa”? I gdzie, do jasnej ciasnej, Regina ukrywała te piersi, kiedy z takim powodzeniem odgrywała ulicznika?

Nie uchodzi się nad tym zastanawiać. Podobnie jak nie uchodzi zastanawiać się nad jej wyglądem. Nie ośmieli się nad nim zastanawiać, ale to będzie trudne, bo nie może od niej oderwać wzroku.

No dobrze, więc będzie patrzył, ale za nic nie wolno mu dotykać, jeżeli chce wytrzymać sam ze sobą, kiedy ta błaha przygoda się skończy, Reginie Bliss wolno będzie odjechać, a jemu - wrócić do takiego życia jak dawniej. Tego przecież chciał: zemścić się, a potem wrócić do swego starego życia.

Oczywiście, że tego chciał. Jakby mógłby w ogóle chcieć czegokolwiek innego?

Brady nakazał sobie opanowanie, potem podszedł do Reginy, wyciągnął rękę, a ona, podnosząc się, położyła na niej dłoń. Pochylił się, zatrzymując usta zaledwie o cal nad jej skórą, a potem się cofnął, nie puszczając palców dziewczyny.

- Wspaniale - powiedział, patrząc w przestrzeń gdzieś nad jej lewym uchem. - Absolutna doskonałość. Ale muszę panią o coś zapytać. Czy wszystkie są takie... hmmm... śliczne?

- Och, nie - zaprzeczyła Regina, wyglądając spódnicę i dotykając czubeczkami palców tego cholernego dekoltu. - Co jedna to lepsza. Ale większość nadaje się zdecydowanie tylko na sezon, rozumie pan. Lżejsze muśliny i trochę jedwabiu. - Tu oczy jej zapłonęły radością. - A suknie balowe! Madame Elizabeth mówiła, że chce, by wszystko wyglądało tak, jakby przyjechało prosto z kontynentu, na pańskie zamówienie. Odmienne, lecz nie nadto śmiałe, chyba tak to określiła, chociaż przyznam się panu, milordzie, że trwało to trochę, zanim przekonała mnie, iż te dekolty nie są przesadnie głębokie.

Brady przygryzł policzek od środka.

- Co też pani powie! Dziwne, jak mogła pani coś takiego pomyśleć. Ale teraz jest pani już przekonana, że dekolty są w porządku?

- O, tak. Madame Elizabeth zarzekała się, że zapoczątkuję nową modę, a ona na

dodatek zbije na tym fortunę, bo obiecałam zamówić u niej następne suknie, kiedy będziemy w Londynie, a potem opowiedzieć wszystkim, że to ona mnie ubiera. Czy to nie jest miłe? Milordzie, będzie pan zdumiony, jak zobaczy pan moją garderobę.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - oznajmił Brady i z namaszczeniem zaczął informować ją, że te dekolty... po prostu są całkowicie nieodpowiednie. - Panno Bliss, chyba się na to nie zdobędę. Wygląda pani imponująco, naprawdę, i nie odczuwam najmniejszego niepokoju na myśl, jak pani odegra swoją rolę, ale jeśli chodzi...

- Nie cierpi pan swoich nowych ubrań - przerwała mu Regina, kiwając ze zrozumieniem głową. - Widziałam przecież, że nie ucieszył się pan zbytnio z dzieł pana Watkina. Ale to konieczne. Sama z trudem pana rozpoznałam. Włosy szybko panu odrastają, i dobrze, bo kiedy wreszcie zechce pan zabrać się za naukę i opanuje materiał, jestem pewna, że nawet najlepszy przyjaciel pana nie pozna.

Jej wypowiedź chwilowo rozproszyła uwagę Brady'ego.

- Poznać mnie? Za bardzo będzie zajęty tarzaniem się po podłodze, łapaniem się za boki i pękaniem ze śmiechu, żeby mi się chociaż odkłonić.

- Ale pana przyjaciele będą wiedzieli, że nie bez powodu pan odgrywa tę komedię - przypomniała mu Regina. - A co Wadsworth mówi o pana nowych strojach? I Rogers?

Brady podszedł do stolika z alkoholem, nalał sobie kieliszek wina i z uśmiechem podniósł do góry karafkę z ratafią, na co Regina wykrzywiła się: już wcześniej powiedziała mu, że to obrzydlistwo. Brady się z tego ucieszył. Mogła mieć biust, którym nawet świętego skusiłaby do grzechu, ale nie przestała być Reginal. Musi pamiętać, że nadal jest Reginal. Niczym więcej, tylko Reginal. A jej cnota jest całkowicie bezpieczna, jak w banku, dokładnie tak, jak obiecał Kippowi.

- Wadsworth, mój zacny i lojalny sługa, powiedział mi, że wyglądam jak pajac - odezwał się swobodnie, wychylając kieliszek. - A Rogersa zostawiłem w garderobie, gdzie zalewał się łzami. Sądzę, że nic więcej mówić nie muszę, prawda?

- Prawda. Rozumiem, że zrobiliśmy dobrą robotę. Ale teraz musimy się wziąć do pracy. Już wystarczająco długo pan to odwlekał. Czas, żeby nauczył się pan być fircykiem na serio. Ubrania pomogą, jestem o tym przekonana, ale jeżeli nie zaangażuje się pan całym sercem w lekcje, to obawiam się, że po niedługim czasie zdemaskują nas jako oszustów, którymi przecież jesteśmy.

Myśl o intensyfikacji prowadzonego codziennie przez Reginal szkolenia w połączeniu

z zupełnie nową reakcją na jej wygląd spowodowały, że Brady natychmiast wycofał się na pozycję obronną.

- Boże Narodzenie będzie dopiero za jakiś czas, panno Bliss. Nie musimy się jeszcze spieszyć. Do Londynu przeniesiemy się dopiero w kwietniu.

Regina przysiadła na jednej z kanapek i spojrzała na niego poprzez rzęsy z podobnie doskonałym skutkiem, jak w przypadku księżnej Selbourne. Ta kokietka na pewno obserwowała Sophie, a teraz ją naśladowała. Boże, czy cały świat sprzysiął się przeciw niemu?

- Boi się pan - powiedziała, a potem się uśmiechnęła.

Stwierdzenie to wstrząsnęło Bradym, uspokoił się dopiero wtedy, kiedy uświadomił sobie, że Regina nie umie czytać w myślach. Nie wiedziała, co Brady czuje, mogła tylko przypuszczać.

- Boję się? Boję się! A czegoż to, panno Bliss? Londynu? Czy może zdemaskowania Allertona i jego kompanów?

- Nie, milordzie, nie tego. Boi się pan pokazać publicznie jako ktoś gorszy niż Brady James. Boi się pan, że stanie się pośmiewiskiem, że narazi się pan na śmieszność. A przecież z tym właśnie musi się pan pogodzić, jeżeli pana plany mają przynieść sukces.

- Ma się tę swoją dumę - mruknął Brady, odwracając się i pociągając wino. Musi się wziąć znowu w karby, przestać przyglądać się Reginie, przestać myśleć o niej jak o godnej pożądania kobiecie.

- Tak, ma pan swoją dumę, milordzie - zgodziła się Regina. - I ma pan swoje życie. Ile jest dla pana warte dowiedzenie się, kto chciał panu odebrać i jedno, i drugie?

Brady znowu odwrócił się i zapatrzył na Reginę. Gapił się na nią przez długą chwilę. No, tak już lepiej. Trudno snuć romantyczne marzenia na temat kobiety, którą nagle ma się wielką ochotę udusić.

- Dokładnie pani wie, w które miejsce wbić nóż, prawda, panno Bliss? - powiedział zimno. - Czy można wiedzieć, jak doszła pani do tego wniosku?

- Słyszałam o pana koszmarach, milordzie - odrzekła spokojnie Regina. - Ja również je miewam. Są noce, kiedy biegnę, biegnę, wołam moich rodziców. Są sami, bezradni i potrzebują mojej pomocy. A ja nie mogę ich znaleźć. Boję się ich znaleźć, boję się tego, co zobaczę, kiedy ich znajdę. Budzę się, nienawidząc siebie za własną słabość, nienawidząc siebie za to, że ich opuściłam.

Podniosła końce wstążki, zawiązanej pod stanikiem sukienki, i okręciła je wokół palców.

- Gdybym na środku sali balowej miała odegrać rolę małej, ślepej żebraczki i prosić samego księcia regenta do następnego tańca, zrobiłabym to, milordzie. Zrobiłabym wszystko, byle te koszmary się skończyły, byle tylko pozbyć się chociaż częściowo poczucia winy. Przecież, jeżeli się nad tym dobrze zastanowić, to za pana koszmary również odpowiadam ja.

I znowu zaczęła się karuzela uczuć. Irytacja. Zaciekawienie. Humor. Litość. Pożądanie. Jak jedna mała osoba płci żeńskiej mogła wywoływać w nim tyle różnych emocji, a wszystkie w ciągu jednej chwili? Zapytał łagodnie:

- I to dlatego tak się pani pali, by mi pomogą? Przez to poczucie winy?

Regina podniosła na niego wzrok, spojrzenie miała stanowcze i twarde, spiczastą bródkę zadarła do góry. Nagle wyglądała na swoje dziewiętnaście lat, a nawet o dziesięć starszej.

- Chcę, żeby zostali ukarani, milordzie. Potrzebuję tego, żeby zostali ukarani. Zdemaskowani i potępieni. Pomagam panu, ponieważ pan pomaga mnie, ale sprzysięgłabym się samym diabłem, gdybym uznała, że mógłby mi pomóc.

Brady przesunął dłonią po swoich nazbyt już długich włosach, objął nią kark, popatrzył na Reginę i westchnął. Po co w ogóle podejmował walkę? Rozumiał tę dziewczynę, ponieważ podzielał jej uczucia. Mieli tę samą misję do wypełnienia, i o tym musi pamiętać. Byli sprzymierzeńcami.

- W porządku, panno Felicity. Jutro rano bierzemy się poważnie za naukę.

O świcie w dzień Bożego Narodzenia jaskrawe słońce odbijało się od trzech cali świeżego śniegu, który spadł w nocy; Regina założyła swoje nowe, wysokie buty i pelerynę lady Singleton, a zaraz potem wybiegła na śnieg.

Poszła na trawnik po południowej stronie domu i, tupiąc butami, zabrała się do wypisywania swojego imienia na śniegu. Po ukończeniu jednej litery przeskakiwała na drugą i mało brakowało, a byłaby się wywróciła, kiedy ukończywszy ostatnie „A” usiłowała odskoczyć, żeby nie narobić żadnych więcej śladów.

Przechyliła głowę na bok, przymrużyła oczy i doszła do wniosku, że wykonała wspaniałą robotę. Wspaniałą. Jeżeli jego lordowska mość wyjrzy ze swego okna, zobaczy jej imię, wypisane literami wysokimi na co najmniej trzy stopy, wydeptane w śniegu.

No i co dalej?

Mogłaby położyć się i pomachać rękami, żeby na śniegu pojawiła się postać anioła, ale wtedy oblepiłaby sobie śniegiem pelerynę, na co nie miała najmniejszej ochoty.

Mogłaby pójść na spacer. Nie do kościoła we wsi, skoro nikt nie wiedział, że są w domu. Nie mieli nawet specjalnego bożonarodzeniowego polana, które paliłoby się na kominku, ani żadnych dekoracji na gzymsie. To był dom żałoby, zamieszkały wyłącznie przez służbę, która złożyła przysięgę, że słowa nie piśnie o swoim panu i jego „towarzysze”.

Ale kucharka obiecała, że później tego dnia odbędzie się uczta, i po całym domu rozchodziły się zapachy pieczonej gęsiny i ciast. A Regina miała dla jego lordowskiej mości prezent, parę pantofli z czarnego aksamitu, które wyhaftowała czerwoną i zieloną nicią, a poza tym haftowane chusteczki dla wszystkich służących. Poza Wadsworthem. Znalazła na strychu kawałek zielonego jak mech aksamitu i zrobiła mu małą poduszczkę, którą może podkładać sobie pod krzyże, kiedy zasiądzie w swoim fotelu na biegunach.

Regina starała się skupiać całą uwagę na przepięknej śnieżnej okiści, zwisającej z krzewów i gałęzi, na coraz bliższej uczcie i na radości, jaka ją czeka, kiedy wszyscy będą rozpakowywali swoje prezenty.

Powstrzymywało ją to od myślenia o rodzicach, przynajmniej na troszkę. Powstrzymywało ją to od myślenia o wszystkich świętach, która spędzała wspólnie z nimi, z całą trupą. O śmiechu, grach i piosenkach, i ogólnej beztrójce, o tym, jak ojciec przebierał się za świętego Mikołaja, owinąwszy się czerwoną aksamitną szatą, którą nosił na scenie i założywszy na głowę wieniec z ostrokrzewu.

- Och, tak bardzo za wami tęsknię - szepnęła, podnosząc oczy na wręcz nieprawdopodobnie niebieskie niebo i mrugając powiekami, by powstrzymać łzy. - Dlaczego to zrobiłeś?

Dlaczego, papo?

Kula śnieżna, która uderzyła w jej kaptur i strąciła goz głowy, zaskoczyła ją kompletnie.

Regina okręciła się jak fryga, szukając napastnika, ale nikogo nie udało jej się zobaczyć.

Następna śnieżka chybiła o kilka cali. Regina szybko podciągnęła kaptur na głowę, żeby się ochronić. Ale przynajmniej wiedziała już, gdzie ma szukać: w kępie drzew na prawo.

Przymrużyła oczy pod słońce, schyliła się, wzięła trochę ciężkiego śniegu i uformowała go w kulę; kiedy to robiła, zobaczyła, jak jakaś postać przemyka między drzewami.

- Mam cię! - zawołała, starannie wycelowała i cisnęła kulą. Trafiła w drzewo, za które właśnie uskokzył napastnik. - Tchórz! Wychodź i walcz jak mężczyzna! - wrzasnęła, już nabierając śniegu w ręce.

Odchyliła rękę do tyłu, by rzucić następnym mokrym, zimnym pociskiem w Brady'ego, i zatrzymała się, bo hrabia wyszedł zza drzewa, chowając jedną dłoń za plecami.

- Poddaję się, panno Felicity - zawołał, z determinacją podchodząc coraz bliżej, aż znalazł się tylko dziesięć stóp od niej.

- Za późno! Nie ma zmiłowania, nie ma litości! - wykrzyknęła, z szerokim uśmiechem cisnęła kulą i aż za boki się wzięła, kiedy śnieżka trafiła go prosto w środek piersi.

Przyglądała się, jak Brady spuszcza wzrok, ociera topniejący śnieg z peleryny, a potem zapiszczała i puściła się biegiem, kiedy ruszył ku niej, trzymając śnieżkę w swojej zdrowej już teraz prawej ręce.

Biegła, oglądając się przez ramię, nie zwracając uwagi na to, że depcze swoje dzieło, że je rujnuje. Biegąc, śmiała się. Śmiała się, kiedy pierwsza śnieżka przeleciała nieszkodliwie obok niej, śmiała się także wtedy, kiedy następna trafiła ją prosto między łopatki.

Śmiała się nawet wtedy, kiedy zahaczyła czubkiem buta o ukryty kamień i wywróciła się jak długa nosem w śnieg, a potem przeturlała się na plecy i zobaczyła zatroskaną twarz jego lordowskiej mości.

- Nic pani nie jest? - zapytał.

- Ni... nic! - wykrztusiła rozchichotana, a potem wyrzuciła nogę w bok i zahaczyła o jego kostkę, tak że Brady również wywrócił się jak długi w śnieg. Ale zanim do niego doleciał, już się na niego rzuciła z oboma rękawiczkami pełnymi mokrego puchu i zaczęła mu go wcierać w twarz, usiłując przy okazji wcisnąć chociaż trochę za kołnierz.

Turlali się razem po zaśnieżonym, lekko nachylonym trawniku, nacierając sobie nawzajem śniegiem twarze, śmiejąc się jak wypuszczone spod opieki niańki dzieci.

- Dość już! Dość! - wykrzyknęła w końcu Regina. Jej długie rzęsy kompletnie były oblepione mokrym śniegiem. Miała śnieg we włosach, w uszach, w ustach. Wszędzie. - Poddaję się!

Brady przetoczył się na plecy, pociągając ją za sobą. Kaptur opadł, zasłaniając niemal całą twarz dziewczyny.

- Nic się pani nie stało? - zapytał z dłońmi na ramionach Reginy, która prawie na nim leżała.

- A panu? - zareagowała, nagle odzyskując rozum. - To nie ja byłam ranna.

- Od wielu miesięcy nie czułem się tak dobrze - zapewnił ją Brady. - Od lat.

- Ja też. - Popatrzyła na niego, na to, jak długie, mokre włosy lepią mu się do

głowy, na wesołe ogniki w oczach, na zmarszczki śmiechu w ich kącikach i na szeroko uśmiechnięte usta. Poczowała, że robi jej się dziwnie gorąco gdzieś w samym środku, i uświadomiła sobie, że ma ochotę wyciągnąć rękę, odsunąć mu włosy z twarzy i wygładzić je nad czołem.

- Zaraz zamarznię - powiedziała zamiast tego i odsunęła się, widząc równocześnie, jak uśmiech Brady'ego blednie, jak gaśnie światło radości w jego oczach, jak nagle pan hrabia uświadamia sobie, kim są, gdzie są i w jakim stanie się znajdują.

- Tak, oczywiście - rzekł, pomagając jej się podnieść. - Lepiej już wracajmy.

- Tak, wracajmy - przytaknęła Regina i przeszedł ją dreszcz. Powinni wrócić, zawrócić na sam początek tej szczególnej drogi, która mogła ich zaprowadzić wyłącznie donikąd. I ona to wiedziała, i on. - Zdecydowanie.

Żadne z nich słowem się nie odezwało po drodze do domu.

Brady wymyślił trzy różne powody, pozwalające nie zejść na parter na bożonarodzeniowy posiłek, i wszystkie trzy odrzucił. Mógł twierdzić, że jest zmęczony. Mógł twierdzić, że mu się pogorszyło. Mógł wetknąć sobie białe piórko za ucho i szczerze przyznać się, że jest tchórzem, bo nim był.

Czy zupełnie zwariował? Co też mu wpadło do głowy, żeby tarzać się po śniegu z Regina Bliss?

Nie była dzieckiem. Wiedział, że nie była.

Ale była niewinna. Niech to cholera, to wiedział równie dobrze, jak znał własne imię... chociaż się własnym imieniem i nazwiskiem obecnie nie przedstawiał. Był Gawainem Caradokiem. Oszustem. Mistyfikatorem.

Był również opiekunem Reginy z taką pewnością, jakby jej własni rodzice mu ją powierzyli.

Musi o tym pamiętać. Nawet jeżeli zapomni o wszystkim innym, o tym pamiętać musi.

To jej bliskość, wszystko przez tę bliskość. Spędzają tu razem dzień za dniem. Poza sobą tak naprawdę nie mają żadnego towarzystwa, za to łączy ich pewien fakt z przeszłości, chociaż tylko jeden, a mianowicie, że padli ofiarą tych samych trzech mężczyzn.

Powodem, dla którego Regina wydawała się Brady'emu taka pociągająca, mogły być wyłącznie podane powyżej przyczyny. Po prostu spędzają ze sobą zbyt wiele czasu, wiąże ich wspólny plan, siedzą zamknięci razem, w sekrecie, i czekają na sezon wiosenny.

Oczywiście, że go pociągała. Jeszcze trochę, a pociągać go będzie każda spódniczka,

jest przecież zdrowym mężczyzną i lubi towarzystwo ładnych kobiet.

Chętnych kobiet.

Kobiet, od których Regina Bliss była mniej więcej tak odległa jak Ziemia od Księżyca.

Brady zszedł na dół dopiero wtedy, kiedy rozległ się ostatni gong, odwrócił wzrok od pełnego dezaprobaty spojrzenia Wadswortha i po prostu poszedł za Reginal, która kierowała się do małej jadalni, gdzie ustawiono jak zwykle dwa nakrycia na dwóch końcach przydługiego stołu.

Posiłek spożywali w milczeniu, danie po daniu, chociaż kucharka przeszła samą siebie, prawdopodobnie przygotowując ucztę dla służby na następny dzień. Regina najwyraźniej miała równie mało ochoty na rozmowę, co on.

Nie było to miłe milczenie.

Po raz pierwszy od tego wieczoru, kiedy obmywała mu ciało, by spędzić gorączkę, czuł się nieswojo w jej towarzystwie, i najwyraźniej ona w jego towarzystwie również. Zupełnie jakby wiedziała, że dostrzega w niej teraz kobietę. A co ona w nim widziała, Bóg jeden wie.

Czy zrobiło się już zbyt późno, by ją odesłać? Odesłać ją z powrotem do Kippa i Abby? Żeby mu zeszła z oczu? I, miejmy nadzieję, z myśli?

- Nie pojechałaby pani, prawda? - zapytał, zanim zdążył sprawę przemyśleć do końca.

- Słucham pana? - powiedziała Regina, pochylając się w lekko, żeby zobaczyć go zza wielkiej, stojącej pośrodku stołu dekoracji, za którą z przyjemnością ukrywał się przez wszystkie sześć niekończących się dań. - Nie pojechałabym dokąd, milordzie?

- Z powrotem do Willoughbych - wyjaśnił, wstając, przechodząc wzdłuż stołu i wyciągając rękę, by pomóc jej się podnieść. - Nie pojechałaby pani, prawda? Tylko ruszyłaby pani w pościg za mną do Londynu i pewnie wszystko zepsuła, pokazując się w takim dokładnie czasie i miejscu, w którym nie chciałbym pani widzieć, i zrobiłaby pani to, co uznałaby za najlepsze. A wątpię, by to, co pani uzna za najlepsze, okazało się pomocne dla mnie.

- No cóż, jeżeli ścigając pana mogłabym wszystko zepsuć, to pewnie lepiej będzie, jeżeli pojedę do Londynu razem z panem - zauważyła Regina, wracając do saloniku. - Takie rozwiązanie wydaje się prostsze.

- Tak, pewnie jest prostsze - mruknął Brady, podprowadzając ją do jednej z kanapek i czekając, by usiadła.

Dekolt przy jasnoniebieskiej sukni był płytszy niż w większości innych kreacji Reginy i Brady sam nie wiedział, czy ma się tym cieszyć, czy martwić. Zresztą to nieprawda. Powinien się cieszyć. A zamiast tego się martwił.

- Przypuszczam więc, że tę sprawę ustaliliśmy? Realizujemy dalej nasz plan?

- Nigdy nie brałam pod uwagę możliwości, że moglibyśmy go nie realizować, milordzie - powiedziała Regina, skubiąc koronkę przy rękawie.

Brady uśmiechnął się, leciuteńko, żałośnie. Wyglądało na to, że tego akurat wieczoru panna Bliss kłamie niezbyt przekonująco. Czy możliwe, że żywiła pewne związane z nim nadzieje? To byłoby fatalnie, zupełnie fatalnie. A właściwie byłaby to raczej cholerna szkoda. Dość miał już wyrzutów sumienia, że ją wykorzystuje. Ale przecież nigdy by jej nie wykorzystał.

Czy to rozróżnienie jest dla niego wystarczająco jasne? Niewątpliwie żywił taką nadzieję.

- Mam dla pani prezent, panno Felicity - rzekł, cofając o krok i obdarzając ją eleganckim, dosyć pretensjonalnym ukłonem, który bardziej pasowałby do jednego z „kostiumów”, poutykanych gdzieś w szafie na piętrze. Wyprostował się, sięgnął do kieszeni i wyciągnął sznur przepięknych pereł, które kiedyś należały do jego matki. - To dla pani. Ani one, ani żaden inny klejnot nie może się równać pod względem urody z panią, ale ponieważ nie starczyło mi czasu, aby ułożyć odę do pani rzęs, wyrażam nadzieję, że ten absurdalnie skromny upominek zapewni mi pani przychyłność.

Regina podniosła na niego wzrok, mimowolnie otrząsnęła się lekko - ten gest zaobserwował u niej już wcześniej, kiedy wchodziła w rolę - a potem przycisnęła obydwie dłoni do policzków.

- Ba, sir, ależ one są piękne. Niemal równie piękne jak ten piramidalny komplement. Gdybym wciąż jeszcze była u Żeliwnej Gerty, mogłabym chwycić je i potrząść o zęby, by zagwarantować mojemu chciwemu ja, iż są prawdziwe. Ale tylko podziękuję panu, drogi wujaszku, i poproszę, by mi wujaszek zapiął na niegodnej tego szyi.

- Póldiablę weneckie - mruknął Brady i bezceremonialnie zarzucił jej perły na szyję, bo sznur miał taką długość, że zapięcie nie było potrzebne. - Znajdą się jeszcze inne błyskotki, pomniejsze fragmenty z kolekcji mojej matki, by dopełnić innych pani strojów. Czy podobają się pani, księżniczko?

Regina znowu lekko się wstrząsnęła, najwyraźniej wychodząc z roli, a potem dotknęła pereł czubkami palców.

- Bardzo mi się podobają i obiecuję, że będę bardzo dbała o wszystko, co mi pan

pożyczy, milordzie.

- Pozostała biżuteria może okazać się konieczna dla realizacji naszych planów, panno Bliss, ale te perły należą teraz do pani, to mój prezent dla pani z okazji urodzin, bo przecież nie myślała pani chyba, że o nich zapomniałem - sprostował Brady, z niezadowoleniem przysłuchując się własnemu głosowi, który zrobił się bardzo oficjalny. Boże, nie zdarzyła mu się taka niezręczność od czasów, kiedy wchodził w towarzystwa. Coś musi się zmienić, i to szybko, albo nie dożyją chwili, kiedy przyjdzie pora przeprowadzić się do Londynu. Pozabijają się wcześniej albo jeszcze gorzej.

Regina popatrzyła na niego dziwnie, jakby chciała ocenić jego nastrój, a nieczęsto jej się to zdarzało, bo na ogół skłonna była ignorować wszelkie tegoż nastroju przejawy, ilekroć przysła jej taka ochota czy fantazja.

- Dziękuję, milordzie. Zawsze będę je traktować jak skarb. -I z tymi słowy zerwała się. - Ja również mam coś dla pana, ale zamrtwiam się, że nie jest to nic tak wspaniałego.

Sięgnęła pod poduszkę na kanapie, wyciągnęła parę czarnych, aksamitnych pantofli i podała mu je.

- Sama je pani haftowała? - zapytał zafascynowany, przesuwając palcem po zawiłych spiralach czerwonych i zielonych nici.

- Zrobiłam i wyhaftowałam - poinformowała go Regina. Założyła ręce na plecy i kiwała się na piętach. - Zamierzałam uszyć panu szlafrok, ale nie udało mi się znaleźć dość materiału na strychu. Mówiłam panu, że bardzo dobrze radzę sobie z igłą. Nie powinien więc pan martwić się losem, który czeka mnie, kiedy już zrealizujemy nasz londyński plan. Zawsze jakoś sobie poradzę, chociaż podjęłam decyzję, że nie wrócę na scenę. Nie mogłabym tego zrobić sama, bez moich rodziców i trupy.

Brady rzucił Reginie takie spojrzenie, że - gdyby zostało jej choć trochę rozsądku - powinna, zawodząc, wybiec z pokoju. Ale twarde spojrzenia sływały po Reginie Bliss prawie jak woda po gęsi i Brady o tym wiedział. Niewiarygodne, że potrafiła go tak bardzo rozgniewać. Odnosił niemal wrażenie, że ciężko nad tym pracuje.

- Dlaczego patrzy pan na mnie, jakbym powiedziała właśnie coś okropnego? Martwi się pan tym, milordzie, prawda? Tym, co się ze mną stanie, kiedy wszystko się skończy? Kiedy już odnajdziemy winnych i ukarzymy ich, kiedy już znowu będzie pan mógł być sobą?

- Nie wybiegałem jeszcze myślami tak daleko w przyszłość, panno Bliss - oznajmił Brady krótko i, jak sam wiedział, kłamliwie. Wybiegał myślami w przyszłość, a tych

było stanowczo za dużo i dotyczyły stanowczo niewłaściwych spraw. Na przykład, jak wyglądałaby Regina, gdyby złożyła głowę na poduszce obok niego, i jak by to było poczuć ją w swoich ramionach.

- O, tak, wybiegał pan. A nawet zastanawiał się pan nad tym przez całe popołudnie - powiedziała mu Regina i spoglądając w twarz, uniosła brodę do góry. - A teraz pan już wie. Nie musi się pan o mnie martwić. Wyląduję na czterech łapach. Dotychczas zawsze tak się działo, czyż nie?

A potem, zanim zdążył jej odpowiedzieć - zanim zrodził się cień możliwości, że znajdzie jakąś odpowiedź- wyszła z pokoju i mógł już tylko patrzeć w ślad za nią.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, Brady wyjechał do swego myśliwskiego domku w Lincolnshire, siedząc bezpiecznie w nieoznakowanym powozie, w którym zasłonki zostały podciągnięte tak wysoko, że nie widział gwałtownie topniejącego na drzewach śniegu.

W domu zostawił wiernego Wadswortha, który miał poinformować Reginę, że jego lordowska mość wróci w ostatnim tygodniu marca, by przygotować się do przeprowadzki na Portman Square.

Nie było to najlepsze z rozwiązań, jakie Brady mógł wymyślić, ani najbardziej heroiczne, ale za to jedyne.

- Maude, czy nie widziałaś moich żółtych, gienzowych rękawiczek? Przekonana jestem, że muszą tu gdzieś być...

- Trzyma je pani w ręce, panno Felicity - zwróciła Maude uwagę Reginie, która spojrzała na własną dłoń i zachichotała.

- I musiałaś pomyśleć, że się troszkę denerwuję - powiedziała, zawijając rękawiczki w bibułkę i wkładając je do największej walizy. - I pewnie będziesz miała rację.

- Sama jestem cała przejęta, panienko, że jadę do Londynu w ogóle, po tylu miesiącach bez pana. Ale teraz pan wraca i ruszamy w drogę. Czy to prawda, że tam grzech płeni się na każdym rogu? Kucharka przysięga, że na każdym.

- A nawet na środku między przecznicami też, Maude - wyjaśniła Regina, starannie układając warstwami następne sztuki nowej garderoby w stojącym na podłodze kufrze. - Ale, jak to napisał Samuel Johnson, „Kiedy się człowiek zmęczy Londynem, jest zmęczony życiem, bo w Londynie można znaleźć wszystko, na co życie może sobie pozwolić”. Chociaż na nie wiele z tego było mnie stać podczas pobytu w stolicy - dodała z szerokim uśmiechem. - Poza tym, Maude, będziemy na Mayfair, gdzie jest względnie bezpiecznie. Wątpię, by miało tam być więcej niż po dwa, trzy diabły na każdym rogu.

- Teraz to się panienka ze mnie nabija, prawda? Powinna się panienka wstydzić. Ale ja już schowałam do torebki najlepszą szpilkę do kapelusza od kucharki, niech więc dobre nieba mają w opiece diabła, który chciałby się ze mną spoufalać! Proszę, panienko, na pewno zechce panienka zabrać wszystkie chusteczki do nosa.

- Ile ja wyhaftowałam chusteczek przez te ostatnie trzy miesiące, Maude? Pewnie wszyscy odetchną z ulgą, jak już wyjadę, i nie będą musieli dziękować mi za następne. - Regina wzięła stos wykończonych koroneczką chusteczek i umieściła je w kufrze, a potem wstała, przeciągnęła się i przycisnęła po obu stronach dłonie do kręgosłupa. - Czy mamy już wszystko, Maude? Chyba tak. Och! Moje perły!

Podbiegła do stolika przy łóżku i wyjęła sznur pereł. Maude prosiła, żeby chowała naszyjnik do zamykanej na klucz szuflady biurka, ale Regina chciała go zawsze mieć przy sobie.

Nocą, kiedy zostawała sama, wyjmowała perły, dotykała ich, niekiedy nawet zasypiała, ściskając je w ręce. Powtarzała sobie, że ma ochotę udusić nimi hrabiego Singletona za to, że ją tak opuścił. Powtarzała sobie, ale wiedziała, że to nieprawda.

- Będę nosić te perły pod żakietem podróżnym - powiedziała, wkładając je przez głowę. - I niech Bóg się zmiłuje nad rabusiem, który chciałby mi je odebrać.

Oczy Maude rozszerzyły się.

- Rabusiem? Pan Wadsworth słowem nie wspominał o rabusiach.

Regina objęła pokojówkę za ramiona.

- Nie martw się, Maude. Wadsworth mówił mi, że pojedziemy trzema powozami, Bóg jeden wie z iloma forysiami, a do tego poprowadzimy jeszcze do miasta wierzchowce jego lordowskiej mości i kariolkę. Będziemy całkowicie bezpieczni. To jest, jeżeli pan hrabia w ogóle raczy się tu pojawić. Wadsworth wydawał się sądzić, że miał przyjechać wczoraj.

Maude zastanawiała się przez chwilę.

- Tak czy owak zabiorę ze sobą tę szpilkę od kucharki.

Regina ze śmiechem pocałowała pokojówkę w policzek, zawołała „proszę wejść” do tego kogoś, kto stukał do drzwi, a potem, nie zdoławszy opanować zdumienia, z otwartymi ustami patrzyła, jak do pokoju wchodzi lord Singleton. Nowy lord Singleton w całej swojej krasie i okazałości.

Doczekać się już nie mogła, kiedy go znowu zobaczy, na przemian przeklinała go i tęskniła; jak tylko dostali wiadomość, że należy się go spodziewać w Singleton Chase, poczuła się niespokojna jak kot z długim ogonem w pokoju pełnym foteli na biegunach. Zastanawiała się, czy padnie mu na szyję jak jakaś usychająca z miłości gęś, czy będzie udawała, że go unika, czy może raz na niego spojrzy i przekona się, iż snuła romantyczne marzenia o człowieku, który po krótkim okresie nieobecności nie potrafi jej w żaden sposób poruszyć.

A teraz, kiedy stanął przed nią, prawie go nie poznała.

Przez te trzy miesiące gęste włosy urosły mu niemal do ramion; odczesywał je do tyłu, tylko jedno grube pasmo opadło mu w tej chwili na czoło i hrabia podrzucił pospiesznie głowę, by posłusznie ułożyło się na swoim miejscu.

Wszedł do pokoju z wysoko uniesioną głową, postawę miał tak poprawną, że aż śmieszna. Zatrzymał się o dobre trzy metry od niej, elegancko wysunął do przodu nogę i pochylił się w ukłonie, któremu towarzyszył szeroki gest prawej ręki. W palcach trzymał delikatną, białą płócienną chusteczkę, ociekającą wręcz szeroką na co najmniej cztery cale koronką, dobraną do wymyślnego żabotu pod szyją.

Miał na sobie ubiór podróżny, jeżeli ktoś zgodziłby się uznać tę absurdalnie strojną toaletę za zwykły ubiór podróżny. Pantalony były gołąbkowe, kamizelka z haftowanego,

różowego jedwabiu. Ciemniejszy, szary surdut z klapami szerokimi na co najmniej osiem cali, ozdabiały guziki z kości słoniowej o rozmiarach talerzyków deserowych. Surdut wcięty był w pasie tak, że Regina zaciekawiła się, czy pan hrabia w ogóle jest w stanie głębiej odetchnąć.

Wyglądał głupio. I wyglądał, jakby mu to ani trochę nie przeszkadzało, jakby ostatnie trzy miesiące spędził na ćwiczeniu swej nowej roli w pokoju pełnym luster.

Ledwie na widok jego absurdalnego wyglądu zdążyła się odrobinę odprężyć, a już pełen humoru błysk w oku hrabiego przypomniał jej, jak bardzo za nim tęskniła. Poczowała nagle onieśmienie i to ją rozzłościło.

- Moja najdroższa Regino - Brady mruzczał niemal jak kot, a ona stała przed nim i wciąż jeszcze słowa nie mogła wykrztusić. - Zechciej mnie pani zapewnić, proszę, iż nie guzdrzesz się tutaj, przez co tracimy pierwszą z najrozkoszniejszych godzin poranka. Zapewniano mnie, iż zostałaś pani poinformowana o moim wczorajszym wieczornym powrocie, jak też o moim życzeniu, by wyruszyć w drogę o poranku? No, proszę, moja droga, niechże się pani zechce pospieszyć. Mam nadzieję dojechać Pod Głowę Lwa przed drugą, by mój człowiek zdążył przejąć dowodzenie w tamtejszej kuchni, zanim zaczną przygotowywać nasz popołudniowy posiłek. Moglibyśmy, oczywiście, pokusić się o skosztowanie wiktus Pod Głową Lwa - dodał, leciutko się przy tym wzdrygnawszy - ale obawiam się, że groziłoby mi to tak wielkim przygnębieniem, iż podróż do następnego miejsca postoju okazałaby się niewykonalna.

- Dobry Boże - powiedziała Regina, której w końcu udało się poruszyć i odezwać. Podeszła do Brady'ego, obeszła go dookoła, a on odwracał się za nią, dotykając chusteczką to jednego kącika ust, to drugiego. W oku błyskał mu pozłacany monokl, przyczepiony do gołąbkowej rypsowej wstążki, otaczającej szyję. - Dobry Boże, dokonał pan tego.

- Dokonał? Dokonał? Błagam, by zechciała się pani, najdroższa Regino, wytłumaczyć. Co ja takiego zrobiłem? Czy byłem niegrzeczny? Przysięgam, absolutnie nie przypominam sobie, żebym był... niegrzeczny, przynajmniej przez ostatnie dwa tygodnie. Na Boga, musiałem mieć w czubie. Niechże mi pani wyzna, czy dobrze się bawiłem?

Zmienił nawet intonację głosu, z klarownej, przejrzystej angielszczyzny na lekko znudzone, rozleniwione przeciąganie samogłosek. Regina podniosła ręce do góry.

- Dość już, dość! Musi pan coś zachować na Londyn. Mój papa zawsze powtarzał, że przesadna liczba prób może doprowadzić do tego, że aktor się przemęczy, a jego gra stanie się nijaka. Chociaż muszę przyznać, że daleki jest pan od nijakości, milordzie.

- Wujaszku Gawainie - poprawił ją Brady. - Ga-wa-i-nie. Proszę dokładać

starań, by wymawiać to imię poprawnie. A teraz, jeżeli zajęcia pani w tym pokoju dobiegły końca, to lokaj, któremu kazałem zaczekać za drzwiami... jakże posłuszne sługi miał mój świętej pamięci kuzyn, należy mu się pełne uznanie, bez wątpienia... zabierze wszystkie te kufrы i temu podobne, i ruszymy w drogę. Czy będzie pani miała przy sobie sole trzeźwiące, moja droga? Tak często robi mi się słabo, a nawet mdło, podczas długiej jazdy powozem, że się bez flakonika soli nigdzie nie ruszam.

Regina zerknęła na Maude, która najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że patrzy na swego chlebodawcę, a potem wzruszyła ramionami.

- Pamiętaj, Maude, od tej chwili nazywam się panna Regina Felicity. A to, jak z pewnością się orientujesz, jest nowy hrabia Singleton. Piękny widok sobą przedstawia, czyż nie?

- Prawdziwa uczta dla oczu - powiedziała Maude nieco głuchym tonem, a potem chwiejnie podeszła do najbliższego krzesła i klapnęła na nie całym swoim ciężarem.

Brady pomógł Reginie wsiąść do pierwszego powozu, potem wsiadł za nią, zdjął swój bobrowy kapelusz z podwiniętym rondem, starannie rozłożył połę surduta i z wdzięcznością rozpiął go, moszcząc się naprzeciw swojej podopiecznej.

Na razie wszystko układało się po jego myśli. Słusznie postąpił, wyjeżdżając, miał rację, usuwając się poza zasięg pokusy, która zrodziła się - był o tym przekonany - z wymuszonej zażyłości, jaką narzucił jemu i Reginie wspólny pobyt w Singleton Chase. Czuł się tak, jakby prawie wrócił do siebie: przybyło mu sił, a intelekt miał lotny, od kiedy przestała mu mącić myśli i mroczyć osąd słabość fizyczna czy nawet umysłowa.

Była Regina Bliss, kobietą i współkonspiratorką. Niczym więcej. Łączyło ich tylko jedno: wspólny wróg.

Uda im się. Naprawdę się uda. Albo to, albo tak bardzo pochłonęło go ukrywanie się za Gawainem Caradokiem i jego pracowicie ćwiczoną absurdalnością, że jest w stanie wmówić sobie wszystko.

- Chryste, Watkins nie zostawił mi dość miejsca, żeby głębiej odetchnąć. Nic dziwnego, że wszyscy dandysi paradują po mieście, jakby mieli pogrzebacz wetknięty w... zresztą, wszystko jedno. - Uniósł laseczkę, ostro zastukał w dach powozu i zawołał: - Do Londynu, mój dobry człowieku, do Londynu! I, na litość boską, uważajcie na koleiny!

Potem uśmiechnął się do Reginy.

- Rooster... to mój stangret... zrobi pewnie teraz swemu tchórzliwemu chlebodawcy prezent i przewiezie go po wszystkich koleinach i głębokich kałużach na

drodze. Mimo, to z przyjemnością myślę, że bardzo mu mnie brakuje.

- Czy... czy nie zaczekamy na pozostałe powozy? Ludzie ich jeszcze nie skończyli ładować.

- Znają drogę i wkrótce pojedą za nami. Nigdy nie należałem do tych, którzy wzbraniają się iść na czele pochodu. - Przesunął palcem pomiędzy szyją a kołnierzykiem. - Wydawało mi się, że przyzwyczałem się do tej śmieszności, ale tak nie jest. A surdut mam tak ciasny, że powinienem się cieszyć, iż w ogóle udaje mi się podnieść rękę do góry.

Popatrzył na nią, czego jak najstaranniej próbował unikać, wmawiając sobie, że nie ma wielkiej potrzeby na nią patrzeć, że nie ma wielkiej ochoty na nią patrzeć.

Ciemnorude loki upięte były wysoko, jak przystało debutantce, która miała pierwszy raz pokazać się w towarzystwie, a bardziej elegancki krój stroju korzystnie odsłaniał szczupłą szyję i zuchwałą bródkę. Nosiła te nowe stroje, jakby się do nich urodziła, a poruszała się z większym wdziękiem niż uprzednio, choć zawsze była wdzięczna.

Krótko mówiąc, wyglądała na swoje dwadzieścia lat, i to wyglądała wspaniale. Chociaż jego to oczywiście nie obchodzi, z całą pewnością. Obchodzi go tylko jedno: nie tracić z oczu wygranej, to znaczy zdemaskowania i ukarania trzech mężczyzn, którzy go niemal zabili.

- Tak więc, panno Bliss - powiedział z nadzieją, że uda mu się utrzymać lekki ton rozmowy. - Wadsworth powiada, że pani również była zajęta?

- Proszę nie mówić do mnie „panno Bliss”, kuzynie, nawet na osobności - przestrzegła go Regina. - Jestem pana podopieczną, może więc pan spokojnie zwracać się do mnie „Regino”, jak pan to robił już wcześniej. To łatwiejsze i mniej będzie okazji do popełnienia błędów na forum publicznym.

- Nieodmiennie w roli nauczycielki, jak widzę. Ale również i uczniocy, jeżeli wierzyć Wadsworthowi.

Regina przytaknęła.

- Wadsworth był bardzo pomocny. Zapewnił mnie, że doprowadziłam do doskonałości moje maniery przy jedzeniu, poza tym zostałam przećwiczona we wszystkich tańcach. Harry, główny lokaj, był moim partnerem przy walcu, a reszta służących przyłączała się, kiedy potrzebny był pełny zestaw tancerzy. Pan, milordzie, może być jedynym człowiekiem w całej Anglii, którego służba potrafi zatańczyć kadryla i kilka tańców szkockich.

- Brzmi to tak, jakby nie miała pani czasu za mną zatęsknić - powiedział Brady, na jedną jedyną chwilę puszczając wodze językowi. Regina gwałtownie uniosła głowę; popa-

trzymała hrabiemu w oczy i zesznurowała usta.

Przebywał w jej towarzystwie nie dłużej niż godzinę i już popełnił błąd, powiedział coś stanowczo za bardzo osobistego. Gdyby był sprytny, trzymałby się bezpiecznej roli bezmyślnego, nieszkodliwego Gawaina Caradoca. Brady James, mężczyzna, który, jak się zdaje, przez te ostatnie miesiące nauczył się tylko okłamywać samego siebie, nie mógł przy Reginie ust otworzyć, żeby nie popełnić jakiejś gafy.

- Czy udało się panu dowiedzieć, czy hrabia Allerton będzie podczas sezonu w mieście? - zapytała dziewczyna, dosyć niezdarnie usiłując zmienić temat.

Mimo to Brady z wielką radością przystał na tę zmianę. Ale najpierw otworzył mały schowek i wyciągnął srebrną piersiówkę oraz mały kieliszek.

- Od tej fanfaronady człowiek się robi spragniony - rzekł, a ona przyglądała się, jak wlewa trochę burgunda do kieliszka, a potem jednym haustem go wychyla. - Ach, już lepiej. Och, niechże pani tak na mnie nie patrzy. Zmieniłem się tylko w cholernego dandysa, a nie w jakiegoś ochlapusa na dodatek. Ale dobrze mi to robi, jak sędzę, jeżeli przez cały czas będzie czuć ode mnie mocny alkohol. Nikt nie jest bardziej nieszkodliwy niż człowiek, który pije do śniadania. O co to pani mnie pytała?

- Pytałam, wujaszku Ga-wa-i-nie, czy dowiedział się pan, czy hrabia Allerton będzie w Londynie, kiedy tam przyjedziemy. Zechce pan pamiętać, że to on jest powodem tej całej maskarady. Allerton i jeszcze tamci dwaj, którzy brali udział w zamordowaniu moich rodziców i próbie zamordowania pana.

- Och, nie było potrzeby się dowiadywać. Allerton zawsze przyjeżdża do miasta na sezon. Razem z synem i córką. Czy opowiadałem pani o nich?

Regina potrząsnęła głową.

- To było trzech mężczyzn, wujaszku Gawainie. Jestem pewna, że nie mieli ze sobą żadnej kobiety. Mimo to pewnie powinnam wiedzieć wszystko, co pan wie.

- No dobrze, poświęćmy część czasu pomiędzy chwilą obecną a Głową Lwa na zapoznanie pani z rodziną Allertonów. Przede wszystkim sam pan hrabia. Była to naprawdę porządna rodzina, dopóki nie przejął sterów. Jest zapalonym hazardzistą, rozumie pani, a jego spadkobierca, wicehrabia, zaprawdę poszedł w ślady ojca. Boothe Kenward, wicehrabia Allerton. Ma co najmniej pół tuzina lat mniej niż ja, ale już wkroczył na drogę do rozpusty i z niemałym zapalem się stacza.

- Czy mógł być jednym z dwóch pozostałych? - zapytała Regina. - Jak wygląda? Czy może go pan opisać?

Brady przymknął oczy i potarł czoło.

- Wysoki. Bardzo wysoki. Jak również bardzo chudy. Straciłby tylko na tym, gdyby się rozebrał, nawet jeśli ośmieliłby się kiedyś przeleźć przez liny u Dzentelmena Jacksona. To salon boksinerski, rozumie pani. Bardzo jasny blondyn. Ubiera się cały na czarno, udaje miłośnika wyścigów konnych i sportowca, ale do powożenia ma ciężką rękę i fatalne wyczucie koni. Kilka razy próbował dostać się do Klubu Czworokonnych Zaprzęgów, a za ostatnim razem, kiedy tam się zgłaszał, wyśmiali go.

- Nie lubi pan go.

- Nie żebym go nie lubił - przyznał uczciwie Brady. - Ale ma on tak wysokie mniemanie o sobie, że pewnie wcale by mu serce nie pękło, gdyby dowiedział się, że całkiem mi na nim nie zależy. Chyba że jest jednym z nich. W tym przypadku wzbudziłby moją ciekawość.

- Jeżeli tak, to sędzę, że wicehrabia może czuć się bezpieczny, jako że pana opis nie pasuje do żadnego z tamtych trzech mężczyzn. Nie zauważyłam wśród nich blondyna, a cała trójka była starsza, niż pana zdaniem jest wicehrabia. Jakie ma pan plany? To znaczy, wiem, że zamierza pan próbować dowiedzieć się, kim są przyjaciele hrabiego, a potem w jakiś sposób ich zdemaskować... ale jak? Sama wiedza nie wystarczy. Musimy być w stanie dowieść, że to byli oni.

- Zastanawiałem się nad tym - powiedział jej Brady, usiłując założyć nogę na nogę i poniewczasie uświadamiając sobie, że obcisłość pantalonów mu na to nie pozwoli. - To prawda, że nie zamierzam poprzestać na pojawieniu się w Londynie i nadziei, iż dręczony wyrzutami sumienia Allerton rzuci mi się do stóp, z całego serca pragnąc wyznać prawdę. Ale zostawmy to chwilowo, bo zostało nam jeszcze wiele spraw do omówienia, a teraz opowiem pani o siostrze wicehrabiego. Proszę sobie samej wyświadczyć przysługę i porzucić wszelką myśl o zaprzyjaźnieniu się z nią.

- A czemu miałabym chcieć się z nią zaprzyjaźnić?

Brady uniósł w górę jedną brew.

- Och, sam nie wiem. Wystarczy, jeśli powiem, że przekonany jestem, iż zamierza mi pani pomagać, niezależnie od tego, czy ja chcę tej pomocy, czy nie. A jeżeli będzie pani próbowała wkraść się w łaski Belle, żeby uzyskać zaproszenie do domu Allertona, wcale mi to nie pomoże. Rozumie pani?

- Nie, nie rozumiem - oznajmiła Regina z nieco oślim uporem. - Jak tylko powiedział pan, że w ich rodzinie jest córka, pomyślałam, że byłoby wspaniale zaoferować jej swoją przyjaźń. Mogłabym dostać się do ich londyńskiej rezydencji, niewykluczone, że pomyszkować po gabinecie hrabiego, kiedy nikt nie będzie patrzył...

- I dostać od hrabiego kulkę w głowę - zakończył za nią Brady. - Nie, nie wydaje mi się. Poza tym Belle jako jedyna z nich wszystkich ma rozum. Jak tylko zacznie się pani przy niej upierać, ona zacznie się zastanawiać, dlaczego.

- Czemu miałyby zacząć się zastanawiać?

Brady'emu przemknęła przez głowę myśl o piersiówce, ale uznał, że byłoby to tchórzliwe wyjście z sytuacji.

- No dobrze - rzekł z nadzieją, że szybko się z tą sprawą upora. - Bellinagara Kenward może stanowić pewien problem. Ona i ja... ją i Brady'ego... łączyła kiedyś romantyczna więź.

Regina wyprostowała się na poduszkach.

- Och. W jakim sensie romantyczna?

- Damy, moja droga księżniczko, nie zadają pytań tego rodzaju.

- To prawda, ale ja zadaję. A może obawia się pan, że rozpozna jakąś myszkę na zwykle niewidywanej części pańskiego ciała, którą teraz, jako Gawain, zamierza pan obnażyć?

- Robi się pani impertynencka - ostrzegł ją Brady i jednak sięgnął po tę piersiówkę tylko po to, by czymś zająć ręce. -A więź nie była aż tak romantyczna. Do tego cała sprawa działa się przed laty, co najmniej czterema albo pięcioma, jeżeli się nie mylę. Staralem się o nią, ona mnie unikała, i to koniec historii.

- Tak dawno? To musi już być stara - odetchnęła Regina i Brady zobaczył, że lekko się odprężyła.

- Belle daleko jeszcze do starości, chociaż ma pewnie co najmniej dwadzieścia cztery lata. Jest piękna. I nieosiągalna.

Regina wykrzywiła się.

- Do licha. Zaraz mi pan powie, że na dodatek jest czysta jak świeży śnieg i że jest niewinną ofiarą rozrzutnego postępowania własnego papy. Coś mi się zdaje, że zaczyna mi się łażać w prawym oku kręcić. Nie, chwileczkę. To nie łażać. To tylko pan, wujaszku, próbuje mi zamydlić oczy jakimiś bzdurami.

Brady spiorunował ją wzrokiem.

- Wydaje mi się, że bardziej mi się pani podobała, kiedy odgrywała pani rolę cudownie milczącej i nieśmiałej panny służącej.

- A mnie się wydaje, że bardziej mi się pan podobał, kiedy mówił mi pan całą prawdę. A więc jak to jest, czy ta Belle będzie dla pana problemem, czy nie? Bo jeżeli ma pan zamiar zapomnieć o wszystkim, o tym, że jej papa to morderca, tylko dlatego że jest piękna...

to proszę mi o tym powiedzieć, a ja całą sprawę sama doprowadzę do końca. Tak czy owak wolałabym takie rozwiązanie.

Szczęki Brady'ego się zacisnęły.

- Zapomnieć? Niewielkie są na to szanse, Regino. Ale nie będę wykorzystywał Belle, żeby dopaść jej ojca, i pani również na to nie pozwolę. Czy to jasne?

- Jak kryształ, milordzie - mruknęła Regina, potrząsając z niesmakiem głową. - Jest pan idiotą. To mi się chwilowo wydaje najbardziej jasne.

Brady pochylił się do przodu na siedzeniu, niemal dusząc się własnym fularem.

- Czy mogę przypomnieć pani, panno Felicity, że niewiele brakowało, a byłbym umarł?

Regina skrzyżowała ręce w pasie.

- A czy ja mogę przypomnieć panu, że moi rodzice umarli?

- No cóż, bardzo pięknie przebiłaś mojego asa, prawda? - Brady uśmiechnął się. - Dlaczego my się ciągle kłócimy, księżniczko? - zapytał, nieco zdumiony tym, jak jej szare oczy błyszczą w gniewie zimnym ogniem. - Jesteśmy sprzymierzeńcami, pamięta pani?

- Więc nie zamierza pan robić cielęcych oczu do tej całej Belle i wszystkiego zepsuć?

- Po pierwsze, nigdy nie robiłem do niej... i proszę nie używać tego rodzaju wyrażen. Po drugie, nie widzę żadnego powodu, żeby Belle w to wszystko wciągać.

- Ostrzegaliśmy pan przed nią.

- Uprowadziłem wydarzenia - sprostował Brady z szerokim uśmiechem. - Oczywiście teraz może mnie pani zapewnić, że wcale nie dowiedziała się pani o istnieniu Belle i absolutnie nie zaczęła z miejsca układać planów, jakby tu się zbliżyć do niej, a poprzez nią do Allertona.

- Już się do tego przyznałam - wymamrotała Regina nieomal pod nosem. - No dobrze. Nie będziemy o tej Belle więcej rozmawiać. Zgoda?

- Zgoda - przystał z wdzięcznością Brady i odwrócił się, żeby popatrzeć na przepływający za oknem krajobraz. - Jeszcze godzinka i powinniśmy dojechać Pod Głową Lwa. Chyba się zdrzemnę.

- Proszę uprzejmie - zgodziła się Regina. Rzuciła mu spojrzenie, którego wolałby nie zauważyć, a potem wyciągnęła z torebki niewielką książkę i ostentacyjnie go ignorowała.

Brady pozwolił, by głowa lekko opadła mu na bok, i zerknął spod powiek na tytuł książki. Czytała przewodnik turystyczny po Londynie, który - jak pamiętał - do niedawna

rezydował w jego bibliotece. Książka obejmowała mapy, rysunki ulic i lokalizację ważniejszych budynków, będących rezydencjami wielu osób z towarzystwa. Najwyraźniej Regina miała własne plany dotyczące tego, co będzie robiła w Londynie. Jak cudownie.

Nie otwierał oczu, dopóki nie dojechali Pod Głowę Lwa, ale nie spał. Kiedy ma się w pobliżu Reginę Bliss, bezpiecznie jest w ogóle nie zasypiać, do takiego doszedł wniosku.

Zatrzymali się na noc w zajezdzie, usytuowanym niemal w pół drogi między Singleton Chase a Londynem. Regina miała szczerą nadzieję, że Brady nie będzie znowu pajacował jak Pod Głową Lwa, gdzie przybierał takie pozy i tak fanfaronował, że jeden z wieśniaków, siedzących we wspólnej izbie, zadławił się swoim królikiem.

- Proszę mi obiecać, że nie posunie się pan tym razem aż tak daleko - poprosiła, kiedy Brady pomagał jej wysiąść z powozu. - Jeśli pan raz czy dwa powie „zacny człowieku”, powinno wystarczyć, a monokl to naprawdę przesada.

- Czy podjęła już pani ostateczną decyzję, że jej życiowym zadaniem będzie krytykowanie mojej osoby? - zapytał Brady, kładąc sobie dłoń Reginy na rękę i pretensjonalnie drobiąc do drzwi frontowych zajazdu pocztowego. - Przypominam sobie, że Byron mógł godzinami rozprawiać o tym gatunku ludzi i kłać ich w żywy kamień, co do ostatniego.

- Wolalabym jeść na kolację ziemię, niż twierdzić, że jestem krytykiem - odpowiedziała Regina porywczo. - Jestem pana mentorem, milordzie. A jako pana mentor muszę panu mówić, kiedy pan okropnie przesadza. Byłby pan całkiem niezły na scenie jako wysoko urodzony idiota z jakiejś farsy, ale to jest życie i powinien pan naprawdę popracować nad tym obłądnym zachowaniem. Nie należało w ogóle wyjeżdżać z Singleton Chase i próbować się samemu nauczyć roli.

Brady przystanął na środku podwórza z urażonym wyrazem twarzy.

- Czy przypadkiem nie nazywa mnie pani bufonem, moja droga Regino? Ponieważ jeżeli tak się sprawy mają, z głębi serca muszę zaprotestować. Chciała pani fircyka. Dandysa. Niemądrego człowieka, tak odmiennego od mojego kuzyna, jak to tylko możliwe. Odniosłem wrażenie, że całkiem mi to dobrze wychodzi.

- Och, naprawdę? - odpaliła Regina, kiedy Brady dotknął dłonią swego zatraconego monokla. - I niczego złego nie widział pan w tym, że zagroził pan popadnięciem w omdlenie, kiedy karczmarz z gospody Pod Głową Lwa powiedział, że będziemy musieli zaczekać dziesięć minut na osobny pokój? Że niemal zataczał się pan po drodze na fotel, że przyciskał pan sobie dłoń do czoła? Że pan pojękiwał. Nie wiedziałam, na co mam większą

ochotę: dać panu po głowie, czy z wraskiem uciec do powozu.

- O ile sobie przypominam, dostaliśmy pokój natychmiast.

- O tak, dostaliśmy. Natychmiast, jak tylko karczmarz wyrzucił z niego kupca i jego miłą żonę, przy czym biedaczysko kupiec nie skończył nawet ogryzać kurczaka. Powinien się pan wstydzić.

- Wstydziłem się. I to okropnie - przyznał Brady. Regina lekko się odprężyła.

- Naprawdę?

- Nie, moja droga. Naprawdę aż drżałem z radości. A chce pani wiedzieć, dlaczego? Drżałem z radości dlatego.... mówię to na wszelki wypadek, gdyby pani nie zapytała... że karczmarz i ten krztuszący się farmer, wszyscy oni uwierzyli, że naprawdę jestem tym kim, za kogo się podawałem. Zatrzymałem się Pod Głową Lwa co najmniej ze dwieście razy i wszyscy mnie tam znają. Chyba nic więcej mówić nie muszę, prawda? Dowodzi to zresztą również, że miała pani rację. Powinna pani być wniebowzięta, chlubić się swoim triumfem, a nie krytykować moje do gruntu znakomite zachowanie.

Regina przyglądała mu się przed dłuższą chwilę.

- Podczas swojej nieobecności upadł pan na głowę, prawda? I pomieszało się panu w niej. To jedyna odpowiedź.

- To jest odpowiedź, ale niewłaściwa. A teraz chodźmy już, czas poćwiczyć na tych zacnych ludziach. Myślę, że poplirtuję z Trudy... chyba dobrze pamiętam jej imię... i zobaczę, czy sobie mnie przypomni. Chociaż oczywiście myszki odsłaniał nie będę. Chodźmy, moja droga.

- Wolałabym jeść ziemię na kolację - powtórzyła Regina, i uwalniając rękę i zastanawiając się, czy mogła być kiedyś tak samotna i otumaniona, żeby Brady James wydawał jej się pociągający... pod jakimkolwiek względem.

- Tak, już pani to mówiła. Proszę postarać się i unikać w rozmowie rozwlekłości. To takie nużące - przeciągając sylaby, powiedział Brady i teatralnie westchnął. Potem pomachał na nią dłonią, tą, w której trzymał śnieżnobiałą płócienną chusteczkę, obszytą szeroką na pięć cali koronką. - Och, bardzo dobrze. Niech pani biegnie, niech pani biegnie. Jeżeli ktoś upiera się przy wieczornych ćwiczeniach gimnastycznych, przypuszczam, że ludzie bardziej zdrowi na umyśle muszą się ugiąć pod presją. Ja sam nigdy nie spaceruję. Proszę z łaski swojej wrócić za godzinę albo spożyć posiłek bez pani.

- Proszę najuprzejmiej, jako że zupełnie straciłam już apetyt - odpaliła Regina, a potem odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku centrum wioski. To była niewielka wioska, Brady najwyraźniej dobrze ją znał i uznał, że jego „podopieczna” może spokojnie

pospacerować sobie po drewnianym chodniku, nie narażając się na żadne przykrości.

Jak dobrze znowu znaleźć się w szerokim świecie, nie ukrywać się już za murami Singleton Chase, swobodnie przyglądać się światu, jak to robiła, podróżując z rodzicami. Regina kochała małe wioski, ponieważ niemal wszyscy ich mieszkańcy byli przyjaźnie nastawieni, mijając ją uśmiechali się albo kiwali głowami, dzieci były wesołe i zdrowe, a nawet wioskowe psy wyglądały zwykle na dobrze odżywione.

Z przyjemnością zajrzałyby do małych sklepików, kupiła wstążkę albo laseczkę cukrową, albo coś w tym rodzaju, chociażby po to, by z kimś porozmawiać, żeby przez kilka chwil czuć się normalnie i nie musieć bez przerwy zwracać uwagi na to, jak się wyraża, nie musieć grać swojej roli. Ale pieniądze miała rozliczone co do pensa i oszczędzała je na własne cele; mogą się okazać potrzebne, gdyby Brady miał trafić na tę całą Belle, a obawiała się, że może tak się stać.

Och, wydawał się do sprawy podchodzić całkiem poważnie i zdecydowanie, ale dla Reginy było oczywiste, że wciąż czuje jakąś słabość do córki Allertona. Gdyby piękna Belle rozszłochała mu się na ramieniu, błagając o litość, Regina poważnie podejrzewała, że zrezygnowałby z przekazania hrabiego katu. Mężczyźni już tacy byli. Nie potrafią skupić się na głównej wygranej, kiedy pojawia się piękna kobieta.

Nie żeby jej, Reginie, choć ociupinę zależało na Bradym czy tej całej Belle. Jeśli chodzi o nią, mogą się pobrać i mieć nuzin dzieci, i do końca życia czulić się, migdalić i mizdrzyć do siebie. Jej zależy tylko na zemście.

- Możesz kłamać jemu, Regino, ale nie sobie samej, ponieważ zależy ci na tym mężczyźnie, niech go diabli - wymamrotała i już miała wracać do gospody, ponieważ skłamała również, mówiąc Brady'emu, że nie jest głodna. Umierała z głodu. Poza tym jeżeli nie będzie jej tam, żeby ukrócić wybryki pana hrabiego, Bóg jeden wie, jakie jeszcze błazeństwo wymyśli, grając rolę Gawaina Caradoca, pajaca nie z tej ziemi.

- Gina? Gina, czy to ty? Zaczekaj, och, zaczekaj! To ja, Gino. To ja!

Regina, która właśnie zawracała do zajazdu, przystanęła w pół kroku, jakby stopy wrosły jej w chodnik, a serce nagle uwięzło w krtani.

- Kosma? - zapytała ze ściśniętym gardłem, odwracając się w końcu, i zobaczyła Kosmę, tak wysokiego, jak był szeroki, ubranego w brązowy, mnisi habit, najwyraźniej przebranego do roli brata Tucka. - Kosma! To ty! - wykrzyknęła w chwili, kiedy mężczyzna zamykał ją w niedźwiedzim uścisku, unosząc przy tym o pełne sześć cali nad ziemię.

- Och, Gino, dziewczyno, myśleliśmy, że nas opuściliście. Gdzie twoi rodzice? Znowu grzebią w ziemi i cebulkach? - Kosma postawił ją, a potem przytulił do siebie raz jeszcze. - Thomas i David będą wniebowzięci, po prostu wniebowzięci. Chodź! Nasz wóz stoi na skraju miasteczka. Idziemy poszukać twoich rodziców. Będziemy jeść, będziemy śpiewać, a Thomas uraduje się, że dziś wieczorem nie będzie musiał odgrywać Dziewicy Marion.

Tu zniżył głos do szeptu.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo mu to wychodzi, nie jest ani w połowie taki dobry jak ty, moja droga. To przez te bokobrody, rozumiesz sama. Najpierw nie chce ich zgolić, a potem dziwi się, czemu wszyscy chichoczą, jak wychodzi na scenę. Ze mnie jest dużo lepsza kobieta, ale brzuszysko mam takie, że sir Robinowi trudno byłoby porwać mnie na ręce i ocalić przed księciem Johnem.

Regina otarła oczy i cicho się zaśmiała.

- Och, Kosmo. Nie potrafię ci powiedzieć, jak się cieszę, że znowu jestem z tobą.

- No to bądź naszą Marion. Bądź naszą królową Elżbietą. Bądź naszą Julią. Jedź z nami, Gino. Jesteś nam strasznie potrzebna.

Regina potrząsnęła głową i cofnęła się o krok.

- Nie mogę, Kosmo. I nie mogę ci też niczego wytłumaczyć. - Popatrzyła na niego i westchnęła. - Och, Kosmo, nie potrafię wyrazić tego, jak miło cię znowu zobaczyć! Gracie dziś wieczorem? Gdzie? Muszę tam być i wiwatować na waszą cześć z widowni.

Kosma przyjrzał jej się bacznie i z namysłem.

- Bardzo wspaniałą nosisz suknię, Gino, prawda? Dzieje się coś podejrzanego, czyż nie mam racji? Może ja wcale za bardzo się nie cieszę, że cię widzę, może żaden z nas nie ucieszy się za bardzo na widok twoich rodziców. Zostawiliście nas samych na wiele dni, a my wreszcie doszliśmy do wniosku, że nie wrócicie. Ani wy, ani wóz. Wiesz, Gino, jak

trudno jest grać, kiedy ma się tylko połowę kostiumów i dekoracji? W naszym rozpaczliwym niuchaniu za najmarniejszym pensum zostaliśmy skazani na małe wioski, takie jak ta.

- Tak mi przykro, Kosmo - powiedziała mu szczerze Regina. - Ale zapewniam cię, że nie zamierzaliśmy was zostawić. Stało się... różne rzeczy się stały. Okropne rzeczy. Mama i papa... - Tu ukryła twarz na piersi Kośmy i zaczęła płakać. - Och, Kosmo, mamy i papy już nie ma.

- No, no, słoneczko - pocieszał ją aktor, klepiąc po plecach. - Wiedziałem, że na pewno stało się coś złego i mówiłem tak Thomasowi, kiedy zarzekał się, że musieliście przyłączyć się do jakiejś większej trupy i zostawiliście nas na pastwę losu. Nie ma ich, powiadasz? Obawiałem się tego.

Regina, łkając, pokiwała głową. Wydawało jej się, że najgorszy smutek zostawiła już za sobą, odkąd zdołała sama przeżyć i ukierunkowała całą rozpacz na myśli o zemście.

Ale kiedy zobaczyła Kosmę, kiedy opowiedziała mu, jakie nieszczęście ją spotkało, serce znowu jej się ścisnęło.

- Nie mogłam do was wracać, Kosmo, żeby nie ściągnąć na was kłopotów.

Kosma odsunął ją lekko od siebie, a potem sięgnął w głąb bocznej kieszeni mnisiego kostiumu i wyciągnął dużą, lekko tylko przybrudzoną chustkę.

- Proszę cię bardzo, Gino - powiedział, podając jej chustkę. - A odkąd to my przejmowaliśmy się kłopotami? Czy nie byliśmy razem przez te wszystkie lata, i tłuście, i chude? - Tu poklepał się po potężnym brzuszysku. - Te tłuście symbolizuję ja, a te chude Thomas.

Regina uśmiechnęła się przez łzy.

- A David symbolizuje te urodziwe - dodała. - Pamiętam. Och, Kosmo, tyle mam ci do opowiedzenia.

- Opowiesz nam, opowiesz, jak tylko wrócę do wozu i obudzę Thomasa i ślicznego chłopaczka. Dzisiejsze wieczorne przedstawienie zostaje niniejszym oficjalnie odwołane! Zresztą i tak sprzedaliśmy tylko z tuzin biletów. No to gdzie się spotkamy? Czy przyjdiesz do naszego wozu?

Regina zamyśliła się na kilka chwil, zastanawiając się, jaka będzie reakcja Brady'ego... jeżeli zdecyduje się go poinformować.

- Nie jestem pewna, Kosmo. Nie wiem, czy... nie! Albo mnie zaakceptuje taką, jaką jestem, albo wcale, a jeżeli nie zaufa temu, że ja obdarzam was zaufaniem, to do diabła z nim. I tak od początku nie podobał mi się jego sposób na załatwienie tej sprawy. Gdyby miał zarabiać na utrzymanie, występując na scenie, to po tygodniu umarłby z głodu.

Kosma zmarszczył brwi.

- Pewien jestem, że wiesz, o czym mówisz, Gino - Zwrócił się do niej. - I w każdej chwili, jak tylko będziesz chciała mi to powiedzieć, gotów cię będę wysłuchać.

- Wybacz mi, Kosmo - przeprosiła Regina i oddała mu chusteczkę, którą ponownie wepchnął do kieszeni. – Mówię trochę bez ładu i składu, prawda? Powiem ci coś: wracaj do wozu i czekaj tam na mnie. Może to trochę potrwać, ale dołączę do was, prawdopodobnie po zmroku. Będę sama, albo może kogoś ze sobą przyprowadzę. Bądź dla niego miły, Kosmo. To dobry człowiek.

Olbrzymie policzki Kośmy nadeły się, a potem skłęśły.

- Mężczyzna? Ty podróżujesz z mężczyzną? Do tego doszło, Gino? Och, twoi nieszczęśni rodzice! Nigdy nie pragnęli dla ciebie takiego losu.

Regina skrzywiła się i potrząsnęła głową.

- Nigdy! Ja bym nigdy.... do licha. Kosmo, musisz po prostu poczekać na wyjaśnienia. Przrzekam ci, że wszystko wam opowiem. Tylko, proszę, nie mów nic o papie i mamie. Nic oprócz tego, że byli aktorami. Ani słowa więcej.

- Ani słowa? Dlaczego?

- Ponieważ ten pan wie wyłącznie tyle, ile mu powiedziałam, a ja mu nie powiedziałam nic więcej. Ani słowa o tym malutkim projekcie papy. Ani słowa, jak to się stało, że odjechaliśmy sami, że mieliście czekać na nasz powrót i że nie wróciliśmy. Tylko nie zapomnij. Byliśmy wszyscy razem, Kosmo, kiedy napadli na nas bandyci. Wasze konie spłoszyły się i poniosły razem z wozem. Wasza trójka uratowała się, ale kiedy wróciliście, naszego wozu już nie było i nie pozostało wam nic, tylko znowu odjechać, oplakując troje dobrych przyjaciół. Rozumiesz?

- Nic a nic nie rozumiem, moja droga Gino, nic a nic. Ale ponieważ nie zdarza mi się zapominać tekstu, spełnię twoją prośbę.

- Będzie pan nimi zachwycony, zobaczy pan - przekonywała Regina, idąc w ciemnościach pod rękę z Bradym.

- Będę nimi zachwycony, księżniczko? Wciąż jeszcze wytrwale muszę powtarzać sobie, że ci trzej panowie żyją. A może zapomniała już pani o tym, że powiedziała mi, iż cała wasza trupa, oprócz pani, zginęła? Widzę, że będę musiał zapisywać pani kłamstwa, chociażby po to, żeby się pani nie poplątały.

- Tłumaczyłam panu to wszystko w gospodzie... uciekałam tamtej straszliwej nocy w takim pośpiechu, że potem mogłam tylko założyć, iż Kosma, Thomas i David również

nie żyją. W końcu, kiedy wróciłam, nie zastałam ich. Okazuje się, że udało im się uciec w jednym z wozów. Proszę, Brady, niechże się pan postara nie gmatwać faktów.

- Bardzo trudno byłoby mi je pogmatwać, jako że podała mi pani wszystkiego dwa, a może trzy. Nie znam pani prawdziwego nazwiska, bardzo mało wiem o pani rodzicach. Czy mogę żywić nadzieję, iż pani trzech przyjaciele będą mi w stanie powiedzieć więcej?

- Jeżeli okaże się pan na tyle nieuprzejmy, by ich o to pytać. Ale nie okaże się pan. Przyrzekł mi pan to, pamięta pan?

- Ach, ale to przyrzeczenie gwałtem zostało na mnie wymuszone. Wpadła pani do karczmy, policzki miała całe zaczerwienione, oczy błyszczące, i powiedziała pani, że ma dla mnie wspaniałą niespodziankę, jeżeli tylko zgodzę się nie zadawać pytań. Byłem na tyle głupi, że się zgodziłem. I oto, odziany w te głupawe stroje, drobię na obcasach w ciemności, ryzykując zwichnięcie kostki, i martwię się, jakie wrażenie zrobię na trzech tchórzach, którzy uciekli, zostawiając panią i jej rodziców własnemu losowi. Nie potrafię wprost pani powiedzieć, jaki jestem zadowolony.

- Oni wcale... och, wszystko jedno. Proszę tylko uwierzyć mi na słowo, że absolutnie nie ponoszą żadnej winy. I że są moimi przyjaciółmi. Musimy im pomóc, rozumie pan. Po tym... po tym wydarzeniu została im tak niewielka ilość dekoracji i kostiumów, że z trudem są w stanie wystawić jakąś prostą sztukę. Jestem pewna, że potrzebują pomocy. Pomyślałam sobie, że zabierzemy ich ze sobą do Londynu.

Brady potknął się o jakiś spory kamień i niewiele brakowało, a runąłby na twarz.

- Pani pomyślała sobie, że my.... och, nie sądzę, księżniczko. Bardzo stanowczo nie sądzę.

- A czemu nie? Mogliby nam się przydać. Chociażby dlatego, że Thomas mógłby nauczyć pana, jak chodzić w tych śmiesznych butach na wysokim obcasie. A David mógłby pokazać panu, co zrobić, żeby zachowywać się jak firecyk, a mimo to być nadal mężczyzną, a nie...

- Przepraszam panią - przerwał jej Brady, szczerze obrażony. - Czy chce pani powiedzieć, że...

- Z całą stanowczością chcę - przerwała mu Regina ze śmiechem. - Właśnie to usiłowałam panu przekazać. Pana gesty są zbyt pretensjonalne, nadmiernie przerysowane. Krótko mówiąc, milordzie, przeszarżował pan. Okropnie.

Brady zastanawiał się nad tym przez chwilę, kiedy ruszyli znowu przed siebie w ciemnościach.

- A ubrania? - zapytał z nadzieją. - Czy one też są przeszarżowane?

- Och, nie, ubrania są świetne. To tylko pan jest nieświeży, milordzie.

- Cholera - mruknął Brady, widząc, jak rozwiewają się jego nadzieje na to, że przynajmniej część koronek i jedwabie zostanie zesłana w niebyt albo przynajmniej na tyły bieliźniarki. - I żadnych więcej gróźb, że mi słabo? Żadnych cichych okrzyków na widok chleba, z którego nikt nie okroił skórki? Czy to chce pani powiedzieć?

- Stanowczo - zgodziła się Regina. - Tylko chyba musimy podeprzeć mój pomysł fragmentami pana pierwotnego pomysłu.

- To znaczy?

- Musi pan mieć więcej ikry, milordzie - wyjaśniła Regina. - Te pana ubrania i włosy, i to afektowane przeciąganie sylab, które pan stosuje, są w porządku. W połączeniu z pana mało ślicznym nosem dają taki efekt, że pewnie własna matka by pana nie poznała. Musi pan tylko przestać być taki... niemądry. Bo to jest żenujące.

- No cóż, jeżeli panią żenuję...

Regina dała mu lekkiego klapsa w rękę i Brady uśmiechnął się, ponieważ cieszył go fakt, że wydaje się tak swobodnie czuć w jego towarzystwie. Kobiety nie czują się swobodnie w towarzystwie mężczyzn, w stosunku do których mają romantyczne zakusy, był tego pewien. Wystarczająco fatalne było to, że on widział w niej teraz kobietę, godną pożądania kobietę. Gdyby ona zaczęła w nim widzieć godnego pożądania mężczyznę, źle by się to mogło skończyć, czyż nie?

- Thomas jest, no, wie pan, a przy nim w najmniejszym stopniu nie czuję zażenowania. Nadal pan niczego nie rozumie. To ta pana godna pożałowania przesada irytuje mnie tak, że mi zęby cierpną. Niech pan pamięta, że jestem znakomitą aktorką. Tak więc to moja opinia się liczy.

Brady lekko podrzucił głową, odsyłając nieposłuszne pasemko włosów na miejsce.

- Rozdygotałbym się od stóp do głów, moja droga - wycedził sarkastycznie - gdyby opinia pani miała dla mnie najmniejsze choćby znaczenie. Ale ponieważ nie ma, przekonany jestem, że uda mi się przeżyć do rana i nie ucierpieć nadmiernie albo może nawet wcale.

- Proszę! - wykrzyknęła Regina, odwracając się i dźgając go palcem niemal prosto w twarz. - To jest to! Trafił pan w dziesiątkę! Doskonale! Fircyk, dandys. Leniwy, znudzony, ale zawsze gotów dać ciętą, uszczypliwą replikę. Och - dodała z uśmiechem - ależ jestem wspaniała!

Była tak bezgranicznie zadowolona z siebie. Brady marzył o tym, żeby ją chwycić w

ramiona i pocałować w uśmiechnięte usta. Zapomniał się do tego stopnia, że zaczął marzenie wprowadzać w czyn, kiedy z ciemności dobiegł głośny okrzyk.

- Gina! A ja myślałem, że ten człowiek sobie podchmielił, że upił się i majaczy, a tymczasem to prawda! Och, chodź tu, kochana, i pozwól, bym ucałował twe włosy, twe drobne dłonie i stopy. Pozwól, bym padł ci do nóg, a wtedy chętnie utonę w swoich własnych radosnych łzach!

Regina szeroko się uśmiechnęła.

- To będzie Thomas. Niech pan pamięta, by brać z niego wzór, wujaszku Gawainie, on jest doskonały - powiedziała, u potem odwróciła się i podbiegła do wysokiego, szczupłego mężczyzny, który wyciągał do niej ramiona.

- Brać z niego wzór, on jest doskonały - powtórzył Brady śpiewnie, zdając sobie sprawę, że pewnie okazuje małośćkowość. Ale dość było na tego człowieka popatrzeć. Chudy jak patyk, fryzura okropna, spodnie łatane w co najmniej czterech miejscach. Z kogoś takiego ma brać wzór? Za nic.

No, chociaż może jednak. Nie da się zaprzeczyć, postawę miał uderzającą. Chociaż trzymał się bardzo prosto, jego kończyny robiły wrażenie tak rozluźnionych, że gdyby nie były przyczepione w barkach i biodrach, to pewnie by odfrunęły. Niezwykły. Zgrabny. Brady zaciął zęby. Niemal protekcyjonalny, jakby był królem, okazującym niesłychaną łaskę najpodlejszemu ze swoich poddanych.

- Ciekawe - mruknął Brady, przyglądając się, jak Thomas podchodzi, przystaje, jak przybiera pozę, a następnę składa mu elegancki ukłon. - Całkiem śliczny ukłon, mój zacny człowieku - dodał. - Pozwoli pan, że się przedstawię. Nazywam się Gawain Caradoc, hrabia Singleton. A pan jest...?

- Wydaje mi się, że to może poczekać, panie hrabio - powiedział Thomas, prostując się ponownie na całą swoją wysokość. Do wzrostu Brady'ego brakowało mu dobrych trzech cali, ale nie przeszkadzało to aktorowi spoglądać z góry i wyniośle. - Powiadomiono mnie, że pan i Gina podróżujecie razem? Jestem pewien, że potrafi pan to jakoś wytłumaczyć.

Brady już otwierał usta, by udzielić odpowiedzi, ale zanim zdążył rzec choć słowo, jakaś zjawka mignęła mu przed oczami i wykrzyknęła: „Gino, kochana moja!”, a następnie porwała Reginę w ramiona i pocałowała prosto w usta.

- David, przestań! - protestowała Regina ze śmiechem, kiedy młody człowiek, stanowczo zbyt przystojny, by mu to wyszło na dobre (albo żeby wyszło to na dobre Brady'emu), okręcił ją dookoła, obsypując pocałunkami jej policzki i szyję.

Brady również przybrał teatralną pozę; jedną rękę oparł na biodrze, a drugą podniósł do prawego oka monokl.

- Tak, Davidzie, przestań, proszę, z łaski swojej obłapiać tę dziewczynę - wycedził, zastanawiając się, dlaczego właściwie ma ochotę skrócić Davidowi jego śliczny kark zaraz po tym, jak połamię mu nogi i ręce, i być może również nos. A raczej nos na pewno. - Poczulbym się niesłychanie znużony, gdybym cię musiał zabić.

Przyglądał się, jak David rzuca na niego okiem i wraca spojrzeniem do Reginy.

- Kim jest ten wysztafirowany galant? Kimkolwiek jest, może się zmywać. Nie potrzebujemy go, skoro ty wróciłaś.

- Davidzie, Davidzie, Davidzie - z westchnieniem rzekł Thomas - jest dokładnie tak, jak powiadał Cervantes: „W zamknięte usta nie wpadają muchy”. Sugeruję, byś zamknął swe usta, zanim połkniesz więcej niż jedną. Ten dżentelmen, zrozum, jest hrabią Singleton. - Odwrócił się do Brady'ego.

- Proszę mu wybaczyć, milordzie, jest młody. Zbudowany jak grecki bóg, przyznaję, ale młody, i wciąż jeszcze ma dość pusto między uszami.

- Przepraszam, milordzie - powiedział David z uśmiechem, a Brady'emu wydało się, że równiuteńkie, białe jak perły zęby chłopca nie powinny aż tak błyszczeć w świetle księżyca. Potem David uklonił się elegancko, przez co Brady poczuł się prawie zgrzybiały, zwłaszcza że ukończywszy przeprosiny, młodzieniec odwrócił się znowu do Reginy i ucałował ją raz jeszcze.

- Czy przejdziemy razem z oseskami do wozu, milordzie? - zapytał Thomas, a Regina i David ręka w rękę ruszyli w kierunku dużej, górującej nad nimi w ciemnościach bryły. - Kosma parzy właśnie herbatę. Ale jeżeli poczęstuje pana ciasteczkami, proszę odmówić. Nie przestaję mu powtarzać, że mógłby swoje ciasteczka pomalować na czarno i używać ich jako kul armatnich.

- Dziękuję za to ostrzeżenie. Czy to młody ukochany, Thomasie? - zapytał Brady, pokazując na Reginę i Davida ospałym... miał nadzieję... ruchem dłoni.

- Młody idiota, milordzie - odrzekł Thomas, potrząsając głową. - Giną go ubóstwia, tak samo jak ubóstwiałyby młodego szczeniaka i równie poważnie go traktuje. A nasz młody David z dużo większym zapałem całuje swoje własne lustro i zdecydowanie wkłada w tę czynność o wiele więcej uczucia. Czy moja odpowiedź uspokoiła pana, milordzie?

Brady zadowolony był z panujących ciemności, bo poczuł, że rumieniec oblewa mu policzki.

- Zadałem to pytanie z pustej ciekawości, Thomasie - wyjaśnił i sięgnął do kieszeni, żeby wyjąć tabakierkę, zamierzając ukryć się za śmiesznym rytuałem i jeszcze śmieszniejszym kichaniem. - Czy mogę poczęstować pana szczyptą preferowanego przez mnie gatunku?

Następnie przyglądał się z pełnym czci podziwem, jak Thomas ujmuje złote puzderko, stuka raz w pokrywkę palcem wskazującym, potem otwiera je jedną ręką, bierze szczyptę tabaki, kładzie ją sobie na grzbiecie drugiej dłoni, wciąga delikatnie w nozdrze, bierze drugą szczyptę i z wdziękiem powtarza całą operację.

- Doskonała, milordzie - powiedział następnie, zatrzasnąwszy pokrywkę i oddając puzderko Brady'emu, a następnie dotykając górnej wargi chusteczką, którą wyciągnął z kieszeni. - Muszę wziąć od pana adres pana dostawcy.

- Nie kichnął pan - stwierdził Brady dosyć oskarżycielskim tonem. Nienawidził tabaki, ale był przekonany, że żaden dandys nie powinien się nigdzie bez tabakiery ruszać.

Thomas się roześmiał.

- Bo jej nie zażyłem, milordzie - wyjaśnił. - Moim zdaniem to okropny, niehigieniczny zwyczaj. Sieje spustoszenie w ubraniach i nosie. Ale kiedy mnie ktoś częstuje, zawsze staram się zachować uprzejmie. Pan po prostu założył, że wciągnąłem trochę tego proszku.

- Żałuję, że sam o tym nie pomyślałem - wymamrotał Brady pod nosem, wypychając tabakierkę z powrotem do kieszeni, a Thomas poprowadził ich do wozu, okrążając go, by przejść na tyły, gdzie paliło się ognisko i zebrała się reszta towarzystwa.

Przedstawiono go z miejsca Kosmie i nie minęło kilka chwil, a doszedł do wniosku, że małą trupą kieruje raczej ten pękający w szwach mężczyzna, starszy od pozostałych, chociaż Thomas nie pozostaje daleko w tyle. Ktoś podsunął mu rozchwierutane krzesło, najlepsze z całej kiepskiej zbieraniny, którą ustawiono w półkole wokół ogniska. Brady usiadł, przyjął filiżankę letniej herbaty, podziękował za ciastka i czekał. Czekał, aż Regina i jej przyjaciele zakończą swoją dosyć dziwaczną rozmowę.

- Przewiezliśmy w Kent, razem ze Zdumiewającymi Andersonami, którzy właśnie zakończyli tournée po tym terenie, i to z dużo lepszym rezultatem niż nasza biedna trupa. Połowa koniecznych nam rekwizytów została w waszym wozie. Zechciej sobie tylko wyobrazić, Gino, że wystawiliśmy „Makbeta”, mając tylko kulisę do „Dwunastej nocy”, Żadnego zamku, żadnych murów. Same drzewa.

- Wielki las Birnam podszedł pod Dunzynn w pierwszym akcie i już się stamtąd nie ruszył. Na szczęście nikt na widowni nie zwrócił na to uwagi. Pochłonięci byli

zaśmiewaniem się z naszego Kosmy, któremu pękła fiszbina. Zabrzmiało to jak wystrzał i Kosma przeleciał przez pół sceny.

- Tamtego wieczoru lady Makbet wcale nie lękała się widoku krwi na własnych dłoniach. Za bardzo zajmowały ją starania, by zmieścić się z powrotem w pęknięty gorset. Wyglądała całkiem tak, jakby wyrosła jej jeszcze jedna....

- David, kochanieńki, nie przy dziecku.

- Andersonowie prosili nas, żebyśmy przyłączyli się do nich na sezon objazdowy, ale oczywiście musieliśmy odmówić. Wiesz sama, że oni pracują z akrobatami. I psem, który chodzi po scenie na dwóch łapach i nosi plansze z objawieniami w pysku. To takie declasse.

- Och, dość już, dość! Musimy teraz posłuchać Giny. Giny, słoneczko, opowiedz nam o wszystkim.

Brady pochylił się do przodu na krześle.

- Tak, Gino, rzeczywiście, opowiedz nam o wszystkim - poparł swojego przedmówcę.

Potem patrzył, jak Regina wstaje, wygląda spódnice i zajmuje centralną pozycję na scenie; głowę miała uniesioną wysoko, ręce układnie złożyła przed sobą.

- Jak wam już mówiłam, moi zacni przyjaciele, mama i papa zginęli podczas ataku bandytów... a ja wciąż nie posiadam nie z radości, że wam udało się uciec. Nie miałam o tym pojęcia, rozumiecie, ponieważ zgodnie z poleceniem papy pobiegłam do lasu, a kiedy wróciłam, obydwaj wozy zniknęły.

- Konie poniosły. Wyrwały się, szarpały, rżały z przerażenia na odgłos strzałów, które rozrywały ciszę nocną.

- David niemal zrobił pod siebie, no i faktem jest, że wypuścił lejce.

- Absolutnie nic takiego nie miało miejsca! To właśnie ty...

- Tak, tak, starczy tego wytykania palcami, mój drogi. Ważne jest to, że konie ponosiły przez ponad milę i dopiero wtedy wywróciliśmy się do rowu. Powrót na miejsce akcji zajął nam kilka godzin, a wtedy nikogo tam już nie zastaliśmy. Nikogo. Ale ty, kochana Gino, jesteś bezpieczna, i tylko to się liczy. Czyż nie mam racji, Kosmo?

- To wielka prawda, Thomasie. Jakże często Fortuna, moi najdrożsi przyjaciele, po dziwnych kroczy ścieżkach.

- Dokładnie - przytaknęła Regina i lekko się ukloniła, najwyraźniej wyrażając wdzięczność zarówno dla interwencji Thomasa, jak i dla pani Fortuny... a przy sposobności, jak się Brady'emu zdawało, ostrzegając przyjaciół, by nie powiedzieli za wiele.

Wszyscy trzej przemawiali przekonująco. Brady popatrzył na nich i uświadomił sobie, że przecież są aktorami, a po aktorach należało się czegoś takiego spodziewać. Na dodatek w spojrzeniu, jakim Regina obrzucała przyjaciół, a zwłaszcza Davida, najmłodszego i najmniej doświadczonego, było coś, co kazało mu się zastanawiać, czy aby na pewno powinien w to wszystko uwierzyć, czy może raczej nagrodzić przedstawienie oklaskami.

- Ale co ty później zrobiłaś, Gino? Dokąd się udałaś? Jak przeżyłaś? - Kosma popatrzył na Brady'ego w taki sposób, że ten nagle zapragnął skulić się na krześle albo może nagle rzucić się Kosmie do nóg i błagać o wybaczenie. - Musiała być w desperacji.

- Bardzo przepraszam - odezwał się, wtykając sobie monokl w oko. - Czy chce pan powiedzieć, że jestem ostatnią smutną nadzieją zdesperowanej kobiety? Czuję się obrażony, sir.

- Proszę o wybaczenie, milordzie - powiedział Kosmaj, który absolutnie nie wyglądał na skruszonego. - Ale ona musiała być w desperacji. Przecież właśnie straciła rodziców, a oprócz tego również i nas.

- Och, byłam w desperacji, Kosmo, bez dwóch zdań - przerwała mu Regina i uwaga wszystkich skierowała się znowu na nią. - Ale szczęśliwie udało mi się dotrzeć do Londynu, a tam występowałam ze wspaniałą panią Gertrudą Żeliwną. Nie miałyśmy wozu ani dostępu do żadnej sceny, ale wędrowaliśmy po mieście, dając zaimprovizowane przedstawienia, a wieczorem udawałyśmy się do naszych całkiem sympatycznych pokoi na spoczynek. Szczęście się do mnie uśmiechnęło i cudownie się bawiłam, naprawdę.

Brady nie jęknął. Nie zaczął przewracać oczami. Na wspomnienie Żeliwnej Gerty i występów Reginy w roli małej, bosej, ślepej żebraczki, sprzedającej szmaciane laleczki przed Covent Garden, nie zaczął się krztusić, pluć ani w żaden inny sposób nie zdradził, że mało brakowało, a byłby się udławił własnym językiem. Doszedł do wniosku, że sam jest nienajgorszym aktorem.

Chociaż marzył o tym, żeby wysłuchać do końca zmyślonej opowieści Reginy, doszedł do wniosku, że może będzie to bardziej z korzyścią dla niego, jeżeli w tej chwili jej przerwie i zacznie snuć własną baśń, taką, która przedstawi go w dobrym świetle.

- Kiedy zobaczyłem, jak Regina występuje z panią Żeliwną - powiedział podnosząc się i stając u boku dziewczyny - przyszło mi na myśl, by zaangażować ją do pewnej drobnej sprawy, której realizacji się podjąłem. Czyż nie tak, Regino?

Regina rzuciła mu szybkie spojrzenie, a on puścił do niej oko.

- Och, tak, prawda. Jego lordowska mość mnie zaangażował. My... my zamierzamy...

- Zamierzamy zdemaskować mordercę - dokończył Brady za nią, pospiesznie szperając w pamięci. Trafił na jedną z intryg, jaką jego przyjaciel Kipp umieścił w powieści Araminihy Zane, i nie zwlekając zaczął improwizować, by opowieść mogła objąć również i jego. - Widzicie, panowie, tytuł hrabiowski odziedziczyłem dopiero ostatnio, po tym, jak mój kuzyn, świętej pamięci hrabia, padł kilka miesięcy temu ofiarą nieczystej gry. Moją uwagę zwrócił fakt, że przed laty pewien inny dżentelmen, jego małżonka oraz młoda córka zostali zamordowani w podobnie okrutny sposób, chociaż jeśli chodzi o córkę... jakże mam to ująć? Nie pozostaje mi nic, tylko rzec to wprost. Ciała córki nigdy nie wyłowiono z Tamizy.

- Tak więc jego lordowska mość wprowadzi mnie w towarzystwo jako swoją podopieczną, a potem da do zrozumienia, że mogę być tą zaginioną córką.

- Która, chociaż pamięć straciła całkowicie... - wtrącił Brady, a potem cofnął się o krok, by pozwolić Reginie snuć opowieść dalej.

- Och, straciła. Straciła. Ale ma taką... taką myszkę...

- Na dosyć intymnej części ciała... - uzupełnił Brady, przykładając chusteczkę do ust, by ukryć uśmiech.

Regina spiorunowała go spojrzeniem, jej nozdrza się rozszerzyły.

- No właśnie. Ale jeżeli odzyska pamięć, może rozpoznać ludzi, którzy zamordowali jej rodziców. Zawiazali ich w worki, obciążyli łańcuchami, o północy wrzucili do obrzydliwie brudnej Tamizy, gdzie ciała opadały w dół, coraz głębiej i głębiej w ciemną wodę...

- Tak, moja droga, sędzę, że panowie już zrozumieli- przerwał jej Brady i pożałował, że Regina jest taka dobra w utarczkach słownych i przypomina mu o sprawach, o których wolałby zapomnieć. Zwrócił się do trzech mężczyzn, którzy z uwagą na niego patrzyli. - I tak to jest, panowie. Widzicie więc, że nie macie się czego obawiać z mojej strony, jeśli chodzi o pannę Reginę. Jesteśmy partnerami w interesie, tylko i wyłącznie.

- Ależ to podniecające! - wykrzyknął David, klaszcząc w dłonie. - Czy znajdzie się rola dla mnie? Może zagorzałego wielbiciela Reginy? Ze mnie jest naprawdę wspaniały Romeo, Nie, nie! Byron! Mógłbym być przystojny i posepnie zamyślony i mieć cały Londyn u swych stóp, a wy dwoje przekradalibyście się chyłkiem, nikt nie zwracałby na was uwagi i moglibyście szukać morderców. Widziałem kiedyś Byrona, ani w połowie nie jest taki ładny jak ja.

Brady pogratulował sobie, że powstrzymał się i nie dopuścił, by górna warga uniosła mu się w szyderym uśmiechu. Wiedział, że to poniżej jego godności być zazdrosnym o tego nieopierzonego żółtodzioba. Tego przystojnego, nieopierzonego żółtodzioba, który pocałował

Reginę w usta. Dwa razy.

- Bardzo dobrze, Regino - szepnął do niej. - Proszę się teraz pożegnać. Jutro, kiedy o świcie będziemy wymykali się do Londynu, wetknę mieszek w jakiś zakątek wozu. Możepani nawet na pożegnanie nakreślić kilka tkliwych słów i poprosić przyjaciół, żeby zobaczyli się z nami w Singleton Chase za dwa miesiące.

Regina potrząsnęła głową i odpowiedziała mu również szeptem.

- Nie, nie sądzę. Myszka? Kto by w to uwierzył? Posunęłam się za daleko, ale to wszystko pana wina. Moja bajeczka byłaby dużo lepsza, gdyby tylko pozwolił mi pan ją opowiedzieć.

Thomas wyjął chusteczkę, kiedy Brady i Regina szeptali do siebie, dmuchnął na monokl, a potem go wypolerował.

- Wierutne kłamstwo - odezwał się do Kosmy, wystarczająco głośno, by Brady go usłyszał. - Zdarzało jej się już opowiadać gorsze bajeczki, a jednak jest to wierutne kłamstwo.

- Kłamstwo? Więc ona nie będzie mnie potrzebowała do żadnej roli? - zapytał David, a Thomas cmoknął raz czy dwa, patrząc na młodego człowieka ze szczerą litością dla jego umysłowych braków.

- O, tak, Davidzie, wierutne kłamstwo - zgodził się Kosma, potrząsając głową. - Ale Gina opowie nam wszystko, kiedy przyjdzie na to pora. Gino? Zamierzasz zabrać nas ze sobą do Londynu, prawda? Wydaje mi się, że będziemy ci potrzebni.

- Och, z całą pewnością, najdroższy Kosmo. Jego lordowska mość pilnie potrzebuje naszej pomocy, niemal błaga o nią - poparł go Thomas. - Rola, którą odgrywa, w tragiczny sposób domaga się dopracowania.

- Widzi pan? Mówiłam panu, milordzie: przeszarżował pan - rzekła zadowolona z siebie Regina.

Regina i Brady spędzili w zajeździe pocztowym tydzień, codziennie składając w wozie aktorów wizyty, podczas których Thomas nauczał, a Brady sumiennie słuchał i przyswajał wiedzę.

Koniec końców podczas długich wieczornych rozmów przy ognisku prawda wyszła na jaw, przy czym w sekrecie utrzymano tylko cygaństwo Reginy na temat madame Gertrudy Żeliwnej. Regina do końca życia była wdzięczna Brady'emu, że nie zasmucał jej najdroższych przyjaciół prawdą o tym dosyć paskudnym czasie.

Kosma, Thomas i David wiedzieli tyle, że Regina, po okresie spędzonym z madame Żeliwną, wystarała się o pracę jako pokojówka w rezydencji wicehrabiostwa Willoughby w Londynie, a hrabia Singleton zainteresował się jej osobą oraz opowieścią, którą przekazała mu młoda żona wicehrabiego.

Myśl, że Regina mogła nakłamać hrabiemu i jego małżonce, nie zmartwiła jej trzech przyjaciół, którzy tylko ze zrozumieniem kiwali głowami, kiedy Brady opowiadał im, jak próbowała swoich pracodawców ocyganić, podając się za zagubioną wśród burz sierotę. Wcale nie czuli się zaskoczeni, dowiedziawszy się, że Brady udał się do Little Woodcote, chcąc zweryfikować opowieść Reginy.

Kosma powiedział Brady'emu co następuje:

- Kiedyś, jak miała pięć lat, opowiedziała nam, że porwali ją Cyganie i że naprawdę jest księżniczką. Dosyć była wiarygodna, nawet w tak młodym wieku. Wydaje mi się, że jej własna matka miała wątpliwości, czy aby na pewno ją urodziła, przynajmniej przez pewien czas.

Po tym, jak Brady i Regina wyznali trójce aktorów prawdę na temat lorda Allertona i zamordowania hrabiego Singletona, ci z kolei uznali, iż powinni poinformować Brady'ego, że w obozowisku w pobliżu Little Woodcote wcale ich nie było. Mówiąc szczerze, wyznał Kosma, nigdy nie bywali w Little Woodcote, chociaż rodzice Reginy udawali się tam dwa razy do roku od co najmniej trzech lat.

- A on wcale nie jest naprawdę Gawainem Caradokiem, tym nowym hrabią - wtrąciła pospiesznie Regina w chwili, kiedy Brady już miał zadać kilka celnych pytań. - To jest Brady James, ten sam, który od początku wtykał nos w moje sprawy, a mogłabym tu dodać, że wcale go o to nie prosiłam. Tę część opuścił, prawda? - Skrzyżowała następnie ręce w talii i zmierzyła go gniewnym spojrzeniem. - To tylko na wszelki wypadek, gdybyście

mieli sądzić, że wyłącznie ja naginałam tutaj prawdę.

Zajęło im to cały tydzień, zanim wszystko poustalali, oddzielili cygaństwa od prawdy, fakty od fikcji. David poddał się i przestał próbować cokolwiek zrozumieć już na drugi dzień, zadowolając się wieścią, że pojedzie do Londynu i że dostanie nowe ubranie.

Thomas, który podsunął Davidowi rolę jednego z wesołych, kontynentalnych kompanów lorda Singletona, zaproponował swoją kandydaturę na kuzyna jego lordowskiej mości ze strony matki, nieśmiałego i wstydliwego dżentelmena, który nie będzie życzył sobie kontaktów z towarzystwem.

Ale to rola Kosmy spowodowała, że wszystkie ich cudowne plany niemal wzięły w łeb, ponieważ rankiem tego dnia, kiedy mieli udać się do Londynu, powitał ich w wozie przebrany za panią Matildę Forrest, przyzwoitkę Reginy.

Niewykłuczone, że gorset został naprawiony, ale trzeba by czegoś więcej niż mocna, wzmacniana fiszbinami sznurówka, żeby zmniejszyć obwód Kosmy do rozmiarów niewielkiego... no, powiedzmy, niewielkiego wieloryba. Niewielkiego wieloryba, ubranego w pasiaste, biało-czerwone jedwabie, czerwone pantofle takich rozmiarów, że mógłby bez trudu zdeptać jakąś niewielką wioskę, oraz blond perukę, całą w lokach i pierścionkach, z której sterczały dwa wielkie, białe strusie pióra. Kosma uzupełnił swój strój niewielką torebką i wachlarzem, a dłonie okrył koronkowymi mitenkami, ale w porównaniu z całością te szczegóły były już bez znaczenia.

- Nigdy! - oznajmił Brady, kiedy Kosma przedstawił swój pomysł. Kompletnie zapomniał o lekcjach dandyizmu, wymagającego cedzenia słów, twarz mu poczerwieniała i zareagował całkiem głośnym i pełnym energii ryknięciem.

- A czemu nie? - zapytała Regina, biorąc się pod boki. - Ona... on... wcale nie wygląda bardziej absurdalnie niż pan, milordzie. I uważam, że ta muszka w kształcie serca na podbródku Kosmy jest fascynująca.

- Nigdy nie udało mi się zapamiętać, czy zdobi się prawy policzek dla torysów, a lewy dla wigów, czy odwrotnie - wyjaśnił Kosma, zręcznie otwierając wachlarz i wymachując nim tuż pod podwójnym, ozdobionym serduszką podbródkiem. - Postanowiłem więc nalepić ją sobie na środku. Kobiety w żadnym razie nie powinny wdawać się w politykę, a pan jak uważa, milordzie?

Brady odwrócił się na pięcie i wyszedł z wozu, wołając:

- Regino! Ale już!

Nie był pewien, czy Regina za nim pójdzie, nie był nawet pewien, czy chce, żeby za nim poszła, ale wiedział, że musi opuścić wóz i trzech aktorów, zanim eksploduje.

Polubił tych ludzi, wszystkich trzech, kiedy w końcu doszło do niego, że David jest równie nieszkodliwy i niemądry jak jakaś debiutantka. Może mogliby za przyzwoitkę Reginy przebrać Davida? Nie. To by się nie udało. Był, po pierwsze, zbyt młody, a po drugie, Brady nadal nie czuł się zachwycony, kiedy ten mały, mający skłonności do uścisków i całusów cymbał zbyt często kręcił się przy Reginie. Myśl ta prześladowała go, chociaż w tej akurat chwili wcale nie czuł się życzliwie usposobiony do panny Reginy Bliss.

Thomas będzie świetny. Umie nie rzucać się w oczy, a będzie stale pod ręką, gdyby Brady chciał o coś zapytać, i ogólnie rzecz biorąc, zadziała jak czynnik stabilizujący. David będzie świetny, ma taką ładną buzię, że będzie się musiał chować za palmami w doniczkach, chcąc ująć przed rozchichotanymi dziewczętami, które niewątpliwie uznają go za przystojnego.

Ale Kosma jako kobieta? O, nie. Zdecydowanie nie.

Przystanął, odwrócił się i zaczął perorować. Na szczęście Regina posłuchała i poszła za nim, bo inaczej wyglądałby trochę głupio.

- Nie pokażę się w londyńskich kręgach towarzyskich tą... tą... tą kobietą! Dobry Boże, Regino, już wolałbym, żebyśmy trafili na Zdumiewających Andersonów do spółki z tańczącym psem i ich zabrali do Londynu.

Regina podeszła bliżej i poklepała go po ręce.

- No, no, milordzie, niech się pan uspokoi. Rozumiem, w czym problem.

Brady zacisnął dłonie w pięści, zastanawiając się, co by się stało, gdyby odrzucił głowę w tył i zawył. Pewnie nic. Ci ludzie potrafili z kamienną twarzą przyjmować to, co niezwykle, przyjęliby tak nawet wyjącego hrabiego w fioletowo-brązowych jedwabiach.

- Problem w tym - ciągnęła Regina, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że Brady bliski jest eksplozji - że przekonany jest pan, iż my nie traktujemy tej sprawy z powagą, na jaką ona zasługuje. Ale to bzdura, bo wcale tak nie jest. Podchodzimy do niej równie poważnie jak pan, może nawet bardziej. Tylko że... tylko że musieliśmy znaleźć jakiś sposób, który pozwoliłby nam przeniknąć do kręgów towarzystwa z wyższych sfer, podobnie jak pan znalazł sposób, by wprowadzić tam siebie.

- Nosząc jedwabie, czerwone obcasy i fanfaronując jak jakiś głupek - wycedził przez zaciśnięte zęby Brady. - Musiałem rozum stracić. Oberwij wystarczająco mocno po głowie, wypij wystarczającą ilość Tamizy, a stracisz rozum. Ale już dość tego, panno Bliss, dość tego. Od tej chwili moje plany ulegają zmianom.

- Och, naprawdę? Jakim zmianom?

Oczy Brady'ego zwięzły się, popatrzył na nią gniewnie.

- Po pierwsze, pomachamy na do widzenia Thomasowi, Romeo i Matyldzie, i znikniemy z ich życia. Po drugie, zabiorę panią z powrotem do lorda i lady Willoughby, i wyrażę gorące życzenie, by przykuli panią do słupka przy łóżku i trzymali tam panią, dopóki nie powiem, że mogą ją bezpiecznie spuścić z łańcucha. Po trzecie, spalę te stroje, zetnę włosy i zaprezentuję się towarzystwu jako mroczny, posepny Gawain Caradoc, którym od samego początku chciałem być.

- Nie powinien pan ścinać włosów, milordzie - zwróciła mu chłodno uwagę Regina. - Chyba że chce pan jeszcze bardziej opóźnić swój występ w towarzystwie, czekając, aż porośnie panu wąsem górna warga.

Brady cofnął się o krok, niełicho wstrząśnięty, że tak szybko zaakceptowała jego nowy plan.

- A więc załatwione? Zgadza się pani?

- Och, nie ulega to kwestii, milordzie, chociaż nic nie mówiłam z obawy, że pan mógłby się nie zgodzić. Ta metoda zdecydowanie będzie lepsza. Spotkanie z Kosmą, Thomasem i Davidem tylko pogorszyło i tak niewykonalny plan. Zresztą w żadnym razie nie udałooby się panu go zrealizować. Jeżeli mam mówić szczerze, to odczuwam ulgę.

Brady otworzył usta, wycelował w nią palec, zamknął znowu usta, a potem z plaśnięciem złapał się oboma rękami za boki twarzy, jakby chciał nie dopuścić do eksplozji własnego mózgu.

- Nie wytrzymam tego - powiedział, nie do Reginy, nie do siebie, ale kierując uwagi do całego świata, na wszelki wypadek, gdyby tam ktoś słuchał. - Jak ona to robi? W jaki sposób za każdym razem wykręca kota ogonem tak, żeby to była moja wina? Nie udałooby się, powiada - ciągnął, teraz już wymachując rękami i spacerując po ścieżce na końcu porośniętego trawą terenu, gdzie tkwił wóz. - Nie jestem wystarczająco dobry, wystarczająco przekonujący. Ani słowa o tym idiotycznym, wdzięczącym się pawiu z ptasim mózdzkiem. Ani słowa o Thomasie i jego... tam, do diabła, Thomas jest w porządku, całkiem w porządku. Ale Kosma? Wygląda jak namiot na targowisku! Lecz nie. Nie. Oni są po prostu wspaniali. Tylko ja nie. Ja jestem tym fragmentem, który nie działa, aktorem, który nie potrafi grać.

Skończywszy perorować, odwrócił się gwałtownie i znowu spojrzał na Reginę.

- Porzuca mnie pani - powiedział oskarżycielskim tonem. - Wykorzystała mnie pani, a teraz mnie pani porzuca, pozbywa się pani mnie. Prawdopodobnie po to przebrała pani Kosmę za bożonarodzeniowy pudding, żebym w końcu zdał sobie sprawę z własnego szaleństwa i powiedział pani, iż naszego planu nie da się zrealizować. A wszystko dlatego, że skoro udało się pani odnaleźć swoich przyjaciół, ma pani już własne plany, prawda, Regino?

Zna pani jego nazwisko, wie pani, że jest w Londynie, nosi pani na grzbiecie stroje, które pani kupiłem, oraz moje pieniądze w kieszeni, i ma pani własne plany, które obejmują tych trzech półgłówków, ale wykluczają mnie. No cóż, mała dziewczynko, to się nie uda. Rozumie mnie pani? To się nie uda!

Regina przewróciła oczami.

- Dobrze już, dobrze. Nie przypuszczałam, że się pan tak zdenerwuje. Przepraszam pana, chociaż pańska uwaga na temat strojów, które mi pan podarował, oraz poborów, na które uczciwie zapracowałam, wydaje mi się podobała. Pomimo to pojedziemy do Londynu, jeżeli pan przy tym obstaje. No. Wszystko załatwione.

Zdażyła odwrócić się od niego i skierować z powrotem do wozu, zanim Brady'emu wyrwał się z ust cichy, acz intensywny potok przekleństw, na które każdy prawdziwy dandys osunąłby się na ziemię w pełnym grozy omdleniu.

Regina przeciągnęła się, słysząc pukanie do drzwi, a potem odwróciła się na bok w nadziei, że ten ktoś, kto chce zakłócić jej spokój, zrezygnuje i pójdzie sobie. Powóz wiozący jego lordowską mość i ją przyjechał na Portman Square po północy, a ona była tak wyczerpana, że pozwoliła zaprowadzić się prosto na górę. Rozejrzała się tylko dookoła i uświadomiła sobie, że przeniosła się z jednego wygodnego gniazdka do drugiego, a potem padła na łóżko, nie zdejmując nawet bielizny, jako że pozostałe powozy były jeszcze w drodze.

Niewiele rozmawiali z Bradym na tym ostatnim, długim odcinku podróży, co z gruntu Reginie odpowiadało, ponieważ wyrazem oczu pan hrabia wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie ma nastroju na pogaduszki. Ona również nie miała na nie ochoty, bo kiedy oznajmił, że przestanie mieć swój udział w jego planach, przeraziła się tak, że aż jej się żołądek przewracał.

Nie tym się martwiła, że nie zdoła zemścić się na hrabim Allertonie i dwóch współnikach, którzy przyłożyli rękę do zamordowania jej rodziców. W taki czy inny sposób rachunki zostaną kiedyś wyrównane. To nie ulegało kwestii, była młoda, mogła poczekać.

Ale kiedy przez jeden moment wyobrażała sobie, że nigdy już nie zobaczy Brady'ego? No cóż, była to chwila objawienia, i to zdecydowanie niemiłego, ponieważ uświadomiła sobie, że gdyby Brady zniknął z jej życia, zostawiłby za sobą olbrzymią, bezdenną dziurę w miejscu, gdzie kiedyś rezydowało serce Reginy.

Jak to się stało? Kiedy się to stało? I dlaczego miałyby żywić takie uczucia w stosunku do mężczyzny, który całkiem otwarcie i uczciwie wykorzystywał ją dla własnych celów?

Mężczyzny, który widział w niej to, czym była, czyli aktorkę. Mężczyzny, który wiedział, że jest wielką kłamczuchą, i żywił głębokie przekonanie, że panna Bliss nie dorasta do jego sfery, jego poziomu towarzyskiego.

Kiedy zaczęła bujać w obłokach i snuć marzenia, że „potem żyli szczęśliwie”, na temat tego człowieka? Czy stało się to wtedy, kiedy pielęgnowała go, by odzyskał zdrowie, i była pod wrażeniem odwagi i hartu ducha hrabiego? Czy po dniu, który spędzili, tarzając się po śniegu w Singleton Chase, kiedy wydawał się taki młody, był taki roześmiany i cudowny? A może w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy po jego wyjeździe zasypiała, nie wypuszczając z dłoni otrzymanych od niego pereł i tęskniąc za nim?

Kiedy doszła do tego, że jest niemądry i słodki i że bez niego nie będzie szczęśliwa? Kiedy zrozumiała, że wystarczy jeden jego uśmiech, by opromienić dzień i rozgrzać jej serce?

To się w ogóle nie stało, ot co! Ponieważ żadne „potem” nie było możliwe. Ponieważ on tylko odgrywał swoją rolę, a ona swoją, i połączył ich jedynie tekst sztuki, fikcyjna opowieść, której pierwszy akt był nawet sympatyczny, drugi dość chropawy, a finale nie zostało jeszcze napisane. Ale kiedy kurtyna opadnie, kiedy się już uklonią i wysłuchają oklasków, Brady wróci do roli prawdziwego hrabiego Singletona, a ona wyruszy w drogę z przyjaciółmi.

Musi o tym pamiętać, zachować ten fakt na zawsze w pamięci, trzymać go na samym froncie. Nic tu nie jest prawdziwe. Ani ta rezydencja, ani ten pokój, ani jej wspaniałe ubrania, nie będą też prawdziwe następne tygodnie ani jej obcowanie ze znakomitościami z londyńskich wyższych sfer. On nie jest prawdziwy. A już jej uczucia do niego z pewnością nie są prawdziwe. Nie mogą być prawdziwe.

Stukanie rozległo się ponownie. Regina jęknęła i znowu przekreśliła się na plecy.

- Och, proszę wejść, kimkolwiek jesteś, ale nie sądz, że ucieszę się na twój widok.

Kiedy drzwi otwierały się, zerknęła spod oka, a potem szybko usiadła, bo w pokoju pojawił się Wadsworth. Po jego minie mogła zorientować się, że misja, w której przybył, komu jak komu, ale jej nie przysporzy wielkiej radości.

- Wadsworth - powiedziała, a raczej prawie pisnęła. - Przyjechałeś.

- Wszyscy przyjechaliśmy - poinformował kamerdyner, zatrzymując się o dobre dziesięć stóp od nóg łóżka i patrząc na Reginę tak, jakby spodziewał się, że jakoś na to oświadczenie zareaguje i udzieli mu odpowiedzi.

Regina uznała, że najbezpieczniej będzie podporządkować się, przynajmniej dopóki się nie rozbudzi i nie pozbiera rozproszonych zmysłów.

- Dobrze. Dobrze. Wiem, że wczoraj rano wyjechaliście wszyscy wcześniej niż my, ale jego lordowska mość wyjaśnił, że ciężkie powozy poruszają się wolniej i muszą częściej przystawać. Przypuszczam, że musieliśmy was w którymś momencie wyprzedzić?

Wadsworth przez chwilę spoglądał na nią chłodno, a potem powiedział:

- Jak się zdaje, panienko, wozy wyładowane dyrdymałami poruszają się jeszcze wolniej; przyjechały dopiero tego ranka. Chociaż nie ma tego złego, co by choć trochę na dobre nie wyszło, ponieważ zostawili wóz gdzieś w mieście. Dyrdymały wraz z bagażami zajechały pod drzwi kuchenne w dwóch wynajętych dorożkach. - Głęboko zaczerpnął powietrza i wzdrygnął się, prawdopodobnie na wspomnienie Thomasa, Kosmy i Davida, siedzących w kuchniach Singletona i przeżuwiających śniadanie. - Dlaczego nie zostałem poinformowany o ich przybyciu?

- Biedny Wadsworth. Nie wiedziałeś, że moi przyjaciele wybierają się razem z nami do Londynu?

Wyraz twarzy Wadswortha świadczył wyraźnie, że o niczym takim poinformowany nie został, a gdyby został, to drzwi i okna rezydencji przy Portman Square zostałyby co żywo pozabijane gwoździami, zanim aktorzy zdążyliby się tam pojawić.

- Jego lordowska mość nie wspominał o tym - rzekł. - Zastanawiające, dlaczego. Regina szeroko się uśmiechnęła, w pełni już rozbudzona.

- Nie, wcale nie musisz się nad tym zastanawiać, Wadsworth. Wiesz dokładnie, dlaczego ci nie powiedział. Ten człowiek się ciebie boi. Wystarczy, że popatrzysz na ludzi, a oni już się trzęsą; zwłaszcza kiedy na nich patrzysz. Poza mną, oczywiście, o czym także wiesz, i to równie dobrze, jak wiesz, że zawsze udzielę ci odpowiedzi. Możliwe, że niewłaściwej, bardzo często takiej, która będzie zawierała tylko krztynę prawdy, ale odpowiedzieć nie omieszkam. A wszystko dlatego, że moim zdaniem jesteś raczej słodki, choć w taki szorstki i niesympatyczny sposób. Tak więc powiedz mi, czy jego lordowska mość kryje się w swoich pokojach, bojąc się stawić ci czoło? Nie bardzo chce mi się w to wierzyć, ale byłoby to zabawne, czyż nie?

- Jego lordowska mość nie spał ubiegłej nocy w domu - poinformował ją Wadsworth. - Miałem nadzieję, że panienka będzie wiedziała, gdzie przebywa i czy powinniśmy martwić, że jeszcze nie wrócił. Widzę teraz, że nie orientuje się pani w jego planach, i tak być powinno, ale nie podoba mi się to, że mnie również nie powiadamia się, kiedy mój pan wychodzi i wraca. Muszę dbać o własną reputację, rozumie pani.

Regina niemal z łóżka wyskoczyła, ogarnięta nagłą mieszaniną złości i lęku, ale przypomniała sobie w porę, że jest w neglizżu, i podciągnęła przykrycia aż pod brodę.

- Która godzina, Wadsworth? - zapytała, pragnąc z całej duszy odnaleźć jego lordowską mość, a następnie tęże mość udusić.

- Minęła dziesiąta, proszę pani - odrzekł Wadsworth. Stał nadal sztywny i wyprostowany, ale w jego głosie pojawiło się lekkie drzenie, które jeszcze bardziej zmiękczyło serce Reginy. - Jak pani sądzi, czy powinienem przesłać wiadomość do księcia Selbourne?

Regina przygryzła dolną wargę, obracając w myślach sugestię Wadswortha.

- Nie, nie sądzę. Jeszcze nie. Jestem pewna, że jego lordowską mość sądzi, że wie, co robi. Gdybyś zechciał wyjść, to wstanę, ubiorę się i będziemy mogli wszyscy poczekać na niego na dole. Czy w tym pokoju jest taśma do dzwonka? Czy mogę zadzwonić po Maude?

- Przyślę pani panie pani pokojówkę - rzekł, kłaniając się, Wadsworth. - A potem zejść na dół, upewnię się, czy żaden z naszych trzech nowych gości nie podkrada sreber ani nie brudzi mebli; następnie każę spalić wszystkie ich bagaże i znajdę im jakieś pokoje na poddaszu. Och, przypuszczam, że powinienem jeszcze polecić Rogersowi, by ogolił pani przyzwoitkę, jako że wydaje się ciężyc na niej przekleństwo porannego zarostu.

- Nic nie jest cię w stanie speszyc na długo, prawda, Wadsworth? - zapytała Regina, kiedy kamerdyner odwracał się już, by wyjść z pokoju. - Nic, poza myślą, że hrabia mógłby znaleźć się w niebezpieczeństwie. Ale nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Przekonana jestem, że przez całą noc nie robił nic innego, tylko czał się pod rezydencją Allertona i układał plany. Poza tym ma teraz nas, będziemy go chronili. Wszyscy.

Ramiona Wadswortha zeszywniały, odwrócił się powoli i zmierzył pochyloną do przodu Reginę wzrokiem od góry do dołu.

- Gdybym naprawdę musiał wierzyć, że oprócz mnie chronić jego lordowską mość miałoby jedynie gremium, na które składa się zuchwała dzierlatka, popisujący się błazen, głupkowaty Adonis i grubas w sukni i z brodą, to musiałbym się zastrzelić. Życzę miłego dnia, panienko. Będziemy oczekiwać pani na dole za pół godziny.

Rozchichotana Regina przyciskała przykrycia do ust, dopóki Wadsworth nie ukończył swego idealnie wyliczonego w czasie wyjścia, a potem natychmiast opanowała się i wyskoczyła z łóżka, bo zależało jej na tym, żeby ubrać się i znaleźć na dole, zanim jego lordowską mość wróci po szpiegowaniu Allertona.

Brady stał w teatralnej pozie na dywanie w salonie, jedną rękę oparł na biodrze, drugą

unosił do ust obszytą koronkami chusteczkę; czekał, aż Bramwell Seaton, księżę Selbourne, przestanie się śmiać.

Wślizgnął się do swoich pokoi przy Portman Square przed świtem, spędziwszy noc na dokładnym oglądaniu rezydencji Allertona, na liczeniu drzwi i okien; ośmielił się nawet podejść na tyle blisko, by wypróbować, jak mocny jest bluszcz, porastający budynek od tyłu. Potem zdjął z siebie ciemne ubranie, a Rogers - lokaj, który poprzysiągł zachować całą sprawę w sekrecie - pomógł mu wdziać jasnobrązowe pantalone w zielone paski, żółtą jak słońce kamizelkę i trawiastozielony surdut, mocno wcięty w pasie i mocno watowany w ramionach.

Przy surducie Brady'ego zwisało sześć breloczków na łańcuszkach, białe kościane guziki miały rozmiary niewielkich talerzyków deserowych. Wysokie buty na obcasach w kolorach czarnym i jasnobrązowym obwieszane były chwaścikami, które obijały się hrabiemu o golenie, kołnierzyk koszuli sterczał aż za podbródek, a koronki przy nadgarstkach i u szyi nadawały całkiem nowe i bardzo poszerzone znaczenie ekscentrycznie obrazowemu słowu „pienisty”. Włosy miał ulizane od czoła, zebrane na karku i przewiązane żółtą rypсовą wstążką.

Nic dziwnego, że Bram się śmiał.

- Bram, kochanie - besztala go żona, Sophie - nie powinieneś wprawiać w zakłopotanie naszego drogiego przyjaciela. Jesteś zakłopotany, prawda, Brady? - Tu szeroko się uśmiechnęła. - Bóg mi świadkiem, że powinieneś być.

Teraz Brady czekał, aż Bram przestanie się śmiać i aż Sophie przestanie się śmiać. Ależ miał wesołych, radosnych przyjaciół. Szczęściarz z niego, czyż nie?

- Jeżeli już całkiem skończyliście? - zaryzykował w końcu, kiedy Bram otarł sobie oczy, a Sophie zaczęła walczyć z atakiem czkawki. - Przecież pisałem, by powiadomić was, jakie mam plany. Mój wygląd nie powinien być aż takim zaskoczeniem.

- Och, Brady, stary przyjacielu, zaufaj mi - zapewnił go Bram, składając chusteczkę i chowając ją do kieszeni - nic, co pisałeś, nie byłoby w stanie przygotować nas na tę twoją poranną wizytę. Ale muszę przyznać, że odniosłeś sukces. Nie poznałbym cię, nawet gdybym cię mijał na Bond Street.

Brady ostrożnie rozłożył poły i równie ostrożnie usiadł, modląc się, by szwy na pantalonach nie puściły.

- A więc przynajmniej jedna sprawa ułożyła się po naszej myśli od czasu, kiedy ostatnio rozmawialiśmy - powiedział, przyjmując kieliszek wina od przyjaciela. - Bram, Sophie, lepiej, żeby się to udało. Może łatwiej byłoby mi umrzeć, niż pędzić życie jako

Gawain Caradoc, a jeśli nie odniesiemy sukcesu, nie pozostanie po mnie nic innego.

- Trochę za późno na wątpliwości, Brady - zwrócił mu uwagę Bram i podał szklankę lemoniady żonie, którą wciąż męczyła czkawka. - Powiedziałbym, że klamka zapadła z chwilą, kiedy oświadczyłem, że znalezione przez nas ciało to ty, i zawieźliśmy je do Singleton Chase. Och, wybacz mi. Powinienem zwracać się do ciebie „Singleton”, prawda, żebym się nie pomylił i nie powiedział „Brady”. A może jesteśmy bliskimi przyjaciółmi i mogę zwracać się do ciebie „Gawainie”? - Wzdrygnął się, pociągnął łyżeczek wina i się skrzywił. - Mój Boże, mam nadzieję, że nie. Naprawdę powinienem uważać na swoją reputację, rozumiesz chyba.

- Planujesz udawać w towarzystwie, że mnie nie znasz, czy tak, Bram? - zapytał Brady, usiłując założyć nogę na nogę. Zrezygnował z tego, jako że pomysł nie był dobry. Jeżeli pantalony byłyby choć o jeden cal węższe w którymkolwiek ze szwów, z pewnością w rezultacie Brady sam by się wytrzebił. - Nie mam ci za złe. Ale pomyślałem, że pozwolisz przynajmniej, by Sophie pomogła nam i przestawiła pannę Felicity towarzystwu.

- Pannę Felicity? Och, chodzi ci o Reginę Bliss. Czy mógłbyś mnie zapewnić, że nie jest ona tak absurdalnie wystrojona jak ty, stary przyjacielu?

Brady poczuł, że wargi mu się zaciskają.

- Siostra Watkinsa zaprojektowała dla Reginy coś, co... jak z wielką pewnością siebie twierdzi... jest garderobą w bardzo kontynentalnym stylu. Jeśli miałbym sądzić po dekoltach, jakie do tej pory oglądałem, i po przejrzystości materiałów, potrafię bez trudu wyobrazić sobie, że niemało francuskich pań musiałoby się na śmierć przeziębnić w ciągu ostatnich paru miesięcy.

- Och, och - zawołała Sophie, odstawiając szklankę i uśmiechając się do męża. - Odnoszę wrażenie, że nasza mała sprzedawczyni szmacianych lalek i ugrzeczniona służąca do wszystkiego bardzo zyskała na przeróbkach? Jakież to interesujące. Powiedz nam, Gawainie, czy wygląda zachwycająco? Chętnie założę się, że tak. Te cudownie lśniące włosy, te śliczne szare oczy, w których nieodmiennie błyszczą psotne ogniki, nawet kiedy usiłuje zachowywać się skromnie. Naprawdę jest jedyna w swoim rodzaju.

- To aktorka - z przekąsem powiedział Brady, pragnąc, by przynajmniej tym razem Sophie nie okazywała aż takiej wnikliwości. - W końcu udało mi się wydusić z niej trochę prawdy. Objeżdżała kraj w wozie razem z rodzicami i dawali przedstawienia w małych miasteczkach, dopóki rodzice nie zostali zabici przez Allertona, a wtedy uciekła do Londynu.

- Aktorka. Oczywiście! - wykrzyknęła Sophie, klaszcząc w dłonie. - Bram, kochany.... czy ty czegoś takiego nie mówiłeś o Reginie? Wydaje mi się, że tak. Och, jesteś

taki genialny.

Bram uniósł dłoń żony do ust i ucałował koniuszki jej palców.

- Dziękuję ci, kochanie. Przynajmniej na jedno pytanie uzyskaliśmy w końcu odpowiedź. Aktorka. Ale to nie wyjaśnia, dlaczego jej rodzice zostali zabici... naprawdę coś takiego mówiłeś, nie zdawało mi się? Zwłaszcza jeżeli nadal przekonany jesteś, że winą można obarczyć Allertona. Po co miałby zabijać wędrownych aktorów?

- To prawda, Gawainie... widzisz, ja też ćwiczę, całkiem jak aktorka - wtrąciła Sophie, a następnie ściągnęła brwi. - Tak więc naprawdę jest sierotą. Biedulka.

Brady westchnął.

- Dlaczego rodzice zostali zamordowani? Dobre pytanie, Bram, i takie, na które wciąż jeszcze szukam odpowiedzi. I to dlatego mój stan posiadania powiększył się o trzech aktorów, którzy grywali razem z Reginą, a na których przypadkiem trafiliśmy po drodze. Kiedy człowiek zadaje Reginie pytania wprost, na jaw wychodzi wyłącznie następna fikcja, mam jednak nadzieję, że ci mężczyźni zaufają mi w końcu na tyle, by mi się zwierzyć.

- Już czwórka aktorów, Gawainie? - zapytał Bram, popatrując na niego z lekkim zdziwieniem. - Cały entourage, można by rzec.

- Tak, ale ten entourage nie towarzyszył Reginie i jej rodzicom podczas ich ostatniej, brzemiennej w skutki podróży do Little Woodcote. Na razie udało mi się dowiedzieć od najmłodszego z nich, Davida, którego być może jeszcze kiedyś uduszę, że od kilku lat dwa razy do roku Regina i jej rodzice wyprawiali się do Little Woodcote, a w tym czasie on sam i pozostających dwóch, Thomas i Kosma, czekali w innej wiosce. Po trzech dniach wóz zawsze wracał, cała trupa kupowała sobie nowe stroje i przez kilka miesięcy jadała obfite posiłki. Aż do ostatniego razu, kiedy wóz nie wrócił.

- Ponieważ rodzice Reginy zostali zamordowani, a ona uciekła do Londynu - dokończyła Sophie i westchnęła zadowolona, że jej wypowiedzi nie przerywa już czkawka. - Jeszcze ciekawsze jest to, że wyprawy do Little Woodcote musiały napępiać kieszenie rodzicom Reginy, czyż nie? - Odwróciła się do męża. - Bram? Za co Allerton mógł im płacić, jak myślisz?

- Szantaż? - podsunął Bram, wzruszając ramionami. - Ale jeżeli tak, to może Allerton nie był jedyną ofiarą i tych dwóch mężczyzn przyłączyło się do niego, by pozbyć się równocześnie rodziców Reginy i swojego problemu. Czy David nie napomykał o innych jeszcze wioskach, innych odwiedzinach, w których nie uczestniczył ani on, ani jego przyjaciele?

- Pytałem o to, ale nie. Wyłącznie Little Woodcote. Dwa razy do roku. Nic

więcej poza tym nie wiem. Regina twierdzi, że wystarczy, bym wiedział, że Allerton i jego dwóch znajomych, przyjaciół czy kto to tam był, zabili jej rodziców, a potem próbowali zamordować mnie, kiedy udałem się do Little Woodcote, by zasięgnąć języka. Oczywiście chroni rodziców i nie mogę mieć jej tego za złe, zwłaszcza jeżeli wdali się oni w coś nielegalnego.

- Nielegalnego i ryzykownego - zwrócił mu uwagę Bram. -Ale dlaczego w takim razie brali ze sobą Reginę? Czy nie byłoby bezpieczniej zostawić ją razem z innymi? Chyba że nie wierzyli, by miało im grozić jakieś niebezpieczeństwo. A ona jest pewna, że to był Allerton? Widziała go?

Brady potrząsnął głową.

- Tak naprawdę to żadnego z tych mężczyzn nie widziała wyraźnie i jest przekonana, że oni jej również nie widzieli. Ale zna nazwisko Allertona. Jestem pewien, że ci ludzie muszą wiedzieć o jej istnieniu, bo zasugerowała, by zmienić nazwisko Bliss na Felicity. To akurat rozumiem, bo chociaż farba na wozie bardzo już wyblakła, udało mi się jednak odcyfrować słowa ŚWIATOWEJ SŁAWY TRUPA OBJAZDOWA BLISSINGTONA.

- Od Blissington do Bliss. Ciekawe - mruknął Bram, kiwając głową. - A co z Reginą? Przypuszczam, że to imię jest również jak spod igły?

- Nie, ona naprawdę ma na imię Regina, chociaż rodzice i inni aktorzy wołali na nią chyba Giną. Tak czy owak nie przypuszczam, by Allerton miał kiedyś słyszeć jej imię. Przedstawienie jej jako Reginy Felicity powinno być całkiem niegroźne. Boże, Bram - jęknął Brady, starając się osunąć niżej na fotelu, podczas gdy jego ubranie obstawało przy tym, że ma się trzymać prosto, choć było mu z tym niewygodnie - ależ ja narobiłem zamieszania. Doprowadziłem do tego, że niemalże mnie zabili, siedzę tu w koronkach i jedwabiach, a wszystko przez jakiś idiotyczny plan, który zrodził się, jestem teraz tego pewien, z gorączki, brudnej wody i niewykluczone, że odrobiny obłądu. Co gorsza, wciągnąłem w to dziewczynę, która co prawda doprowadza mnie do szału, ale jest niewinna...

- A co jeszcze gorsze... a może lepsze... a w każdym razie zdecydowanie dla nas interesujące, przekonałeś się, że zdecydowanie za bardzo pociąga cię ta niewinna dziewczyna... - wtrącił Bram, a Sophie rozchichotała się, dając mężowi klapsa w rękę.

Regina zastanawiała się, na który ze sposobów powitać Brady'ego, kiedy ten wróci na Portman Square. Ze złością. We łzach. Obojętnie.

Zdecydowała się, by przez nudę przebijało lekkie zainresowanie.

- No i jak tam? Co słyhać na wojnie, milordzie? - zagaiła, ledwie że podnosząc oczy znad filiżanki z herbatą, gdy Brady wszedł do salonu w chwili, gdy zegar na gzymsie nad kominkiem wybijał właśnie południe.

- Całkiem nieźle, jeżeli tylko uda mi się kiedyś wymać z pamięci śmiech moich przyjaciół - odpowiedział hrabia kierując się do stolika z napojami po kieliszek wina. - Czy ten Bram i Sophie uważają, że ja nie mam w domu lustra?

Regina powstrzymała się od uśmiechu. Biedaczysko, nigdy się nie przyzwyczai do swojej nowej garderoby, nawet gdyby najlepiej nauczył się odgrywać rolę fircyka.

- Tak więc złożył pan wizytę księstwu Selbourne. Jak miło. Proszę mi powiedzieć, czy poznali pana?

- Posłałem wizytówkę... moją nową wizytówkę... więc z góry wiedzieli, kim jestem. Ale nie, nie sędzę, by w innym przypadku mnie poznali. Przynajmniej jego wysokość przysięgał, że mógłby minąć mnie na Bond Street i nie poznać, chociaż równie dobrze można założyć, że nie życzyłyby sobie mnie poznać.

Uniósł kieliszek do ust i pociągnął łyżeczek wina.

- Wie pani, może się skończyć na tym, że zacznę pić na serio od rana do nocy, jeżeli zbyt długo będę musiał pokazywać się w takiej postaci.

- Przyzwyczai się pan z czasem - powiedziała Regina, która z trudem powstrzymywała się od śmiechu, kiedy Brady z wielką ostrożnością siadał naprzeciw niej na kanapie. - Ma pan na sobie kostium, milordzie, dokładnie tak jak my na scenie. Coś, co bardzo ułatwia publiczności i nam samym zaangażować się w sztukę. Sędzę, że ogromnie by to panu pomogło, gdyby zdobył się pan, by traktować siebie jak aktora, grającego rolę, występującego na scenie.

- Ogromnie by mi pomogło, gdybym mógł rozpalić wielkie ognisko na środku Portman Square i wrzucić tam całą moją nową garderobę, Regino - poinformował ją Brady, spięty. Wstał znowu. - Jeżeli jest już pani gotowa, wydałem polecenie, by podstawiono kariolkę, żebyśmy mogli rozpocząć lekcje powożenia w porze, kiedy w parku znajduje się

stosunkowo niewiele obiektów, które mogłaby pani przejechać. Regina zerwała się, Brady z miejsca rozproszył jej uwagę.

- Pan pamiętał? Naprawdę ma pan zamiar mnie pan uczyć?

- Właściwie mój zamiar sprowadza się do tego, byśmy zanurzyli czubki palców w falach towarzyskiego żywiołu. A fakt, że lejce mojej dobrze znanej kariolki będzie trzymała pani, ja zaś będę siedział obok niej, bez wątplenia ściągnie na nas sporo uwagi, choćby ludzi w parku było nie za wielu. Proponowałbym lekką pelerynę i parę raczej mocnych rękawiczek; Wadsworth posłał już kogoś do pani pokojówki po jedno i drugie.

Regina nie widziała powodów, by ukrywać podniecenie.

- Och, to cudownie! Pokażemy się w towarzystwie. Chyba tak naprawdę aż do tej chwili w to nie wierzyłam. Mam nadzieję, że Maude przyniesie mi mój żółty, słomkowy kapelusik.

- Ten z piórkami? Jak mi się zdaje, wspominała pani coś o piórkach - powiedział Brady, kiedy wychodzili do holu.

- Zdecydowanie ten z piórkami. I proszę pamiętać, milordzie, że jest pan Gawainem Caradokiem. Od tej chwili, obojętne, czy jesteśmy sami w domu, czy poza domem, jest pan Gawainem Garadokiem. To niezmiernie ważne.

- Tam do licha - mruknął Brady i z lekką tylko przesadą podrzucił głową, na co Wadsworth lekko się wzdrygnął, patrząc, jak Regina i Gawain wychodzą na powietrze, wiosenne i ciepłe.

Kiedy jechali przez wiecznie zatłoczone, prowadzące do parku ulice, lejce trzymał Brady. Regina przyglądała się jego dłoniom, kiedy powoził, pełna zachwytu, jak łatwo radził sobie z parą czarnych jak noc wałachów.

- Całkiem dobrze to panu idzie, milordzie - powiedziała, kiedy po mistrzowsku wyprzedził jakiś duży powóz, przy czym koła dzieliła odległość nie większa niż cal. - Czy będziemy mieli czas, by przejechać obok rezydencji lorda Allertona przy Grosvenor Square, czy może wystarczająco dobrze przyjrzał jej się pan ubiegłej nocy?

Brady rzucił Reginie bardzo niegawainowate spojrzenie.

- A z jakiego to powodu sądzi pani, że byłem na Grosvenor Square?

Regina uśmiechnęła się i złożyła ręce na podołku. Naprawdę, ten człowiek pojęcia nie miał, jak potrafiła być pomysłowa, kiedy się do tego przyłożyła.

- Powiedzmy, że Thomas i Rogers to pokrewne dusze. Przypadli sobie do serca i Rogers opowiedział mu o pana nocnej wyprawie, kiedy spędzali razem wolną godzinę. Nawiasem mówiąc, Rogers wciąż jeszcze lamentuje, że tak pan pobrudził swoje wysokie buty

i rozdarł na kolanie najlepsze, czarne pantalone. Czy przeprowadzał pan inspekcję rezydencji Allertona na kolanach, czy może z kałuży błota?

Brady patrzył na nią tak długo, że niemal zderzył się z platformą, która wyjechała na drogę.

- Wciąż jeszcze mogę panią odesłać do Willoughby Hall, księżniczko.

- Nie, nie może pan, ponieważ nie zostałam tam, a jestem potrzebna panu tutaj.

- Właściwie to nie.

- A właśnie że jestem - obstawałam przy swoim Regina. -Może się pan do tego nie przyznawać, milordzie, ani przed sobą, ani przede mną, i dokładnie tak pan postępuje, ale mam posłużyć panu za przynętę.

- Nigdy! - niemal krzyknął Brady, skręcając równocześnie przez bramy do parku. - Nigdy nie wykorzystałbym pani jako przynęty, nie naraziłbym pani na niebezpieczeństwo, a gdyby powiedziała mi pani całą prawdę, pewnie mógłbym tę bzdurę zakończyć w dwa tygodnie i wrócić do własnego życia.

Regina przechyliła głowę na bok i bacznie się przyjrzała Brady'emu, któremu na twarz wystąpiły palące rumieńce.

- Pan mówi serio, prawda? Ale ze mnie jest idealna przynęta. Z pewnością już pan zdał sobie z tego sprawę. Rozmawialiśmy nawet na ten temat na samym początku, kiedy zastanawialiśmy się, jak ocyganić Thomasa i całą resztę.

- Powiedziałem, że nigdy bym pani w ten sposób nie wykorzystał, Regino. Nie mówiłem, że jestem idiotą. To oczywiste, że w pierwszym przypiływie złości rozważyłem taką możliwość. I oczywiste jest również, że łatwiej byłoby podsunąć panią Allertonowi pod nos, wymyślając jakąś historyjkę, na przykład... nie! Sama pani ma wystarczająco wiele pomysłów, prawda? Ale nigdy nie nosiłem się z takim zamiarem przez dłuższy czas, po tym jak odzyskałem zdrowe zmysły. Tylko że niestety rozgłosiliśmy już wtedy, iż umarłem, i zrobiło się za późno, by zabronić się pani w tę sprawę wplątywać. Ale ja naprawdę mam teraz dobry plan.

- Tak pan mówił. Zaczynałam już mieć wątpliwości, milordzie - powiedziała mu Regina. Rozglądała się po parku i zdumiewała się na widok tak wielu nianiek i ich podopiecznych, podziwiała pary, które przechadzały się po bocznych alejkach oraz zbite grupki dobrze ubranych dam, gawędzących w cieniu drzew. - A jaki jest ten plan?

Brady dotknął podwiniętego rądku kapelusza i niemal niedostrzegalnie się skłonił, kiedy mijali dwie stojące na skraju ścieżki matrony.

- Ta po lewej, w raczej absurdalnie różowych jedwabiach, to lady Jersey. Ma najbystrzejsze oczy i najdłuższy język w całym Londynie. Poznała mnie, chociaż jestem całkiem pewien, że gapi się teraz na nasze plecy, bo poznała kariolkę. Moja pewność siebie, najdroższa panno Felicity, rośnie skokowo. Ale wracając do tego planu, moja droga, zamierzam stać się cieniem dawnego siebie - wycedził, a potem uśmiechnął się do niej dosyć bezosobowo, jak się Reginie zdawało.

Dlaczego słuchał jej tylko wtedy, gdy mówiła, by trzymał się roli niemądrego Gawaina, skoro tak bardzo pragnęła rozmawiać z nim jako Bradym?

I nagle po niewczasie pomyślała: lady Jersey? Naprawdę? Dobry Boże, właśnie minęli lady Jersey!

Szybko obejrzała się przez ramię na jaśnie panią, która pogrążona teraz była w rozmowie ze swoją towarzyszką. Słyszała o lady Jersey, w całej Anglii nie znalazłoby się człowieka, który - dysponując choć jednym uchem - nie słyszałby o niej, ale nigdy nie sądziła, że ją zobaczy. A już z pewnością nie myślała, że z nich dwóch to ona będzie wtedy lepiej ubrana.

Mimo to słowa Brady'ego dzwoniły echem w jej głowie i w końcu odwróciła się do hrabiego.

- Cieniem dawnego siebie? Przepraszam pana, kuzynie, ale nie rozumiem. Pana dawne ja umarło, powiedziałabym, iż jest raczej niemożliwością... och! - Wiedziała, że w tej chwili wytrzeszcza na niego oczy. - Naprawdę?

- Tak, naprawdę - przytaknął Brady, zjeżdżając na skraj ścieżki i zaciągając hamulec. - Czy pozwoli pani, że powiem, iż bystrość pani niewieściego, pokrętnego umysłu bawi mnie, chociaż równocześnie mnie przeraża?

- Dziękuję panu, milordzie. Zamierza pan być swoim własnym duchem? Jak pan to zrobi?

Brady wzruszył grubo watomowanymi ramionami.

- Skropię się lekko nieświeżą wodą z Tamizy, narzucę na siebie kilka kawałków workowego płótna, kilka łańcuchów... pojęczę cicho. Zdecydowanie będę pojękiwał. Wydaje mi się, że ludzie czegoś takiego oczekują.

- Ta nieświeża woda to sympatyczny akcent, a ja umiem wymodelować całkiem wiarygodne siniaki i cieknące rany, jeżeli pan zechce - zaproponowała Regina, rozważając tę sprawę wyłącznie tak, jakby miała oglądać całe przedstawienie na scenie. - Ale gdzie? - zapytała, skoro już przyszła jej na myśl scena. - Gdzie ma pan zamiar odegrać ducha Brady'ego?

- Początkowo myślałem o rezydencji Allertona - powiedział hrabia, układając jej dłonie na lejcach. - Ale bluszcz nie jest wystarczająco mocny, a ten człowiek dopuścił do tego, by rynnny popadły w stan smętnej ruiny. Ale to pewnie nawet dobrze, bo hrabia może być zabójcą, ale nie jest głupi. Najprawdopodobniej nie wierzy w duchy.

- Więc zamierza pan zrezygnować z tego planu? Chwali się to panu, chociaż pomysł, by stanąć twarzą w twarz z Allertonem jako swój własny duch, świadczy o pana wielkiej inwencji. Nic by dobrego z tego nie wynikło, gdyby złapali pana ociekającego wodą z Tamizy we wnętrzu rezydencji Allertona.

- Proszę nie usztywniać łokci i lekko trzymać wodze, ale ani na moment ich nie luzować - pouczył ją, popychając hamulec stopą. - Ruszamy. I wcale nie zrezygnowałem z planu, tylko go zmodyfikowałem.

Regina nie spuszczała z oczu kawałka drogi, który widziała nad uszami dziarskiej pary rumaków. Od dzieciństwa powoziła wozem swoich rodziców, ale Portia i Cleopatra zestarzały się, zanim się urodziła, i nie umiałyby się spłoszyć, a może nawet nie potrafiłyby sobie przypomnieć, że kiedyś to potrafiły. Te konie były inne, nikt jej tego mówić nie musiał. Wiedziała to i ubóstwiała Brady'ego, że powierzył jej taką parę i zaufał, iż Regina nie wysypie ich na drogę, co bez wątpienia zwróciłoby na nich powszechną uwagę, ale mogło skończyć się tym, że oboje skręciliby sobie karki.

Zagryzła wargę, kiedy konie chciały przyspieszyć, przekraczając tempo, które usiłowała im narzucić. Starła się trzymać lejce „lekko”, a równocześnie stanowczo kierować zaprzęgiem.

- Zmodyfikował go pan jak, milordzie? - zapytała, wstrzymując oddech, bo kariolka wjeżdżała w zakręt.

- Ach, genialnie, ale nie może pani równać się z wujaszkiem Gawainem - droczył się z nią Brady. Położył rękę na jej dłoniach, kiedy brali zakręt, i pokierował nią, gdy lekko ściągała lejce. - Tamtych mężczyzn było trzech, pamięta pani?

Regina odprężyła się, bo zakręt mieli już za sobą, a żadne z nich nie wypadło na drogę. Jej pewność siebie rosła. Trzepnęła lekko lejcami i karę ruszyły energicznym kłusem po długim, prostym odcinku drogi, jaki rozciągał się przed nimi.

- Ma pan rację, milordzie. Nie jestem tak genialna jak pan, to oczywiste. Ale pewność mamy tylko co do Allertona. A kompletnie nie wiemy, kim mogą być pozostali dwaj panowie, pamięta pan?

- Proces eliminacji, moja droga - powiedział Brady i z brodą uniesioną wysoko zignorował ostentacyjnie dwóch młodych kawalerów, którzy gapili się na nich z otwartymi

ustami; ubrani byli wedle najnowszej mody, jeśli uznać, że najnowsza moda wymagała noszenia kamizelek w pomarańczowe i zielone pasy. - Gogusie - dodał, potrząsając głową, i lekko dotknął kącików ust obszytą koronkami chustką.

- Zignorował pan tych dżentelmenów tak, jakby ich tam wcale nie było - zdziwiła się Regina i na moment oderwała spojrzenie od drogi, by zobaczyć, jak dwóch obrażonych młodzików spogląda w ślad za nimi, potrząsa głowami i najwyraźniej pytluje, co się w języku. - Dlaczego pan to zrobił? .

- Dlaczego? Czy musi pani pytać? A może nie zauważyła pani, jakie mieli spiczaste kołnierzyki koszul? Rogi wystawały na dobre ćwierć cała ponad dolny skraj małżowiny. Każdy głupek wie, że to już jest przesada. Modny dżentelmen przyciąga do siebie uwagę, to prawda, jako że to my jesteśmy atrakcyjniejszą z obu płci, ale nie robi z siebie pośmiewiska, posuwając się do skrajności.

Regina popatrzyła na niego z otwartymi ustami, a potem odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła śmiechem.

- Och, milordzie, to cudowne! Zamierza pan pełnić funkcję arbitra mody.

- Robi się to, co konieczne, byle społeczeństwo choć trochę wysublimować - odrzekł Brady, ponownie posługując się chusteczką, tym razem po to, by wypolerować monokl. - Piekielnie to męczące, ale niektórzy z nas powołani zostali do wyższych celów, rozumie pani.

Regina zachichotała.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała, starając się opanować rozbawienie. - Pamiętam, że zalecałam panu trzymać się swojej roli, ale widzę teraz, że będę musiała nauczyć się pana w tej roli akceptować. Jest pan zdumiewający, wie pan. Thomas wykonał wspaniałą pracę.

- Nie pracował sam - zwrócił jej uwagę Brady i odebrał lejce, bo podjeżdżali do następnego zakrętu, który był ostrzejszy niż poprzedni. - Myślę, że to będzie dość na jeden dzień, nie sądzi pani? Nie życzyłbym sobie roztrwonienia całego mojego splendoru na ten jeden niewielki fragment ludzkości. Zjemy dziś wieczorem posiłek, a następnie dołączymy do księstwa Selbourne w ich łoży w teatrze. Czy lubi pani Sheridana, moja droga? Rozumiem, że mamy bawić się na „Szkole obmowy”. Trafnie dobrany tytuł, jeśli o nas chodzi, powiedziałbym.

- Czy będzie tam Allerton? - zapytała Regina, podniecona okazją zobaczenia sztuki wystawionej w prawdziwym londyńskim teatrze, ale jeszcze bardziej przejęta hrabią.

- Moja droga, wszyscy tam będą, nie wyłączając, a przynajmniej możemy mieć

taką nadzieję, niektórych bliskich przyjaciół Allertona. Cień mojego dawnego ja, jak może pani zauważyła, bardzo interesuje się bliskimi przyjaciółmi jego lordowskiej mości.

Regina zastanawiała się przez chwilę, a potem strzeliła palcami.

- Oczywiście! Chyba za bardzo skupiłam się na koniach, że tego od razu nie zauważyłam. Jeżeli nie może pan straszyć w rezydencji Allertona, to będzie pan nawiedzał domy jego przyjaciół.

- Jeden po drugim, księżniczko - zapewnił ją Brady, kiedy ponownie wyjeżdżali na ulicę. - Aż któryś z panów tak się spłoszy, że popędzi ustalać spotkanie z Allertonem i trzecim wierzchołkiem zabójczego trójkąta. Kiedy już poznamy tożsamość wszystkich trzech, będziemy mogli podjąć decyzję, jak najlepiej przeprowadzić konfrontację.

- Ale co zrobimy, jeżeli on ma więcej niż dwóch bliskich przyjaciół? A pewnie ma, prawda? Przecież nie będzie pan chyba latał po całym Londynie, zawodząc i ociekając wodą, dopóki nie trafi pan wreszcie na dom, w którym powinien pan straszyć?

Brady westchnął.

- Jeżeli zamierza pani komplikować sprawy za pomocą logiki, księżniczko, nie pozwolę, by mi pani towarzyszyła.

- Pozwoliłby pan, bym panu towarzyszyła? - Serce Reginy wykonało coś w rodzaju fikołka. - Naprawdę?

Brady odwrócił głowę i spojrzał na nią z góry.

- Skoro Rogers okazał się zdrajcą, czy mam jakiś wybór? Stanowczo będę wolał wiedzieć, gdzie się pani podziewa, niż martwić się, że wyskoczy pani jak filip z konopi, kiedy najmniej się pani będę spodziewał.

Regina skrzyżowała ręce w talii.

- Jak to dobrze, że się wreszcie tak dobrze rozumiemy.

- Czy w takim razie powie mi pani, dlaczego pani rodzice zatrzymywali się dwa razy do roku w Little Woodcote i dlaczego Allerton ich zamordował?

Regina natychmiast się zjeżyła, cała jej sympatia dla Brady'ego ulotniła się w płomieniach gniewu.

- Najwyraźniej, milordzie, wcale się aż tak dobrze nie rozumiemy.

- Chce pani powiedzieć, że mi nie ufa - stwierdził Brady, ściągając konie przed rezydencją przy Portman Square. - Dlaczego, Regino? Czy to, co oni robili, było aż takie straszne?

- Oni niczego strasznego nie robili! A gdyby pan zajmował się swoimi sprawami i nie wtykał nosa w moje, to może ten pana nos nie byłby teraz krzywy - odpaliła Regina,

zeskakując z siedzenia kariolki, ledwo Brady zdążył zaciągnąć hamulec.

Dogonił ją za moment, jak tylko stajenny podbiegł do głów koni.

- Pomyślała pani chyba o tym, że kiedy wyjdzie na jaw, iż to Allerton stał za próbą zamordowania mnie, to historia pani rodziców również się wyda?

Regina przystanęła na stopniach tak gwałtownie, że Brady wpadł na nią.

- Nie - powiedziała, odwracając się. Patrzyła na niego z góry, bo cofnął się na bruk. - Nazwisko moich rodziców w ogóle się w tej sprawie nie pojawi. Przynajmniej nie publicznie. Allerton usiłował zabić pana z całkiem innego powodu.

- Czy aby? - wycedził Brady i wszedł za nią do rezydencji. - A jakież to miałyby być powód?

Regina ponownie odwróciła się do niego, w oczach stanęły jej łzy; była wściekła, ponieważ to ten mężczyzna doprowadził ją do płaczu. Jak mogła myśleć, że podbił jej serce? Jak mogła być taka głupia?

- Powód, milordzie? Ponieważ jest pan osłem. Jakież inny mogliby mieć powód?

- Przepraszam panią, Regino - powiedział Brady, wchodząc w dwie godziny później niezapowiedziany do jej sypialni. Mógł kazać się zaanonsować albo stuknąć do drzwi i błagać, by go wpuściła, ale chociaż został mianowany „osłem”, nie był tak bez reszty głupi. Gdyby uprzedził, że zamierza wejść do jej pokoi, miałby pewność, że usłyszy, jak Regina przekręca się klucz w drzwiach, a on sam zostałby po niewłaściwej ich stronie.

Przyglądał się, jak Regina odwraca się od toaletki ze szczotką do włosów w ręce. Czy rzuci mu nią w głowę? Nie sądził, trzymał się jednak na odległość.

- Naprawdę, księżniczko. Naprawdę jest mi przykro. Ma pani pełne prawo, by pragnąć zachować dobre wspomnienia o rodzicach, chronić ich reputację.

- Oni nie mieli reputacji, Brady. - Regina przeciągnęła szczotką po długich, lśniących lokach. - Byli aktorami, pamięta pan? My nie miewamy reputacji. Tylko renomę.

Brady potarł czoło, żałując, że nie może cofnąć się w czasie do chwili, kiedy dowiedział się, że z nową pokojówką Kippa i Abby wiąże się jakaś tajemnica. Gdyby wtedy miał wiedzę, którą obecnie dysponował, nigdy nie pojechałby do Little Woodcote, nigdy nie zadawałby tych wszystkich pytań, palcem by nie kiwnął, by wtrącać się w sprawy Reginy Bliss.

Popatrzył na nią i krew mu zawrzała tak samo jak wtedy, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy, jak za każdym razem, kiedy ją widział.

- Nie, to nieprawda - wymamrotał. - Postąpiłbym tak samo.

Regina wstała i podeszła bliżej.

- Mówił pan coś? - zapytała, a on popatrzył na nią znowu, zobaczył małą służącą, zobaczył kobietę, którą się stała.

Widział jej dziwne szare oczy, które pierwsze przykuły jego uwagę, bo płonęła w nich inteligencja, której Regina nie potrafiła ukryć, i zawsze czały się psotne błyski. Widział jej włosy, rozpuszczone i sięgające poniżej ramion; żywy ogień, który - tego był pewien - okazałby się ciepły w dotyku, a może nawet tak gorący, że mógłby się sparzyć.

Opanował się i zakazał sobie takich myśli, które bez sensu wirowały w kółko i mogły tylko przyczynić mu kłopotów. Przybrał odpowiednią pozę i wycedził:

- Ba, księżniczko, czy człowiek nie może odbyć krótkiej rozmowy na osobności bez tego, by mu przerywano?

- Rozmowy na osobności? - Regina zajrzała za jego plecy i uśmiechnęła się. - Witam - powiedziała do pustego powietrza. - Proszę wybaczyć, że pana wcześniej nie zauważyłam. Cóż za uroczy człowiek z pana, a ta zielona cera, te błękitne włosy! Czy jest pan nowym paziem jego lordowskiej mości?

- Bardzo śmieszne, bardzo zabawne - mruknął Brady, kiedy Regina wyprostowała się i znowu na niego spojrzała. - Jednak jeżeli już pani całkiem skończyła...?

- To nie ja rozmawiałam ze sobą, milordzie - zwróciła mu uwagę Regina, ujmując w obie dłonie ciężkie pasma włosów i dokonując jakiejś czarodziejskiej sztuki, po której nagle skreśliły się i ułożyły schludnie na czubku głowy. Fryzura powabnie odsłaniała długą, gładką białą szyję dziewczyny oraz jej leciuteńko zaostrzoną bródkę i kusila do poufałości, które zaszokowałyby ich oboje, gdyby Brady się tej pokusie poddał.

- Może tylko zbierałem się na odwagę, moja droga. Widzi pani, przyszedłem przeprosić. Znowu. Wiem, że zazdrośnie chroni pani pamięć rodziców. Wiem o tym, a przecież nie przestaję na panią naciskać, prosić o odpowiedzi, których nie mam żadnego prawa poznać.

- Ależ ma pan prawo - zaprotestowała Regina, zaskakując go. - Niewiele brakowało, żeby pan umarł, pamięta pan? A jeżeli nawet pan o tym zapomniał, to ja pamiętam, ponieważ byłam z panem, czułam, jak pali pana gorączka, widziałam pana siniaki. Mimo to lojalność obowiązuje mnie przede wszystkim względem rodziców. Moja zemsta miała być tajna, nigdy nie miała wyjść na jaw. Pan chce czegoś wręcz przeciwnego. Jeżeli powiem panu, czym zajmował się papa...? Nie, tego mu nie mogę zrobić. Ponieważ papa nigdy nikomu nie chciał zrobić krzywdy. Naprawdę nie chciał. Tylko że potrzebowaliśmy pieniędzy.

- No, wreszcie do czegoś dochodzimy - rzekł Brady, biorąc Reginę za rękę, prowadząc ją w kierunku dwóch foteli z wysokim oparciem, ustawionych przed kominkiem i nalegając, by usiadła. - Nie chcę znać szczegółów, księżniczko, jeżeli nie może się pani nimi ze mną podzielić, ale muszę wiedzieć, czy Allerton stał się ofiarą pani ojca, czy może jego lordowska mość sam też nie był bez winy. To ważne, bym się tego dowiedział, naprawdę. Zwłaszcza jeżeli mam wymyślić jakąś odbiegającą od prawdziwej historię, którą podamy światu do wiadomości.

Regina spuściła wzrok na czubki palców, potem złożyła ręce na podolku i podniosła oczy na Brady'ego.

- Jego lordowska mość sprzedał coś, czego właściwie nie posiadał, przekonany, że wkrótce dostanie to od papy. Jego lordowska mość w przekonaniu, że papa może mu tego czegoś dostarczyć, wydał również pieniądze, których nie miał w ręku, popadł głęboko w długi i zrobił się bardzo... bardzo zły, kiedy papa powiedział, że potrzebuje więcej czasu, by wytworzyć to, na czym zależało jego lordowskiej mości, i więcej pieniędzy, by to wytworzyć. Słyszałam, jak wykrzykiwał to wszystko do papy tuż przed tym, zanim papa kazał mi uciekać.

Brady uporządkował słowa Reginy, starając się powiązać je z szantażem, klejnotami, sekretami, z czymkolwiek, co można było z zyskiem sprzedać. Zdecydował się na:

- Szantaż? Sekrety? Pani ojciec obiecał zebrać dla Allertona pewne informacje, które Allerton sprzedawał albo wykorzystywał, żeby wyłudzać pieniądze od innych?

Regina odchyliła się do tyłu na fotelu, oczy jej się rozszerzyły.

- Dobry Boże, skąd panu coś takiego przyszło do głowy? Papa? Miałby sprzedawać czyjeś sekrety? Niech pan nie będzie śmieszny. To nie były sekrety, to były...

Gwałtownie zamknęła usta, a Brady miał ochotę złapać ją i wytrząść z niej odpowiedź.

- Obiecuję, że nikomu nie powiem. Oczywiście oprócz Allertona, jeżeli przekonam się, że to konieczne. Proszę o jednym pamiętać, Regino. Za to, że próbował mnie zamordować, pójdzie do więzienia, ale gdyby udało się mu dowieść, że zamordował pani rodziców, to razem ze swoimi przyjaciółmi będzie wisiał.

- Czy to prawda? Nie powieszają ich za to, co zrobili panu?

Brady nie był tego całkiem pewien, ale brzmiało to rozsądnie. Nie tak łatwo jest powiesić na szubienicy arystokratę. Postanowił iść za ciosem.

- To dlatego wciąż jeszcze jest pani tutaj ze mną, Regino. Nie jako przynęta, jak pani mylnie sądziła, ale żeby opowiedziała pani swoją historię, kiedy przyjdzie pora. Świat musi dowiedzieć się, że Allerton to morderca. Chcę, żeby ten człowiek wisiał. Nie wstydzę

się nawet powiedzieć, że chcę, by ten człowiek i jego dwaj kompani ponieśli śmierć za to, co zrobili... pani rodzicom, mnie. Czy pani tego nie chce?

Regina przymknęła oczy, kiwnęła głową.

- Wszyscy trzej zasługują na to, by ukarać ich za popełnioną zbrodnię. Ale - dodała, znowu otwierając oczy - pod warunkiem, że nie wyjdzie na jaw to drobne... uchybienie, którego dopuścił się w interesach mój ojciec.

- Jak więc zamierzała pani ukarać Antonia?

- Planowałam go znaleźć i własnoręcznie zastrzelić albo przynajmniej takie miałam zamiary, kiedy marząc o zemście szłam laleczki dla Żeliwnej Gerty. Prawdę mówiąc, pewnie już bym nie żyła albo jeszcze gorzej, gdyby lady Willoughby nie wykupiła mnie od niej i zabrała do siebie. Zaczynałam zdawać sobie wtedy sprawę, że muszę poczekać na właściwy moment, mieć wystarczającą ilość pieniędzy na utrzymanie, a dopiero potem skorzystać z okazji, kiedy się ona nadarzy. Myślałam, żeby może zrobić coś takiego: podjąć pracę jako pokojówka u Allertona, i od tego zacząć. Nie było pośpiechu, rozumie pan. Moich rodziców nie ma. Gdyby trzeba było czekać całymi latami, zaczekałabym.

- Nie, nie zaczekałaby pani - sprzeciwił się Brady. - Ma pani wiele zalet, ale cierpliwość do nich nie należy.

- Może. Ale kiedy pan wplątał się w tę sprawę, naprawdę sądziłam, że powieszają ich za to, iż usiłowali pana zabić. I dlatego właśnie zgodziłam się panu pomagać. Och, taki mam mętlik w głowie. Kosma powiada...

- A, dobrze. Od chwili, kiedy go poznałem, wiązałem z nim pewne nadzieje i to dlatego pani przyjaciele do dzisiaj są tutaj z nami. Co powiada Kosma?

- Mówi, że powinnam panu powiedzieć - przyznała Regina i zaczęła spacerować po pokoju. - Mówi, że możemy chcieć się sami zemścić i że nasze plany są cudowne, tylko że nigdy nie uda nam się ich zrealizować. Mówi, że stanowczo za bardzo bujam w obłokach i że powinnam się grzecznie zachowywać. Mówi, że zasługuje pan, by dowiedzieć się, czemu pan omal nie umarł.

- Wiedziałem, że Kosma mi się podoba - powiedział Brady, usiłując się pozbyć z myśli wizerunku okrągłego mężczyzny w jedwabnej sukni i piórach.

Regina przestała spacerować, wyprostowała się, uniosła brodę do góry.

Brady starał się, by nie było po nim widać, z jaką skwapliwością czeka na to, co miała do powiedzenia. Podniósł więc monokl za wstążkę i zaczął leniwie kołysać nim w przód i w tył. Istne wcielenie cierpliwości... podczas gdy serce biło mu trzy razy szybciej niż normalnie.

- Tulipany - odezwała się Regina w końcu. - Papa hodował dla hrabiego

tulipany. No, to już pan wie. Czy teraz możemy już przejść do czegoś innego?

Monokl niezauważony opadł na wysokość talii hrabiego. Gdyby Regina powiedziała: „Papa szmuglował diamenty dla hrabiego”, Brady zrozumiałby. Potrafiłby zrozumieć niemal wszystko. Ale tulipany? Rozejrzał się po dużym pokoju, podszedł do wazonu, który stał na stoliku pod oknem, wziął tulipan i przyniósł do Reginy.

- Tulipany? Ma pani na myśli takie jak te? Regino, to jakaś bzdura. Od lat już ludzie nie trzęsą się do tulipanów.

- Ale kiedyś się trzęśli - odparła Regina, dotykając jednego z przepięknych, różowych kwiatów. - Papa mi o tym wszystko opowiadał.

- Tulipanomania - potwierdził Brady, odstawiając z powrotem wazon na stół. - Pamiętam, że czytałem gdzieś o tym. Holandia produkowała tulipany, kupował je cały znany świat, a pojedyncze cebulki osiągały ceny, które mogły człowieka zrujnować.

- Handlowali nawet nieistniejącymi tulipanami, spekulując zbiorami z cebulek, które jeszcze nie kwitły - uzupełniła Regina i usiadła znowu na fotelu przed kominkiem, więc Brady też mógł usiąść. - Najuboższy wieśniak przekopywał, swoje podwórko, sadił tulipany i robił majątek. W Holandii, Papa opowiadał mi, że czytał o takim jednym angielskim handlarzu, który zapłacił połowę swojej fortuny za jedną cebulkę. A potem tylko zasadził ją w swojej oranżerii i zapraszał przyjaciół, żeby ją podziwiali.

- To były zwariowane czasy - zgodził się Brady. - Ale miały miejsce kiedy... około tysiąc sześćsetnego roku? Dawno temu, Regino. Teraz wszyscy mają tulipany, ponieważ Holendrzy nie mogli bez końca monopolizować rynku.

- To prawda. Chociaż wciąż jeszcze trafiają się tulipany, za które można dostać po dwieście funtów od sztuki, i ludzie, którzy chętnie tyle zapłacą. Papa kochał tulipany - ciągnęła, uśmiechając się smutno. - Przynajmniej połowa naszego wozu pełna była doniczek z tymi kwiatami. Kiedy kwitły, obstawiał nimi scenę podczas przedstawień, taki był z nich dumny.

Jej uśmiech przybladł.

- A potem, gdzieś trzy lata temu, na jedno z naszych przedstawień przyszedł hrabia Allerton. Przyjechał na wieś, żeby na własne oczy obejrzeć mecz bokserski, czy coś w tym rodzaju, i postanowili z przyjaciółmi zobaczyć, jak gramy.

Brady podrapał się za lewym uchem. Nie miał ochoty przyznawać się, że nadal niewiele rozumie z opowieści Reginy.

- Proszę mówić dalej - odezwał się w końcu, kiedy zamilkła.

Regina skuliła się, a następnie wyprostowała w ramionach.

- Po przedstawieniu hrabia odprowadził papę na bok i próbował kupić od niego tulipany. Papa sprzedał mu trzy albo cztery ze swoich najbardziej niezwykłych cebulek, nie pamiętam już ile, ale potem zaczął opowiadać, że ma wielkie nadzieje na nowego tulipana, takiego, który na zawsze zmieniłby świat tulipanów. Jego lordowska mość bardzo się tym zainteresował i zapłacił papie, żeby mógł on kontynuować swoje doświadczenia, po warunkiem, że to Allerton będzie jedynym producentem tego tulipana w ilościach handlowych i jako jedyny będzie go sprzedawał.

- Allerton? Miałby sprzedawać kwiatki? Nie, przykro mi, Regino. Musi w tym być coś więcej.

- Nie musi, jeżeli powiem panu, że papa obiecał Allertonowi czarnego tulipana - niewyraźnie wymamrotała Regina.

Teraz w końcu Brady zrozumiał.

- Czarnego tulipana? Naprawdę? Ale czegoś takiego nie ma, prawda?

Regina znowu wstała, więc Brady też musiał się podnieść i ruszył za nią, kiedy przeszła przez pokój, by wyrzucić przez wychodzące na plac okno.

- Nie, Brady, nie ma. Nie ma czegoś takiego jak czarny tulipan. Nigdy nie było i zapewne nigdy nie będzie. Poza oczywiście, tym jednym jedynym egzemplarzem, który papa pokazał jego lordowskiej mości dwa lata temu, kiedy złożyliśmy wizytę w Little Woodcote, by dostać więcej funduszy na eksperymenty.

Odwróciła się od okna, w jej oczach załśniły łzy. Mówiła szybko, jakby chciała jak najprędzej skończyć opowieść o dwulicowości własnego ojca.

- Nie wiem, co papa zrobił. Może zanurzył go w atramencie... czy coś... ale wyszedł z wozu z kwiatem, który, jak się upierał, był prawdziwym czarnym tulipaniem, i w dwie godziny później wrócił z ciężkim mieszkiem i z uśmiechem tak, szerokim, że mało mu policzki nie popękały. Taki był z siebie zadowolony, kiedy opowiadał nam, że do następnej wiosny obiecał powtórzyć ten cud sto razy. Potrzebny był nam nowy wóz, rozumie pan, jako że nasz już się niemal rozpadał po tylu latach na drodze. Większy wóz, w którym byłoby więcej miejsca na doświadczenia papę. Potrzebne nam były pieniądze i papa je zdobył.

- Już chyba zaczynam rozumieć.

- Och, Brady, papa był taki szczęśliwy aż do chwili, kiedy zapytałam go, na ile jest pewien, że uda mu się wyhodować dla hrabiego te sto czarnych tulipanów, które obiecał dostarczyć zeszłej wiosny. Każda cebulka miała być warta tyle, co dwadzieścia akrów zboża na pniu, o ile nie więcej. Majątek, Brady, który miał być tylko zaczątkiem jeszcze większej fortuny. Papa nie potrafił mi oczywiście odpowiedzieć. Nigdy nie układał zbyt

dalekosiężnych planów.

W końcu Brady zrozumiał, chociaż dalekie to było bardzo od wszystkiego, co sobie wcześniej wyobrażał. Właściwie gdyby nie to, że Regina mówiąc płakała, przekonany byłby, że opowiedziała mu znowu następną wspaniałą bajkę.

- Tak więc, kiedy zeszłej wiosny wróciliście do Little Woodcote, hrabia spodziewał się dostawy stu czarnych tulipanów?

- Tak, tak, tak - potwierdziła Regina. - Nie samych cebulek, ale cebulek z wyrastającymi z nich tulipanami. Naturalnie one rozkwitają na wiosnę, tak samo jak tamte na stole. Jego lordowska mość chciał zobaczyć je w pąkach i rozkwitnięte, sprzedawać je w pąkach i rozkwitnięte kupcom, którzy czekali już w Holandii i innych krajach, kupcom, którzy już dali mu zaliczki. Przecież inaczej nikt by Allertonowi nie uwierzył. Bo i kto mógłby w coś takiego uwierzyć? Ludzie od ponad dwustu lat próbowali bez powodzenia wyhodować czarne tulipany.

- Ale on nie miał tych stu czarnych tulipanów, żeby mu je pokazać, prawda? No tak, rozumiem trudną sytuację pani ojca - powiedział Brady. - Jak zamierzał z niej wybrnąć? Chodzi mi o to, że mógł po prostu nie pokazać się w Little Woodcote. Prawdę mówiąc, wydaje się to najłatwiejszym wyjściem ze stosunkowo niebezpiecznego i kłopotliwego położenia. Przecież Allerton nie tylko był wcześniej jego bankierem, ale lekkomyślnie wydawał pieniądze innych ludzi po całym Londynie w nadziei, że zrekompensuje sobie poniesione straty i zrobi majątek, a podobne nadzieje żywiło, jak przypuszczam, jeszcze przynajmniej dwóch z jego przyjaciół.

- Papa o tym wszystkim nie wiedział, nie wiedział, że Allerton sam ma kłopoty. Myślał tylko, że będzie mógł poprosić o więcej czasu, o jeszcze jeden rok, żeby postawić na nogi hodowlę po tajemniczej zarazie, która zniszczyła cebulki wszystkich czarnych tulipanów, przygotowanych dla jego lordowskiej mości. Papie wydawało się - dodała Regina ocierając łzy chusteczką, którą jej podał Brady - że potrafi każdego o wszystkim przekonać. I udawało mu się to przez niemal trzy lata. Domyślam się, że nie miał powodów sądzić, iż tym razem mu się nie powiedzie. Nie zabrałby ze sobą mamy i mnie do Little Woodcote, gdyby myślał inaczej.

- Nie, oczywiście, że tego by nie zrobił - przytaknął Brady, poklepując Reginę po ramieniu. Pod jego dotknięciem z ust dziewczyny wyrwało się ciche, przerywane czkawką łkanie. Brady przyciągnął ją do siebie i zaczął gładzić po plecach, wpatrując się w różowe kwiaty pod oknem. - Tulipany - mruknął, starając się przetrwać wszystko, czego się dowiedział. - Pobili mnie, kości mi połamali, niemal mnie utopili... i wszystko przez cholerny

pęczek tulipanów...

- Tak mi przykro - szeptała Regina, wtulona w klapy jego surduta. - Jak teraz o tym myślę, to pewnie wolałby pan, żeby to były jakieś sekrety?

- Albo diamenty - pokiwał Brady z namysłem głową i nagle aż go poderwało, bo uświadomił sobie, że trzyma Reginę w ramionach i że czynność ta wywołuje bardzo miłe sensacje, a przynajmniej wywołuje je w takim stopniu, w jakim pozwalają te zatracone ciasne pantaloney. Położył ręce na talii dziewczyny i odsunął ją od siebie o kilka cali, po czym ręce mu opadły.

Regina odchyliła do tyłu głowę i zapytała:

- Brady, czy dobrze się pan czuje? Jest pan wytrącony z równowagi, prawda? Przypuszczam, że ja też bym tak się czuła na myśl, że ktoś chciał mnie zabić dla kwiatka.

- Nie ma się czym martwić - wycodził Brady, przezornie kryjąc się za swoim fikcyjnym kuzynem Gawainem. Okręcił się energicznie na obcasach, poszedł wyjąć pojedynczy tulipan z wazonu, odłamał łodyżkę w połowie i wetknął sobie kwiat w butonierkę. - Ale przekonany jestem, że milord Singleton odkrył właśnie dodatek do stroju, niezbędny, by stać się ulubieńcem eleganckiego ton.

- Pośmiewiskiem eleganckiego ton - sprostowała Regina, dotykając jednym palcem już wędnącego kwiatu. - Jest za duży, żeby go nosić przy surducie. Wszyscy się będą z pana śmiali.

Brady wciągnął w nozdrza delikatny zapach Reginy, powtarzając sobie, że nie wolno mu dopuścić do jakiegokolwiek dodatkowej komplikacji planów, zwłaszcza w tej chwili, kiedy w końcu widział jakieś nadzieje na sukces.

- Au contraire, księżniczko. Nie wszyscy będą się śmiali. A w tym rzecz, czyż nie?

Nosił nadal te same haftowane, fioletowe jedwabie, te same absurdalne stroje, które Regina widziała na nim w dniu, kiedy Watkins przyjechał na wieś, by zaprezentować hrabiemu nową garderobę.

Tylko że teraz nosił je... lepiej.

Stroje nie przestały być absurdalne; pokryta białym haftem biała kamizelka, ametystowe guziki, złote klamry przy butach i w ogóle. Tylko że teraz Brady nosił te ubrania z tak zimną krwią, że czuła się zdumiona. Przechadzał się w nich raczej, a nie fanfaronował, wdzierając się, po pokoju, krok miał pewny, nie zdradzała go najmniejsza chwiejność w kostkach, kiedy toczył walkę z czerwonymi, wysokimi obcasami.

Koronkową chusteczkę nadal trzymał w dłoni, z leniwą obojętnością traktując to, co zwisało mu z palców, a kiedy unosił monokl do oka, robił to z taką arogancją, że człowiek, na którego spojrzał przez potwornie powiększające szkiełko, mógł tylko albo zapaść się po ziemię, albo wyzwąć go na pojedynek na pistolety o świcie.

A trio ledwo rozchylonych tulipanowych pąków, przypiętych do klapy wysadzaną diamentami agrafą, nadawało ostateczny szlif jego postaci, która w każdym pomieszczeniu stawała się unikalna.

Natomiast nad tym, że mimo związanych liliową wstążką na karku długich włosów był wciąż najprzystojniejszym ze wszystkich mężczyzn, jakich w życiu widziała, Regina wolała się nie zastanawiać.

Idąc ze swą podopieczną do powozu, który miał zawieźć ich do teatru, Brady dotknął dłonią czarnej, jedwabnej opaski na lewym ramieniu (Kosma, w roli Matildy Forrest, przyzwoitki, podążał za nimi, okryty suknią w kolorze raczej przygaszonego brązu, ale z trzema małymi strusimi piórami wetkniętymi w turban).

- Minęło kilka miesięcy, od kiedy mój drogi kuzyn wyciągnął kopyta, ale widzi pani, że świadom jestem tego, co wypada - odezwał się hrabia.

- Wielu twierdziłoby, że powinien pan zrobić coś więcej, by uczcić pamięć swego kuzyna, milordzie - powiedziała mu Regina. - Minęło kilka miesięcy, tak jak pan mówi, ale tradycyjna żałoba trwa rok, jak mi się zdaje.

- Prawda, prawda, chociaż bardzo to niegrzecznie z pani strony, iż zwraca mi pani uwagę na uchybienia w zachowaniu, jako że straszliwie jestem wyczulony na zniewagi. Zgodnie z obyczajem powinienem być cały ubrany na czarno, ale to taki przygnębiający

kolor, nie sądzi pani? Z pewnością opaska wystarczy, zwłaszcza że przecież nigdy nawet tego osobnika nie znałem. Jest oczywiście jedwabna, Watkins specjalnie ją dla mnie uszył. Zaczyn człowiek z tego Watkina, chociaż muszę mu przypomnieć, by ociupinę mniej skąpił na materiale, kiedy następnym razem będę potrzebował jego usług. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak mógłbym dosiąść konia w czymkolwiek, co obecnie spoczywa w mojej bieliźniarce, i nie zaszokować dam, kiedy szwy puszcza, a pani jak sądzi?

- Och, sama nie wiem - rzekła Regina, układając wokół siebie spódnice i uśmiechając się do swoich giemzowych pantofelków, które były takie wygodne. - Jestem zdania, że raczej cieszyłoby pana szokowanie dam, drogi Gawainie. I całej reszty ludzkości również. A jeżeli skończył już pan mówić mi, jak wspaniale pan wygląda, może udałoby się panu poświęcić jedną chwilkę i pochwalić moją suknię? - zapytała, dotykając dłonią długiego sznura pereł na szyi. - Maude twierdzi że wyglądam wspaniale.

- A piękna Maude na pewno się nie myli - zgodził się Brady i ospale machnął dłonią, kiedy Kosma dźwignął się na siedzenie naprzeciw nich, narażając na ciężki wysiłek świetne resory wspaniałego powozu jego lordowskiej mości, a potem natychmiast zaczął się wachlować. - Chociaż, jeżeli jest pani naprawdę otwarta na sugestie, to mogłaby pani zastanowić się, czy nie wetknąć sobie za dekolt tej chusteczki?

Kosma parsknął, potem pochylił głowę.

Regina położyła dłonie na piersi.

- Dlaczego? Czyżby był za głęboki? Maude tak mówiła, ale Madame Elizabeth zapewniała mnie... och, ty niegodziwcze! Ubrana jestem według najmodniejszych fasonów z kontynentu. Madame Elizabeth pokazywała mi plansze z modelami, które otrzymała z Paryża. Dlaczego pan mi coś takiego powiedział?

- Nie mam pojęcia, moja droga. Może jestem po prostu podłym, bardzo podłym człowiekiem. Pewnie powinna mnie pani po prostu zignorować.

- A ja zignoruję was oboje - wtrącił Kosma, wyglądając znad wachlarza. - Ale jeżeli jakiś lubieżny łobuz ośmieli się mnie uszczypnąć, milordzie, będę oczekiwał, że rzuci mu pan wyzwanie.

- Zrobię tak, pani Forrest - zgodził się Brady. - Będziemy się bili na fiszbinowe miecze na dwadzieścia kroków. Czy to pani odpowiada?

- Wspaniale, milordzie - przytaknął Kosma.

Regina popatrzyła na Brady'ego, nadal boleśnie przejęta uwagą na temat głębokości dekoltu; usiłowała w półmroku zobaczyć, jaką ma minę.

- Nigdy was nie zrozumiem. Ani jednego, ani drugiego... nie, Matyldo, nie panią

mam na myśli - powiedziała uczciwie, a potem oparła się o poduszki i milczała, dopóki powóz nie zatrzymał się przed teatrem Covent Garden.

Kiedy oglądała to miejsce poprzednim razem, występowała w roli ślepej, kalekiej żebraczki towarzyszącej Żeliwnej Gercie, żyła z dnia na dzień i coraz szybciej traciła nadzieję.

A teraz przyjechała tu czysta, dobrze ubrana i miała pokazać się towarzystwie. W głowie się to nie mieściło.

Ujęła dłoń Brady'ego i wysiadła z powozu. Na chodnikach tłoczyli się londyńczycy, którym brak było środków na zakup biletów na przedstawienie, ale nie zatracili charakterystycznej wścibskości, z jaką zawsze przyglądali się rozrywkom towarzystwa.

Ale jeżeli nawet ta pełna podziwu rzesza, składająca się przynajmniej z trzydziestu widzów, wykrzykiwała jakieś ochy i achy na widok Reginy, zagłuszyła je... można by powiedzieć: wrzaskliwa- a właściwie zdecydowanie wrzaskliwa- reakcja widok na Brady'ego, który stanął już na chodniku w swoich liliowych splendorach.

- Jak rany, widzisz pan tego tutaj - słyszała Regina całkiem wyraźnie. - Ale z niego wspanialec, bez dwóch zdań.

- Śliczny chłoptaş, śliczniusi - doszedł jakiś głos z lewej strony, po czym dało się słyszeć wyraźne cmoknięcie. - Kocham kaczusie, ale ten to musi być jakiś pedziowaty cudak albo się na niczym nie znam.

- Co ty, oczu nie masz? Nie widzisz, jaki ma pakiet między nogami, czy co? - wykrzyknął jakiś wyraźnie kobiecy głos. - Panie ładny, pierwsze szturchanko dla ciebie za darmoche!

- Czego pan jeszcze tu stoi? - zapytała Regina, starając się mówić bez poruszania wargami. - Wejdźmy do środka, zanim wywoła pan rozruchy.

- Muszę się zgodzić, milordzie - poparł ją Kosma i poprawił sobie turban, bo wysiadając, niemal wypadł z powozu. - Chyba że dostrzega pan pewną sposobność, którą, jak mi się zdaje, i ja dostrzegam.

- Pani też, pani Forrest? - zapytał Brady, puszczając do niego oko. - Gawain Caradoc nie powinien nigdzie pojawiać się bez szumu, czyż nie?

- Zdecydowanie nie, milordzie - oświadczył Kosma.

- Czy moglibyście obydwaj przestać gadać i ruszyć się z miejsca? - szepnęła Regina, podenerwowana. W końcu mieszkała kiedyś wśród takich ludzi i wiedziała, jak szybko potrafią przejść od rozbawienia do gwałtu.

- Jedną chwileczkę - szeptem odpowiedział Brady, a potem puścił jej rękę i

wysunął się o krok do przodu. Uśmiechnął się szeroko i nie wypuścił z dwóch palców koronkowej chusteczki nawet wtedy, kiedy zdejmował śnieżnobiały kapelusz (oczywiście przepasany liliową wstążką), a potem składał elegancki ukłon najpierw grupie gapiów po prawej, a potem jeszcze jeden tym stojącym po lewej.

Następnie ujął dłoń Reginy i uściśnął ją, mówiąc:

- Proszę dygnąć, księżniczko. Niech się pani uśmiechnie do swoich oddanych wielbicieli i dygnie. W końcu nie po to przyjechaliśmy do Londynu, żeby się kryć po kątach.

- Och, poddaję się. W porządku, zrobię to. - Regina nigdy nie należała do ludzi, którzy wzbraniałoby kłaniać się przed publicznością, tak więc uniosła lewą dłonią spódnicę w odcieniu najbledszego różu i bezzwłocznie przykucnęła w dygu, który zaszczyciłby nawet króla.

Podniosła się znowu z takim samym wdziękiem, odwróciła, powtórzyła ukłon i nisko pochyliła na moment głowę, a wyprostowawszy się zobaczyła, że uśmiecha się prosto w twarz... dobry Boże! Żeliwnej Gerty! Ależ to życie jest dziwne. Wydaje się człowiekowi, że tylko drepce w kółko, ale kiedy te kółka nałożą się na siebie, okazuje się, że każde okrażenie różni się od poprzedniego. Kiedyś była całkowicie zależna od tej niesympatycznej i często podłej kobiety, a teraz Żeliwna Gerta z wyciągniętą ręką wykrzykiwała coś i błagała, by Regina rzuciła jej kilka miedziaków.

- Panie i panowie - zawołał Brady, a jego głos natychmiast widownię uciszył. - Doceniam to, jak powitaliście nas w najwspanialszym mieście na świecie, w Londynie. Pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Gawain Caradoc, hrabia Singleton, a ta wspaniała dama to moja podopieczna, panna Regina Felicity. Kochamy was, obywatele Londynu! A teraz polecę memu znakomitemu stangretowi, by wśród wszystkich z was, nie pomijając żadnego, rozprowadził pewne fundusze. Rooster!- zawołał, sięgając do kieszeni. - Zbliź się i weź ten mieszek, jeśliś tak łaskaw.

- Myślę, że to już wystarczy - powiedziała kącikiem ust Regina i uśmiechnęła się, kiedy w tłumie obszarpańców poniosły się głośnie wiwaty i pospólstwo z obu stron zaczęło napierać na nieszczęsnego Roostera. Brady chyba się zgodził, bo wprowadził ją do teatru. Za nimi podążył Kosma, a co najmniej pięćdziesiąt osób z towarzystwa rzucało na nich, pełne jawnej dezaprobaty spojrzenia.

Mijając ich, Brady pozdrawiał każdego niemal niezauważalnym skinieniem głowy, jakby oni byli poddanymi, a on ich suzerenem.

- Caradoc? - usłyszała Regina czyjś głos. - Tak właśnie powiedział, czyż nie? W życiu o kimś takim nie słyszałem.

- Nowy hrabia Singleton, Boothe, mój stary, czy ty uszu nie masz? Doszło do mnie, że był dzisiaj w parku, zaprzegiem Singletona. Sally Jersey cała jest tym zemocjonowana.

- Nic mnie to nie obchodzi. Ten człowiek to cymbał. Widać to na pierwszy rzut oka. - Mężczyzna, do którego sąsiad zwrócił się per Boothe, podniósł teraz głos, by wszyscy go usłyszeli. - A kimże jest ta rusalka, którą przyprowadził ze sobą?

Reginie krew skrzepła w żyłach, bo Brady zatrzymał się i powoli odwrócił, równocześnie podnosząc monokl do oka.

- Proszę, nie - błagała cicho Regina. - Nie obchodzi mnie to, co powiedział.

- Ach, ale mnie to, księżniczko, obchodzi. I to bardzo - odpowiedział jej Brady równie cicho. - Pani Forrest? Czy będzie pani tak dobra i zechce zlokalizować kogoś obeznanego z tą instytucją, kto mógłby następnie odprowadzić pannę Felicity oraz panią do prywatnej łoży księcia Selbourne, gdzie atmosfera mniej będzie skażona obłędem? Obawiam się, że ja muszę zatrzymać się tu na moment, by zdeptać szczególnie paskudnego robala.

Regina przewróciła oczami.

- Ma pan za ciasne szwy, by deptać po robalach, milordzie - zwróciła mu uwagę szeptem, by nikt inny nie usłyszał. A potem dodała głośnie: - Może to dobry moment, by się nie rozpraszać?

Brady się pochylił.

- Mężczyzna, który się w ten sposób wyraził, księżniczko, to Boothe Kenward - szepnął jej do ucha. - Szczeniak Allertona. Taka gratka nieczęsto się człowiekowi trafia.

Reginę przeszedł lekki dreszcz; zadarła brodę i powiedziała głośno i wyraźnie:

- Och, w porządku, wujku Gawainie. Ale to wszystko jest lakie męczące. Będziemy musieli spalić wuja wieczorowe buty, a wiem, jak bardzo jest wuj do nich przywiązany.

- Brawo, Regino - pochwalił ją cicho Brady i gestem zaprosił, by szła za Kosmą, który już komenderował jakimś młodym osobnikiem w liberii, najwyraźniej zatrudnionym przez teatr. - Ale jeżeli jego wysokość jest już w łoży, może zechce pani przysłać go tutaj na dół. Przywiązany jestem do swoich pleców i wolałbym, by mi ich ktoś pilnował.

I powiedziawszy to, odwrócił się przodem do Boothe'a Kenwarda, którego Regina natychmiast poznała z opisu Brady'ego. Wysoki, wychudzony, jasnowłosy, miał minę człowieka świadomego, że nie w pełni jest tym, kim być powinien, ale ma nadzieję, iż świat pominie milczeniem jego niedociągnięcia.

Pozwoliła się Kosmie doprowadzić do schodów, potem przystanąła.

- Niech pani idzie przodem, Matildo, i przyprowadzi księcia, jeżeli go pani znajdzie. Ja tu zostaję.

- Ale...

- Niech się pani nie sprzecza, Matildo, albo zerwę pani z głowy ten niemądry turban, a wtedy nikt już nie będzie pamiętał, że jego lordowska mość zamierza właśnie dać się zabić - powiedziała ostrzegawczo Regina. Kosma wzruszył ramionami, szybko odwrócił się i wszedł na schody za służącym.

Wicehrabia Allerton stał nadal pod ścianą szerokiego, zatłoczonego foyer, ale jego przyjaciel, podobnie jak cała reszta obecnych, odsunął się od niego na odległość co najmniej sześciu stóp. Nikt nie zamierzał jednak wychodzić, bo wszyscy wywęszyli już, że trafia się okazja, by obejrzyć przedstawienie, które śmiało będzie mogło konkurować z mającym się wkrótce ukazać na scenie teatru spektaklem.

Regina przyglądała się, jak Brady podchodzi do przyjaciela wicehrabiego.

- Przepraszam, mój zacny panie. Czy byłby pan łaskaw poinformować swego towarzysza, że Gawain Caradoc, hrabia Singleton, uważa, iż fizjonomia jego żywo przypomina końskie podogonie? Zrobiłbym to sam, ale wystarczy mi raz spojrzeć na tak mało urodziwy okaz, a już się czuję niedysponowany, tak delikatny mam żołądek. Bardzo pana proszę.

- Słuchaj no, ty... - odezwał się wicehrabia Allerton, wysuwając się o krok do przodu z zaciśniętymi pięściami.

- No trudno - westchnął Brady głęboko, odwrócił się i i przybrał wyniosłą pozę, wtykając sobie monokl w oko. Zmierzył wicehrabiego spojrzeniem z góry na dół i pokiwał głową. - Tak, jest dokładnie tak, jak się obawiałem. - Wypuścił monokl z oka i odwrócił się do wypełniającego foyer tłumu. - Czy ktoś z państwa ma może przy sobie miętówkę? Sam bym się z nimi nie rozstawał, gdyby nie to, że rujnują wspaniały fason mojej kamizelki. A miętówki tak kojąco działają na żołądek, rozumiecie, panowie. Byłbym bardzo wdzięczny.

- Odwróć się do mnie, Singleton, i stawaj jak mężczyzna -zażądał wicehrabia.

- Och, czy koniecznie? - wycedził Brady i westchnął. -Naprawdę wolałbym, by pan po prostu przeprosił, a potem odpelzł do swojej jaskini i nie wychodził z niej, dopóki nie nabierze pan jakiej takiej ogłady. A może mógłby mnie pan przedstawić swemu rodzicowi? Znakomity Robert Burton napisał przecież, wykazując się oszałamiającą mądrością: „I Diogenes uderzył ojca, gdy syn źle się zachował”.

- Tam było: „zaklął” - odezwał się od schodów książę Selbourne i mijając Reginę, lekko poklepał ją po ramieniu. - „I, gdy syn zaklął, Diogenes uderzył ojca”. Proszę

wybaczyć mi, że pana poprawiam, przyjacielu, ale wydawało mi się, że powinienem tę sprawę wyjaśnić. Dobry wieczór panu, Kenward. Czy pan i hrabia zostaliście sobie przedstawieni?

- Właśnie byliśmy w trakcie, tak. - Brady wyjął tabakierkę, palcem wskazującym postukał w pokrywkę, odchylił ją jednym ruchem i poczęstował wicehrabiego. - Może mógłbym zaproponować preferowany przeze mnie osobiście gatunek, milordzie?

- Nie dotknąłbym... - zaczął wicehrabia i urwał, bo Brady szepnął coś do niego tak cicho, że poza nimi dwoma nikt tego nie słyszał.

Najwyraźniej jednak wicehrabia usłyszał dosyć, bo po króciutkiej chwili wahania zanurzył dwa palce w tabace, którą podsuwał mu Brady, i podniósł ją do nosa.

I rozkichał się tak potężnie, że kilka osób zaczęło chichotać.

Brady, przyglądając się, jak wicehrabia niemal płacze w chusteczkę, sam zagłębił dwa palce w puzderku, uniósł tabakę do prawego nozdrza i ostentacyjnie ją zażył.

- Ach - powiedział potem z uśmiechem. - Taka bardzo łagodna. Całkowicie nieszkodliwa, specjalnie dla mnie sporządzana mieszanka. Czy zgadza się pan, lordzie Allerton?

Boothe Kenward, wicehrabia Allerton, stał z poczerwieniałą twarzą, a po policzkach spływały mu strumieniami łzy.

- Och... całkowicie - wykrztusił, a potem znowu, raz za razem, trzykrotnie kichnął.

- Nie powinniśmy kazać paniom czekać, przyjacielu - rzekł w tym momencie książę Selbourne, obydwaj z Bradym ukłonili się wicehrabiemu i jego towarzyszowi, a potem odwrócili się i poszli w kierunku schodów. Za nimi niesły się odgłosy kichania... i śmiechu.

- A tu mamy naszą niegrzeczną kociczkę - oznajmił Brady, podając Reginie ramię. - Przekonany jestem, że prosiłem panią, by udała się pani do łoży jego wysokości.

- A czy był pan przekonany, że go posłucham? - odparowała, unosząc spódnice o cal i wstępując na schody.

- Ani przez chwilę - zapewnił ją Brady.

Regina nie była w stanie czekać, aż wrócić do łoży, i dopiero wtedy zadawać pytania.

- Co pan mu powiedział, milordzie? - dopytywała się. - Zrobił się całkiem blady, potem czerwony, potem znowu blady.

Mówiąc tak, by usłyszeli go tylko książę i Regina, Brady wyjaśnił:

- Zwróciłem mu uwagę, że albo on okaże się grzecznym chłopcem i razem ze mną zażyje tabaki, albo ja jego tępej twarzy wymierzę policzek, publicznie wyzwę go na

pojedynek, a potem będę się śmiał, kiedy jego mózg rozprysnie się po całym polu.

- O ile dobrze pamiętam, w oświadczeniu tym znalazło się jeszcze kilka innych słów, można by rzec: deskryptywnych - wtrącił jego wysokość.

- Ach, tak, ale żadnego z nich nie użyłbym w kulturalnym towarzystwie, prawda? - odpowiedział Brady z uśmiechem. -Na dodatek przekonałem się, że drogi wicehrabia jest tchórzem czystej wody. Bardzo mi to pomogło. Miejmy teraz nadzieję, że kiedy już metaforycznie natarłem uszu synalkowi, pokaże się publicznie i ojciec. Och, Bram? Proszę pozwolić, bym przypomniał waszej wysokości, aby nigdy nie korzystał pan z mojej propozycji poczęstowania się tabaką. Chyba że najpierw każe pan sobie wyścielić nos w środku ołowiem.

Regina stanęła jak wryta na pierwszym podeście.

- A pan kazał sobie wyścielić nos w środku ołowiem? -zapytała, podnosząc wzrok i starając się zajrzeć mu do nozdrzy. - Czy to dlatego pan nie kichał?

- Raczej nie dlatego, księżniczko, ale Thomas nauczył mnie trików związanych z zażywaniem, a raczej może powinienem powiedzieć, niezżywaniem tabaki; ja natomiast posunąłem się o krok dalej i napełniłem tabakierę najpodlejszym gatunkiem, jaki Rogersowi udało się znaleźć. Nie jestem miłym człowiekiem, księżniczko, niech pani o tym pamięta.

Jego wysokość roześmiał się w głos.

- I nie ma pan wątpliwości, że teraz każdy idiota w całym Londynie będzie prosił, by uraczył go pan swoją tabaką, tylko po to, by dowieść, że jest równie męski jak pan i że się nie rozkicha.

- To okropne - rzekła z powagą Regina, a potem się roześmiała. - Och, to naprawdę, naprawdę okropne! Mam tylko nadzieję, że sztuka będzie choć w połowie tak dobra.

Zostawiwszy Reginę z Sophie oraz cicho pochrupującą Matilda Forrest, Brady i jego wysokość spacerowali podczas antraktu po szerokim korytarzu, przy czym Bram przedstawiał nowego hrabiego Singleton każdemu, kto sobie tej prezentacji życzył.

A życzyli jej sobie wszyscy.

- Ga-Ga-Ga-wain - powtarzał Brady, pochylając się nad nieco brudną łapą Sally Jersey, kiedy już Bram ich ze sobą zapoznał. - Okrągły Stół, rycerskość, turnieje, wyprawianie się na ratunek pięknym damom w niebezpieczeństwie... osobiście najbardziej przypada mi do gustu to ostatnie. Gawain. Romantyczne, nieprawdaż?

Patrzył z zadowoleniem na lady Jersey, znaną jako Milczek, jako że niezdolna była do

milczenia, która stała jak wmurowana i wyraźnie nie potrafiła znaleźć słów.

Odwrócił się do jej towarzysza, sir Henry'ego Coxa, i popatrzył na niego przez monokl. Będzie musiał uważać przy sir Henrym, który znał go od lat.

- Dobry Boże, człowieku, wydaje mi się pan nieobcy. Chyba coś w oczach, powiedziałbym. Czy ja pana znam?

- Właśnie to samo sobie pomyślałem, milordzie - odpowiedział sir Henry, ściskając Brady'emu rękę, zdaniem tego ostatniego odrobinę za długo. - Może podczas wojny?

Brady uniósł dłoń do ust i delikatnie zakaszłał w chusteczkę.

- Wojny? Och, nie sądzę, sir. Niemal cała... - tu zawahał się i zatoczył dłonią krąg, jakby szukał słów - ... niemal cała ta wstrętna sprawa rozegrała się w Hiszpanii, a nawet Portugalii, jak sądzę? Słyszałem, że dosyć tam wilgotno. Nie, nie, to niemożliwe. Nigdy tam nie jeżdżę.

- Ale nie było pana tutaj, w Anglii - trwał przy swoim sir Henry. Brady miał ochotę zatkać mu usta chusteczką, żeby się uciszył.

- Już od lat mnie tutaj nie było. Człowiekowi, mającemu wielkie ambicje towarzyskie i skromne fundusze, dużo bardziej opłaca się robić furorę na kontynencie. Czy był pan kiedyś w Paryżu? Może tam się spotkaliśmy? Po prostu ubóstwiałem Paryż, ale kiedy przyszła wiadomość, że zostałem nowym hrabią... No cóż, człowiek mający wielkie ambicje towarzyskie i zasobny w fundusze może się bardzo dobrze urządzić w Londynie, czyż nie?

- Paryż? - obstawał sir Henry. - Nawet podczas wojny?

Tak, ty wścibski cymbale, nawet podczas wojny, zrzędził Brady, ale tylko w myśli. Na zewnątrz natomiast uśmiechnął się, mrugnął i powiedział cicho niespodziewanie szorstkim tonem:

- Można brać udział w wojnie na wiele sposobów, mój zacny panie. - Potem szybko uniósł w górę dłoń. - Ale nie. Nie będziemy o tym mówili. Prawda, sir Henry? Będziemy rozmawiali o sztuce. Czyż nie jest wspaniała? Jakże celną rękę i oko mają te cudowne istoty, które siedzą pod samymi krokwiami lub stoją na parterze. Nieczęsto zdarzało mi się widzieć, by rzucano owocami i jarzynami z tak oszałamiającą dokładnością.

Kiedy sir Henry i lady Jersey poszli dalej - z tyłoma osobami chcieli się przywitać i tyle osób chciało przywitać się z nimi - Bram powiedział:

- Nasunąłeś Coxowi myśl, że byłeś szpiegiem. On szepnie słówko Sally, ona szepnie słówko reszcie świata, i zanim zaświta jutrzejszy dzień, staniesz się wspaniałą i najmodniejszą, i otrzymasz taką ilość zaproszeń, że sam nie będziesz wiedział, co z nimi

robić.

- Tak, wszystko się dobrze układa, prawda? - rzekł Brady, przystanął, by zażyć tabaki, i zręcznie otworzył puzderko jedną ręką. Poczęstował księcia.

- Raczej ci podziękuję - powiedział Bram ze śmiechem. -Przynajmniej dopóki nie nauczysz mnie tej swojej sztuczki. Przysiagłbym, że ją zażyłeś.

- Przyślę do ciebie jutro rano Thomasa, żeby cię tego nauczył. Jeżeli żaden z nas dwóch nie będzie kichał, to każdy idiota z mieście będzie przymawiał się, by go poczęstować, potem będzie kichał przez tydzień albo może nawet dwa. Czy przyszło ci kiedyś na myśl, przyjacielu, jak niemądre jest właściwie to nasze społeczeństwo?

- Znasz odpowiedź, przyjacielu. Chyba mamy już tę dyskusję za sobą.

- Prawda, ale najdobitniej uświadomiłem to sobie wtedy, kiedy sądziłem, że zaraz umrę. Całe życie przepłynęło mi przed oczami: niewiele znalazłem w nim do oglądania i nieliczni by mnie oplakiwali. Podziałało to na mnie otrzeźwiająco, by nie powiedzieć więcej.

- Wiesz, czego ci potrzeba, prawda?

- Poza tym, że powinienem udać się w jakiś ustronne miejsce i rozpruć pewien uwierający mnie szew, zanim zacznę mówić głosem o oktawę wyższym?

Bram się roześmiał.

- Tak, poza tym. Potrzeba ci żony, przyjacielu, żony i kilkorga rumianych dzieci, które wołałyby na ciebie „papo”.

- Ty i Kipp - mruknął Brady, potrząsając głową. - Zorientowałeś się, że Abby przybiera, prawda?

- Tak, zorientowałem się, i nie zmieniaj tematu. Widziałem, jak patrzysz na naszą pannę Felicity. Czy podziela ona twoje uczucia?

Brady poczuł, że szczęki mu się zaciskają.

- Teraz nie miejsce ani czas po temu, drogi przyjacielu... i czy ty przypadkiem nie zwariowałeś?

- Dlaczego? Czy chodzi o to, że jest aktorką? Moja własna Sophie była córką... no dobrze, znasz tę historię. Każdy z nas jest utytułowany, Ga-wa-inie, ale nie staje się przez to szczególnie godzien pochwały, prawda? Właściwie to ona może cię nie zechcieć. Trochę robisz z siebie głupka, chociaż masz ku temu ważne powody.

Brady wykonał swoją sztuczkę z tabakierką, żeby czymś zająć ręce.

- Jest stworzeniem, które człowieka może do szału doprowadzić - wyznał po chwili. - Po części dziecko, po części kobieta, po części diablica, a do tego żywi nierozsądne

przekonanie, że prawda to coś, co mówi się tylko wtedy, kiedy człowieka przyprą do muru i nie da się znaleźć żadnego stosownego kłamstwa. Poza tym jeszcze mi nie ufa w pełni.

- Naprawdę? Jeżeli ci nie ufa, to trudno się będzie o nią starać. A nie ufa ci może dlatego, że i tobie zdarzało się imponująco kłamać?

- Ale nie w stosunku do niej, niech to wszyscy diabli - powiedział z przekonaniem Brady, samego siebie zaskakując własną gwałtownością. - Dobry Boże, chyba musiałem się w niej zakochać. Inaczej dlaczego obchodziłoby mnie to, czy nie kłamie?

- Ponieważ jesteś nieuleczalnie wścibski? - poddał Bram - Przez to właśnie skończyłeś w Tamizie, czyż nie?

Brady kiwnął głową.

- Tak. Tak, oczywiście. Jestem nieuleczalnie wścibski. Nie potrafię znieść sekretów. To wcale nie jest miłość. Co za ulga.

- No i kto teraz kłamie? - zapytał Bram, a potem postąpił o krok do przodu, by powitać następnego pełnego nadziei przedstawiciela towarzystwa, który prosił, by przedstawiono go nowemu hrabiemu Singleton.

W chwilę później Brady zapoznawał się z trzema dżentelmenami, z którymi kilkanaście razy grywał w karty do białego rana; w ich oczach widać było zainteresowanie nowym hrabią, ale u żadnego nie błysnęła ani iskierka czegokolwiek innego. Brady doszedł do wniosku, że albo jego przebranie jest takie świetne, albo żył w otoczeniu idiotów i tego nie zauważał.

- A więc to pan jest nowym hrabią? - powiedział wielce szanowny Richard Simeon.

- Prawda, wielka prawda, sir - odrzekł Brady, kłaniając się. - Ja jestem nowym hrabią. Życie sprawiło mi wspaniałą niespodziankę.

- Straszne to, co stało się z pańskim kuzynem, czyż nie? - wtrącił baron Triplett, potrząsając ręką Brady'ego w górę i w dół.

- No cóż, to również było niespodziewane. Wielka strata. Mój zysk, rozumiecie panowie, ale mimo to wielka strata.

- Sądzę, że to kryminał, iż nie rozwiązano sprawy jego morderstwa - dodał pan William Vimes, potrząsając głową. - Nie jest bezpiecznie chodzić po ulicach naszego własnego miasta.

- Morderstwa? - wykrzyknął Brady i zaszokowany cofnął się o krok. - Jakież to okropne! Dlaczego nikt mi nie powiedział? - Podszedł znowu o krok bliżej i z monoklem wetkniętym w oko gniewnie wpatrywał się w pana Vimesa. - Czy jest pan całkowicie

przekonany, że nie było to samobójstwo? Jestem pewien, że nie raz zdarzało się, iż ktoś zawiązał się w worek i rzucił się do wody.

Pan Vimes, a właściwie wszyscy trzej panowie popatrzyli na Brady'ego, jakby rozum stracił.

- Worek był obwiązany łańcuchami, a obecny tu Selbourne mówił nam, że pana kuzyn został pobity.

- No, dobrze, już dobrze. Ale mimo to... nie, pewnie jednak nie. - Brady westchnął. - Zakładam, że ktoś zajmuje się tą smutną sprawą? Przynajmniej jeden z panów, przyjaciół mego kuzyna? Pewnie solidnie pracowaliście panowie nad tym, by postawić jego mordercę przed sądem? Trzej panowie wymienili spojrzenia.

- My? - zapytał baron Triplett. - Ale czy to nie powinna być pańska sprawa?

Brady przycisnął obie dłonie do piersi.

- Moja? - wykrzyknął, przejęty zgrozą. - Na Boga, nie. Dlaczego ja miałbym...? Nawet tego człowieka nie znałem.

Nie tak do końca szanowny pan Richard Simeon wzruszył ramionami i zerknął na swoich przyjaciół.

- Chyba jest coś w tym, co ten człowiek mówi. Dlaczego, właściwie nic nie zrobiliśmy? Brady nie był w końcu taki zły. Może moglibyśmy się zrzucić i wynająć jakiegoś tajniaka z Bow Street.

- Aż tak to ja go nie lubiłem - wymamrotał baron Triplett, a pan Vimes pokiwał głową, że się z nim zgadza.

- Słuchaj no, Selbourne, a co z panem? - zapytał pan Vi-mes. - O ile dobrze pamiętam, to trzymaliście się z Bradym razem jak dwie papużki nierozłączki.

- Prawda, choć w rzeczywistości wcale go nie lubiłem - wyznał księżę Selbourne, pilnując się, by nie zmienić wyrazu wystudiowanej obojętności, który miał na twarzy. - Hrabia był raczej przyjacielem mojej żony.

- Tak, tak - pokiwał głową pan Vimes. - Z Brady'ego zawsze był bawidamek. Ach, nie obchodzi mnie, co mówią inni, brak mi go.

- A ja jestem pewien, że i jemu ciebie pod pewnymi względami brakuje - mruknął Brady, kiedy trzej panowie oddalili się. - No cóż, trochę to człowiekowi otwiera oczy, prawda? A cała trójka obzerała się do wypęku na moim pogrzebie. Wiesz, Bram, zaczynam sądzić, że już przed laty powinienem był coś takiego zrobić. Nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jestem niepopularny.

- Nie powiedziałbym, że niepopularny, Brady - sprostował Bram, ujmując go

pod rękę i prowadząc do swojej prywatnej łoży. - Ale jako przedstawiciele naszej płci bardziej jesteście zajęci sobą niż otaczającym nas światem. Przynajmniej dopóki się nie ożenimy. Obawiam się, że sam miałem niemal równie powierzchowny charakter, dopóki w końcu nie uświadomiono mi, co jest naprawdę ważne na tym świecie.

- Błagam, przyjacielu, powstrzymaj się chwilowo od prawienia mi kazań - poprosił go Brady. - Mam ochotę zemścić się za to, że mnie pobito niemal na śmierć, a potem wrzucono do Tamizy, i tyle.

- Jesteś pewien? Czy jesteś pewien, że nie kieruje tobą nic więcej? Przecież mogłeś całą sprawę przerwać w każdej chwili, na długo zanim przyjechałeś do Londynu przystrojony jak bożonarodzeniowy pudding. Wystarczyłoby, żebyś wystąpił z opowiadką, jak to jakaś poczciwa dusza pielęgnowała cię, aż wróciłeś do zdrowia, aż odzyskałeś zmysły, a pierścień został skradziony, zanim napastnicy wrzucili cię do Tamizy. To by wyjaśniło, jak doszło do tego, że zidentyfikowałem całkowicie niewłaściwe ciało. Realizacja pomysłu zrodzonego z lęku i gorączki nie musiała się ciągnąć tak długo ani stawiać cię w sytuacji, w jakiej się teraz znalazłeś. A teraz proszę, powiedz mi, że ani przez chwilę o czymś takim nie myślałeś.

- Ależ myślałem. Zamierzałem odesłać ją do was niemal natychmiast i postąpić w sposób bardzo podobny do tego, który właśnie przedstawiłeś. Tylko że te sukinsyny zamordowały jej rodziców, Bram - wycodził Brady przez zaciśnięte zęby. -A ona musiała pracować jako żebraczka dokładnie tu, w Covent Garden, udawać, że jest ślepa, codziennie zastanawiać się, czy przypadkiem tego akurat dnia ktoś nie zorientuje się, że nie jest dzieckiem, jakie udaje, chociaż bycie dzieckiem nie uchroniłoby jej przed najgorszymi z potworów tego miasta. Gdyby nie Abby i Kipp, Bóg jeden wie, co by się z nią do tego czasu stało. A wszystko przez Allertona i jego przyjaciół.

- Rozumiem - powiedział cicho Bram.

- Naprawdę? Naprawdę rozumiesz? - dopytywał się Brady. - Czy widzisz, jaka ona jest wyjątkowa? Ja to zauważyłem, jak tylko weszła tamtego pierwszego dnia do gabinetu Kippa. Miała w sobie coś, coś w oczach. Kiedy Kipp powiedział mi, że to tylko dziecko, usiłowałem zapomnieć, co widziałem, i skoncentrować się na tym, by się czegoś więcej o niej dowiedzieć. By jej pomóc, jeżeli mi się uda.

- Dzięki czemu wrzucili cię do Tamizy.

- Dzięki czemu spotkało mnie najszcześniejsze prawdopodobnie zdarzenie w moim życiu - poprawił go Brady, potrząsając głową. - Przystrojony jestem... jak bożonarodzeniowy pudding, chyba tak to sformułowałeś... wszystko przez nią. Fanfaronuję

po całym Londynie i dowiaduję się, że wcale nie jestem taki sympatyczny, jak mi się wydawało; wszystko przez nią. - Przeciągnął ręką po włosach w bardzo niegawainowym geście. - Boże, Bram, przecież to błędne koło, przyznam to w końcu przed tobą, przyznam to po raz pierwszy przed sobą. Błędne koło, Bram. A ja się w tym kole kręcę, aż mam zawroty głowy. W kółko i w kółko, i w kółko, aż wreszcie sam nie wiem, czy stoję na nogach, czy na głowie.

- Porozmawiaj z Sophie - poradził Bram, obejmując go za ramiona. - Porozmawiaj z Sophie, przyjacielu. Ona bardzo dobrze radzi sobie z tego typu problemami.

- Zwariowałaś? Mam oddać się w ręce twojej swatającej żonie? A mnie się zdawało, że jesteś moim przyjacielem.

- Jestem twoim przyjacielem - potwierdził ze śmiechem książę Selbourne. - Dobry Boże, człowieku, nosisz przecież liliowe jedwabie. Gdybym nie był twoim przyjacielem, nie zbliżyłbym się do ciebie na pięćdziesiąt stóp. A teraz chodź, czas już, żebyśmy przyłączyli się znowu do pań.

- Sophie mówi...

- Sophie? Prosiła panią, by się pani do niej zwracała: Sophie? To się robi niebezpieczne.

- Dlaczego? - Regina podała okrycie lokajowi i poszła za Bradym do salonu. Wrócili po teatrze prosto na Portman Square, jako że nie zaproszono ich na żadne prywatne przyjęcie, które to niedopatrzenie, jak zapewniała Sophie, zostanie dzięki skandalicznemu zachowaniu Brady'ego naprawione, nim wstanie nowy dzień. Właściwie tego dnia spotkało ich tylko jedno rozczarowanie, a mianowicie w łoży Allertona przez cały wieczór nie pojawił się nikt poza jego synem i tegoż syna przyjacielem.

Przyglądała się, jak Brady podchodzi od stolika z trunkami, nalewa sobie kieliszek wina, a potem, kiedy spojrzała na niego wyczekująco, pół kieliszka dla niej.

- Dlaczego? Ponieważ, księżniczko, jeżeli Sophie uzna panią za swoją nową przyjaciółkę, wetknie również nos stanowczo zbyt głęboko w nasze sprawy.

- To tylko pan tak uważa - powiedziała Regina, przyjmując kieliszek i siadając na jednej z kanapek. - Zechce pan przyjąć do wiadomości, że Sophie i jej dzieci wyjeżdżają jutro z miasta, by złożyć długą wizytę u moich dawnych chlebodawców, wicehrabiostwa Willoughby. Chociaż Sophie tak bardzo zachwycona jest sezonem, twierdzi, że dzieci powinny spędzić trochę czasu na wsi.

- Naprawdę? Bram nic mi o tej podróży nie wspominał.

- Och, on nie jedzie. Sophie mówi, że musi tutaj zostać i pilnować pana, żeby nie zrobił pan czegoś za bardzo niemądrego.

- Jakże pociesza mnie sympatia przyjaciół i ich wysoka opinia o moich zdolnościach - powiedział Brady, jednym haustem wychylając zawartość kieliszka. - Czy mógłbym ośmielić się zaproponować, by pani towarzyszyła jutro Sophie?

Regina opanowała chęć przygryzienia dolnej wargi, która nagle usiłowała zadrzeć. Dlaczego on bez przerwy szuka okazji, żeby się jej pozbyć? Czy jej obecność jest dla niego aż taka okropna?

- Nie, milordzie. Naprawdę wydaje mi się, że nie powinien pan. Bo na pewno udałoby mi się znaleźć jakiś sposób, żeby wrócić.

Brady westchnął teatralnie, a potem powiedział:

- Ach, do diabła z tym wszystkim. Wadsworth! Wejdz do środka, jeśliś tak

łaskaw.

Kamerdyner wszedł do salonu natychmiast, jakby podsłuchiwał pod drzwiami w oczekiwaniu na takie właśnie wezwanie, i uklonił się.

- W rogu jest sznur od dzwonka, milordzie, ale jeżeli życzy pan sobie porykiwać, przypuszczam, że jako hrabia ma pan do tego prawo. Chociaż pana matka nie byłaby zachwycona.

- Dziękuję, Wadsworth - syknął Brady, ruszając w jego kierunku. - Pomóż no mi się wydostać z tego cholernego pancerza.

- Wezwę Rogersa, milordzie.

- Albo natychmiast osobiście mi w tym pomożesz, albo będziesz patrzył, jak padam na podłogę zemdłony z braku powietrza - zapewnił Brady i odwrócił się plecami do Wadswortha, by ten pomógł mu wydostać się z ciasno dopasowanego surduta. - Ach, już mi lepiej - odetchnął. - Dziękuję ci, Wadsworth. Nie potrafię wprost wyrazić, o ile lepiej się czuję.

- Wolałbym, by pan nie próbował, milordzie - powiedział, kamerdyner, a Regina zachichotała w kieliszek. - Czy jest coś jeszcze, co mógłbym zrobić? Może chciałby pan, bym pobiegł na górę i zaaportował panu pantofle w zębach?

- Zrobiłbyś to? - zapytał Brady, puszczając oko do Reginy, a Wadsworth wyprostował się na całą swoją wysokość, i obrażony wyszedł z pokoju.

- Dlaczego pan to zrobił? - zapytała Regina, kiedy Brady rozpiął kamizelkę i siadał naprzeciw niej na kanapce. - Wprawił go pan w zakłopotanie.

- Raczej nie - sprostował Brady. - Odgoniłem go od drzwi nie nazywając przy tym wścibską, podsłuchującą babą. A teraz wróćmy do przerwanej rozmowy. Czy dobrze się pani dziś bawiła, księżniczko?

Regina patrzyła, jak hrabia zdiera z szyi szeroki fular i rozpina u góry niepokalanie białą koszulę. Robił wrażeni rozluźnionego, ani trochę nie przypominał tego fircyka, którego odgrywał w teatrze. A ona była pełna zachwytu dla jednego nieposłusznego pasemka sięgających podbródka włosów, które pieściło jego policzek.

- Dobrze. Czy jest panu wygodnie? Chociaż może bardziej stosowne byłoby pytanie, czy zdaniem Wadswortha powinnam tu siedzieć z panem, kiedy jest panu wygodnie?

- Właściwie nie powinna pani, ale nie zniósłbym Gawaina już ani chwili dłużej, a chciałem porozmawiać z panią, zanim udamy się na górę. Przez cały wieczór nie mieliśmy prawie jednej chwili dla siebie, a wolałbym dowiedzieć się, czy wicehrabia Allerton kogoś pani nie przypomina.

Regina potrząsnęła głową.

- Już panu mówiłam. Żaden z tamtych trzech mężczyzn nie miał jasnych włosów. I wszyscy byli starsi o co najmniej dwadzieścia lat. - Przyjrzała mu się bardziej uważnie. - Czy próbował mnie pan przyłapać na kłamstwie?

- Na jeszcze jednym kłamstwie? Nie, księżniczko, właściwie nie.

Regina przechyliła na bok głowę i uniosła jedną brew.

- No dobrze, już dobrze - ustąpił Brady, wstał i odniósł pusty kieliszek na stolik z trunkami. - Powinienem po prostu uwierzyć, że powiedziała mi pani wszystko, czy tak?

Regina badawczo spojrzała na czubeczki palców, wracając myślą do swojej ostatniej dyskusji z Kosmą i Thomasem i do nadziei, jakie, wzbudziła ona w jej sercu.

- To byłoby miłe... - powiedziała i głos jej zamarł.

- Ale niepraktyczne - dokończył Brady, zajmując miejsce przed kominkiem. - Tak mi się zdaje. No cóż, może przejdziemy do innych spraw?

- Tak, milordzie. Może powinniśmy. - Regina czuła się okropnie ze świadomością, że Brady zawiódł się na niej. Ale gdyby wiedział, na co teraz miała nadzieję, czy zatrzymałby ją przy sobie w Londynie? Nie, nie zatrzymałby. Nie pozostawił żadnych wątpliwości, z jakiego powodu jest mu potrzebna. Jeżeli ten powód przestałby istnieć, stałaby się zbędna. A gdyby jej tu nie zatrzymał, wtedy nie miałyby szans, najmniejszych nawet szans, by dowiedzieć się, czy domysły jej przyjaciół mają cokolwiek wspólnego z rzeczywistością, czy raczej nie. O tym, że wiele potrafi dokonać, była przekonana, ale samodzielnie, bez wsparcia hrabiego, nie miałyby nawet jednej szansy na milion na sukces.

Brady opuścił miejsce przed kominkiem i zaczął spacerować tam i z powrotem po pokoju; prezentował się wspaniale w samej koszuli, ma dodatek zdjął już liliową wstążkę z włosów, które teraz opadały prosto wokół twarzy. Reginie przypomniał się widziany niegdyś rysunek, przedstawiający pirata, przechadzającego się po pokładzie statku na otwartym morzu - chociaż była pewna, że bardzo niewielu piratów nosi liliowe jedwabne spodnie. Przyglądała się, wiedząc, że z każdym ruchem Brady'ego jest coraz bardziej pod jego urokiem. I było jej wszystko jedno. Chciała po prostu dalej na niego patrzeć.

- Chodzi o tę sprawę z duchem, księżniczko - odezwał się, spacerując za stojącą naprzeciw Reginy kanapą. - Chociaż przyznaję się do tego z wielkim bólem, zwrócić się do pani o radę, jak najzręczniejszą tę sprawę rozwiązać, może nie być najgorszym wyjściem. - Przystanął i odwrócił się, by na nią spojrzeć. - Przypuszczam, że mógłbym uciec się do jednego z pani kolegów, ale sądzę, że oni już wystarczająco wiele wiedzą o moich sprawach, czyż nie?

Regina przygryzła palce, zastanawiając się nad jego pytaniem.

- Żaden z nich w żaden sposób by pana nie zdradził, wie pan - powiedziała w końcu i uśmiechnęła się, kiedy Brady przytaknął. - Skoro już to wyjaśniliśmy, sądzę, że najlepszym wyborem byłby Kosma.

- Czy nie jest on odrobinę za potężny, by kiedykolwiek odgrywał rolę ducha w państwa przedstawieniach?

- To nie było taktowne, milordzie, ale ma pan rację. David jest zbyt niemądry, a Thomas nauczył już pana chodzić tak, by wydawało się, że pan płynie. Nawiasem mówiąc, świetnie to panu wychodzi.

- Podziękowałbym pani, ale wciąż jeszcze nie mogę się zdecydować, czy ten komplement powinien mi pochlebiać, czy mnie przerażać.

- Niech panu pochlebia, milordzie. Był pan dziś wieczorem wspaniały. Połowa towarzystwa nienawidzi pana, reszta uważa, że jest pan cudownym dziwakiem, a wszyscy czują się zaintrygowani. Taka sytuacja dużo lepiej odpowiada pana celom, niż gdyby zachowywał się pan z rezerwą i dystansem albo wtapiał się w tło. Sophie twierdzi, że będzie pan pikantną przyprawą śniadań na całym Mayfair.

- Co, mamy nadzieję, obejmie również dom Allertonów -dodał Brady, podszedł do kanapy i usiadł znowu, pochylając się w stronę dziewczyny. - Chcę, żeby się to wreszcie skończyło, Regino - powiedział z napięciem, które na moment ją przestraszyło. - Chcę kontynuować moje życie... moje własne, Regino.

- Tak, to oczywiste, że pan tego chce, milordzie - powiedziała Regina. Jej nastrój niebezpiecznie zbliżył się do rozczulania nad sobą, bo kiedy Gawain odejdzie, a Brady powróci do własnego życia, dla niej tam nie będzie już miejsca. - Tak więc najlepiej bierzmy się do roboty.

- Jutro będziemy mogli wybierać spośród licznych zaproszeń, a wieczorem powinniśmy mieć już dobre rozeznanie, kim są przyjaciele Allertona. Ponieważ jest starszy, obraca się w innych kręgach towarzyskich, a ja nigdy nie zwracałem na niego większej uwagi.

- A potem złoży pan któremuś z tych przyjaciół wizytę.

- Miejmy nadzieję, że tylko jedną, ale szczęście może nam za pierwszym razem nie dopisać.

- Nadal zamierza pan zakradać się do ich domów i straszyć ich, kiedy pójda spać? Prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, by to był dobry pomysł.

- Och, księżniczko, już dawno z tego zrezygnowałem, ten pomysł do niczego się

nie nadawał. Będę ich zaczepiał na ulicy, podobnie jak oni postąpili ze mną. I prawdopodobnie włączę też do akcji Kosmę i pozostałych, bo ma pani rację, ufam im. - Brady oparł się i poruszył dłonią; Gawain i Brady na moment stopili się w jedno. Regina zastanawiała się, czy hrabia zdaje sobie sprawę, jak naturalne stało się dla niego prześlizgiwanie się z jednej roli w drugą.

- Nie każdy wykazuje taki brak rozsądku, by spacerować samotnie po ulicach Londynu, milordzie - zwróciła mu uwagę.

- Och, nie ma czym się martwić, jestem pewien, że uda mi się coś wymyślić, by uporać się z tym niewielkim próbiemem. - Po tym oświadczeniu ponownie poruszył dłonią, co miało rozproszyć jej błahe troski, a zamiast tego wzbudziło w niej chęć, by dać mu w ucho.

Ależ ten Gawain Caradoc potrafił być denerwujący. Ona, też pragnęła, by cała sprawa się wreszcie skończyła, równie silnie jak on, z powodów bardzo osobistych oraz dlatego, że Brady prawdopodobnie w całym Londynie narobił sobie nowych, wrogów, którzy nieprędko zapomną, że wyszli wszyscy na durniów, uwierzywszy w istnienie fikcyjnego Gawaina.

- A więc do roboty, milordzie - powiedziała. - Moim przyjaciółom i mnie zostanie jeszcze większość sezonu objazdowego, jeżeli odniesie pan sukces.

Brady wpatrywał się w nią przed tak długą chwilę, że żołądek Reginy zdążył fiknąć koziółka, a potem wycedził:

- Ach, rzeczywiście. Aktorzy muszą przecież ruszać z powrotem w drogę, prawda? Jestem pewien, że bardzo tęskni pani za tym życiem. Chociaż, a bez obawy może mnie pani poprawić, gdybym się mylił, wydawało mi się, że wspominała pani, iż skończyła z aktorstwem.

Regina leciutko się wstrząsnęła, potem odrzuciła do tyłu głowę i się roześmiała.

- Naprawdę coś takiego mówiłam, milordzie? Dobry Boże, tak często cygańię, że już mi się płaczą te cygaństwa. Nie, milordzie, za nic nie zrezygnowałabym z tamtego życia; nigdy żadnego innego nie znałam. Żyję po to, by grać, milordzie. Niech pan pamięta, proszę, że obecnie odgrywam rolę pana podopiecznej.

- Tak, to prawda - zgodził się Brady, a wszelkie ślady po Gawainie zniknęły; wyraz twarzy miał mroczny i raczej złowrogi. Potem trzepnął się dłońmi po udach, wstał i powiedział: - No dobrze, księżniczko, bierzmy się do roboty. Co mam zrobić, by stać się wiarygodnym duchem?

Regina również się podniosła i przeszła z nim na środek pokoju; tam stanęli twarzą w twarz w odległości zaledwie trzech stóp od siebie.

- Po pierwsze - pouczyła go, pragnąc, żeby ta lekcja skończyła się jak najszybciej i żeby mogła wrócić do swego pokoju i coś kopnąć. - Wydaje mi się, że przyszła pora, by stał się pan groźny.

- Mam być duchem, księżniczko. Zjawą. Śmierdzącym, ociekającym, brzęczącym, jęczącym widmem, które wynurza się z ciemności, z głębokości czy czego tam. Podejrzewam, że nie będzie mi trudno wydawać się groźnym.

- Prawda, prawda - zgodziła się Regina - ale musi pan również móc się poruszać, i to szybko, na wypadek, gdyby zaczepiony przez pana człowiek raz spojrzął na ducha i zaczął okładać go laską. Powinniśmy więc popracować nad pana groźną aparycją, strojem, łańcuchami. Wydaje mi się, że należy panu do ubrania poprzypinać tylko kawałki i strzępy worka, by mógł się pan swobodnie poruszać, a łańcuchy udrapować luźno na ramionach, dodając może dużą, otwartą kłódkę, zwisającą z jednej strony?

- To się wydaje całkiem rozsądne - pokiwał Brady głową. -A co z moimi włosami? Tylko Gawain nosi długie włosy.

- Dobre pytanie, milordzie - zamyśliła się Regina. Planowanie przedsięwzięcia porwało ją do tego stopnia, że teraz postąpiła do przodu, podniosła obie ręce i przeciągnęła palcami po włosach Brady'ego, odsuwając mu je za uszy. - Moglibyśmy pewnie upiąć je panu z tyłu głowy - powiedziała, a potem westchnęła. - Nie, to na nic. Wyglądałby pan dokładnie tak, jak Gawain, kiedy ściąga sobie włosy na karku wstążką.

Już miała się cofnąć się o krok i opuścić ręce, kiedy Brady położył na nich dłonie i przytrzymał ją.

- Nie - powiedział cicho, patrząc na nią z góry.

Nie. Tylko to jedno słowo. Tylko to jedno słowo i dłonie na jej rękach, i wyraz jego oczu. Regina nie zdołałaby się poruszyć, nawet gdyby jej ktoś podpalił włosy. Nie.

Przełknęła z trudem, usiłowała się uśmiechnąć, zupełnie jej się to nie udało.

- Co? Czy coś się stało?

Palce Brady'ego zaczęły przesuwać się w górę i w dół po jej rękach, głaszcząc wrażliwą skórę.

- Czy pamięta pani tamten dzień w Singleton Chase, księżniczko? Boże Narodzenie?

- Ja... tak, pamiętam.

- Czy wie pani, dlaczego wyjechałem następnego ranka?

Usiłowała opuścić głowę, ale hrabia puścił jej rękę, wziął ją pod brodę i musiała znowu spojrzeć mu w oczy.

- Chyba wiem, milordzie - przyznała. - I chyba jestem zadowolona, że pan wyjechał.

Brady przechylił głowę na bok, jakby powtarzał sobie w myśli jej słowa i chciał zrozumieć, czy powiedziała prawdę, czy schroniła się za kłamstwem.

- Dlaczego, Regino? Dlaczego była pani zadowolona? Czy bała się pani tak bardzo jak ja?

- Boję się teraz, milordzie - szepnęła i nigdy jeszcze w życiu nie była taka uczciwa.

Brady uśmiechnął się powoli, usta mu się wygięły, a w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki.

- Och, to dobrze. Nie czuję się osamotniony... – mówiąc te słowa, dotykał niemal ustami jej warg, a skończywszy mówić, pocałował ją.

Rozpalona do białości błyskawica przemknęła pod powiekami Reginy i przeszła całe jej ciało, od stóp do głów. Brady otoczył ją ramionami, przycisnął do siebie i unieruchomił na moment ręce. Zdołała je uwolnić... i zaczęła zastanawiać się, co ma z nimi teraz począć, skoro już je uwolniła.

Uniosła je w górę, splotła mu na karku i doszła do wniosku, że dokonała właściwego wyboru, ponieważ teraz ich ciała stopiły się w jedno. Kiedy buchną płomieniem, przynajmniej będą się palili razem. To chyba sprawiedliwie.

Brady muskał ustami jej wargi. Przesunął językiem po dolnej, leciutko ją łaskocząc, i usta Reginy wygięły się w uśmiechu, który jakoś podwoił jeszcze moc wstrząsających nią do głębi jestestwa wrażeń.

- Och - szepnęła, na wpół z zaskoczeniem, na wpół z radością, a zaraz potem Brady lekko się cofnął tylko po to, by znowu się przybliżyć i tym razem delikatnie possać górną wargę dziewczyny, muskając przy tym językiem miękkie, wilgotne ciało.

Cofnął się znowu, znowu się przybliżył; za każdym razem dotykał jej ust w inny sposób, jakby ucztował, jakby ją poznawał, i doprowadził Reginę do takiego stanu, że splotła mu obie dłonie za głowę, przyciągnęła go do siebie z całej siły i przytrzymała bez ruchu, by i ona mogła ucztować i go poznawać.

Czuła niejasno, że dłonie Brady'ego przesunęły się po jej plecach na talię, tuliły ją przez kilka chwil, a potem poruszyły się znowu, przesunęły do przodu, uniosły, nakryły piersi i tam, obejmując je, zostały.

Tak nie wolno. Tak trzeba. Tego właśnie pragnęła, chociaż powtarzała sobie, że tego właśnie jej pragnąć nie wolno. Absolutnie tego nie potrzebuje, niczego nie potrzebuje oprócz

tego.

- Milordzie, wchodzę, by przyciąć knoty - oznajmił głośno Wadsworth; słowa kamerdynera przebiły się przez zmysłową mgiełkę, która otulała Reginę i odbierała jej ostatnią uncję zdrowego rozsądku.

- Wadsworth - mruknął Brady, przerywając pocałunek i wtulając twarz we włosy Reginy. - Dzięki Bogu, że w tym domostwie został jeszcze choć jeden rozsądny mężczyzna. - Lekko pogładził rękami Reginę po bokach, szybko uścisnął ją w pasie, potem cofnął się o krok. I odwrócił do niej plecami. - Idź już, księżniczko, albo on swoją groźbę wprowadzi w czyn. Porozmawiamy znowu rano.

Regina kiwnęła głową, uświadomiła sobie, że Brady jej nie może zobaczyć, ale wiedziała, że nie uda jej się odezwać, choćby się nie wiedzieć jak starała. Przesunęła dłońmi po włosach, wygładziła stanik sukni, a potem skierowała się do drzwi i przystanąła tuż przed nimi, by odwrócić się i popatrzeć na Brady'ego.

Nie ruszył się z miejsca, głowę miał opuszczoną, ramiona lekko mu drgały, jakby usiłował zapanować nad oddechem.

Popelnili błąd. Wiedziała to, i najwyraźniej on również to wiedział. A teraz już nic nie będzie takie samo.

Regina lekko się wstrząsnęła, wyprostowała w ramionach, otworzyła drzwi i zobaczyła za nimi Wadswortha, który stał, trzymając małe mosiężne nożyczki w jednej ręce, a gasidło do świec w drugiej.

W końcu odzyskała głos.

- Przynajmniej miałeś dość rozumu, by zabrać ze sobą rekwizyty - powiedziała, mijając go, zadarła wysoko brodę i ruszyła w kierunku schodów. Z dłonią na poręczy zawahała się na chwilę i odwróciła, by spojrzeć na kamerdynera. - Dziękuję ci, Wadsworth - dodała, a potem poszła na górę do swojej sypialni.

Wiszący nad drzwiami do sklepu dzwonek zabręczał, kiedy David przytrzymał otwarte drzwi. Regina, do głębi przejęta rolą znudzonej młodej damy z wyższych sfer, przygotowanej na to, by najmniejszego wrażenia nie zrobiło na niej skromne zaopatrzenie najmodniejszego sklepu na Mayfair weszła do środka. Pani Matilda Forrest deptała jej po piętach.

- Ba, sir - odezwała się Regina do Davida, który strzelał palcami, żeby zwrócić na siebie uwagę młodej kobiety, która w tej właśnie chwili odkładała belę materiału na jedną z półek pod ścianą - nie mam pojęcia, co mnie opętało, bym uwierzyła, iż znajdę tu, w

Londynie, cokolwiek godnego uwagi! Ile to sklepów odwiedziliśmy już dzisiaj rano? Cztery? Sześć?

- Siedem, panno Felicity - powiedział David, obciągając mankiety wspianiałego nowego surduta z ciemnoniebieskiego najprzedniejszego sukna. Surdut był sekretną dumą i radością młodego człowieka, bo kolor podkreślał barwę jego oczu, ciemne faliste loki oraz biel idealnych zębów. - Miejmy nadzieję, że ten okaże się wreszcie coś wart. Może uda się pani w końcu znaleźć choć jedną rzecz, która panią zadowoli i będzie miała szansę zyskać sobie aprobatę pani wuja, Gawaina.

David recytował tę samą kwestię w każdym ze sklepów natychmiast po słowach Reginy i w każdym wywoływała ona ten sam efekt. Głowy unosiły się w górę, nosy zaczynały węszyć w powietrzu - damy z towarzystwa zdawały się wszystkie spręzać niczym psy, które właśnie wytropiły lisa.

Taki właśnie był cel całego przedsięwzięcia: mieli zwrócić na siebie uwagę. A przynajmniej takie postępowanie zalecał jej liścik Brady'ego, który przyniesiono razem z tacą śniadaniową.

Proszę krążyć po okolicy, dać się oglądać, wydawać moje pieniądze, ściagać na siebie jak najwięcej uwagi.

Taki tekst znajdował się w liściku. Regina była jednak pewna, że jego znaczenie jest następujące:

Przykro mi, to się nie powinno było stać i już się nie powtórzy.

Boczyła się w swojej sypialni przez godzinę, kiedy Maude powiedziała jej, że trzeba by bezmózgiego głupka, by zrezygnować ze sposobności wydawania cudzych pieniędzy, a potem postanowiła skorzystać z propozycji jego lordowskiej mości, ale nie z powodów, dla których tę propozycję złożył... dla której jej to rozkazał.

O nie. Regina nie wybrała się na Bond Street na zakupy. Wybrała się na Bond Street i chodziła od sklepu do sklepu w nadziei, że szczęście się do niej uśmiechnie i uda jej się trafić na pewną młodą kobietę o imieniu...

- Lady Bellinagaro, gdyby zechciała pani przejść tutaj, za zasłonę - powiedziała dosyć tęga kobieta o szokująco różowych włosach - to każe Mary przynieść pani suknie do kolejnej miary.

Regina popatrzyła na Kosmę, unosząc wysoko jedną brew, a przyjaciel uśmiechnął się przez ostatni kawałek pasztecika, który właśnie wsunął sobie do ust.

- Wiesz, Davidzie, coś mi się zdaje, że w tym zakładzie możemy znaleźć dokładnie to, czego szukałam, jak sądzisz? - zapytała, biorąc do ręki małą, pokrytą warstwą

perełek torebkę, kosztującą prawdopodobnie więcej niż wóz, który przez całe swoje życie nazywała domem.

Podeszła do nich panna sklepowa, ale Regina odprawiła ją jednym ostrym spojrzeniem, a potem złagodziła to uśmiechem, mówiąc:

- Porozglądam się tu trochę sama, moja droga. Czy mogłabyś może powiedzieć właścicielce, że przyszła podopieczna lorda Singletona, by zastanowić się nad jakimś zakupem?

I kiedy panna sklepowa oddalała się na paluszkach, Regina udawała, że przygląda się torebce, a równocześnie obserwowała, jak lady Bellinagara, ta kobieta, o której Brady mówił „Belle”, odkłada zwój jedwabiu w odcieniu najbledszej zieleni i przechodzi w kierunku zasłony, przytrzymywanej przez właścicielkę.

Olśniewająca. Ta kobieta była olśniewająca. Naprawdę niesłychanie gęste włosy koloru miodu upięte miała wysoko, poza kilkoma lokami, które pieściły długą szczupłą szyję. Oczy były ogromne, zielone jak szmaragdy, a na małej twarzyczce o kształcie serca uwagę zwracał jeszcze idealnie prosty nos i wygięte jak łuk kupidyna usta. Poruszała się wdzięcznie, jedwabna suknia w jaśniejszym odcieniu szarości szeleściła wokół stóp, a małe wysokie piersi, wąska talia i lekko rozszerzające się biodra były takie doskonałe, że Regina przyłapała się nagle na tym, iż zaczyna zgrzytać zębami, i szybko odwróciła wzrok.

A więc to jest kobieta, z którą Brady'ego łączyła kiedy „romantyczna więź”. Jak on się dokładnie wyraził? Znała jego wypowiedź co do słowa, zupełnie jakby nauczyła się ją na pamięć. Powiedział: „Ubiegałem się o nią, ona mnie unikała, i to koniec historii.”

Udając, że zainteresowały ją inne jeszcze torebki, skinęła na Kosmę, by przyłączył się do niej przy małym stoliku.

- Czy myśli pani, Matildo, to samo, co ja myślę?

- Miała pani powody, by się denerwować. Ta kobieta może nam przysporzyć pewnych problemów - powiedział Kosma, kiwając głową i poprawiając stanik u sukni z nieco zbyt wielką energią. - Jego lordowska mość, przekonany jestem o tym, ma czułe serduszko. A na łzy w tych wielkich zielonych oczach każdy mężczyzna zatrzymałby się jak wryty.

- Myśli pani, że hrabia zrezygnowałby z naszych planów, żeby doprowadzić do ukarania Allertona i jego koleżków za to, co zrobili mamie i papie, i jemu samemu?

- Myślę, że mógłby zrezygnować, gdyby jaśnie pani poczuła pismo nosem, zanim zdążymy całą sprawę ujawnić przed światem, i zaczęła go błagać o litość. Miała pani rację, wypowiadając się dziś rano, moja droga. Musimy tę sprawę zakończyć, i to szybko. Nadmierne jej przeciąganie może doprowadzić do komplikacji. Jaśnie pani stanowi taką

komplikację, chyba że uda nam się ją jakoś wykorzystać dla naszych celów.

Regina westchnęła.

- Och, Kosmo, gdybyśmy tak mogli dokonać zemsty bez niego. Gdybyśmy mogli zwalić mury bez jego pomocy.

- Gdybyśmy tak mogli mieć pewność, że wiara w życzliwą Opatrzność i chciwość naszych bliźnich jest coś warta, a mimo to powiem, że nie powinniśmy...

- Wiem, co mówisz, Kosmo, i co mówi Thomas, i co mówi David... chociaż właściwie na to, co mówi David, nikt większej uwagi nie zwraca, prawda? Ale im dłużej się nad tym zastanawiam, im częściej obracam w myślach wydarzenia ostatniego wieczoru, tym bardziej moje nadzieje rosną. Jednak najpierw musimy pozbyć się przeszkody w postaci Allertona, a potem jego lordowska mość będzie musiał utorować nam drogę i dopiero...

- Proszę, nie pozwól, by twoje nadzieje urosły za bardzo. Nic chciałbym patrzeć raz jeszcze, słoneczko, jak pęka twoje kochane serduszko - szepnął Kosma. Podał jej parę rękawiczek z najmniejszej gienzowej skórki i głośno zaczął świergotać: - Czy widziała pani kiedyś taką robotę? Musi sobie je pani zamówić we wszystkich kolorach, panno Regino, po prostu musi pani.

Różowłosa dama, której uszy aż drgały, podeszła do nich, niemal zacierając ręce.

- Najmocniej przepraszam za gburowate zachowanie mojej pracownicy, która tak nieproszona podeszła do pani. Oczywiście natychmiast zostanie odprawiona.

- Jeśli pani to zrobi, madame - zareagowała Regina, spoglądając na nią lodowato - poproszę wuja, by kupił ten sklep i dopilnował, by to panią wyrzucono na ulicę. - Powiedziawszy to, uśmiechnęła się i podniosła parę rękawiczek. - We wszystkich kolorach?

- Och, tak, tak, to możliwe, ale ja tu nie sprzedaję rękawiczek. Te są tylko na pokaz, użycza mi ich sąsiedni sklep, podobnie jak ja sama wystawiam część moich prac u nich. Ale z pewnością uda mi się zainteresować panią nową suknią? Chociaż to, co pani ma na sobie, jest przepiękne... po prostu przepiękne! Mam tu kilka sukien prosto z Paryża, które zachwyca panią, jestem tego pewna.

- Byłoby to niezwykle zdarzenie - wtrącił się David, podziwiając swoje odbicie w pobliskim lustrze. - Panna Felicity rzadko się czymś zachwyca. Można ją rozbawić. Udobruchać. Ale nieczęsto zachwycić. Jego lordowska mość, lord Singleton, nauczył ją, czym jest moda, i wcale nie ma ochoty nosić czegoś, co nie zostało przysłane prosto z Francji. A skoro już tę sprawę sobie wyjaśniliśmy, proszę pozwolić, bym to ja obejrzał suknie, madame, i to ja podejmę decyzję, czy są one zachwycające czy też nie.

- Tak, proszę, Davidzie, zajmij się tym, a ja przejdę do przebieralni i ktoś

pomoże mi zdjąć suknię, którą mam na sobie. Będzie pani musiała wziąć miarę, czyż nie? - zapytała właścicielkę.

- Och, tak, tak, oczywiście. Koniecznie pani miarę, jako że ja nie sprzedaję tu przysyłanych mi z Paryża sukien, tylko używam ich jako wzorów. Każdej z moich klientek szyję suknie specjalnie na miarę, osobiście. - Tu pokazała ręką na zasłonę. - A w przebieralni mamy coś, czym można się odświeżyć. Ciastka. Herbatę. Cukierki.

- Wspaniale. - Kosma po prostu tryskał entuzjazmem. Nie należał do ludzi odmawiających poczęstunku.

- Proszę, panno Felicity, gdyby pani i... - tu spojrzała na Kosmę, który dłubał paznokciem w zębach - ... pani towarzyszka zechciały pójść za mną?

- Och, nie trzeba - zaprotestowała Regina, kiedy Kosma już ruszał. - Pani Forrest z radością zaczeka tutaj. - Odwróciła się i spiorunowała go spojrzeniem. - Prawda, pani Forrest?

- Och, tak, tak. O czymże ja myślę? - zapytał Kosma, zarumienił się, a potem pomachał Reginie palcami. - Ale gdyby mogła pani dopilnować, by kilka cukierków...

- Może pani być pewna, że polecę, by przyniesiono pani cukierki, pani Forrest - zapewniła Regina, przewracając oczami do przyjaciela, a potem odwróciła się i poszła za właścicielką do przebieralni.

Kiedy wprowadzono ją do prywatnego pokoiku, oddzielonego grubą, sięgającą od podłogi do sufitu zasłoną, ukryła rozczarowanie, że nie znalazła się razem z lady Bellinagarą w jednym, wielkim pomieszczeniu. Jednak była to tylko zasłona. Regina usłyszy każde słowo, wypowiedziane przez lady Bellinagarę, i vice versa.

Po chwili panna sklepowa, z którą na samym początku rozmawiała, przyłączyła się do niej w przebieralni, prosząc, by jaśnie panienka pozwoliła sobie pomóc porozpinać guziki i zdjąć suknię. Regina pozwolenia udzieliła z nadzieją, że jej głos brzmi tak, jakby coś takiego robiła dwa razy dziennie, i to od lat.

- Dopiero co przyjechałam do Londynu - gawędziła swobodnie, kiedy panna sklepowa pomagała jej się rozebrać - i tak mało wiem o tym mieście. - Mój opiekun twierdzi, że dobrze wypada z porównaniu z Paryżem, ale wciąż czuję się tu bardzo samotna, jako że mój najdroższy świętej pamięci opiekun trzymał mnie w pełnym odosobnieniu w Singleton Chase. Wykazał jednak dość rozsądku, by posyłać po garderobę dla mnie do Paryża, jako że w tym roku miał nastąpić mój debiut. Prawdę mówiąc, godzien pozazdroszczenia gust, z jakim dobierał stroje, wydaje się być jedyną cechą, łączącą tego drogiego nieszczęśnika z moim nowym opiekunem.

Przyjrzała się w myśli bacznie swemu ostatniemu oświadczeniu i uznała, że udało jej się nakłamać przekonująco i wiarygodnie. Jednak kłamstwa zaczynały się już nawarstwiać, a to bardzo wyraźny znak, że z oszustwem należy szybko skończyć.

Panna sklepową popatrzyła na nią z zaciekawieniem. Ewidentnie nie była przyzwyczajona do tego, by klientki rozmawiały z nią o czymkolwiek poza kokardami, szwami i rozmiarem guzików.

- Tak, jasnie panienko? - odezwała się, posługując się sznurkiem, za pomocą którego zdejmowała miarę.

Regina uniosła rękę na wysokość ramion, by panna sklepową mogła zmierzyć ją w biuście.

- Och, tak naprawdę. I jeszcze ta żalność. Kiedy przywieźli ciało z Londynu, byłam całkiem sama. Chociaż nie znałam hrabiego najlepiej, i tak naprawdę nie był moim wujem, smutno mi się robiło na myśl, że został zamordowany. Utopiony, wie pani, w Tamizie. Ach, biedny, biedny wujek Brady.

Sukces!

Regina ukryła uśmiech, kiedy zasłona rozchyliła się i lady Bellinagara, również w samej bieliźnie, weszła do przebieralni.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała z uśmiechem - ale mimo woli podsłuchałam to, co pani mówiła. Była pani podopieczną Brady'ego Jamesa?

- Byłam - potwierdziła Regina, lekko skinąwszy głową. Odpowiedzi udzieliła chętnie, ale nie miała najmniejszego zamiaru jej rozwijać, czego prawdopodobnie oczekiwała świeżo przybyła dama. Uniosła brodę, popatrzyła w dół na lady Bellinagarę z taboreciku do przymiarek, na którym tkwiła jak na grzędzie. - Ale czy to dotyczy pani, madame?

- Nie, nie, naturalnie, że nie - wyjaśniła pospiesznie jasnie pani - ale pani świętej pamięci opiekun był moim znajomym i chciałam złożyć pani kondolencje po jego stracie. Nie spotkałam jeszcze nowego hrabiego, lecz słyszałam już o nim. Czy on naprawdę jest tak... ale nie powinnam pytać.

- Czy naprawdę jest taki niemądry, jak powiadają? - podsunęła Regina i skinieniem dłoni zaprosiła lady Bellinagarę do środka. - Dużo by o tym mówić, madame. - Machnięciem ręki odprawiła pannę sklepową, zeszła z taboreciku i pokazała ciastka i herbatę na pobliskim stoliku. - Czy zechciałaby się pani do mnie przyłączyć? Tak bardzo chciałabym móc powiedzieć mojemu opiekunowi, że zaprzyjaźniłam się przynajmniej z jedną osobą w Londynie.

- Z rozkoszą - odrzekła lady Bellinagara i mucha ochoczo wefrnęła do saloniku

pajaka.

Tylko która z nich była tym pajakiem?

Brady spędził ten dzień razem z Bramem, wędrując po Mayfair, odwiedzając niektóre z klubów księcia - kiedyś były one również klubami Brady'ego - i poznając ludzi, których znał od lat.

A przynajmniej tak mu się wydawało, że ich znał. Najwyraźniej jednak się mylił.

Czuł się zaskoczony wyrazami bardzo szczerego smutku, przekazywanymi Gawainowi Caradocowi po bolesnej stracie kuzyna, a jeszcze bardziej źródłem tych kondolencji.

Składali je ludzie, których niby znał, ale nigdy nie poznał, nigdy nie poświęcił czasu, by ich poznać, za bardzo był zagoniony, za bardzo zajęty hazardem, pić, bawieniem się w życie. Ci ludzie zbliżeni byli wiekiem do niego, ale - jak sobie uświadomił - wszyscy mieli żony, zachowywali się nieco bardziej statecznie i wykazywali zainteresowanie rządem i generalnie światem. Zaczni, co do jednego.

Brady uważał kiedyś, że są nudni, ale teraz zaczynał rozumieć swoich przyjaciół, Brama i Kippa, oraz zmiany, które zaobserwował u nich po ślubie. Posiadanie żony, posiadanie dzieci lub nadziei na dzieci... to wszystko chyba człowieka zmieniało. Zmieniało go na lepsze.

Z pewnością okazywali się lepsi niż inni panowie, których spotykali z Bramem, rozbawieni, roześmiani kumple od koni i kart, a przecież kiedyś głęboko wierzył, że właśnie oni byli jego najlepszymi przyjaciółmi. To z nimi grywał w karty aż do świtu, wyprawiał się na oglądanie bójek, jeździł w klubie czworokonnych zaprzęgów, pił i bawił się, często kosztem bardziej poważnych dżentelmenów, którzy co do jednego składali mu wyrazy szczerego współczucia po tragicznej śmierci Brady'ego Jamesa.

Ci bardziej rozbawieni „przyjaciele” składali mu co prawda również kondolencje, ale puszczali przy tym do niego oko i uśmiechali się, a nawet poklepywali go po ramieniu, gratulując odziedziczonego tytułu - zdarzały się i aluzje, że może miał swój udział we wpychaniu świętej pamięci hrabiego pod wodę tamtej brzemiennej w skutki nocy.

Brady potrafił zrozumieć niemal wszystko. On sam był martwy; znajomi mieli przed sobą Gawaina Caradoca - żywego, będącego towarzyską sensacją, w oczywisty sposób słabego na umyśle, ale mającego zasobne kieszenie, a to przyciągało ich jak pszczoły do miodu. Ile to razy proponowali mu, by przyłączył się do nich przy zielonym stoliku przez te kilka godzin, które spędził w mieście? Zbyt wiele.

Uderzyła go zwłaszcza reakcja pana Henry'ego Finleya, który - potrząsając energicznie ręką Brady'ego - poinformował go nie jeden raz, ale dwa, jakim to hrabia był kiedyś „zaczynym człowiekiem” - i przez cały ten czas szacował Caradoca spojrzeniem jak naganiacz na torze wyścigów konnych.

Finley sądził, że Caradoc będzie łatwym kąskiem, pewnym źródłem dochodów, jeżeli tylko uda się go posadzić przy zielonym stoliku. Brady orientował się w tym z łatwością, ponieważ znał Finleya od lat i - co stwierdzał teraz z ubolewaniem - zdarzało mu się brać razem z nim udział w takich nie do końca przyjacielskich komediach. A mimo to przekonany był, że Finley jest jego przyjacielem.

- Zacny człowiek? - zapytał. - Naprawdę? Wie pan, zupełnie go nie znałem.

- Nie znał go pan? - Henry Finley uśmiechnął się tak szeroko, że... choć nie miał o tym pojęcia... niewiele brakowało, a straciłby dwa przednie zęby. - No cóż, pewnie mogę bez szwanku to panu zdradzić. Brady potrafił być okropny. Jeden z tych typów, co to wszystko wiedzą, rozumie pan. Zawsze wtykał nos w nie swoje sprawy. Pewnie go przez to załatwili. Przez wścibstwo.

Brady czuł, że twarz krzepnie mu w uśmiechu; uprzejmie odebrał Finleyowi rękę, wyjął tabakierę, stuknął w nią, otworzył i delikatnie podniósł po szczypcie tabaki do każdego nozdrza.

- Naprawdę? Powiada pan? Jakież to interesujące. Czy nie miałby pan ochoty się poczęstować, panie Finley? To preferowany przeze mnie gatunek. Wyjątkowo delikatna tabaka.

Zostawił Henry'ego Finleya, który z trudem dochodził do siebie po paroksyzmie kichania. Obiecał Bramowi, że spotkają się później tego samego wieczora na balu lady Sefton, co było pierwszym etapem starannie obmyślanego planu, mającego doprowadzić do wytropienia hrabiego Allertona i rozmowy z nim.

Odprawił swój powóz, którym jeździł, bo lekko mżyło, przez co niebo było szare, a bruki mokre, i przeszedł na piechotę całą drogę na Portman Square, nielicho się nad sobą rozczulając.

Kiedy jednak wchodził po schodach do rezydencji, uświadomił sobie, że wszystko ma swoje dobre strony, ponieważ od trzech co najmniej godzin ani razu nie pomyślał o Reginie. A to mu odpowiadało, bo kiedy zaczynał myśleć o Reginie, przychodziło mu do głowy, że prawdopodobnie musi być najpodlejszą, najbardziej nikczemną istotą na tym świecie, skoro wykorzystuje niewinną młodą dziewczynę, która z pewnością nie ma pojęcia o rządzących w kręgach towarzyskich regułach.

Reguły towarzyskie? Jakże właściwie są te reguły, dumał, krzywiąc się. Zachowywać się przyjaźnie wobec kogoś, a potem, nie czekając prawie, aż jego ciało ostygnie, ujawniać prawdziwe uczucia? Czy w towarzystwie prawdziwe uczucia w ogóle istnieją? Czy może są tam tylko gesty i strategie, spiski i plany, których celem jest utrzymanie się w pierwszym szeregu towarzystwa, gesty i strategie, które obejmują gonienie za takim oczywistym idiotą jak Gawain Caradoc wyłącznie dlatego, że ma on tytuł i pieniądze - albo jest na tyle unikalny, że może dodać prestiżu ludziom, którym pozwoli nazywać się przyjacielem?

Gdzieś w głębinach umysłu Brady'ego otrzepał się z kurzu pewien wiersz (hrabia nauczył się go w dzieciństwie na pamięć na naleganie jednego z nauczycieli) i zaprezentował mu się teraz ku jego podbudowie moralnej. Był to wiersz Richarda Barnfielda do jednego z przyjaciół: „Jeśli kto pochlebia tobie, to porzuci cię w złej dobie. Słowo z wiatrem leci wartko, wierny druh się trafia rzadko. Każdy przyjacielem będzie, gdyć w kieszeni grosz zabrzęknie. Lecz gdy cię przycisnie bieda, to pomocy nikt ci nie da. Szczerym druhem nazwać możesz, kto w potrzebie cię wspomóże”.

Brady miał kilku dobrych przyjaciół. Brama. Kippa. I jeszcze garstkę innych, z których większość mieszkała w pobliżu Singleton Chase, przyjaciół od dzieciństwa, którzy albo z wyboru nie bywali w towarzystwie londyńskim, albo byli zbyt zajęci własnym majątkiem i rodzinami, by tam jeździć. Wszyscy oni pojawili się na jego pogrzebie, jak powiedział mu Wadsworth, z czarnymi opaskami na rękawach, kilku płakało - natomiast większość londyńskich przyjaciół piło jego wina, objadało się i gonilo za pokojówkami.

- Mądry człowiek z tego Barnfielda - mamrotał Brady pod nosem, podając kapelusz z podwiniętym rondem jednemu z lokai, żeby go zaniósł Rogersowi do wysuszenia, a następnie starannego wyszczotkowania.

Wszedł do bawialni i wyciągnął kryształowy korek z karafki, nalał sobie kieliszek trunku, wziął go ze sobą, podszedł do okna i wyjrzał na Portman Square.

Jego przyjaciel Bram miał rację, podobnie jak Kipp. Znajdź sobie kobietę, którą pokochasz, kobietę, która pokocha ciebie, i do diabła z całą resztą świata, z wszystkimi szalonymi regułami towarzystwa. Sophie i Bram podbili razem cały Mayfair, podporządkowali go sobie, ponieważ mieli na to ochotę. Kipp i Abby odwrócili się chwilowo od Londynu i dali się porwać pierwszej fali szczęścia, ale kiedy zdecydują się powrócić, stanie się tak na ich własnych warunkach, tego Brady był pewien.

Bram i Sophie odnieśli zwycięstwo, Kipp i Abby je odniosą. A gdyby im się nie udało? A gdyby tak towarzystwo odwróciło się od nich na zawsze?

- Niewielka strata - mruknął Brady, jednym haustem przełknął trunek, a potem

mimowolnie się wzdrygnął, kiedy palący płyn spływał mu po gardle. Czy on sam nie czuł się już znużony towarzystwem? Czy nie zaczynał rozumieć, jak niemądra i bezcelowa jest ta szalona krzątanina? Czy nie zaczynał tęsknić za czymś innym, czymś lepszym? Czymś bardziej istotnym i trwałym?

Tak. Tak, zaczynał.

A czy był kiedyś bardziej szczęśliwy niż przez te ostatnie miesiące - to znaczy, kiedy jego ciało już doszło do siebie? Czytał, jeździł po polach w pobliżu myśliwskiej ambony, interesował się zarządzaniem swoim majątkiem. Bawił się w śniegu, śmiał się przy rozmowach przy obiedzie, które nie musiały być zjadliwe, by były dowcipne. Wciąż jeszcze nie kupił sobie psa, który mógłby leżeć u jego stóp, ale nadal chciał go mieć.

Gdyby coś takiego pomyślał zaledwie rok temu, doszedłby do wniosku, że niechybnie musiał zwariować. Ale zaledwie rok temu bawił się w życie i wierzył, że mu to odpowiada, i dopiero kiedy opadał na dno Tamizy, uświadomił sobie, że nigdy nie żył naprawdę.

Po raz pierwszy od stanowczo zbyt długiego czasu naprawdę się czymś zainteresował, kiedy zobaczył figlarne, szare oczy Reginy Bliss. Po raz pierwszy poczuł prawdziwe zadowolenie, kiedy ocknął się po opadnięciu gorączki i zobaczył ją przy swoim łóżku. Po raz pierwszy poczuł namiętność tak przemożną, że niemal mu odebrała odwagę poprzedniego wieczora, kiedy trzymał Reginę w ramionach...

- Milordzie, czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać?

Trwało to kilka sekund, zanim Brady pozbiierał myśli, bo czuł, że spływa właśnie na niego objawienie, ale po chwili odwrócił się i skinął głową.

- Thomas. Kosma. Oczywiście, oczywiście. Wejdźcie. Czy mielibyście ochotę się czegoś napić? Ratafia dla pani, pani Forrest, ponieważ oczywiście nie namawiałbym goszczących u mnie dam na mocniejsze trunki.

- Raczej nie, milordzie - odpowiedział Thomas sztywno. -Przyszedliśmy tu, by zapytać o pańskie zamiary w zakresie, w jakim dotyczą one Reginy.

- On przyszedł tu właśnie po to - sprostował Kosma, z wyniosłą miną krocząc w stronę Brady'ego w swoich halkach i fiszbinach. - Natomiast ja przyszedłem, by dać panu w nos.

Brady spojrział na tych dwóch mężczyzn - na Thomasa, którego blade, szczupłe palce zaciśnięte były w pięści, i na Kosmę, któremu niemal pękający w szwach gorset przekrzywił się na bok.

- A gdzie jest David? Czy ta konfrontacja nie obejmuje również i jego?

Thomas prychnął.

- Regina, która z determinacją postanowiła pana dziś zrujnować, kupiła mu na Bond Street jeszcze jedno lustro, takie, które można trzymać w ręku. David jest teraz na górze i usiłuje tak się ustawić, by móc się dobrze sobie przyjrzeć od tyłu. Może przypomina pan sobie, milordzie, że wspominałem panu, iż jest on nieszkodliwy.

- Podobnie jak ja. Stosunkowo - dodał Brady, gestem zapraszając ich obu, by usiedli. - Przypuszczam, że Regina opowiedziała wam o pocałunku?

Kosma, który już opadał na kanapę, wyciągnął ręce przed siebie, zamachał nimi i utrzymał się na nogach.

- Pocałunek? A więc to o to chodzi! Oj, dostanie pan w nos, wasza lordowska mość. Co najmniej.

Thomas, który już siedział, założył jedną chudą nogę na drugą i oparł dłonie na kolanie.

- Siadajże, Kosmo. Przecież sami się czegoś takiego domyślaliśmy.

- Sądzę, że moje zamiary są honorowe - oznajmił Brady, siadając naprzeciw nich na kanapie, a potem wniósł poprawkę do swego oświadczenia. - Nie, jestem przekonany, że są honorowe. Skoro jednak tę sprawę już wyjaśniliśmy, zgodzę się z wami, że zachowałem się niewłaściwie. Regina ma powody, by mnie nienawidzić.

Kosma i Thomas wymienili spojrzenia, a potem Thomas powiedział:

- To prawda, milordzie. Ale Reginę już wcześniej zdążyli rozczarować przedstawiciele pana stanu, czemu nie należy się dziwić, zważywszy, jak brutalnie została jej rodzina potraktowana przez tych, którzy powinni być szlachetni z urodzenia.

- Allerton - zgodził się Brady, skinąwszy głową.

- Tak, milordzie - dodał Kosma, popatrując raczej na Thomasa niż na Brady'ego.
- Prawdopodobnie lepiej byłoby, gdyby trzymał się pan z daleka od Reginy, dopóki cała sprawa nie zostanie załatwiona, a potem zaczął się o nią starać, jeżeli takie są pana intencje.

- A wy nie wierzycie, że takie są - powiedział Brady, który w końcu połapał się, jaką wymowę mają znaczące spojrzenia, wymieniane przez Thomasa i Kosmę. - Dlaczego?

- A czy obecnie wykorzystuje pan Reginę, milordzie? - zapytał Kosma.

Brady oddał mu honory uniesionym kieliszkiem.

- Touche, pani Forrest, touche. Jak widzę, najpierw będę musiał zdobyć wasze zaufanie, a dopiero potem starać się o zaufanie Reginy.

Thomas przekrzywił głowę na bok.

- Jeśli o to chodzi, milordzie... - zaczął.

- Tak? - zapytał Brady, czujnie nastawiając uszu. - Co? Co się dzieje?

- Kosmo, chyba kolej na ciebie. - Thomas skoncentrował się na oglądaniu własnych mankietów.

Kosma głęboko zaczerpnął powietrza, a przynajmniej na tyle głęboko, że gorset zatrzeszczał.

- Udaliśmy się dziś na Bond Street, milordzie – powiedział i ściągnął brwi. - W pierwszej chwili wierzyłem, że Regina ma po prostu zamiar wydawać pana pieniądze, pokazywać się i rozglądać, jak pan zalecił. Jednak wkrótce zorientowałem się, że Regina wyznaczyła sobie zadanie.

Brady popatrzył na swój kieliszek, zobaczył, że nic w nim nie ma, ale nie ruszył się nawet, by go napełnić.

- Nie spodoba mi się to, prawda, Kosmo?

- Nie sądzę, by mogło się panu spodobać, sir. Odnoszę wrażenie, że Regina zaprzyjaźniła się z pewną lady Bellinagarą, córką...

- Dziękuję uprzejmie, sam cholernie dobrze wiem, czyją to ona jest córką! - wybuchnął Brady, zrywając się na równe nogi. - Mówiłem jej, żeby niczego takiego nie robiła. Ostrzegalem ją!

- No, to wyjaśnia jej zachowanie, prawda, Kosmo? - skomentował rzeczowo Thomas. - Najpierw usiłowała nam zamydlić oczy jakimiś bzdurami, jakoby chciała z rozmysłem nawiązać bliższy kontakt z lady Bellinagarą, by szybciej wywęszyć przyjaciół Allertona, a może nawet dostać się do jego domu i na własną rękę trochę tam powęszyć, ale nie daliśmy się zwieść, co, Kosmo?

- Ani na chwilę. Zwłaszcza kiedy zaczęła narzekać i z zupełnie okropnym przygnębieniem mówiła, że ta młoda kobieta jest taka delikatna, taka śliczna i tak bardzo godna akceptacji.

- To wtedy uświadomiliśmy sobie, że nasza najdroższa Regina utknęła gdzieś w pół drogi między pragnieniem, by pomścić swoich rodziców, a chęcią, by zadowalać pana, milordzie. Doszliśmy obydwaj z Kosmą do wniosku, że teraz w sprawę zaangażowane jest już serce Reginy, a ponieważ oboje zaprzyjaźniliście się, i to już jakiś czas temu, uznaliśmy, że najlepiej będzie jeżeli my, jako jej swego rodzaju opiekunowie, zapytamy pana o pańskie zamiary.

- Moje zamiary chwilowo sprowadzają się do tego, żeby skrócić Reginie ten jej śliczny biały karczek! - warknął Brady, ponownie napełniając sobie kieliszek.

Kosma spojrział na Thomasa.

- Och, dobrze. On naprawdę ją kocha. No cóż, mój przyjacielu, zrobiliśmy, co w

naszej nocy. Czy zechciałbyś przyłączyć się do mnie w kuchni? Jestem pewien, że kiedy przechodziliśmy przez hol, doleciał mnie zapach cynamonu, a kucharka zawsze tak się cieszy, kiedy próbuję jej wyrobów i wyrażam swoją aprobatę.

- Jedną chwileczkę - zatrzymał go Brady, pocierając czoło i usiłując pobudzić swój oszołomiony umysł. - Jeszcze trzy dni, panowie. Gdyby się to ciągnęło dłużej, to albo nie uda nam się uchronić Reginy przed wpadnięciem w tarapaty, albo ja dostanę obłądu. Wiem, że dziś rano omawialiśmy tę sprawę tylko przez kilka minut, ale musimy działać szybko. Duch Brady'ego Jamesa ukaże się jeszcze tej nocy.

- Ale gdzie, milordzie? - zapytał Kosma. - Nie doszliśmy jeszcze, kto oprócz Allertona się w sprawę zaangażował, pamięta pan?

- Tego mam nadzieję dowiedzieć się dziś wieczorem, kiedy Gawain Caradoc odegra swoją rolę u lady Sefton. A jeżeli się nie dowiem, to udam się wprost do Allertona i wytłukę z niego dwa pozostałe nazwiska. Zgoda?

Thomas czekał, aż jego towarzysz wyrazi swoje zdanie.

- Zgoda, milordzie - powiedział Kosma. - Będziemy gotowi. Łącznie z Davidem, jeżeli uda nam się odciągnąć go na chwilę od lusterka.

Regina część popołudnia spędziła na gratulowaniu sobie własnego geniuszu, część na spoglądaniu w lusterko, przy czym uświadamiała sobie, że uroda lady Bellinagary zdecydowanie pozostawia ją w cieniu, a przez resztę czasu zastanawiała się, skąd ma wziąć odwagę, by znowu popatrzeć na Brady'ego po tym, co zaszło między nimi ubiegłego wieczora.

Rozwiązała częściowo problem, opóźniając to, co nieuniknione: ociągała się z kąpielą tak długo, aż stało się oczywiste, że świeżo umyte włosy w żaden sposób nie zdążą wyschnąć, zanim przyjdzie czas, by przyłączyć się do jego lordowskiej mości w jadalni, więc kolację zjadła u siebie.

Ale teraz nie mogła już dłużej zwlekać, jeżeli miała towarzyszyć Brady'emu do lady Sefton. Na myśl, że hrabia mógłby jej nieobecność uznać za dobre rozwiązanie i pojechać bez niej, rzuciła się w dół po schodach do holu, jak tylko usłyszała, że Rooster zajeżdża powozem pod drzwi.

- Ach, punktualność, rzadka to cecha u dam - skomentował Brady, który w następnym, jeszcze bardziej ekstrawaganckim stroju stał w drzwiach do bawialni, przybierając wymyślną pozę; strój miał w przeróżnych odcieniach koloru morskiego, a każdy z nich był szokujący; w butonierce tkwiły trzy pączki tulipanów. - Czy możemy już jechać?

Przekonany jestem, że pani nowa przyjaciółka doczekać się nie może.

- Moja nowa... och, czemu ten Kosma nie potrafi dochować tajemnicy? - parsknęła Regina ze złością. Obejrzała się na Kosmę, który ostrożnie schodził po schodach, trzymając się poręczy oboma rękami i usiłując nie stracić równowagi w nowych pantofelkach na wysokim obcasie.

- Kazałaś mi je rozmyśłem kupić, prawda, moja kochana, tylko po to, żeby się zabawić - oznajmił, kiedy w końcu stanął na najniższym stopniu i odetchnął z ulgą, że udało mu się przebyć bezpiecznie całą drogę. - Lusterko dla Davida, bela zielonej tafty dla Thomasa i te zaproszenia do śmiertelnego tańca dla mnie.

- To były jedyne, które na panią pasowały, pani Forrest -zwróciła mu uwagę Regina, uśmiechając się na wspomnienie sprzedawczyni, która z ogromnym przejęciem miotła się po sklepie i usiłowała znaleźć choćby jedną parę, pasującą na stosunkowo niewielką, ale bardzo pulchną stopę Kosmy. - Ale teraz cieszę się, że je kupiłam, i mam nadzieję, że będą cię niemiłosiernie piły przez cały wieczór. Jak mogłeś powiedzieć jego lordowskiej mości o lady Belle?

- A jak mogłem nie powiedzieć, moja droga? - zapytał Kosma, popatrując na Wadswortha, który przytaknął. - Przynajmniej nie zabraknie wam z milordem tematu do rozmowy, kiedy będziemy siedzieli w powozie i czekali, aż przyjdzie nasza kolej, by podjechać pod drzwi lady Sefton. To tak na wszelki wypadek, gdybyś się miała martwić brakiem tematu, moja droga. A martwiłaś się?

Regina właśnie miała powiedzieć coś innego, ale gwałtownie zamknęła buzię i nie powiedziała nic, słowem się nie odezwała przez całą następną godzinę, kiedy ich powóz pełną gębą do przodu za pięćdziesięcioma innymi, które wszystkie czekały, by wysadzić dobrze ubranych pasażerów przed rezydencją Seftonów.

Księżcia Selbourne spotkali na zatłoczonych schodach. Ustawiali się tam goście w kolejce do pani domu, by się z nią przywitać. Regina przerwała milczenie, żeby pozdrowić Bramę, a potem znowu ucichła. Denerwowała się tak bardzo, że nie mogła mówić, zła była taka, że nie mogła mówić, martwiła się tak bardzo, czym zakończy się ten niesłychanie ważny wieczór, że właściwie nie mogła nawet nic robić.

Kiedy już znaleźli się na wielkiej sali balowej i Kosma zajął miejsce wśród matron - częstując panie po obu stronach miętówkami, które przyniósł ze sobą w nowej torbie, a Brady i Bram poszli po coś do picia, Regina udała się ni poszukiwania lady Belle i w kilka chwil ją znalazła.

- Moja droga panna Felicity - powiedziała lady Belle, całując powietrze w

poblizu lewego policzka Reginy - jak miło znowu panią widzieć. Opowiedziałam dziś wieczorem przy obiedzie papie i mojemu bratu wszystko o pani, z bardzo zabawnym rezultatem. Wydaje się, że Boothe... to mój brat... nie jest zadowolony, iż się zaprzyjaźniłyśmy. Ma to coś wspólnego z pani opiekunem, chociaż kiedy naciskałam, by podał mi szczegóły, okazał się wyjątkowo niekomunikatywny. Ale mój papa doczekać się nie może, by panią poznać. Chyba całe towarzystwo pragnie panią poznać, czyż nie? Ale na dzisiejszy wieczór jest pani moim trofeum.

- A pani, lady Bellinagaro, będzie moim atutem, pozwalającym zapoznać się ze śmietanką towarzyską. Czy to nie cudowne, jak wszystko się ułożyło? A może powinniśmy udawać, że poczułyśmy do siebie sympatię dzięki naszym bardziej finezyjnym zaletom?

Szmaragdowe oczy lady Bellinagary na moment rozbłysły gniewem, ale potem uśmiechnęła się - uśmiechem bardziej przebiegłym niż przyjaznym.

- Jakie to rozkoszne. Uczciwość. Sugerowałabym, by używała jej pani oszczędnie, moja droga. A teraz proszę zapoznać mnie ze swoim opiekunem, a ja odwzajemnię się, przedstawiając panią patronce Almacka. To chyba wystarczająco sprawiedliwa wymiana?

- Bez wątpienia, milady - zgodziła się Regina wcale jej się lady Bellinagara nie podobała, ale zaczynała czuć do niej szacunek. - Mój opiekun będzie zachwycony, mogąc panią poznać.

Zobaczywszy Brady'ego i lady Bellinagarę razem, Regina potapać się nie mogła we własnych uczuciach i myślach, a z zachowania Brady'ego niczego wywnioskować jej się nie udało, bo ukrywał się bardzo skutecznie za maską Gawaina Caradoca.

Kiedy podchodziły z lady Bellinagarą, hrabia zajęty był rozmową z księciem Selbourne, ale odwrócił się do Reginy z uśmiechem, a potem wdzięcznie pochylił nad dłonią jej towarzyski, nie dotykając wargami rękawiczki.

- Ach, lady Belle... z pewnością tak panią nazywają? Najpiękniejsza na balu, jestem tego pewien. Racz dostrzec, o pani, że padam ci do stóp, zarówno ze czci dla twej urody, jak i w podzięce, że przyjęłaś moją najdroższą podopieczną pod swoje skrzydła na ten wieczór, jako że księżna Selbourne zmuszona była wyjechać z miasta. Tak niewiele znam tutaj osób, a pragnę, by panna Felicity wypłynęła na szerokie morza kręgów towarzyskich i nie musiała lękać się rekinów. Pochylił się z uśmiechem do lady Bellinagary.

- Rozumie pani, co mam na myśli, czyż nie? Chodzi o całkiem spory posag.

- Oraz o całkiem wyjątkową urodę panny Felicity - dopowiedziała lady Bellinagarą. - Czuję się zaszczycona, że powierza mi pan z zaufaniem swą podopieczną, w

której znalazłam pełną uroku towarzyszkę.

- Naprawdę? - z jawnym niedowierzaniem zdziwił się Brady, popatrując na Reginę. - Patrzcie państwo.

Regina zastanowiła się, czy ktoś zwróciłby na nich uwagę, gdyby rozbiła Brady'emu na głowie najbliższą doniczkę z kwiatkiem. Przyłączyła się jednak do tych dyrdymałów, z zapalem realizując cel, jaki tego wieczoru mieli osiągnąć - chociaż z niemal równym zapalem pragnęła dowieść zadufanemu panu hrabiemu, że potrafi być mu pomocna.

- Lady Bellinagarą mówiła mi, że jej ojciec, lord Allerton, bardzo pragnie zapoznać się z panem, milordzie. Może poszlibyśmy go teraz poszukać?

Brady uniósł monokl do oka i rozejrzał się z przerażeniem po zatłoczonej sali balowej.

- Co? W tym tłumie? Czy to w ogóle dałoby się zrobić? Może innym razem.

Regina zacięła zęby i zapragnęła kopnąć Brady'ego w gołe.

- Ale ja prawie już obiecałam, milordzie - powiedziała z napięciem.

- Och, bardzo dobrze - poddał się Brady z westchnieniem. Pozwolił, by monokl wypadł mu z oka i zawisł u pasa na czarnej wstążce, potem posłużył ramieniem obu damom. - Słuchaj, Bram - zawołał do księcia Selbourne, który rozmawiał z dosyć zgrzaną damą w żółtym turbanie - rzuć no na mnie okiem, jeśliś łaskaw, po prostu otoczony jestem pięknem. I obie harmonizują z moim surdudem, czyż nie? Byłbym zrozpaczony, gdyby było inaczej.

- Myślę, że nic ci nie grozi, Gawainie - rzekł Bram, potrząsając głową. - I myślę również, że ja osobiście udam się do pokoju karcianego. Czy przyłączysz się tam do mnie później?

- Jeżeli zdołam się oderwać od tych dam - oświadczył Brady, uśmiechając się do lady Bellinagary tak, że Regina skorzystała z okazji i uszczypnęła go we wrażliwe miejsce po wewnętrznej stronie łokcia. A potem ruszyli na poszukiwanie człowieka, który przewrócił i jej życie, i życie Brady'ego do góry nogami.

Kiedy go znaleźli, stał w grupce podobnie jak on podstarzałych dżentelmenów; był nie bardzo wysoki i lekko tęgawy, z siwiejącymi włosami i najzimniejszymi brązowymi oczami, jakie Regina w życiu widziała. Czterech dżentelmenów odeszło i zabrało ze sobą temat rozmowy, ale trzech pozostało.

Regina oparła się pokusie, by odwrócić się na pięcie i uciec, kiedy hrabia Allerton odezwał się i poznała głos, który usłyszała tamtej pamiętnej nocy. Lady Bellinagara przedstawiła ich. Jego lordowska mość się przywitał, a potem zapoznał ich ze stojącymi z nim dżentelmenami - sir Randolphem Tildenem, panem Samuelem LeMainem oraz baronem Stanleyem Thorndykiem.

Ojciec Reginy mógł być marzycielem, niekiedy nawet niemądrym, ale przynajmniej w jednym okazał, jak dba o swoją córkę: nigdy nie pozwalał jej się pokazywać podczas odwiedzin Allertona. Przez całe trzy lata, od kiedy jeździli do Little Woodcote. Bał się, tak mówiła matka, że Allerton albo któryś inny z dżentelmenów zainteresuje się nadmiernie ich jedynym dzieckiem, dojdzie do wniosku, że to łatwa zdobycz, i będzie obstawał przy tym, by pozbawić ją cnoty.

Regina wiedziała, że dbałość o tę cnotę uratowała jej życie, chociaż wciąż trochę się bała, że Allerton w jakiś sposób może ją rozpoznać, bo przecież widział ją na scenie, chociaż tylko jeden jedyny raz. Niemniej jednak właściwie czuła się dosyć bezpieczna. Pozostawał jednak problem, czy Allerton w ogóle wie o jej istnieniu.

- Allerton, Allerton - powtarzał Brady, przyjmując wyszukaną pozę; jedną rękę oparł na biodrze, a drugą pocierał brodę. - Czemuż to nazwisko tak mi się wydaje znajome? - Potem rozpromienił się i strzelił palcami. - Oczywiście! Widziałem je w papierach mojego świętej pamięci kuzyna w Singleton Chase. George Kenward, czyż nie? George Kenward, hrabia Allerton? Musieliście się panowie serdecznie przyjaźnić.

- Właściwie to...

- Jakże to cudownie, że moja droga panna Felicity i lady Bellinagara się zapoznały, nie uważa pan? A teraz kiedy i my zawarliśmy znajomość, wszyscy będziemy wspaniałymi przyjaciółmi. Czy potrzebuje pan przyjaciół, milordzie? A może ma pan ich dość? Nie jestem pewien, czy mój kuzyn dysponował wystarczającą ich liczbą.

Jego lordowska mość nawet okiem nie mrugnął.

- Prawie tego człowieka nie znałem - rzekł i strzepnął niedostrzegalny kłaczek z rękawa wieczorowego surduta. - Z pewnością się pan myli.

- Och, nie, nie. Nigdy się nie mylę, milordzie. Widziałem pana nazwisko w papierach mojego świętej pamięci kuzyna. Pamiętam to całkiem wyraźnie, ponieważ napisał je trzy razy po kolei, a potem każde podkreślił. Ale nie martwmy się, bo jestem pewien, że nie ma w tym niczego tajemniczego. Jak rozumiem, mój kuzyn zawsze angażował się jak nie w jedno, to w inne szalone przedsięwzięcie. Może zastanawiał się, czy nie zwrócić się do pana z jakiegoś powodu, przykład z prośbą o rękę pańskiej pięknej córki - uśmiechnął się do lady Bellinagary. - Czy o to chodziło? Ca moje przypuszczenia są słuszne?

- Pochlebia mi pan, milordzie - powiedziała lady Bellinagara, ale jej zielone oczy, choć tak niepodobne do ciemnobrązowych oczu ojca, przybrały na moment równie twarde wyraz. - Chociaż przyznam, że prosił o to przed kilku laty. Odmówiłam mu.

- Dobry Boże! Jestem pewien, że był zdruzgotany. Zdruzgotany - powtórzył

Brady, a Regina zaczęła zastanawiać się, czy powinna kopnąć go w kostkę, czy może w goleń.

Lady Bellinagara się uśmiechnęła.

- Prawdę rzekłszy, to nie, milordzie, jeżeli mamy o całej sprawie mówić szczerze, a i tak kiedyś pewnie usłyszałby pan tę historię. Jak rozumiem, odszedł z wysoko podniesionym czołem i z pięciuset funtami sir Henry'ego Coxa w kieszeni, ponieważ dowiedział się skądś, że chwilowo nie mam życzenia wychodzić za mąż, i założył się, że mu odmówię. Przez cały sezon wszyscy przekonani byli, że w ogóle nie życzę sobie wyjść za mąż. Pana świętej pamięci kuzyn, milordzie, potrafił być człowiekiem bez serca.

Brady przyłożył monokl do oka i odwrócił się, by spojrzeć na Reginę, która wzbraniała się spojrzeć mu w oczy. No dobrze, otrzymała odpowiedź i chyba była z niej zadowolona, ale przecież Brady powiedział jej, że łączyła go kiedyś z tą kobietą romantyczna więź, czyż nie? Postanowiła chwilowo trzymać się przekonania, że gdyby powiedział jej, iż lady Belle nie wydawała mu się pociągająca, to ona trzymałaby się od tej kobiety z daleka. Będzie musiała pamiętać i nigdy nie zapominać o tym, że Brady'ego Jamesa trudniej jest rozgryźć, niż pozwalał światu mniemać.

- Sir Henry Cox, tak pani powiedziała? - pytał Brady lady Bellinagarę. - Ależ przekonany jestem, że poznałem tego zacnego dżentelmena niedawno w teatrze. Był z taką rozkoszną damą, lady Jersey. Jak dał mi do zrozumienia mój przyjaciel, książę, mam zwrócić się do tej kobiety z prośbą o wydanie karnetu do Almacka dla obecnej tu naszej drogiej panny Felicity. Powinienem to zrobić niedługo, czyż nie? W końcu mój świętej pamięci kuzyn obdarzał tę drogą dziewczynę wielką sympatią, a ja chcę dopełnić mego obowiązku względem niej.

Lord Allerton, który z dość znudzoną miną przysłuchiwał się tej rozmowie, nagle jakby się ocknął.

- Panna Felicity była podopieczną świętej pamięci kuzyna pana? Nigdy o tym nie słyszałem.

- Tak, czy to nie dziwne? Dokładnie to samo powiedział książę Selbourne, kiedy z nim na jej temat rozmawiałem... niech mi pani wybaczy, moja droga, że mówimy o niej tak, jakby jej tu naprawdę nie było. Ale to prawda. Jak się okazuje, mój kuzyn kazał ją wysłać do Singleton Chase na kilka tygodni przed tym, zanim został zamordowany, z poleceniem, by zajmowano się nią, dopóki nie będzie mógł złożyć u dworu petycji, by zostać jej opiekunem. Prawda, panno Felicity?

No i koniec z udawaniem, że nie zgadza się wykorzystać jej jako przynęty. Ale czego

innego mogła się spodziewać, skoro sama rzuciła się w wir wydarzeń, okazując nieposłuszeństwo i zawierając znajomość z lady Bellinagarą? Kusił ich osobą Reginy, a równocześnie sam ustawił się w roli tarczy. Musiał mówić serio, kiedy twierdziła że chce, by wszystko skończyło się, i to jak najszybciej. Pewnie jeszcze przed świtem każe związać ją i zawieźć w bezpieczne schronienie w majątku Willoughbych - jeżeli ona mu na to pozwoli. Ale gdyby tak udało się pokazać mu, jak bardzo dobrze jest ją mieć u boku, jaka potrafi być pomocna...?

Regina lekko się wstrząsnęła, potem przywołała wyraz lekkiej paniki na twarz. Omiotła wzrokiem pokój, jakby lękała się, że ktoś może ich usłyszeć, i powiedziała cicho:

- Naprawdę nie sędzę, by to było mądre, milordzie, powtarzać, co powiedziałam panu w zaufaniu. Przecież dobrze wiemy, kto...

- No, no - wycodził Brady, unosząc klapę surduta, żeby powąchać tulipany w butonierce - mam nadzieję, że nie zamierza pani znowu wdawać się w tę dziwną opowieść? Przecież w nią w ogóle nie da się uwierzyć. Słowo daję, milordzie - dodał, spoglądając na hrabiego Allertona - można by pomyśleć, że panna Felicity i mój kuzyn mieli dostęp do jakiejś wielkiej tajemnicy, prawda? Nigdy jej nie słucham, jak wpada w taki nastrój. Gdybym postąpił inaczej, niedługo kazałaby mi szukać potworów pod własnym łóżkiem.

- Ma bujną wyobraźnię, co? - zapytał sir Randolph, w końcu włączając się do rozmowy. - Moja siostra była taka. Pod jej łóżkiem siedział cały regiment potworów.

- Naprawdę? - powiedział Brady, spoglądając na sir Randolpha tak, jakby jego słowa zrobiły na nim wielkie wrażenie. - Ale proszę, niech pan nie pozwoli, by zraziły pana jej pensjonarskie maniery. Dałem jej wielki posag, szczerze mówiąc dlatego, że wolałbym, by kłopotał się o nią ktoś inny, chociaż jest taka miła, i tak musiała być bliska mojemu świętej pamięci kuzynowi. Czy znajdzie się ktoś chętny, panowie? Przysięgam, że potrafi jak Szeherazada co wieczór snuć inną cudowną opowieść, chociaż wydaje się mieć wyjątkowe zamiłowanie do jednej z nich. Szkoda. Panno Felicity, czy jest pani całkiem pewna, że nie miałaby pani ochoty opowiedzieć naszym nowym przyjacielom tej cudownej historii? No, no, niech się pani nie wstydzi. Jest naprawdę fascynująca.

Teraz Regina siłą woli zbladła, zamrugła i wycisnęła łzę z oka.

- Och, dlaczego pan nie chce mi uwierzyć? Ale nie... nie. Nie chcę już więcej o tym mówić - wykrzyknęła głosem drżącym ze zgrozy. - Proszę, milordowie, milady, wybaczcie mi. Chciałabym wrócić do mojej przyzwoitki.

Odwróciła się, by utorować sobie drogę przez tłum, skierowała się w stronę Kosmy i

szeroko się uśmiechnęła, kiedy doszły do niej słowa Brady'ego:

- No, to już przechodzi ludzkie pojęcie. Nigdy nie zrozumie kobiet, a wy, panowie? Czy ktoś ma ochotę na tabakę?

- Jest pan okropny - oznajmiła Regina, opadając na poduszki powozu. - Absolutnie okropny. Kosmo, zatkaj sobie uszy. Zamierzam wyczerpująco poinformować hrabiego, co o nim myślę.

- Czy w ten sam sposób, w jaki dawała mi to pani do zrozumienia przez ostatnie dwie godziny, kiedy na pani ślicznej twarzyczce malowało się tyle wściekłości, że nie znalazł się na sali ani jeden dżentelmen wystarczająco odważny, by poprosić panią do tańca? Dlaczego? Czy ma pani coś nowego do powiedzenia?

Brady przyglądał się, jak Regina otwiera usta, a potem je znowu zamyka.

- Nie. Nie, słowa już nie powiem. Poza jednym, milordzie: jeżeli sądzi pan, że uda się panu mnie teraz pozbyć, to niech pan sprawę lepiej przemyśli jeszcze raz. Czy to jasne?

- Nawet mi coś takiego przez myśl nie przeszło, moja droga - zapewnił ją Brady, delikatnie się wzdrygając. - Swoich wrogów wolę mieć na oku. Przeczytałem tę sentencję w jakiejś książce, jak mi się zdaje.

- Nie jestem pana... do licha! Nienawidzę Gawaina i za nic nie będę z nim rozmawiała! - oznajmiła Regina i odwróciła głowę do okna.

- Czy słyszała to pani, pani Forrest? - zapytał Brady, nie wychodząc z roli Gawaina, ponieważ tylko wtedy, kiedy ją odgrywał, udawało mu się Reginę tak rozżłościć, że znikwały wszelkie szanse na omawianie popełnionego poprzedniego wieczora uchybienia. Albo na powtórzenie go. – Panna Felicity wydaje się być wytracona z równowagi czymś, co dziś wieczorem powiedziałem. Nie potrafię sobie wyobrazić, dlaczego.

Skończyło się oglądanie przepływających za oknem widoków Londynu. Regina gwałtownie odwróciła znowu głowę i spiorunowała Brady'ego spojrzeniem.

- Nie potrafi pan sobie wyobrazić, dlaczego? Po pierwsze... a zaczynam od tej sprawy wyłącznie dlatego, by mieć ją z głowy i móc przejść do faktu, że naraził pan nas oboje na niebezpieczeństwo: zrobił pan dziś wieczorem ze mnie idiotkę i bez wątpienia dobrze pan o tym wie!

- Ach, coś mi się zdaje, że mówimy w tej chwili o lady Belle, czyż nie? Jeżeli pani sobie przypomina, moja droga, to wyraźnie prosiłem panią, żeby jej w to nie wciągać.

- Tak, ale zwodził mnie pan, opowiadając dyrdymały, że kiedyś łączyła pana z tą kobietą romantyczna więź. I przez ostatnie dwie długie godziny próbowałam dojść, czy

postąpił pan tak, bym trzymała się od niej z daleka, czy też może dlatego, że miał pan pewność, iż przekazanie mi takiego steku bzdur zagwarantuje, że będę za nią gonić. Tak czy owak czuję się obrażona, a do tego wątpię, czy ona zechce się jeszcze odezwać do któregokolwiek z nas. Czy pan zdaje sobie sprawę, jak trudno było chociażby ją znaleźć, nie mówiąc już o tym, żeby ją poznać? A wszystko po to, żeby mogła jakoś wzbudzić w niej chęć poznania pana? Co więc pan wybiera, Gawainie? Czy usiłował mnie pan chronić, czy może był pan tylko zły, że odniosłam sukces?

- Ona jest kobietą, milordzie - wtrącił Kosma usłużnie. - Wszystko jedno, jakiej pan udzieli odpowiedzi, i tak pan będzie żałował.

Brady powstrzymał smętny uśmiech, przekonany, że Kosma ma rację.

- Och, bardzo dobrze, pewnie powinienem jednak powiedzieć prawdę i zdać się na los szczęścia - stwierdził i zwrócił tym na siebie pełną uwagę Reginy. - Po pierwsze, poleciłem tylko, żeby się pani trzymała od niej z daleka, a to pani, Regino, zapytała, jak dobrze ją znałem; w tym momencie powiedziałem coś, czego pożałowałem w chwili, gdy słowa wyleciały z moich ust. Gdybym wtedy próbował je cofnąć, pogorszyłbym tylko sprawę. Po drugie, ponieważ nagle wydorostałem i zmądrzałem, wstydzę się troszkę za ten figielek, który splatałem jej przed kilku laty, i nie chciałem, żeby się pani o nim dowiedziała, do czego niechybnie by doszło, gdybyście panie porozmawiały i w którymś momencie padło moje nazwisko. Po trzecie, proszę mi teraz powiedzieć, czy uważa pani lady Belle za miłą młodą damę, czy może wyczula w niej pani coś... bardziej mrocznego.

Regina milczała przez kilka chwil, a potem kiwnęła głową.

- Jej oczy potrafią zrobić się bardzo twarde. Zwróciłam na to uwagę. I była wobec mnie całkowicie szczerą... podobnie jak ja wobec niej... kiedy mówiła mi, że starała się zapoznać ze mną tylko po to, żeby mogła ją panu przedstawić, bo chce zyskać na popularności, jako że każdy pragnie pana poznać. Wcale mi się to nie podobało. Ona jest... ambitna.

- I piękna - dodał Brady, a potem podniósł dłoń, zanim Regina zdążyła go ponownie zaatakować. - Chciałem powiedzieć tylko tyle, że oszukuje ludzi tą swoją urodą, Regino. Kilka sezonów temu zwiódła mojego przyjaciela, udając, że jego konkury będą jej miłe, a potem, kiedy się o nią oświadczył, stanowczo mu odmówiła. No, może nie jawnym tekstem. Dała mu do zrozumienia, że jest dla niego dużo za dobra i nie planuje poślubić nikogo, kto miałby rangę niższą niż księżę. Nietrudno będzie pani sobie wyobrazić, że mój przyjaciel był zrozpaczony, kupił sobie patent oficerski i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wyprawił się z armią na wojnę, żeby tam zginąć. Niestety mu się to udało.

- To straszne - powiedziała Regina i wyciągnęła rękę, by uścisnąć dłoń Brady'ego. - I dlatego pan zaczął się o nią starać?

- Zdecydowanie - zgodził się Brady. - A ona postąpiła ze mną dokładnie tak samo, jak wcześniej z moim przyjacielem: udawała, że pochlebia jej moje zainteresowanie. Przez kilka dosyć przerażających tygodni obawiałem się, że usłyszymy zapowiedzi, zanim zdążę się z tego wywikłać.

Regina się skrzywiła.

- To musiało być przerażające, zgadzam się. Ale potem, kiedy cały Londyn oczekiwał na ślub, poprosił pan o jej rękę, a ona odmówiła panu podobnie, jak pana przyjacielowi i w tym momencie bardzo ostentacyjnie odebrał pan wygraną od sir Henry'ego?

- Niesłuchanie ostentacyjnie - przytaknął Brady. - A wtedy rozwścieczona lady Belle zaczęła rozpowiadać na prawo i lewo, że nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, żeby przyjąć moje oświadczyzny. Ale nawet nasze kręgi towarzyskie nie są tak do końca obrane z rozumu i nie minęło kilka dni, a zyskała sobie reputację kokietki, kobiety tak pewnej, że poślubi księcia, iż starania kogoś o niższej pozycji społecznej z góry skazane były na niepowodzenie.

Brady poprawił sobie koronki przy mankietach.

- Od tamtej pory nie oświadczył jej się nikt, chociaż jest taka piękna. Och, i jeszcze jedno. Właśnie dzięki temu wiedziałem tamtego wieczoru, że tchórzliwy wicehrabia Allerton nie dopuści, bym go wyzwał. Nie miał nawet na tyle charakteru, by bronić własnej siostry.

- Proszę mi przypomnieć, bym nigdy nie stawał panu na przeszkodzie, milordzie - poprosił Kosma, kiedy dojeżdżali do Portman Square. - A teraz obudźmy Thomasa i niech pomoże mi pozbyć się tego gorsetu. Będziemy panu potrzebni za niecałą godzinę, prawda, milordzie?

- Wychodzi pan? - zapytała Regina, kiedy wprowadzał ją do rezydencji i szedł z nią na górę po schodach. - Obiecał mi pan, że mnie ze sobą zabierze, pamięta pan? Jest mi pan to winien, milordzie, za to, że posłużył się pan mną jako przynętą, a obiecał pan tego nie robić.

- Zrobiłem tylko to, co pani zamierzała zrobić przy pierwszej okazji. Proszę mnie poprawić, jeżeli się mylę.

Regina przystanąła na podeście i z uśmiechem odwróciła się do niego.

- Nie myli się pan. Tylko że ja chciałam skupić się bardziej na tulipanach w pana butonierce niż na mojej osobie i doprowadzić do sytuacji, kiedy poprosiłabym pana, żeby

zechciał je pan wyjąć z klapy, bo to tulipan ściągnął śmierć na mojego papę.

- Widzi pani? Ale to zbyt grubymi nićmi szyte, moja droga - zapewnił Brady, podchodząc do drzwi jej pokoju. - Moja metoda jest zdecydowanie lepsza. Allerton wie już, że ten nieodmiennie wścibski Brady miał panią pod swoją opieką, bez wątpienia wysłuchał pani smutnej opowieści i że Gawain... który również tejże smutnej opowieści wysłuchał... z konieczności czuje się w obowiązku panią zająć, ale uważa, że jest pani nerwowa i ma skłonności do fantazjowania. I teraz, kiedy błędnie mniema, że Gawain jest równie groźny jak dmuchawiec... żeby trzymać się motywu kwiatowego, rozumie pani... wizytę złoży im Brady, czyli człowiek, który zajmuje dziś wieczorem poczesne miejsce w ich myślach.

- Ma pan bardzo wysokie mniemanie o sobie, prawda? -zapytała Regina, potrząsając głową. - Ale w porządku, przyznaję, że pana plan był lepszy. Czy zwrócił pan uwagę, że Allertonowi zaczęła lekko drgać lewa dolna powieka, kiedy plótł pan swoje koszałki-opałki?

- Drgała mu? Naprawdę? - Brady szeroko się uśmiechnął. -Musiałem tego nie zauważyć. Za bardzo zajęty byłem obserwowaniem, jak zareagują trzej pozostali panowie. Możemy wykluczyć sir Randolpha Tildena, nawiasem mówiąc, chociaż wszyscy trzej nie odstępowali Allertona przez cały wieczór. Sir Randolph zaczął ziewać w połowie moich opowiastek, co uważam za bardzo przekonujące. Tak więc mamy już wytypowanych naszych panów, a przynajmniej gotów się jestem założyć, że mamy. Samuel LeMain i baron Stanley Thorndyke.

- Ziewał? Nie zauważyłam - powiedziała Regina z jedną ręką na klamce i popatrzyła na Brady'ego. - Ale widziałam, jak lady Belle bacznie przyglądała się ojcu. Nie wydaje mi się, żeby go lubiła.

- Lady Belle podobna jest raczej do Davida i zakochana wyłącznie w sobie samej. Tylko że w przeciwieństwie do Davida kocha również bardzo pieniądze, a to właśnie pieniądze jej ojciec i brat trwonili przez ostatnie kilka lat. Nie sądzę, żeby jaśnie pani takie postępowanie pochwalała, zwłaszcza że książęta do wzięcia rzadko się ostatnio pojawiali w okolicy.

Regina uniosła dłoń do ust i przygryzła palce.

- Zaczynam żałować, że pana nie posłuchałam i że jej szukałam.

- No cóż, zobaczymy jak się wszystko ułoży, prawda? -rzekł Brady, który osobiście podzielał pogląd Reginy. - Umówiłem się z nią jutro rano na przejażdżkę. Myślę, że nadzieje lady Belle obniżyły się o szczebelek czy dwa, a niemądry, łatwo dający sobą kierować i dosyć zamożny Gawain Caradoc, który nawet nie domyśla się, jakie upokorzenie

spotkało ją przed laty i jak zaszargało jej opinię, mógłby zyskać sobie aprobatę jaśnie pani.

Regina potrząsnęła głową.

- Myśli pan o wszystkim, prawda? - zapytała.

- Usiłuję - zapewnił ją Brady i cofnął się o krok, ponieważ nagle uświadomił sobie, że stoi bardzo blisko Reginy, a pragnie stać jeszcze bliżej. To było wprost nie do wiary, z jaką łatwością mógłby pochylić się i ją pocałować. Jakie mu się to wydawało naturalne. - Skoro już wyjaśniliśmy sobie tę sprawę, to w pokoju czekają na panią ubrania Davida, wszystkie czarne. Jeżeli nadal życzy sobie pani z nami pojechać, proszę zejść na dół za jakieś dwie godziny.

- Jeżeli nadal życzę sobie jechać? Będę na pana czekała na parterze, milordzie.

I dotrzymała słowa, bo siedziała już na wyściełanej aksamitem ławie, kiedy Brady zszedł na dół ubrany w skromniejszy (i bardziej wygodny) wieczorowy strój Brady'ego Jamesa; z peleryny zwisały mu strzępy workowego płótna.

Regina wstała na powitanie, a Brady przełknął z wysiłkiem, widząc, jak pantalone Davida opinają jej krągłości i podkreślają linię długich, bardzo prostych nóg. Jak by się poczuł, gdyby go nimi obejmowała?

Szybko potrząsnął głową, pozbywając się tych zdradzieckich myśli, świadom, że nie pora na nie, dopóki to szaleństwo się nie skończy i nie poznają się lepiej. Jako ludzie, a nie tylko mający ten sam cel współpiskowcy. Kiedy już wszystkie kłamstwa zostaną wyjaśnione i cała prawda wyjdzie na jaw, łącznie z tą prawdą, że coś ich łączy... coś, co dopiero muszą zbadać.

- Myślałem, że trzeba będzie nieco dłużej czekać, ale już poznaliśmy cel wyprawy.

- Dokąd się udajemy, milordzie? - zapytała Regina i zrównała się z nim, kiedy skręcił w stronę samotnych drzwi na tyłach domu, wychodzących na zaułek. - Pan LeMain? Baron Thorndyke?

- Thorndyke - odpowiedział jej lapidarnie Brady, odwracając oczy tym razem po to, by nie patrzeć, jak gruby, czarny sweter Davida opina górną część tułowia Reginy. - LeMain ma rozum. A Thorndyke nie, więc pomyślałem, że zaczniemy od niego.

- No cóż, nie potrafię wyobrazić sobie, by mogło to nam zaszkodzić - orzekła Regina, sadowiąc się w powozie.

Brady wsiadł za nią, sprawdziwszy raz jeszcze drzwiczki, by upewnić się, że posłuchano jego rozkazów i lśniące złote herby zakryte zostały czarnym materiałem.

- Powozi Thomas, a Kosma dołączy do niego na koźle za kilka chwil. I wtedy

ruszymy.

Regina kiwnęła głową.

- A David?

- David jest już na pozycji. Kosma, Thomas i ja odbyliśmy dziś po południu naradę. Ułożyliśmy bardzo spójny plan. Kiedy wskazałem im właściwy na dzisiejszy wieczór cel, David i Thomas uczepili się Thorndyke'a i przemierzili pół Londynu, zanim zawędrował z balu na przyjęcie, a potem do jaskini hazardu. Thomas wrócił niecałe dziesięć minut temu, żeby powiedzieć mi, gdzie baron jest teraz. Siedzi w lokalu przy wąskiej uliczce na obrzeżach Mayfair, co idealnie odpowiada moim planom.

- Doskonale pan to zorganizował, milordzie. Jestem pod wrażeniem.

- Podobnie jak ja - przyznał Brady, pochylił się z uśmiechem, podniósł z podłogi kawałek zardzewiałego łańcucha i udrapował go sobie na ramionach. - Proszę teraz sięgnąć do kieszeni na drzwiczkach i wyjąć butelkę, którą pani tam znajdzie. Pomyślałem sobie, że z przyjemnością wyleje pani na mnie jej zawartość.

Regina odkorkowała butelkę i powąchała. Nos jej się zmarszczył, skrzywiła się i zajrzała do środka.

- Czy jest pan pewien, że nie znalazło się tam kilka zdechłych ryb?

- Wszystko jest możliwe. Wysłałem Wadswortha, by zaczerpnął małą próbkę bezpośrednio z Tamizy, ale mógł ją uatrakcyjnić wedle własnego uznania, ponieważ zadanie to było poniżej jego godności. Ciągle zapomina, że sam zaproponował mi pomoc - ciągnął Brady. - Teraz proszę butelkę zatkać, odkorkujemy ją dopiero wtedy, jak dojedziemy do celu. Jeżeli chociaż kropla spadnie na poduszki, będę musiał kazać spalić powóz.

Jechali przez kilka chwil w milczeniu.

- Brady? - odezwała się Regina,

Brady uśmiechnął się w ciemnościach, słysząc, jak wypo: wiada jego imię.

- Tak? - zapytał.

- Chcę pana przeprosić - powiedziała, co uradowało go jeszcze bardziej.

- Naprawdę? - Zdumiony był, że udało mu odpowiedzieć tak spokojnym tonem.

Wcielanie się w role musiało wejść mu w krew.

- Tak, mówię serio, chcę pana przeprosić. Nie powinnam była gonić za lady Bellinagarą. Głupio postąpiłam. I nie mam do pana żalu, że w taki sposób przejął pan pałeczkę, że zrobił pan ze mnie głuptasa, równocześnie ustawiając mnie w roli przynęty, a przy sposobności siebie w roli tarczy. Pana historia była dużo lepsza, a ja za nic nie odstąpiłabym od własnych planów, gdyby nie poruszył pan sprawy potworów pod łóżkiem.

- Być może posunąłem się w tym momencie za daleko -przyznał Brady. - Ale wydaje mi się, że od tej chwili powinniśmy naradzać się wspólnie i powiadamiać się dokładnie, co zamierzamy robić. Nie ucieszyło mnie dzisiejsze spotkanie z lady Belle.

- Wiem, że nie. Ona zna pana lepiej niż Allerton i mogła pana poznać.

- To niebezpieczeństwo grozi mi przez cały czas - zwrócił jej rozsądnie uwagę Brady - chociaż ślepotą moich wieloletnich znajomych jest tylko jednym z licznych rozczarowań i objawień, które walą mi się na głowę od chwili powrotu do Londynu. Czy pani wie, moja droga, że poza Kippem i Bramem, którzy i tak poznaliby mnie, nawet gdybym wcześniej im nie powiedział, że żyję, nikt nawet przelotnie nie zainteresował się, z jakiego to powodu mnie zaatakowano, nikt też nie próbował dowiedzieć się, kim byli mordercy?

Regina przechyliła głowę na bok i popatrzyła na niego.

- Okazało się, że był pan nie tak popularny, jak się pan spodziewał, milordzie? - podsunęła. - Przykro mi.

- Okazało się, że byłem w ogóle nie tak pozytywny, jak się spodziewałem. Natomiast pewnie byłem tak wścibski, tak hulaszczy, tak płytki. - Leniwie, po Gawainowemu, machnął dłonią. - Nie ma się czym martwić. Jeszcze mniej stanę się popularny, kiedy wszyscy dowiedzą się, że Gawain Caradoc służył tylko do tego, by się z nimi droczyć. Już potrafię wytypować kilkoro znajomych, którzy będą udawali, że mnie nie znają, jak tylko ta wieść się rozejdzie.

- Księstwo Selbourne pana lubią - zwróciła mu uwagę Regina. - I państwo Willoughby też. Uważają, że jest pan wspaniały.

- Ale trochę zwariowany - dodał, krzywiąc się, Brady.

Regina wzruszyła ramionami.

- To prawda. Ale gdyby nie był pan taki wścibski, jak pan sam mówi, może wicehrabiostwo nigdy by się nie spotkali. Czy pomyślał pan o tym?

- Zna pani tę historię?

- O, tak. Abby... to jest wicehrabina... wszystko mi o tym opowiedziała. Widzi pan? Jest pan miłym człowiekiem i dobrym przyjacielem. Jest pan moim przyjacielem.

Brady oparł się w kącie, zakrył usta dłonią i tylko patrzył na nią w ciemnościach, a po głowie tłukły mu się dziesiątki pytań.

- A tamten wieczór? - odezwał się w końcu; najbardziej niefortunne pytanie przedostało się do jego ust jako pierwsze i wydobyło się na zewnątrz, zanim je zdołał powstrzymać.

Przyglądał się, jak Regina zwilża wargi czubkiem języka i udało mu się zdusić jęk.

- Czy pani tego żałuje? - zapytał, nie będąc już w stanie wytrzymać dłużej pełnego napięcia milczenia.

- A pan, milordzie? - odpowiedziała natychmiast pytaniem i w tej samej chwili powóz gwałtownie się zatrzymał. Regina z takim zapałem próbowała opuścić zasłonkę i wyrzucić na ulicę, że niemal spadła z siedzenia. - Dojechaliśmy -oznajmiła całkiem niepotrzebnie.

Kłapa w daszku nad ich głowami uchyliła się i w otworze pojawiła się głowa Thomasa.

- Przepraszam państwa, milordzie i Regino. Nigdy jeszcze nie powoziłem końmi, które byłyby tak posłuszne na każde skinienie lejców. Ale zatrzymały się prześlicznie, nieprawdaż? Boczne drzwi otworzyły się i David wetknął głowę do środka.

- Nadal tam siedzi, milordzie, ale pewnie niedługo będzie wychodził, skoro przestałem już raz za razem przegrywać do niego pana pieniądze. A nie było to łatwe, bo jeżeli istnieje człowiek, który by gorzej znał wista niż on, to jeszcze go nie spotkałem. Do tego ma już porządnie w czubie, też za pana pieniądze, i zaczął do mnie mówić „mój śliczniutki”. Nie mogę powiedzieć, że bym tym był zachwycony.

- Dziękuję ci, Davidzie, i przepraszam - powiedział Brady. - Gdzie powóz Thorndyke'a?

- Właśnie wsiada do niego Kosma, ponieważ rozmiarami bliższy jest baronowi niż ja czy Thomas, i głośno rozkazuje stangretowi, żeby go zabrał do domu. Thomas poszedł z nim, żeby otworzyć mu drzwiczki, a że obydwaj się przy tym zataczali, nikt nie zsiadł z kozła, by służyć im pomocą. Udzielił nam pan pewnych wskazówek scenicznych. Może być pan pewien, że będziemy się ich trzymali.

- Zdumiewające - rzekła Regina, kiedy David cofnął głowę i wrócił na róg, by wypatrywać barona Thorndyke'a. -Ten człowiek wyjdzie, przekona się, że jego powóz odjechał i... i co dalej? Co będzie się działo dalej?

- Jako następny wystąpi oczywiście David - wyjaśnił Brady. Poczł dreszczyk radości na myśl, że wszystko idzie tak dobrze, a może pójść jeszcze lepiej. - Zaproponuje Thorndyke'owi, że podwiezie go własnym powozem, a potem powie, że musi na moment wrócić do jaskini hazardu po rękawiczki i każe mu przejść za róg, gdzie będą czekał ja.

Regina klasnęła w rękę.

- Och, czy się pan nie cieszy, że spotkaliśmy ich po drodze? Przy ich pomocy wszystko robi się o tyle łatwiejsze.

- Ich pomocy, Regino - podkreślił Brady, poprawiając sobie łańcuchy na

ramionach. - Pani przyjechała tu jednak tylko po to, by się przyglądać, no i dlatego jeszcze, że gdybyśmy pani nie zabrali, to tak czy owak znalazłaby pani jakiś sposób, żeby pójść za mną. A ponieważ była pani taka bardzo grzeczna, a może wręcz przeciwnie... przekonany jestem, że mogłaby pani, patrząc na mój debiut, potraktować ten powóz jak miejsce w pierwszym rzędzie.

- Pana debiut oraz pana ostatnie przedstawienie, jeżeli wszystko pójdzie gładko - powiedziała Regina z przekonaniem, wysiadając za nim z powozu i odkorkowując butelkę.

- Zapomina pani o Gawainie Caradocu, Regino. Będę tę rolę jeszcze odgrywał co najmniej przez kilka dni, chociaż pani na widowni nie będzie.

- A to co ma znaczyć? - zapytała Regina, trzymając butelkę w takiej pozycji, że musiał to uznać za groźbę. - Chyba nie sądzi pan, że uda się panu mnie pozbyć, prawda?

Brady zaklął pod nosem.

- Powinienem był zamknąć usta dwa zdania temu, kiedy jeszcze szło mi dobrze. Nie, Regino, nie mam zamiaru pozbywać się pani, chociaż bardzo chcę i bardzo powinienem. Ale na krok się pani nie ruszy z rezydencji, dopóki się cała sprawa nie zakończy, nawet gdybym miał związać panią tymi łańcuchami i przybić je do podłogi. Zrozumiano?

- Zrozumiano - potwierdziła Regina i, zanim się zdążył uchylić, stanęła na palcach i wylała mu zawartość butelki na głowę.

Regina ostrożnie opuściła grubą skórzaną zasłonkę o jedną trzecią długości, potem uklękła na poduszkach i wyjrzała przez odsłonięte okno.

Brady praktycznie rozplaszczyl się plecami na wilgotnym murze ceglanym przed jaskinią hazardu i stał się prawie niewidzialny, chociaż wiedziała, gdzie go szukać.

Kiedy odwróciła głowę i przycisnęła policzek do szyby, z trudem udało jej się dostrzec znikający za rogiem bruk; wstrzymała oddech i czekała, aż ukaże się baron Thorndyke.

To się nie uda. Nie może się udać. Nikt nie uwierzy, że duch Brady'ego Jamesa straszy w Londynie, wlokąc za sobą kawałki łańcucha i strzępy worka oraz śmierdząc Tamizą. Tylko idiota uwierzyłby w coś takiego.

Albo ktoś, kto ma nieczyste sumienie, i prawdopodobnie na to właśnie liczył Brady, doszła do wniosku Regina. Poza tym wydawał się dobrze bawić, jakby planował tę zemstę od długiego czasu i w końcu się jej doczekał.

Regina przypomniała sobie, jak wyglądał Brady, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy w Singleton Chase. Chory, słaby i przestraszony. Ani trochę nie przypominał tego

beztroskiego, może nawet odrobinę niemądrego, spotkanego na samym początku w Londynie dzentelmena. Nie uśmiechał się, przestał być zuchwały, za to zrobił się zdecydowanie mniej zadowolony z siebie niż wtedy, kiedy po raz pierwszy spojrzął jej w oczy, a ona była tylko Reginą Bliss, pokojówką - chociaż wyczytał o wiele więcej z jej spojrzenia.

Jak człowiek zostanie pobity i wrzucony do Tamizy, potrafi go to pozbawić sporej ilości buty i pewności siebie.

Ale to jeszcze nie wszystko. Od tamtej kąpieli Brady dostał niejedną nauczkę, a dla Reginy było oczywiste, że wiele z tych nauczek wcale mu się nie podobało.

Jakie to ma znaczenie, że nie cały Londyn był w nim zakochany? Czy naprawdę sądził kiedyś, że był? A może chodziło o coś więcej? Może przekonał się, że on sam wcale nie jest tak bez reszty zakochany w całym Londynie? I w tym życiu, jakie dotychczas prowadził? Tak właśnie powiedział jej Kosma, a Kosma był bardzo mądrym człowiekiem.

Kosma wytłumaczył Reginie, jaki może być jeden z powodów skomplikowanej zemsty Brady'ego. Lęk. Tak właśnie twierdził Kosma. Powiedział, że Brady poczuł się tak zdruzgotany swoim niemiłym przeżyciem, że bał się wracać do Londynu we własnej osobie, dopóki nie zdobędzie pewności, kto chciał go zabić. A Regina przekonana była, że Kosma ma rację; Brady wykorzystywał swoje „nowe” ja, by odkryć morderców i zmusić ich, by się przyznali, ale również się za Gawainem Caradokiem ukrywał.

Oczywiście powyższe wyjaśnienie nie obejmowało dzisiejszej nocy i tego przebierania się za ducha, który miał tak przerazić barona Thorndyke'a, że powie albo zrobi coś głupiego. Podczas tego występu Brady chciał się tylko zabawić, bo przecież kiedy dojdzie już do konfrontacji z Allertonem, wyśpiewa on pewnie nazwiska współników, zanim ktoś zdąży go o to poprosić.

- Mały chłopiec - szeptała Regina w ciemnościach. - Jakaś część Brady'ego wciąż jeszcze jest kochającym psoty małym chłopcem. I dzięki Bogu za to po tym wszystkim, co przeżył. Dzięki Bogu za to.

Myśli jej przechodziły właśnie nieuchronnie od wizji Brady'ego jako małego chłopca do rozpamiętywania jego pocałunków, kiedy gwałtownie się rozproszyły, bo ktoś, zataczając się, wyszedł zza rogu i chwiejnym krokiem zaczął się zbliżać.

- Kurtyna w górę, milordzie, zza lewej kulisy wchodzi czarny charakter - szepnęła Regina, opuszczając również i szybę, by lepiej słyszeć, jak hrabia odgrywa farsę.

Przyglądała się, jak Brady odpycha się od muru, podzwaniając przy tym łańcuchami; głowę owinał sobie dużym kawałkiem worka, żeby ukryć włosy. Postąpił dwa kroki ku Thorndyke'owi, potem uniósł dłoń i pokazał na barona palcem.

- Tyyyy - zajęczał. - Widzę cięęęę.

Thorndyke chwiejnie zatrzymał się, przetarł oczy i uderzył się prawą ręką w ucho.

- Co? Kto? Gdzie? - wybełkotał pijacko.

Brady zbliżył się jeszcze o krok, stał teraz tak blisko Thorndyke'a i tak blisko powozu, że Regina czuła zapach nieświeżej wody z Tamizy, którym przesiąknięte było jego ubranie.

- Dlaczego? - zapytał Brady, jakoś udawało mu się mówić głuchym tonem. Musiał sporo ćwiczyć. - Moja dusza nie zna spoczynku. Co noc nawiedzam to miasto i pytam, dlaczego... dlaczego. Dlaczego? Kto?

Thorndyke potrząsnął głową.

- Mnie nie pytaj - mruknął. Najwyraźniej był za bardzo pijany, by zrozumieć, że ma przed sobą ducha w wieczorowym ubraniu, worku i łańcuchach. Regina wepchnęła sobie pięść do ust, chcąc powstrzymać chichot. Nie ma nic gorszego niż pijani widzowie, chociaż celność, z jaką rzucali pomarańczami, upośledzona była w tym samym stopniu, co ich percepcja, a to często wychodziło aktorom na dobre.

Ręka Brady'ego wystrzeliła do przodu i zacisnęła się na ramieniu Thorndyke'a. Miał pewnie nadzieję, że tym gestem zwróci na siebie uwagę pijaka, który właśnie podniósł nogę i ze skupieniem przyglądał się podeszwie własnego wieczorowego buta.

- Musiałem w coś wdepnąć - mruczał do siebie. - Musiałem. Ale śmierdzi, co? Czujesz to?

Brady rzucił pospieszne spojrzenie w kierunku powozu i Regina dostrzegła w jego oczach frustrację i błysk humoru. Czyż to nie urocze, że wszyscy tak dobrze się bawią?

- Baronie Thorndyke - wyjęczał dosyć głośno jak na ducha, ale musiał jakoś na moment otrzeźwić tego pijaka. – To ja, Brady James, hrabia Singleton. Zabiłeś mnieeee. Dlaczego mnie zabiłeee?

Mogło to być grubymi nićmi szyte, ale zadziało. Baron dał spokój podeszwie i pochylił się w stronę Brady'ego, mrużąc oczy, by przyjrzeć mu się w ciemnościach.

- To rzeczywiście chyba ty? Singleton? Śmierdzisz. Boże, człowieku, i do tego okropnie wyglądasz. Powinieneś coś z tym zrobić, koniecznie. Na początek jakiś inny krawiec... zaraz po tym, jak się wykąpiesz. Miejże, człowieku, trochę szacunku dla siebie. To, że nie żyjesz, nie usprawiedliwia...

Zmiana, jaka zaszła na twarzy barona Thorndyke'a, kiedy uświadomił sobie w końcu, co mówi i do kogo to mówi, była zdumiewająca.

- Singleton? - zapytał i uniósł rękę, by strącić z ramienia dłoń Brady'ego, ale zaraz doszedł do wniosku, że może to nie być dobry pomysł. - Nie, to niemożliwe. Jestem

pijany. Tak właśnie. Jestem cholernie pijany.

- Tak pijany, Thorndyke, że nie pamiętasz nocy, kiedy pobiliście mnie, wepchnęliście mnie do worka, związaliście mnie tymi łańcuchami? Nocy, kiedy powiosłowaliście na środek Tamizy i wrzuciliście mnie do ciemnej wody? Widziałem ciebie, Thorndyke, przez worek, w świetle latarni na dziobie łodzi. Zabiliście mnie, a potem poszliście grać w karty.

Thorndyke potrząsał gwałtownie głową, chociaż przerażenie nie działało chyba trzeźwiąco na jego przyćmiony trunkami umysł.

- Nie! Nie, to... to nieprawda! To nie był mój pomysł! Mówiłem mu, żeby tego nie robił, żeby dał spokój... ale on powiedział... o Boże! - Nogi się pod nim ugięły i niemal padł na bruk, usiłując wyrwać się z mocnego chwytu Brady'ego, a potem zaczął wrzeszczeć: - Ratunku! Duchy! Ratunku! Pomocy!

- No, to sprytne pociągnięcie - odezwała się głośno Regina, która nie była w stanie opanować rozbawienia. - Właśnie coś takiego może ściągnąć człowiekowi cały świat na ratunek: krzyki, że trzeba mu pomóc w ucieczce przed duchem.

- Zrobiłeś to - powiedział Brady głośno, a na ton jego głosu Reginie przebiegł dreszcz po plecach. - Zabiłeś mnie! Chcę usłyszeć, jak to mówisz. Powiedz mi! Zabiłeś mnie, prawda?

- Tak, zabiliśmy cię, ale...

Regina już sądziła, że Brady każe baronowi wymienić nazwiska dwóch pozostałych, lecz on zdjął z ramion łańcuchy i okręcił je Thomdyke'owi wokół szyi, zaciskając tak, że stopy przerażonego barona uniosły się znad bruku, a twarze ich oddalone od siebie były tylko o kilka cali.

- Boisz się, Thorndyke? - zapytał, a mówił teraz tak cicho, że Regina musiała natężyć słuch, by go zrozumieć. - Czy czujesz, jak wali ci serce? Czy ręce i nogi ci zdrętwiały? - Łańcuchy zacisnęły się mocniej wokół szyi barona. - Czy przewraca ci się w żołądku, czy się zeszczaleś w spodnie? Czy chce ci się płakać, Thorndyke? Rozplacz się dla mnie, Thorndyke. Chcę usłyszeć, jak płaczesz.

Z twarzy Reginy zniknął uśmiech. Uświadomiła sobie, że w tym, co Brady mówi i co robi, nie ma nic śmiesznego. Czy powinna go powstrzymać? Czy, jeśli tego nie zrobi, hrabia udusi Thorndyke'a? Już miała wyskoczyć z powozu i wezwać Davida i Thomasa na pomoc, kiedy Brady wypuścił barona i odepchnął go mocno od siebie. Thorndyke padł na bruk, odwrócił się na brzuch i zaczął się krztusić.

- Nie - rzekł Brady, kiedy Thorndyke kaszłał, dławił się i pocierał gardło. - Nie,

nie jestem taki jak ty. Na Boga, nie jestem taki jak ty!

Regina nie była całkiem pewna, co przed chwilą na własne oczy widziała, ale nie miała wątpliwości, że najwyższy czas, by Brady'ego zabrać, bo stał na chodniku z rękami zwisającymi po bokach i potrząsał głową, jakby czemuś zaprzeczał.

- David! - zawołała, otwierając drzwi powozu. – Zabierz stąd tego pijanego idiotę. Zaprowadź go z powrotem za róg i zostaw go tam.

David pojawił się natychmiast jak zawsze na dany znak, a za nim podszedł Thomas. Nie minęło kilka chwil, a David już odprowadzał za róg rozszlochane Thorndyke'a, a Thomas wpychał Brady'ego do powozu.

Hrabia usiadł w kącie, ściągnął sobie worek z głowy i wbił wzrok w coś, czego Regina nie potrafiła zobaczyć.

- Muszę się napić - oznajmił w końcu, kiedy Thomas i David wrócili na kozioł i powóz z turkotem potoczył się po ulicach.

- Musi się pan wykapać, milordzie - powiedziała mu Regina. - A potem, Brady, chyba powinniśmy porozmawiać.

Podniósł na nią oczy i pokiwał głową.

- Tak, Regino, myślę, że chyba powinniśmy.

Regina u siebie w sypialni spacerowała tam i z powrotem po dywanie przez pełną godzinę, ale kiedy zegar wybił czwartą, resztki jej cierpliwości się wyczerpały. Owinęła się szlafrokiem, wymknęła się do holu i trafiła akurat na moment, kiedy Wadsworth wychodził z sypialni Brady'ego.

- Psst! Wadsworth! - syknęła, przechodząc na paluszkach przez hol. - Nic mu nie jest?

- Jemu? - zapytał Wadsworth. - Czyżby pojawiła się pani tutaj, zupełnie niestosownie ubrana, po to, by dowiadywać się o zdrowie lorda Singletona, które na dobrą sprawę w najmniejszym stopniu nie powinno pani interesować? Jakże uprzejmie z pani strony.

- Och, daj spokój, Wadsworth - powiedziała Regina niewzruszona. - Kiedy wróciliśmy do domu i mogłam go zobaczyć w pełnym świetle, wyglądał okropnie; i to nie tylko przez ten kostium ani dlatego, że był mokry i śmierdział. Coś się dzisiejszej nocy wydarzyło, Wadsworth, i chcę się dowiedzieć, co.

- Coś się wydarzyło kilka miesięcy temu, panienko - rzekł Wadsworth z zatroskanym nagle wyrazem twarzy. - Prawie go zamordowali. A nie była to szybka kula ani dźgnięcie nożem. Pobili go, związali w worku, musiał przez niemal godzinę przysłuchiwać się, jak napastnicy omawiają jego śmierć, a potem ustalają plany na resztę wieczoru. Miał czas zastanowić się nad tym, że zaraz umrze, panienko. Wojna jest już łaskawsza.

Regina przygryzła wargę i przytaknęła.

- Te koszmary.

- Tak, te koszmary. Musiał żyć ze świadomością, że nawet jeżeli przed laty, podczas wojny, uważał się za bardzo dzielnego i odważnego, teraz stanął twarzą w twarz z grozą, której istnienia nawet nie podejrzewał, a przynajmniej w głębi duszy w nią nie wierzył. To część problemu, panienko, i sędzę, że już sobie pani z tego zdała sprawę. A reszty, jak się obawiam, nie da się tak łatwo wyjaśnić ani zrozumieć: przekonany jestem, że jego lordowska mość doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy jest podłym człowiekiem, którego nie da się kochać.

- Ale to absurd! Jak najbardziej daje się go kochać... chciałam powiedzieć - poprawiła się szybko - że jest bardzo sympatyczny, Wadsworth. - Spuściła wzrok na własne stopy. - To bardzo sympatyczny człowiek.

- Sugerowałbym, by mu pani o tym powiedziała, panienko. Rano, panienko - dodał Wadsworth, znowu mierząc ją wzrokiem z góry na dół, przez co poczuła się tak, jakby stała tam naga, a to było bardzo dalekie od prawdy. Często wieczorami przesiadywała w towarzystwie Kosmy, Thomasa i Davida i nigdy nie zastanawiała się na faktem, że wszyscy byli w ubraniach nocnych.

Poza tym widziała już przecież kolana Brady'ego.

- Tak, oczywiście, Wadsworth - zgodziła się, rozumiejąc, że żadne jej argumenty nie przekonają kamerdynera, by choć na krok oddalił się od drzwi Brady'ego. - Rano. Dobranoc, Wadsworth.

Czuła na sobie jego spojrzenie, kiedy zawracała, a potem wchodziła do swego własnego pokoju. Policzyła do tysiąca i ponownie otworzyła drzwi. Jak okiem sięgnąć, korytarz był pusty.

Regina na paluszkach biegiem przemknęła przez hol, otworzyła drzwi do pokoju Brady'ego, wpadła do środka, zamykając je za sobą i oparła się, usiłując złapać oddech.

- To już drugi raz - odezwał się głos Brady'ego z ciemności, a Regina spojrzała w kierunku świec i zobaczyła właściciela głosu, który stał tam w białej, otwartej pod szyją koszuli; poły koszuli zwisały luźno na parę jasnobrązowych pantalonów. Włosy hrabiego, jeszcze wilgotne po kąpieli, opadały swobodnie na ramiona. - Oczekiwałem pani. Chociaż nie powinna pani tutaj być, co Wadsworth już pani powiedział.

- Słyszał nas pan? Jak rozmawialiśmy w holu? - zapytała Regina, powoli podchodząc do niego.

- Wadsworth jest przykładowy we wszystkim, poza jednym. Nigdy w pełni nie opanował sztuki posługiwania się dyskretnym szeptem. A może właśnie opanował. Czy pomyślała pani o tym, Regino?

Regina przechyliła głowę na bok, zastanawiając się nad słowami Brady'ego.

- Chodzi panu o to, że Wadsworth próbował uprzedzić pana, że za jakiś czas mogę się próbować do pana włamać? Wyobrażam sobie, że to możliwe. Ale dlaczego miałby tak postąpić?

Brady odwrócił się i skierował do stolika, na którym stało kilka karafek.

- To jest pytanie, na które wcale niespieszno mi odpowiadać, chociaż chętnie przypiszę Wadsworthowi motywy jak najczystsze. Kieliszek wina?

- Tak, proszę - powiedziała Regina, podchodząc do kominka i siadając na jednym z dwóch ciemnozielonych skórzanych foteli, które stały po obu jego stronach. - Wydawało mi się, że mieliśmy porozmawiać.

Brady podszedł do niej, trzymając w obu rękach po kieliszku. Nawet w tym skromnym stroju miał w sobie coś z Gawaina.

- O mój Boże - rzekł, podając jej wino - a mnie się wydawało, że noc przeznaczona jest do spania, a dzień do rozmów. Powinienem się wstydzić, że nie nadążam za najnowszą modą, obowiązującą w naszym cudownym społeczeństwie.

Regina skrzywiła się lekko, acz szyderczo, kiedy Brady usiadł, założył nogę na nogę i małymi łyżkami zaczął pociągać wino, przy czym mały palec jego lewej dłoni wycelowany był prosto w sufit.

- Jeżeli skończył pan już całkiem z udawaniem idioty... - podsunęła w końcu.

Brady wysączył do ostatniej kropli zawartość kieliszka i odstawił go na stolik obok siebie.

- Nie lubi pani Gawaina, prawda, księżniczko? Ja również nie. Chociaż ma on swoje dobre strony.

- I przydaje się - zgodziła się Regina. - Ale czas już, żeby się oddalił, prawda?

Brady potarł sobie kark, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Wydaje mi się, że mogę jeszcze zatęsknić za tymi włosami. Kosma powiada, że byłby ze mnie wspaniały Hamlet, kiedy nie są związane. A pani jak sądzi?

- Sądzę, że chciałabym dowiedzieć się, co stało się dzisiaj wieczorem, milordzie - odpowiedziała Regina uczciwie. - Przekonana jestem, że dobrze się pan bawił do chwili, kiedy Thorndyke przyznał, że był jednym z trzech, którzy próbowali pana zamordować. A wtedy na moich oczach pan się zmienił. Już bałam się, że zamierza pan go zabić.

Brady podrzucił głową. Włosy przestały opadać mu na twarz.

- I tak było, księżniczko, tak było. Nie jestem pewien, co na mnie w ten sposób podziało... czy to jego wyznanie, czy może strzępy worka i łańcuchy, czy może zapach rzeki... coś. Nagle poczułem, że znowu leżę w tamtej łódce, a oni wiozą mnie do mego podwodnego grobu... jeżeli mamy już melodramatyzować. - Rozłożył ręce dłońmi do góry. - Chciałem, żeby Thorndyke cierpiał, księżniczko. Chciałem, żeby poczuł to, co ja czułem, co przeżywałem parędziesiąt razy w koszmarach.

- Ale nie potrafił się pan stać nim, prawda? Nie mógł pan go zabić.

Brady powoli potrząsnął głową, a potem popatrzył na nią i uśmiechnął się żałośnie.

- Nie, księżniczko, nie mogłem tego zrobić, jeżeli chciałem okazać się lepszy od niego. A tak bardzo chcę być lepszy.

Reginie serce pękało, kiedy na niego patrzyła, słuchała go.

- Jest pan lepszym człowiekiem, Brady - zapewniła z mocą. - Czy pan tego nie

wie? Wadsworth to wie, i Kosma, i Thomas, i David wiedzą, i pana przyjaciele wiedzą... - tu głęboko zaczerpnęła powietrza, powoli je wypuściła i dodała: - ... i ja to wiem.

Brady wstał, a Regina wykręciła się na fotelu, by przyglądać się, jak spaceruje po pokoju, to dotykając jakiejś figuryнки na stole, to przeciągając palcami po tym, co leżało na jego biurku.

- Wie pani, księżniczko, coś mi się zdaje, że to nurkowanie w Tamizie świetnie mi zrobiło. Nie jestem tym samym człowiekiem, którym byłem w zeszłym roku. Och, nie mam na myśli tego, że do wrzucili mnie do Tamizy w worku jako jakąś żalostną gąsienicę, a wynurzyłem się motylem, nic tak cudownego. Ale miałem czas, by przyjrzeć się własnemu życiu i uświadomić sobie, że sprawy, które kiedyś wydawały mi się ważne, teraz nie znaczą nic, podczas gdy sprawy, z których się kiedyś wyśmiewałem, stały się teraz dla mnie droższe nad życie.

Wrócił do niej i znowu usiadł.

- Czy to, co mówię, ma jakiś sens?

- Tak, milordzie, ma - powiedziała mu cicho Regina. - I zrozumieć pana, jeżeli chodzi panu o to, że chce pan zrezygnować z całej sprawy i już się nią nie zajmować.

Głowa Brady'ego gwałtownie poderwała się do góry.

- Zrezygnować? O, nie, księżniczko. Nie, nie, nie. Ale to nie ja ich ukarzę. Zostawię karanie sądom. Nienawidziłem ich, Regino. Nienawidziłem tych trzech mężczyzn z zapamiętaniem, które mnie teraz przeraża, kiedy o nim pomyślę. Pozwoliłem, by mój osąd został zmałowany przez tę nienawiść, pozwoliłem sobie narazić panią na niebezpieczeństwo. Wszystko, co robiłem przez ostatnie miesiące, te koszmary, ten nonsens z Gawainem, moje dzisiejsze widmowe wcielenie... robiłem to wszystko, powodowany głęboką, niewzruszoną nienawiścią. Przez tę nienawiść nie mogłem wydostać się z worka, księżniczko, topiłem się w nim. Ale teraz się wydostałem. Jestem wolny. Jestem wolny i tylko chcę już, żeby się to wreszcie skończyło.

Regina grzbietem dłoni otarła łzy z policzków.

- Rozumiem. Ja ich również nienawidzę, Brady, i przez długi czas chciałam, żeby umarli za to, co zrobili mnie, moim rodzicom. Ale teraz Kosma powiada...

Brady znowu zerwał się i uderzył dłonią po czole.

- Na Boga! Ja! Ależ ze mnie samolubny drań. Mówię i mówię... o sobie. A tu chodzi o panią, Regino. Pani poniosła większą stratę.

- Tak, ale miałam również więcej czasu, żeby się z nią uporać - przyznała Regina ucziwie. - Och, nadal pragnę, żeby ci ludzie zostali ukarani, ale pogodziłam się już z

faktem, że papa większość kłopotów sam na siebie ściągnął. Kiedy zaczął kłamać Allertonowi, zapuścił się na wody równie głębokie jak Tamiza, milordzie, kiedy brał w taki sposób od niego pieniądze, oszukiwał go tym absurdalnym, fałszywym czarnym tulipaniem. A poza tym Kosma teraz mówi, że jego zdaniem...

Brady wyciągnął ręce, ujął jej dłonie i podniósł ją z fotela.

- Księżniczko, żaden czyn pani ojca nie usprawiedliwia tego, żeby i on, i pani matka mieli za niego zapłacić życiem. Ale nie o to mi w tej chwili chodzi. Chodzi mi o panią, o to, jak musiała pani zebrać na ulicach i obawiać się o swoje życie we śnie i na jawie, przez cały czas. Nigdy pani nie mówiłem, jak wielki czuję szacunek dla pani odwagi, proszę pozwolić, że teraz to pani powiem. W dzień, kiedy panią poznałem, dostrzegłem w pani ślicznych szarych oczach coś szczególnego. Były psotne. Inteligentne. Ale nie o to chodzi. Och, jest w nich i inteligencja, i humor, proszę w to nie wątpić. Ale pociągała mnie w pani odwaga, zdaję sobie teraz z tego sprawę. Stała pani tam, patrząc Kippowi prosto w oczy, i opowiadała mu pani jedną karkołomną bajeczkę po drugiej. Ani się pani nie wzdrygnęła, ani na moment nie straciła odwagi.

Regina uśmiechnęła się blado.

- Nie mógł pan widzieć, jak mi się kolana trzęsły, milordzie. Ani w połowie nie byłby pan pod takim wrażeniem, gdyby widział pan, jak moje kolana stukają jedno o drugie.

- Pani kolana? - powiedział ze śmiechem Brady. - Za bardzo byłem zajęty przeklinaniem faktu, że zdaniem Kippa była pani dzieckiem. - Przesunął grzbietami palców po jej policzku. - Kiedy patrzyłem na panią, nie widziałem dziecka, Regino. Widziałem kobietę, kobietę, która miała jakąś tajemnicę. Zawsze nienawidziłem tajemnic.

- Chce pan powiedzieć, że zawsze był pan wścibski - sprostowała Regina, wiedząc, że powinna odsunąć się od niego, i wiedząc również, że się na to nie zdobędzie. - Ale przez tę moją tajemnicę niewiele brakowało, by pan zginął, i dalej to panu grozi. Powinnam była powiedzieć panu prawdę za pierwszym razem, kiedy pan pytał.

- Ale ja wtedy nie pytałem, księżniczko, dopiero po kąpieli w Tamizie, zapomniała pani?

Regina zamrugała oczami, przechyliła głowę na bok, a potem podniosła na niego oczy.

- Ma pan rację. Nie pytał pan mnie, prawda? Po prostu pojechał pan do Little Woodcote i wpadł pan w tarapaty. - Uniosła ramiona, potem je opuściła. - Od razu poczułam się lepiej.

- Od razu poczuła się pani...? O Boże, Regino - Brady wziął ją w objęcia - ale z

pani ziółko. Ale z nas para ziółek.

Regina przycisnęła policzek do jego piersi, załaly ją nagle takie same emocje jak wtedy, kiedy ją całował, tylko że teraz były bardziej intensywne i nawet bardziej przerażające.

- Ja... ja powinnam już iść - szepnęła, odpychając się od niego. - Niedługo będzie świtać, a wiem, że zamierza pan czekać pod domem Thorndyke'a i przekonać się, kogo baron rano odwiedzi.

- Będzie to chyba raczej w południe, bo jestem pewien, że Thorndyke jeszcze przez jakiś czas poleży w łóżku z bólem głowy. Ale skąd pani wie, że zamierzałem obserwować jego dom? Skąd? Ja pani o tym nie mówiłem.

- Nie mówił pan? No to może sama jestem taka genialna. A czy mówił mi pan, że ponieważ jest pan pewien, iż Thorndyke uda się do Allertona, a Allerton wezwie LeMaina, to cała ta sprawa zakończy się przed wieczorem?

- Gdybym coś takiego powiedział, księżniczko - rzekł Brady, nie usiłując jej ponownie dotknąć - to tym razem ja opowiadałbym bajeczki. Nie, Regino, obawiam się że potrwa to przynajmniej jeszcze jeden dzień, zanim sprawy ułożą się po mojej myśli. Tymczasem zostanie pani tutaj. Rozumie pani?

- Nie mogę nawet pojechać z panem, żeby stać na straży przed domem Thorndyke'a?

- Nie, księżniczko, nie może pani. Nigdzie pani nie pojedzie, jeżeli ja nie będę pani towarzyszył.

- Ale przecież pan wybiera się do Thorndyke'a - przekonywała go, kiedy nagle przyszło jej coś na myśl. - Pan wcale nie wybiera się do Thorndyke'a. Pan pośle Thomasa albo Davida... a sam pojedzie na przejażdżkę z lady Belle!

- To Gawain pojedzie na przejażdżkę z lady Belle - przypomniał Reginie Brady, ale ta niewielka różnica wcale nie poprawiła jej samopoczucia.

- Tak pan utrzymuje - powiedziała i odwróciła się do drzwi, zanim hrabia zdołał dostrzec zazdrość, która musiała płonąć w jej oczach. Niech sobie mówi o lady Belle, co chce, nie robiła się ona od tego mniej śliczna. - Dobranoc, milordzie.

- Regino? - zawołał za nią. Odwróciła się. Brady stał tuż za nią. - Czy nie zamierzała mi pani przekazać, co Kosma powiedział do pani?

Regina popatrzyła na niego, potem spuściła oczy.

- Nie. Nie zamierzałam. To nie było ważne. Jestem pewna, że poradzę sobie po tym, jak zdemaskuje pan Allertona i jego przyjaciół i ukaze światu ich prawdziwe oblicze.

Właściwie to nie jestem już panu potrzebna, skoro przestał pan z taką stanowczością dążyć do tego, by całą trójkę powieszono za to, co panu zrobili.

- Powieszono by ich za to, co zrobili pani rodzicom - przypomniał jej Brady. Regina nadal wpatrywała się we własne stopy i wzbraniała się podnieść na niego wzrok.

- Wiem - powiedziała, starannie ważąc słowa. - Ale może nie dojdzie do tego. Może w rezultacie potępiono by wyłącznie papę.... zbrukana zostałaby jego pamięć... przez to, że brał pieniądze od Allertona, chociaż wiedział, że nigdy nie będzie miał dla niego czarnego tulipana.

- Regino - rzekł Brady, ujmując ją pod brodę i unosząc jej głowę do góry, tak że nie miała wyboru i musiała popatrzeć na niego. - Regino, wiem, że rozmawialiśmy o tym. Jeżeli nie mogę napomknąć o pani rodzicach, mam niewielką nadzieję na to, by zdemaskować Allertona. Czy tego pani chce? Czy chce pani, by Allerton uniknął sprawiedliwości?

Regina odepchnęła jego palce, lekko się wstrząsnęła i zdecydowała się na półprawdy.

- Sam pan mówił, że pewnie stał się pan lepszym człowiekiem przez to, że wrzucili pana do Tamizy. A ja żyję, znowu jestem z Kosmą i innymi. I z panem, i ze mną wszystko jest w porządku, milordzie. No więc tak. Chcę, żeby się to skończyło, i to nie jutro, nie na zdemaskowaniu Allertona. Chcę po prostu, żeby już było po wszystkim, żebym mogła stąd wyjechać i kontynuować własne życie. - Przycisnęła na moment dłoń do ust, a potem dodała: - Im szybciej odjadę, Brady, tym lepiej będzie dla nas obojga.

Przyglądała się, jak Brady wbija sobie palce we włosy, a potem usłyszała, jak mamrocze pod nosem coś dosyć niegrzecznego.

- Chce pani odejść? Odjechać? - zapytał ją następnie. - Czy naprawdę sądzi pani, że tak będzie lepiej dla nas obojga?

- Naprawdę - zapewniła go cicho. - Jestem aktorką, milordzie. Ja nie mogę... nie tu jest moje miejsce. Z panem teraz wszystko jest w porządku. Sam pan mi to powiedział i cieszę się z tego. Przykro mi, że stała się panu krzywda przez to, że usiłował mi pan pomóc, i cieszę się, że mogłam panu pomóc chociaż odrobinę. Ale chcę stąd wyjechać, i to już.

To ostatnie zdanie byłoby świetną kwestią przed zejściem ze sceny i gdyby tylko stopy Reginy zechciały się ruszyć, odwróciłaby się od hrabiego dramatycznym ruchem i wyszła. Ale jej stopy jakby wrosły w dywan i nie mogła odejść, dopóki Brady w ten sposób na nią patrzył, z tak napiętym wyrazem twarzy, z tyłoma pytaniami w oczach.

- Co Kosma pani powiedział, Regino? - zapytał w końcu. - Czy to właśnie dlatego zaczęła się pani tak nagle spieszyć z odejściem? Z powodu tego, co Kosma pani powiedział?

- Nie - odrzekła szybko i zaraz się skrzywiła. Zaprzeczyła zbyt szybko, by jej odpowiedź mogła być uznana za cokolwiek innego niż kłamstwo.

- W porządku - rzekł Brady, kiwając głową. - Wierzę pani. Regina patrzyła na niego tępo.

- Pan mi wierzy? Dlaczego?

Brady postąpił krok do przodu, a jej zdradzieckie stopy nie chciały nawet drgnąć.

- Czy musi pani pytać? Czy nie wystarczy, że pani wierzę?

- Nie, chyba nie...

- Naprawdę? - powiedział, sięgając po jej dłoń i ściskając ją. - A więc, żeby zacytować panią, księżniczko.... dlaczego?

Dłoń Reginy płonęła, już cała ręka zajęła się ogniem. Kciuk Brady'ego pogładził jej dłoń, a żar rozlał się poza rękę i nappełnił całe ciało.

- Ponieważ ja kłamię - przyznała, zamykając oczy.

Brady zbliżył się, łagodnie zgiął jej rękę w łokciu i przesunął ją na plecy, żeby móc przyciągnąć Reginę do siebie.

- Wiem.

Piers Reginy gwałtownie unosiła się i opadała, oddech stawał się szybki i płytki.

- Pan wie?

Brady pochylił głowę i następne słowa wyszeptał, niemal dotykając ustami jej szyi.

- Wiem, księżniczko. Ale jeżeli chce pani, bym wierzył, to uwierzę.

- Ale... ale dlaczego?

Wolną ręką objął jej brodę i obsypał pocałunkami policzek, wolno zbliżając się do ust. Regina podniosła wzrok, zobaczyła, że Brady na nią patrzy, zobaczyła, jak lekko opadają jego powieki, kiedy przenosił spojrzenie na jej usta.

- Zrobiłbym wszystko, księżniczko, powiedziałbym wszystko, uwierzyłbym we wszystko, jeżeli w rezultacie pozwoliłabyś, bym wziął cię do łóżka już teraz. Już teraz, Regino. Jutro, za tydzień, za miesiąc, za rok dość będzie czasu na inne plany.

Regina zachwiała się na nogach, bo kolana się pod nią ugięły od słów Brady'ego i jego tonu. Powinna powiedzieć nie. Powinna go odepchnąć od siebie.

Ale przecież on jej nie trzyma. Kiedy puścił jej dłoń, jej brodę? Nie zauważyła.

Wcale jej nie dotykał. Poza tym, że lekko jak piórkiem muskał pocałunkami skórę... i że opasał ją mocnym jak żelazo uściskiem słów i tonem, jakim je wypowiedział, i wyrazem oczu.

Czy chciała tego? Czy chciała zabrać ze sobą to wspomnienie, kiedy będzie

wyjeżdżała z Londynu, zostawiała za sobą życie, które nie było jej życiem, które nie mogło być jej życiem?

Tak. Tak, chciała. Byłaby głupia, gdyby zaprzeczyła.

Powoli, niemal bez udziału świadomości Reginy, jej ręce same uniosły się i splotły na szyi Brady'ego, i nagle tak się stało, że całował ją, całował ją w usta, brał na ręce i niósł do swego łóżka.

Położył ją na plecach, a ona wtuliła twarz w jego szyję, kiedy położył się obok niej na chłodnej pościeli i objął ją ramionami. Otworzyła oczy i popatrzyła na ciemny jedwabisty baldachim na głowę, a Brady przemawiał do niej, uspokajał, uśmierzał jej strach.

- Nie bój się, księżniczko - mówił, przesuając się, by rozsupłać atłasowe wstążeczki, na które była związana jej koszula. - Jeżeli oboje będziemy się bali, cała sprawa może skończyć się katastrofą.

Uśmiechnęła się, uwielbiała go za to, że umiał do niej dotrzeć, że umiał się z nią droczyć, umiał ją rozbawić w chwili, kiedy pozwalała mu rozchyłać nocną koszulę, przesuając się o krok bliżej do punktu, z którego już nie było odwrotu.

A potem, jedną dłonią obejmując Reginę w talii, okrytej tylko mgiełką nocnego stroju, zaczął ją całować. Długie, oszłamiające pocałunki, od których zahuczało jej w uszach, zakręciło się w głowie... a dłonie same zawędrowały na jego ramiona, by zacisnąć się w końcu na plecach.

Jeszcze... jeszcze...

Wiedziała, że musi być coś jeszcze. Coś więcej niż to uczucie pragnienia, pożądania...

Dłoń Brady'ego zamknęła się na jej piersi. Regina westchnęła mu prosto w usta i wtuliła w niego, pragnąc czegoś jeszcze. Jeszcze.

Lewa dłoń hrabiego przesunęła się w dół po jej ciele, sięgnęła po rąbek koszuli, który podjechał aż nad kolana. Teraz dotykał już ciała, jej rozpalonego ciała. Dłoń przesunęła się znowu do góry i popychając koszulę, zostawiała na skórze Reginy gorący ślad. Oderwał usta tylko na chwilę, żeby ściągnąć jej koszulę przez głowę, i teraz leżała już całkiem naga.

Przez moment wydawało jej się, że powinna się okryć, ale uczucie to szybko się ulotniło, bo Brady znowu ją całował, pieścił, gładził dłonią po piersi i... och! Te jego palce, te palce. Jak one potrafiły dotykać, uskrzydlać, formować.

Wstrzymała oddech, kiedy potarł opuszką kciuka jej sutek, przeszedł ją dreszcz od stóp do głów, inne części ciała pozazdrościły piersiom i nie mogły doczekać się tej pieczyoty.

I znowu wtuliła się w niego, pragnąc czegoś, czego nigdy nie doznała, ale pewna była,

że to coś istnieje, musiało istnieć, bo inaczej nie zostałyby jej nic... nic.

- Czy wiesz, od jak dawna tego chciałem? - usłyszała pytanie Brady'ego, głos jego dochodził jakby z wielkiej odległości. Podniosła oczy i zobaczyła ze zdumieniem, że odsunął się od niej, że stoi obok łóżka i patrzy na nią, pospiesznie zdzierając z siebie ubranie.

- Czy wiesz, jak bardzo ciebie pragnę?

Nie odpowiedziała, nie mogła odpowiedzieć, a on już nic więcej nie mówił, tylko był znowu z nią, znowu ją całował, pobudzał coraz bardziej...

Uznała, że jeżeli pocałuje ją jeszcze raz, to będzie już za dużo... chociaż wciąż za mało... I w tym momencie usta Brady'ego oderwały się od jej warg; zaczął całować ją po szyi, potem zsunął się niżej i poczuła, że zaciska wargi na naprężonym sutku, że jego język przesuwają się po niesłychanie wrażliwej skórze.

Wyczuła narastające w Bradym napięcie. Poznała to po jego ruchach, bo chociaż dotykał jej nadal bez pośpiechu i delikatnie, ale równocześnie oddech robił mu się coraz szybszy, po tym, że przysunął się bliżej i jego twarda męskość dotknęła jej uda.

I chociaż to dziwne, razem z tą świadomością przyszło poczucie mocy. Potrafiła podniecić go, poruszyć, doprowadzić do tego, by pragnął jej równie silnie, jak ona jego. Nie będzie tylko brała. Będzie dawała. Chciała dawać. Ale jak?

- Brady - poprosiła, zginając nogę w kolanie i przytulając się do niego udem. - Powiedz mi. Powiedz mi, co robić. Naucz mnie.

Brady uniósł głowę znad jej piersi, popatrzył na nią i uśmiechnął się w ciemnościach.

- Jesteś niewiarygodna - oznajmił; równocześnie jego dłoń przemieszczała się w dół, coraz niżej, aż wsunęła się między jej nogi.

Oczy Reginy rozszerzyły się na to całkiem nowe doznanie. Nie, nie nowe. Tylko lepsze. Jeszcze... i jeszcze... i jeszcze. Dawanie i branie. Wspólnie. Rękami, ustami i ciałem. Nie myśleć, nie ma potrzeby myśleć, ani uczyć się, ani pytać.

Był tu, razem z nią. Ona była tu, razem z nim. Tak powinno być, tak jest dobrze, nie trzeba żadnych podpowiedzi, żadnej reżyserki, nie trzeba nic recytować. Co ma się stać, to się stanie, bez suflera, bez prób.

A kiedy się zakończy, ona odjedzie, pozwoli mu wrócić do swego świata, do swego życia. Porzuci go, by zrobić to, co zrobić musi. „Romeo i Julia”, tylko że w ostatnim akcie nie umrą, chociaż sztuka nie przestanie być tragedią.

Regina poczuła, że w oczach pieką ją łzy, i poruszyła się na łóżku, starając się wrócić do wcześniejszego nastroju. Odpędzała od siebie wszelkie myśli, powtarzała, że nie mają znaczenia, że nic nie ma znaczenia. Nie ma znaczenia żaden z przyszłych dni, dopóki będzie

miała tę jedną noc.

- Ty płaczesz - szepnął Brady, a Regina popatrzyła na niego, zdumiona, że w jakiś sposób znalazł się nad nią i patrzy jej z góry w twarz. - Czy zadaję ci ból? Za nic nie chciałbym zadać ci bólu, księżniczko, przyrzekam ci. Jeżeli chcesz, żebym przestał, to przestanę.

- Nie! - Uniosła dłoń i przytuliła do jego policzka. - Nie, proszę, Brady. Chcę tego. A ty nie?

- Nawet gdybym miał za to pójść do piekła - zapewnił ją Brady, osunął się między jej nogi i przygarnął do siebie. Całował ją, szeptał do niej, obejmował mocno, kiedy krzyknęła, zaskoczona lekkim bólem.

- Teraz znasz już moje wszystkie plany, księżniczko, chociaż dopiero zaczynasz pojmować, co naprawdę nas łączy. A ja od zawsze wiedziałem, co może nas połączyć, nawet kiedy kłamałem sobie i wmawiałem, że to nieprawda. Nie możesz mnie teraz opuścić - szeptał jej Brady do ucha, kiedy wypełnił ją i zaczął poruszać się w jej wnętrzu, doprowadzając do tego, że nie była w stanie myśleć racjonalnie, że słyszała jego słowa, ale naprawdę ich nie słyszała. - Nie pozwolę ci odejść. Nie mogę...

Niemal w dwie godziny później, kiedy nad miasto nadciągał świt, Brady zaniósł śpiącą Reginę do jej pokoju i ułożył delikatnie w pościeli. Nie byłoby dobrze, gdyby cały dom dowiedział się, że wziął ją do łóżka. Przykrył dziewczynę, potem przyglądał się, jak wzdycha i odwraca się na bok, uśmiechając się przez sen.

Odejść? Czy naprawdę sądziła, że pozwoli jej od siebie odejść?

Nie powiedział ani słowa na temat miłości, ponieważ dzieliło ich tak wiele kłamstw, że nie mógł się spodziewać, by uwierzyła samym słowom.

Zrobił więc to, na co brak słów; wziął ją do łóżka. Powiedział jej wszystko dłońmi, swoim ciałem, tym, jak ją obejmował, napełniał, pokazał jej...

Będzie wiedziała, już niedługo. Będzie wiedziała, że nie ma to dla niego znaczenia, że jest aktorką, że jeżeli przychodzi jej na to ochota, to zmyśla co drugie zdanie, że jej ojciec zrobił coś, za co mógł trafić do więzienia.

Będzie wiedziała, że jego życie zmieniło się od chwili, kiedy po raz pierwszy zajrzał w te cudowne szare oczy, i że nie zgodziłby się zmienić niczego, co nastąpiło po tym pierwszym spojrzeniu, nawet tego, co najgorsze, gdyby miało to oznaczać, że nie pozna Reginy, nie obejmie jej, że nigdy nie się dowie, co to naprawdę znaczy żyć.

Przycisnął dwa palce do ust, potem położył je lekko na jej włosach.

- Kocham cię, księżniczko - wyszeptał, a potem odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Regina budziła się powoli, przeciągnęła się na materacu, wysunęła rękę... i ta ręka nie napotkała nikogo. Oczy jej otworzyły się, zamrugęła zaskoczona, uświadomiwszy sobie, że leży w swoim własnym łóżku, w swoim własnym pokoju, bardzo osamotniona.

- Brady? - zamruczała, siadając i podciągając do góry przykrycia, by okryć swą nagość. Szybkie spojrzenie na zegar na kominku poinformowało ją, że jest dopiero ósma rano. Zobaczyła, że koszula i szlafrok leżą w nogach łóżka, i szybko je na siebie narzuciła, zanim zdążyła pojawić się Maude z poranną czekoladą, a potem znowu wskoczyła do łóżka.

Swojego łóżka.

- W przeciwieństwie do łóżka Brady'ego - wyszeptała - tam właśnie byłaś minionej nocy. - Osunęła się niżej na poduszkach. - O rany. Aleś narozrabiła, Gino. Naprawdę narozrabiłaś.

Z rozmysłem zatopiła się w marzeniach, przypominając sobie, jak Brady ją tulił, jak ją całował.... jak wszystko się w niej rozplątało, serce śpiewało, a cały świat zmienił się raz na zawsze. Gdyby mogła żyć tym momentem, tym wrażeniem, pogodziłaby się całkiem ze światem.

Ale nie mogła. Nikomu nie uda się żyć marzeniem, nie przez dłuższy czas, i po kilku minutach rozkoszna bańka mydlana wspomnień prysnęła, pozostawiając same problemy. Problemy, których rozwiązań nie znała.

Wciąż jeszcze czekało ich wyjaśnienie całemu towarzystwu, dlaczego Brady, przybrawszy postać Gawaina Cardoca, z rozmysłem igrał ze znajomymi i się z nimi droczył, dlatego należało całą sprawę przedstawić w sposób tak rozsądny i wiarygodny, by wielki świat mu przebaczył.

Wciąż jeszcze czekało ją wyznanie Brady'emu prawdy, całej prawdy. Łącznie z przypuszczeniem, które podsunął jej Kosma.

Wciąż jeszcze czekało ją poranne spotkanie twarzą w twarz z Bradym, po tym co wydarzyło się minionej nocy. Będzie musiała udawać, że nie słyszała, co mówił, jak przysięgał, że nigdy nie pozwoli jej odejść.

Zdawała sobie sprawę, że pewnie jest jej wdzięczny? Zmusiła go, by uświadomił sobie część prawdy na swój temat, na temat życia, które teraz pragnął zmienić. Był nawet tak życzliwy, że udawał, iż nie pamięta o jej sekretach, jej kłamstwach, które niemalże

doprowadziły go do śmierci.

Ale nie znaczyło to, że ją kocha. Wdzięczność to nie miłość. Pożądanie to nie miłość.

W tej chwili najważniejszy był fakt, że Regina jest aktorką, osobą całkowicie nieodpowiednią do roli hrabiny. W oczach ludzi z wyższych sfer aktorka niewiele była lepsza od ulicznicy, która potrafi cytować Szekspira. Nie mieli przed sobą żadnej przyszłości, jeżeli Brady chciał nadal obracać się w swoich kręgach towarzyskich. Brady to wiedział. Ona również.

Gdyby nie tylko udawała odwagę, ale rzeczywiście ją miała, zostałaby jego kochanką, jak to się często aktorkom zdarzało, i skrzętnie zbierała rzucane przez Brady'ego okruchy, dopóki nie uporządkowałby na powrót swojego życia, bo wtedy przestałaby mu być potrzebna. Przestałoby mu wydawać się, że jej potrzebuje.

Ale Regina nie miała aż tyle odwagi, aż tyle śmiałości. Nie mogła być jego kochanką, ponieważ go kochała. A gdyby go poślubiła, ukoronowałaby tym dzieło niszczenia jego reputacji. Nie mogła tego zrobić - nawet gdyby ją poprosił, co było niewykluczone.

Nie całkiem wykluczone.

- Dzień dobry, panienko - powiedziała Maude. Przerwała splątany, żalospny tok myśli Reginy, wchodząc do pokoju z małą srebrną tacką, na której stała porcja pachnącej, gorącej czekolady i leżały dwa małe biszkopty. - Pani Forrest prosi, by pani przyłączyła się do niej na dole jak najszybciej.

Kosma? Oczywiście, Kosma! Nie była sama. Miała Kosmę, Thomasa i Davida. No, może nie Davida. On jej niczego nie podpowie, chyba że Regina zapyta go, jaki kolor pasuje jej najlepiej do oczu.

Potrzebny jest jej jakiś plan. Musi znaleźć sposób, by pomóc Brady'emu skończyć z tą intrygą, nie napomykając przy tym ani razu o niezbyt godnych pochwały poczynaniach ojca. Jeżeli Kosma miał rację, będzie potrzebowała jego pomocy w Little Woodcote. A potem będzie potrzebowała wozu i drogi, która na zawsze wyprowadzi ją z życia Brady'ego.

Regina wzięła biszkopt, machnięciem ręki kazała zabrać tackę, odrzuciła przykrycia i wyszła z łóżka.

- Czy kąpiel jest gotowa, Maude? - zapytała, już grzebiąc w szufladach i wyciągając świeżą bieliznę.

- Gotowa - odpowiedziała Maude, odstawiając tacę. - Czy pani wybiera się gdzieś dzisiaj rano z panią Forrest, panienko? Może na Bond Street? Tak bardzo bym chciała zobaczyć Bond Street.

Regina zacisnęła biszkopt w zębach, przestała grzebać w szufladzie, przymknęła na

kilka sekund oczy, a potem odwróciła się, by spojrzeć na przyjaciółkę. Słowo się rzekło, kobyłka u płotu.

Wyjęła ciasteczko z ust.

- Obiecałam, że tam pojedziemy, prawda, Maude? - powiedziała, wiedząc, że jeżeli nie zabierze Maude na Bond Street dzisiaj, to niewielka jest szansa, by mogła to zrobić później. - W porządku. Najpierw kąpiel, potem pani Forrest. A potem, Maude, pokażemy ci Bond Street i diabły grasujące na każdym rogu. Co ty na to?

Nieładna twarz Maude rozjaśniła się w szerokim uśmiechu.

- Ależ kucharka będzie mi zazdrościć! - zawołała, wrywając Reginie z ręki bieliznę i układając ją na łóżku. - Chcę jej kupić trochę koronki do przybrania czepka. I coś wyjątkowego dla pani Gaines. Może wstążeczki, jak panienka sądzi? Och, i moja siostra Berta mówiła mi, że tak bardzo chciałyby...

Regina uśmiechnęła się, nie słuchała już, umysł miała w pełni zajęty rozważaniami, jak będzie żyła, kiedy minie dzisiejszy dzień. Musiała myśleć o tym, o przyszłości, ponieważ myślenie o Bradym mogło ją doprowadzić wyłącznie do płaczu.

Brady przyglądał się, jak Bram siada w bawialni rezydencji Selbournów i czyta list od Sophie, który właśnie z poranną pocztą dotarł z Willoughby Hall.

Przyszedł zobaczyć się z Bramem przed niecałymi dwudziestoma minutami i spędził te dwadzieścia minut jako Gawain, paplając niedorzecznie i przez cały czas usiłując zdobyć się na odwagę, by zadać Bramowi kilka pytań. Kilka bardzo istotnych pytań.

Wciąż jeszcze nie zdecydował się rozpocząć rozmowy, chociaż widział, że Bram dziwnie mu się już przygląda, i właśnie zdążył się rozsiąść na fotelu, kiedy kamerdyner wniósł do bawialni list na srebrnej tacy.

Było rzeczą zdumiewającą patrzeć, jak książę Selbourne zmienia się ze światowego dżentelmena w pełnego niepokoju małżonka i ojca, i ledwie słowem przeprosiwszy gościa, rozłamuje pieczęć na liście i zaczyna czytać.

Brady zabijał czas, rozglądając się po dużym pokoju. Gdziekolwiek spojrzał, wszędzie widział ślady Sophie, od teatralnie poupinanych draperii, do wygodnych kanap i małej maskotki, diabełka z pudełka, na stoliku pod jednym z okien. Zabawka, jak wiedział, należała do ulubionej małpki Sophie, Giuseppe. Sophie wtargnęła w życie jego przyjaciela nieproszona, zdecydowanie niechcianą i na zawsze wywróciła je do góry nogami. To było cudowne.

A Brady zazdrościł przyjacielowi szczęścia bardziej, niż chciał się przyznać. Ponieważ

Bram i Sophie odnieśli sukces. Przetrwali skandal, przezwyciężyli plotki i byli teraz parą najszcześniejszych, najgłębiej i bez reszty zakochanych ludzi, jakich kiedykolwiek znał. Ale co mógł osiągnąć Bram, uda się i Brady'emu. Przynajmniej miał taką nadzieję, że mu się uda.

- Posłuchaj tego, Brady - odezwał się naraz jego przyjaciel, czytając drugą kartkę listu. - „Constance kilka dni temu dosiadła po raz pierwszy kucyka i nasze życie zmieniło się raz na zawsze, mój ukochany mężu. Od tej chwili powtarza tylko jedno jedyne słowo: konik, konik, konik. W końcu Kipp stanął wczoraj na czworakach i zabrał ją na przejażdżkę na własnych plecach, ponieważ padało i nie mogliśmy pójść do stajni. A teraz Constance domaga się przejażdżek po całym parterze co najmniej raz na godzinę. Biedny Kipp. Może już nigdy nie będzie chodził w pozycji pionowej”.

Brady uśmiechnął się, chociaż znowu poczuł ukłucie zazdrości. Trudno uwierzyć, że rok temu pozartowałyby sobie kosztem Kippa i na tym by się skończyło. Teraz to, co kiedyś wydawało mu się niemądre, zmieniło się w coś, czego pożądał całym sercem. Własna żona. Własne dzieci. Żeby Regina mówiła do niego „najukochańszy mężu”.

- Kipp biegający na czworakach i rżący. Chyba chciałbym to zobaczyć - powiedział, kiedy Bram wrócił do listu, szybko go skończył, a potem złożył kartki i wsunął je pod kamizelkę. - Czy chciałbyś się podzielić ze mną czymś jeszcze?

- Czy Sophie nadal cię kocha?

Bram poklepał się po kieszeni.

- Tęskni za mną - przytaknął - i obiecuje, że wróci do miasta w tym tygodniu. To dobrze, Brady, bo chociaż tak świetnie się bawię, patrząc, jak fanfaronujesz w kręgach towarzyskich, to gdyby Sophie nie wróciła niedługo do domu, ja pojechałbym do niej. I nie udało mi się zobaczyć, jak Constance dosiada swego pierwszego kucyka. Jesteś zabawny, Brady, w tych atłasach i koronkach, ale stanowczo wolałbym widok Constance, podskakującej na kucyku.

- Przyjmij jak najszcześniejsze wyrazy skruchy, Bram, ale nadal bardzo potrzebuję twojej pomocy i rady - rzekł Brady, podchodząc do stolika z trunkami i nalewając każdemu z nich po kieliszku wina. Przyniósł kieliszki do dwóch stojących naprzeciw siebie kanapek, podał jeden Bramowi, a potem usiadł vis-a-vis. -Wydaje mi się, stary przyjacielu, że wpadłem z kretesem.

- Wpadłeś? No cóż, od tego się wszystko zaczęło, czyż nie? Kiedy wpadłeś z kretesem do Tamizy?

Brady odrzucił wszelkie manieryzmy Gawaina, pochylił się do przodu i objął kieliszek oboma dłońmi.

- Wiesz, co chciałem zrobić. Co planowałem, do czego dążyłem, przez wszystkie te miesiące.

Bram kiwnął głową.

- Bardzo publicznie zdemaskować ludzi, którzy chcieli cię zabić, a potem patrzeć, jak ich prowadzą na szubienicę.

- Brzmi to tak prosto, nieprawdaż? - zapytał Brady, potrząsając głową. - No dobrze zresztą, może nie tak całkiem prosto. Doprowadziłem do tego, że wszyscy uwierzyli w moją śmierć, żebym mógł ukryć się za tymi absurdalnymi jedwabiami, dopóki nie zyskam pewności, kto mnie próbował zabić. Wciągnąłem w to Reginę, bo miałem przekonanie, że wie, dlaczego mnie zaatakowano, a poza tym dlatego, że... że...

- Dlatego, że zrobiło ci się jej żal, kiedy dowiedziałeś się o śmierci jej rodziców? Dlatego, że uświadomiłeś sobie, ile musiała wykazać odwagi, by w jakiś sposób siebie ocalić? Dlatego, że chciałeś się przed nią popisać ukaraniem ludzi, którzy zabili jej rodziców?

Brady machnął ręką na przyjaciela.

- To ostatnie - przyznał, bo po co miałby kłamać, skoro postanowił być uczciwy wobec siebie samego. - To ostatnie było dla mnie dosyć ważne. Wszystkie wymienione przez ciebie powody były dla mnie ważne, łącznie z tym, którego nie wymieniłeś. Regina była moją największą nadzieją na sukces i nie cofnąłem się przed wykorzystaniem jej, narażeniem jej na niebezpieczeństwo, byle mój plan się powiódł. Ale to wszystko się zmieniło.

Bram pociągnął łyczek wina.

- Zmieniło się? Jak?

Brady wychylił wino, znowu się podniósł, podszedł do stolika, na którym stała maskotka, i wziął ją do ręki.

- Zastanawiam się nad rezygnacją z całej sprawy, Bram - powiedział cicho. - Poniechaniem jej, zanim cokolwiek zrobię z tym cholernym Allertonem i całą resztą. - Nakręcił zabawkę i wzdrygnął się lekko, kiedy pokrywka odskoczyła, a ze środka wyskoczyła kukielka.

- Mówisz to serio? Zrezygnowałbyś? Po całym tym planowaniu, po wszystkim, co ci zrobili? Widziałem cię, pamiętaj o tym. Cwierćżywego. A ty myślisz o tym, żeby sprawę porzucić, przebaczyć im? Poniechać wszystkiego?

- Nigdy bym im nie przebaczył, Bram - zapewnił go Brady z napięciem. - Po prostu nie sędzę, by moja zemsta warta była ceny, którą musiałbym zapłacić.

Odstawił zabawkę i wrócił na kanapę.

- Wiesz, dałoby się to załatwić. Gawaina mogliby z jakiegoś powodu odwołać, a

w kilka miesięcy później mógłbym się znowu pojawić ja z opowieścią, jak to rzekomo napadli mnie złodzieje, ukradli mi portfel i ten pierścień, który znalazłeś przy moim trupie. Dali mi po głowie, połamali mi kości, straciłem pamięć...

- Wydaje mi się, że rozumiem, o co ci chodzi, a Bóg mi świadkiem, że nasi przyjaciel z kręgów towarzyskich z największą przyjemnością przełkną każdą absurdalną opowieść, jeżeli tylko będzie stanowiła dobrą pożywkę dla plotek. Gawain znika, ty się pojawiaasz. Ale nie zapominaj, że zostałby problem Allertona. On nadal mógłby sobie życzyć twojej śmierci.

Brady potarł usta ręką.

- Wiem. Pomyślałem o tym. Nieustannie miałbym się na baczności.

- No więc po co to wszystko? Nie rozumiem.

Brady przechylił na bok głowę i spojrzał na przyjaciela.

- Ponieważ nie mogę zdemaskować Allertona, nie demaskując Reginy, a przynajmniej roli, jaką w tym wszystkim odegrał jej ojciec. Regina usilnie pragnie... usilnie pragnie chronić pamięć ojca. Wszyscy dowiedzieliby się o jego planach i o tym, że jest aktorką. Nie żeby miało to dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, niech to diabli, bo nie ma.

Książę Selbourne oparł brodę na dłoni i popatrzył na Brady'ego.

- Żałuję, że nie ma tu Sophie - mruknął niemal do siebie, a potem ciągnął: - Dlaczego jest to dla ciebie takie ważne, by nikt nie dowiedział się, że Regina to aktorka?

- Aktorka, pokojówka Abby... bez różnicy. Sophie musiała znieść jakoś plotki o swojej matce, ale była dobrze urodzona, jej matka i ojciec obracali się w wyższych sferach. Regina dorastała w wozie, jeździła po kraju, grała na scenie. Rozumiesz, co mówię, prawda?

- Rozumiem. Ale pod jednym warunkiem, że Regina miałaby nadal obracać się w towarzystwie - rozsądnie wyjaśnił Bram. - Została już zaakceptowana jako twoja podopieczna, chociaż zabrakło czasu na zadawanie licznych pytań na ten temat. Nasz mały światek czuł się tak mile podniecony Gawainem Caradokiem, że nie miał czasu na dociekania. A więc Regina ma pozostać w towarzystwie, Brady... razem z tobą? Czy to o to chodzi? Bo jeżeli tak, to Sophie ma u mnie nową rubinową bransoletkę.

Brady wbił sobie palce we włosy.

- Wziąłem ją ubiegłej nocy do łóżka - wyznał w końcu, patrząc Bramowi prosto w oczy.

- Doprawdy? - powiedział Bram po krótkiej chwili.

- Doprawdy - potwierdził Brady. - Źle zrobiłem. Wiem o tym. Była niewinna, a ja ją wykorzystałem.

- Doprawdy?

- Ma mnie zamiar opuścić. Czuję to przez skórę. Wciąż jeszcze coś przede mną ukrywa, wciąż mi kłamie. Miała zamiar uciec, zanim zdążyłbym zdemaskować Allertona i ujawnić, jaką rolę odrywał jej ojciec w całej tej historii. Nie mogłem na to pozwolić. Nie mogłem pozwolić, by ode mnie odeszła. Więc wziąłem ją do łóżka. Skompromitowałem ją. Całkowicie. Pewnie wyrządziłbyś Reginie przysługę, gdybyś kazał mnie wyprowadzić i zastrzelić za to, że jestem takim szubrawym oportunistą, jakim się okazałem.

- Doprawdy? - powtórzył Bram raz jeszcze i tym razem przycisnął palce do ust. Brady nie był pewien, czy jego przyjaciel się uśmiecha, czy tylko usiłuje powstrzymać się od powiedzenia czegoś innego niż „doprawdy”.

- Mógłbyś to przestać powtarzać? Nie bardzo mi pomagasz. Popełniłem straszny, niewybaczalny czyn - parsknął poirytowany.

- Wybacz mi - rzekł Bram, poprawiając sobie mankiety surduta. - Czy już skończyłeś? Czy może chciałbyś mi powiedzieć coś jeszcze? Tak się składa, że pewnie nie zdołam zapamiętać wszystkiego co do słowa, a tego właśnie będzie się po mnie spodziewała Sophie, kiedy już przyjedzie do domu. Sprawdźmy więc, czy wszystko dobrze zrozumiałem. Postanowiłeś zrezygnować z zemsty, poniechać całej sprawy, choć jesteś tak blisko celu, a wszystko dlatego, że Reginie stałaby się krzywda, gdybyś postąpił inaczej. Czy mam rację?

- Jej ojciec usiłował oszukać Allertona fałszywym czarnym tulipanem i przyjął pieniądze, które mu się nie należały - powiedział Brady, potakując. - Jeśli pominiemy tę informację, przestają istnieć przyczyny, dla których Allerton miałby mnie atakować. Musiałbym zdemaskować ojca Reginy, gdybym chciał dopilnować, by Allerton i pozostali zostali ukarani.

- Tak, rozumiem to. Kipp byłby pod wielkim wrażeniem. Pewnie powiedziałby, że prawdziwy z ciebie bohater w stylu Araminthy Zane, śmiały i honorowy, i w ogóle różne takie.

- Jeżeli ośmieli się wykorzystać tę całą komplikację w jednej ze swoich książek, to ja...

- Nie, tego by nie zrobił. Lubi Reginę. Chociaż najwyraźniej mniej niż ty.

- Ja ją kocham, jak dobrze już wiesz - wyznał Brady, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zmienia się głupawego romantycznego wzdychulca, chociaż ta perspektywa niezbyt go przerażała. - Chyba się w niej zakochałem, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy; patrzyła prosto na Kippa i kłamała, aż jej się z uszu kurzyło.

Bram wstał, podszedł do drzwi bawialni i kazał przynieść kapelusz i laseczkę lorda

Singletona. Wziął je i bezceremonialnie podał Brady'emu.

- Jedź do domu - poradził krótko. - Jedź do domu i powiedz Reginie to, co mówiłeś do mnie. To jedyne rozwiązanie, Brady. Jedyne.

Brady wziął kapelusz i laseczkę, ale się nie ruszył.

- Nie mogę. Mam za niecałą godzinę udać się na przejażdżkę z lady Belle.

- No to co? - zapytał Bram, unosząc wyraziście brew do góry. - Prześlij jej liścik, napisz, że jesteś chory.

- Obawiam się, że to się nie uda. Belle już zagięła parol na Gawaina, za co wcale nie jestem wdzięczny Reginie ani mojemu długiemu językowi zresztą też. Po prostu pojawiłaby się na Portman Square, żeby dowiedzieć się o moje zdrowie. Nie chcę, żeby pogadala sobie z Regina, dopóki nie przekonam jej, by za mnie wyszła. Belle za bardzo pali się do zadawania pytań, a Regina za bardzo chętnie zmyśla. Nie mogę podjąć takiego ryzyka. - Osadził sobie kapelusz na głowie ekstrawagancko na bakier i wetknął laseczkę pod pachę. - Lepiej będzie, jeżeli zabiorę Belle na przejażdżkę, a potem udam się do domu i wyjaśnię wszystko Reginie.

- Zamierzam przyjąć, że Regina cię kocha, Brady. A w takim razie może nie spodobać jej się pomysł, że wrócisz do towarzystwa we własnej postaci, kiedy Allerton i jego przyjaciele wciąż będą na wolności. Pomyślałeś o tym, nieprawdaż?

Brady żałośnie się uśmiechnął.

- A jak sądzisz, dlaczego chcę się najpierw pozbyć Belle? Mam przecucie, że przegadamy z Regina większość nocy.

Bram poklepał przyjaciela po ramieniu i Brady skierował się do drzwi. Księżę zawołał za nim:

- Pamiętaj tylko, żebyś się nie uchylał, jeżeli czymś w ciebie rzuci. One tego okropnie nie lubią.

Minęło właśnie południe. Regina przyglądała się, jak Maude wysiada z powozu z naręczem paczek i kieruje się do rezydencji przy Portman Square. Potem odwróciła się, by spojrzeć na Kosmę, który przed wyjazdem na Bond Street pozbył się gorsetu i ubrany był w swój stary, ale porządnie wyszczotkowany, ciemnoniebieski surdut oraz gołąbkowe pantalony.

- Już myślałam, że nigdy się nie zdecyduje, czy żółte wstążki, czy zielone - odezwała się Regina i oparła się o poduszki, kiedy powóz wyjeżdżał z Portman Square. - Ale słowo się rzekło, a ja obiecałam jej tę przejażdżkę.

- Jesteś pewna, że tu nie wrócimy? - zapytał Kosma. - Powiedziałem tylko, że to niewykluczone, pamiętaj. Mogłem się bardzo mylić. A nawet jeżeli miałem rację, to i tak musimy wrócić. Hrabia będzie nam potrzebny, bez dwóch zdań.

Powóz przystanął na rogu. W chwilę później drzwiczki się otworzyły i przyłączyli się do nich Thomas z Davidem.

- Thomas - zwróciła się Regina do cackającego się z fularem przyjaciela - czy sądzisz, że hrabia będzie nam jeszcze potrzebny? Bo mnie się wydaje, że naprawdę byłoby lepiej, gdybyśmy już nie wracali.

- Nie wracali? - David popatrzył na Reginę w panice. -Ależ musimy wrócić. Wszystkie moje nowe ubrania... moje lustro... och! Musimy wrócić!

Kosma wyciągnął rękę i poklepał Davida po kolanie.

- Wrócimy, obiecuję ci. Chyba że zdaniem Giny powinniśmy ukraść ten wspaniały powóz jaśnie pana.

Regina spłoszona pochyliła się do przodu.

- Ale... ale ja sądziłam, że skorzystamy z powozu tylko po to, by dojechać tam, gdzie ustawieś wóz. Taki był plan, prawda?

- To był twój plan, moja droga - sprostował z westchnieniem Thomas. - Jednak los musiałby nam bardzo sprzyjać, żebyśmy z naszym Hektorem i Hekate w zaprzęgu dojechali do Little Woodcote przed nocą. A w ten sposób zajedziemy tam i z powrotem przed kolacją i hrabia o niczym się nie dowie. Uzna pewnie, że wybraliśmy się tylko na długą przejażdżkę, chyba że będziemy mieli mu coś do powiedzenia.

Reginę w oczach zapiekły łzy, ale się opanowała.

- A jeżeli błędnie oceniamy sytuację?

Kosma podniósł oczy znad bułeczki, z której z wielką lubością wydłubywał rodzynki, i oznajmił:

- Nie, nie, on ją dobrze ocenia, moja droga. Możemy obrócić tam i z powrotem przed kolacją. Rooster to gwarantował, a lepiej, żeby się nie mylił, ponieważ dziś wieczorem mają podać pieczeń wieprzową i cudowne ciasto z wiśniami.

- Nie o to mi chodzi - upierała się Regina. - A jeżeli błędnie oceniamy sytuację i nie znajdziemy w Little Woodcote tego, czego szukamy? Niemal do szaleństwa doprowadzała mnie przez ostatnie trzy dni sama myśl, że mógłbyś mieć rację.

- Nigdy nie twierdziłem, że na pewno mam rację - przypomniał jej łagodnie Kosma. - Musimy jednak zyskać pewność, zanim pozwolisz, by hrabia dziś wieczorem powiedział to, co ma do powiedzenia.

- Jeżeli mamy rację, to ani dziś wieczorem, ani nigdy nie będzie mógł powiedzieć jednego słowa. Och, jak on mnie znienawidzi. - Osunęła się głębiej na poduszkach, przymknęła oczy i westchnęła. Jedna jej część chciała odejść, odejść na zawsze, ale inna, duża większa część, nie była w stanie sobie wyobrazić, dokąd mogłaby odejść, żeby wspomnienia o Bradym nie poszły jej śladem.

Jak ona go kochała. Jak bardzo go kochała. Kochała go tak bardzo, że nie chciała, by przyszedł taki ranek, kiedy spojrzalby na nią i uświadomił sobie, że nigdy nie czuł do niej niczego poza wdzięcznością, obojętne zresztą jak to nazwiemy. Wdzięczność, litość, może odrobina podziwu, co byłoby miłe. Ale miłość? O, nie. Nie mógł jej kochać. I bez tego miał wystarczająco wiele problemów w życiu.

- Regino?

Regina otworzyła oczy i popatrzyła na Davida.

- Hmm?

- Czy ty nie ufasz hrabiemu? Przecież mogliśmy mu powiedzieć, rozumiesz. Powiedzieć mu, co sądzi Kosma? W końcu nie jest to nic złego, prawda?

Regina wyprostowała się i popatrzyła na przyjaciela.

- Czy mu ufam? Oczywiście, że mu ufam.

- A więc wyznałaś mu całą prawdę? - zapytał Thomas. - Opowiedziałas o wszystkim, co się stało, i jak się stało, dokładnie tak, jak wcześniej nam? Zastanawiałem się nad tym, ponieważ hrabia to bardzo inteligentny człowiek. Moim zdaniem jemu również przyszłoby do głowy to, o czym ja pomyślałem, usłyszawszy twoją opowieść. Przyznaję, że minęło kilka dni, zanim na to wpadłem, ale wniosek jest logiczny. Dlaczego twoim zdaniem on do tego samego wniosku nie doszedł?

- Bo mu nie powiedziałam wszystkiego - przyznała Regina cichutko, a potem buntowniczo zadarła brodę do góry. - I przestańcie tak na mnie wszyscy patrzeć. Na początku nie powiedziałam mu prawie nic. Nie znałam go wystarczająco dobrze, a tak bardzo chciałam, żeby mi uwierzył, żeby mi pomógł i zatrzymał mnie przy sobie, bym mogła z nim współpracować. No i przecież nie mogłam przyznać się, że... że poszłam w krzaki, by sobie ulżyć, kiedy to wszystko się działo, prawda? Moja wersja brzmiała dużo lepiej. Bardzo dramatycznie, z papą nakazującym mi uciekać, uciekać co sił! Poza tym co to za różnica? Oni nie wrócili, prawda? A wróciliby na pewno.

Thomas popatrzył na Kosmę.

- „Gdy pierwszy raz oszukać pragniesz, jakże splątana pleciesz się...”¹.

¹ Sir Walter Scott.

- Ja nie próbowałam go oszukiwać, Thomasie! - zaprotestowała Regina. - Powiedziałam mu prawdę.

- Półprawdę - sprostował Kosma, wsuwając następnego rodzyńka do ust.

- Prawie całą prawdę - poprawił Thomas, kiwając głową.

- Nie chcielibyśmy, by musiała wstydzić się, że była w lesie i robiła.... no, sami wiecie - dodał Kosma.

- Ale o ileż byłoby mu łatwiej, gdyby wiedział. Pewnie nie musiałby stroić jak jakiś dudek i fanfaronować....

- Chociaż dobrze mu to wychodzi. Jestem wspaniałym nauczycielem.

- Pewnie sam wpadłby na to, czego się domyślamy, wrócił do Little Woodcote, ukradkiem sprawdził, co da się tam zobaczyć, tak jak my...

- I wcale nie musiałby paradować po Londynie w jedwabiach. Wcale nie musiałby kazać Reginie odrywać roli panny z towarzystwa ani zatrzymywać jej w swoim towarzystwie przez wszystkie te długie miesiące. No, ale ona nie wiedziała, rozumiecie, przecież z pewnością nie wiedziała...

- Nie mogła wiedzieć. Zbyt wielki żal ją przepełniał, za bardzo starała się przetrwać na własną rękę. Mimo wszystko wylądowała jednak mięciutko, prawda? I jestem dosyć pewien, że nikt jej nie wyganiał. Czy nie dziwi was to, że w takim pośpiechu stara się z stamtąd uciec?

- Wstydzi się - orzekł Thomas, kiwając głową. - To nigdy nie jest zabawne, jak człowieka przyłapią na kłamstwie, prawda? Przecież gdyby od samego początku mówiła prawdę, zanim jego lordowska mość wybrał się powęszyć po Little Woodcote, wszystko ułożyłoby się inaczej, niezależnie od tego, czy mamy rację, czy nie.

Regina przygryzła wargę i zaczęła dygotać.

- Dobrze już, dobrze! Powinam była powiedzieć lordowi Willoughby prawdę, kiedy mnie pytał. Powinam mu była powiedzieć wszystko, przynajmniej wtedy, kiedy już okazał mi tyle życzliwości. Ale nie ja kazałam lordowi Singletonowi wtykać nos w nie swoje sprawy, prawda? Sam to wymyślił. To jego wina, że niemal dał się zabić.

Kosma i Thomas droczyli się z Reginą na wesoło. Teraz Kosma spoważniał.

- To cię przeraża, prawda, moja droga? Że jego lordowska mość mógł zginąć. I cały czas przypisujesz winę sobie. Czy naprawdę sądzisz, że on cię uważa za winną?

Regina potrząsnęła głową.

- On... on mówi, że cieszy się, że tak się stało, że się dużo nauczył, że całe jego życie zmieniło się na lepsze. Ale ja widziałam go, kiedy był taki z maltretowany i pobity,

Kosmo, i widziałam go ostatniej nocy, kiedy dusił Thorndyke'a łańcuchami... - Przymknęła oczy i oparła głowę na ramieniu Kosmy. - Och, Kosmo, masz rację. Gdybym tylko od samego początku mówiła prawdę, może wszystko ułożyłoby się inaczej.

- Tak, ale wtedy nie dotrzymywałabyś towarzystwa jego lordowskiej mości, prawda, słoneczko? Hrabia prowadziłby nadal takie życie jak wcześniej, bo nie poznałby niczego innego. Ty żyłabyś jak dawniej... i nigdy byś go nie poznała, nigdy ponownie nie spotkałabyś się z nami, nigdy nie zastanawiałabyś się nad tym, nad czym się teraz zastanawiamy. Ten nasz dziwny i cudowny świat ciągle zatacza koła, prawda, Gino? A teraz powtórz, że nie chcesz dziś wieczorem wracać na Portman Square. Powiedz mi, że nie kochasz jego lordowskiej mości całym swoim czułym serduszkim. Powiedz mi to tak, żebym mógł w to uwierzyć.

Regina wyprostowała się i otarła oczy.

- Nigdy, Kosmo. Nie powiem tego. Nigdy w życiu już więcej nie skłamię.

David ze zmarszczonym czołem przenosił wzrok z jednego z nich na drugie.

- A więc będę mógł odzyskać moje lusterko? - zapytał, kiedy powóz skręcał ostro na wyboistą drogę gruntową i zatrzymywał się.

- Blżej już was dwóch nie powinienem podwozić - oznajmił Rooster, otwierając kwadratową klapę, wyciętą w dachu powozu, i wtykając rudą głowę do środka. - Ale zajechaliśmy w niecałą godzinę. Mówiłem wam, że mi się uda.

- Czy on nie jest cudowny? - zapytał Kosma, kiedy Rooster cofnął głowę i zamknął klapę. - Zaczny człowiek z tego Roostera, ale nie przepada za Gawainem i nadal wierny jest świętej pamięci hrabiemu. Gdyby tak wiedział! Och, wspominałem już chyba, że jesteśmy mu winni dziesięć funtów. Dysponujesz chyba dziesięcioma funtami, Gino, prawda?

- Dysponuję, ale to niemal połowa mojego stanu posiadania. Czy nie mogłeś dostać go za mniej? Och, wszystko jedno, plotę coś bez sensu. - Wyjrzała za okno i zobaczyła drzewa, którymi wysadzana była wąska droga. - Czy naprawdę dojechaliśmy? Och, Kosmo, a jeżeli popełniliśmy błąd?

- Jeżeli popełniliśmy błąd, nie dowiemy się o tym, siedząc w powozie, prawda? Pamiętaj, co masz robić?

Regina przewróciła oczami.

- A czy ty pamiętasz, żebym kiedyś zapomniała tekstu? -zapytała, wyciągając z torebki lusterko i sprawdzając, jak wygląda. - Davidzie, czy jesteś gotów?

- Jestem równie gotów jak ty, o, siostrzo moja - powiedział David, poprawiając sobie fular. - Spotykamy się tu za dwadzieścia minut, czy tak?

- Za dwadzieścia minut - zgodził się Thomas, wysiadając. -Dołóżcie tylko wszelkich starań, żeby skupić całą uwagę na sobie, i módlcie się, byśmy znaleźli to, co mamy nadzieję znaleźć.

- Lord Singleton z wizytą do lady Bellinagary - oświadczył Gawain, wkraczając do wykładanego czarnymi i białymi kafelkami holu. Oddał rękawiczki, kapelusz i laseczkę kamerdynerowi, który wybiegł gdzieś z wnętrza domu, żeby poprowadzić go do bawialni. - Och, proszę, tylko tego nie mówcie. Jaśnie panią gdzieś zatrzymano. Będę tu siedział i czekał bez końca, pewnie przez godzinę, jak znam damy. No, przynajmniej nie zniszczę obcasów, a śliczne mam obcasy, nieprawdaż? Uwielbiam czerwony kolor. Ale to chyba nie najlepiej, jak sądzicie? Żeby moje konie stały tam całkiem same? Poślijciej proszę, kogoś, by dotrzymał im towarzystwa.

- Jaśnie panie, stajenny stoi przy ich głowach - powiedział mu kamerdyner.

- Tak, ale czy on umie śpiewać? - zapytał Brady, unosząc jedną brew w górę, żeby wetknąć sobie monokl w oko.

- Jaśnie panie, nie mam pojęcia, czy ten chłopak śpiewa.

- Naprawdę? A wy umiecie śpiewać?

Kamerdyner, który należał osobników do raczej sztywnych - podobnie jak większość kamerdynerów, nie wyłączając osobistego Wadswortha Brady'ego - wyprostował się na całą swoją wysokość i odrzekł:

- Nie rozumiem, jakie mogłoby to mieć znaczenie, jaśnie panie, ale tak, umiem śpiewać.

- Och, to dobrze, dobrze. Wspaniale! Założyłbym się, że dysponujecie całkiem oszałamiającym barytonem. A czy znacie tę śliczną piosneczkę „Gdybym to ja miała skrzydełka jak gąska”?

- Znam, jaśnie panie, ale...

- Wspaniale! Po dwakroć wspaniale! A teraz idźcie już, prędzej. Natychmiast się tam udajcie - popędzał kamerdynera Brady, machając oboma rękami. - Idźcie zaśpiewać „Gdybym to ja miała” moim koniom. Przysięgam, że to ich ulubiona melodia. I nie przerywajcie śpiewu, dopóki lady Bellinagara nie potupta ze mną po tych schodach na dół, do mojej kariolki.

Oczy kamerdynera zwięziły się do szparek.

- Lady Bellinagara zejdzie na dół za dwie minuty, jaśnie panie - powiedział chłodno.

- Tak, raczej tego się po niej spodziewałem. Jeżeli tak się sprawy mają, to

wytknijcie chociaż głowę przez drzwi i polećcie stajennemu, żeby coś zanucił. To powinno wystarczyć.

- Dobrze, jasnie panie - rzekł kamerdyner, ukłonił się, odwrócił na pięcie i wyszedł z pokoju.

- Bycie cymbałem ma swoje dobre strony - skomentował pod nosem Brady, podchodząc do stolika z trunkami; wyjął kryształowy korek z karafki i powąchawszy zawartość, zmarszczył brwi. - Kiepska jakość, zdecydowanie kiepska. Allerton musi się liczyć z groszem - i doszedłszy do takiego wniosku, nalał sobie szklanekę wody. W Londynie coś takiego bardziej zaszkodziłoby mu na wątpia niż najgorszy nawet rodzaj Wina.

Allertona nie było w domu, ponieważ Thorndyke - najwyraźniej mocno cierpiący po nocnym przepiciu, i nie tylko - przysłał mu liścik, w którym wzywał przyjaciela do swojego miejsca zamieszkania. Brady wiedział o tym od Davida, który przez długi czas tkwił pod domem Thorndyke'a, a potem przekazał tę wiadomość, kiedy hrabia na krótko przed południem wychodził właśnie od Brama. David wrócił na swój posterunek i stał tam teraz razem z Thomasem, żeby zobaczyć, kto się jeszcze pojawi.

Tak więc Allerton siedział u Thorndyke'a i wkrótce, jeżeli wszystko ułoży się tak, jak planowali, zostanie tam wezwany trzeci pan. A wtedy Brady pozna nazwiska wszystkich trzech... chociaż niewiele mu z tego przyjdzie.

- Singleton! A pan co tutaj robi?

Brady powoli się odwrócił. Najpierw poruszył głową, kierując ją nad lewe ramię, potem za głową obrócił tułów. Tak zwykł był postępować jego nauczyciel: najpierw przeszywał go spojrzeniem, a dopiero za spojrzeniem szła cała reszta. Brady na własnej skórze odczuł, jak bardzo potrafi dopieć takie zastraszające spojrzenie człowiekowi, który jest jego celem. Będzie o tym musiał powiedzieć Reginie - może zdoła to wykorzystać na scenie. Nie, nie na scenie, ponieważ już nigdy nie będzie występować na deskach. Wykorzystywałyby je w stosunku do niego, a w takim razie lepiej może jej o tym nie wspominać.

- Aaa - wycedził, mrugając powiekami i uśmiechając się. - Czy mnie oczy nie mylą: pan wicehrabia. Jakże miło pana znowu zobaczyć.

Boothe Kenward, wicehrabia Allerton, wydawał się nie podzielać radości Brady'ego.

- Co pan tu robi? - zapytał nieuprzejmie.

- W tej akurat chwili? Ależ narażam własne życie, popijając wodę. Jedyłą czynnością bardziej niebezpieczną, jak mi się zdaje, byłoby popijanie jej prosto z Tamizy. - Przyłożył dłoń do ust i zachichotał. Regina mogłaby być bardzo dumna z tego, jak

zachichotał. - Ojej, ależ jestem niegrzeczny, czyż nie? Mój drogi zmarły kuzynek obficie popijał wodę z Tamizy, prawda? Bez umiaru. Bardzo się czuje zawstydzony, proszę zapomnieć, że powiedziałem choć słówko.

Wicehrabia przepchnął się obok Brady'ego i skierował do stolika z trunkami.

- Nigdy za bardzo nie lubiłem pana kuzyna, ale zaczynam być zdania, że nie ten się utopił, co trzeba - mruknął, nalewając sobie niemal pełen kielich portwajnu. - Niech pan nie sądzi, że uda się panu cokolwiek osiągnąć z moją siostrą, sir. Nie przyjęła pana kuzyna i pana również nie przyjmie.

Brady przycisnął szeroko rozłożone palce do piersi.

- Na Boga, człowieku, pan chyba nie mówi o małżeństwie? Z pana siostrą? Czy nie sądzi pan, że trochę za bardzo już się posunęła w latach? Wyobrażam sobie, że lada chwila przywdzieje czepeczek, zasiądzie w gronie matron i będzie robiła na drutach, hodowała koty... coś w tym rodzaju.

Wicehrabia odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął głośnym śmiechem.

- Doczekać się już nie mogę, by powtórzyć jej to, co pan powiedział! - Podszedł o krok bliżej do Brady'ego i stało się oczywiste, że kielich portwajnu nie był pierwszym mocnym napitkiem tego dnia, bo wicehrabia oczki miał trochę maślane, a trzymał się nienaturalnie sztywno, jakby musiał koncentrować się, by nie stracić pozycji pionowej. - Powiem coś panu - rzekł, obejmując Brady'ego za ramiona. - Ona jeszcze kotów nie hoduje, ale pazurki już wysunęła, by pana złapać. Sądzę, że ma ochotę na pieniądze pańskiego kuzyna, a w pewnym sensie należą się jej one, bo to pana kuzyn zaprzepaścił szanse Belle na złapanie księcia. Słyszał pan o tym? Niech pan pozwoli, że mu opowiem.

- Słyszałem już tę historyjkę, prawdę mówiąc, ale mimo to bardzo jestem panu wdzięczny - stwierdził Brady, potem ugiął lekko nogi w kolanach i zręcznie wysunął się spod ramienia wicehrabiego, który zataczał się przez chwilę, a potem zamrugnął oczami, potrząsnął głową i rozsądnie skierował się do najbliższego fotela.

- A więc słyszał pan o tym? - Wicehrabia pociągnął jeszcze łyżeczek wina. - No to co pan tutaj robi?

Najwyraźniej nie podchmielił sobie aż tak bardzo.

- Co ja tutaj robię? Ależ oczywiście miałem nadzieję spotkać się z panem. Chcę pana przeprosić za tamten wieczór. Nie mówiłem tego serio, kiedy nazywałem pana robalem.

- Nie mówił pan serio? No to wszystko w porządku - oświadczył wicehrabia łaskawie. Powiedział tak najprawdopodobniej dlatego, że będąc straszliwym tchórzem, pamiętał, choć był pijany, że za nic nie powinien doprowadzać hrabiego do gniewu. - W

takim razie jesteśmy kwita, prawda? Pan przeprosił za to, że nazwał mnie robalem, a ja przestrzegłem pana przed Belle. Możemy się zaprzyjaźnić, czyż nie? - Zerwał się dosyć chwiejnie z fotela. - Powiem panu coś, przyjacielu. Zostawmy Belle jej kotom, a pan może pójść ze mną. Za niecałą godzinę zaczyna się walka kogutów. Postawiłem na Cocksure'a. Bez wątpienia położy faworyta, jeżeli rozumie pan, co mówię, ale nikt o tym nie wie oprócz mnie, więc notowania są wspaniałe. Potrzebuję tylko okrągłych pięćdziesięciu funtów i będę mógł sobie nabić kieszenie. Pięćdziesiąt funtów, Singleton. I jeszcze dzisiaj je panu zwrócę.

Brady ukrył niesmak, jaki wzbudzał w nim wicehrabia, który gotów był znieść każdą obelgę - czy to względem siebie, czy względem siostry - w nadziei, że uda mu się pożyczyć kilka funtów od człowieka, który najpierw obraził ich jako Brady, a potem jako Gawain.

- Jedno kieszonkowe się skończyło, a drugie jeszcze nie wpłynęło, co? - zapytał, sięgając do kieszonki w kamizelce i wyciągając opasy mieszek.

- I to, i ogólne niedobory. Na jedno wychodzi - potwierdził wicehrabia, nie spuszczać z oczu mieszka. - Ale już niedługo. Jeszcze kilka dni, a Krezus będzie przy nas wyglądał na nędzarza, tak przynajmniej twierdzi mój ojciec. - Oderwał wzrok od mieszka, by popatrzeć na Brady'ego. - Zamierza się pan bawić w mojego bankiera, czy jak?

Gawain podniósł mieszek w górę. Ze wszystkich sił starał się powstrzymać, by nie chwycić wicehrabiego za kłapy i nie trząść nim, aż wytrzeźwieje i da z siebie wydusić odpowiedzi na pytania, które zapłonęły w umyśle Brady'ego.

- Bogaty jak Krezus, powiada pan? Patrzcie państwo. Jak to?

Wicehrabia gapił się na kołyszący się na wiązadłach mieszek, który Brady trzymał luźno w palcach.

- Nie wiem. Nie wiem. Kto by tego słuchał? Wiem tylko, że całe stado cudzoziemców plątało się po domu, szwargocząc w tych swoich obcych językach. Ma to coś wspólnego z bukiecikami - tu zamachał przed sobą ręką - bukieciki i kolory, i... dziękuję panu! Dziękuję panu! Niech pan zaczeka nie pójdzie pan ze mną?

Brady chwycił kapelusz, rękawiczki i laseczkę i już kierował się do drzwi, kiedy wicehrabia zawołał za nim:

- A co z Belle? Nie zabierze jej pan ze sobą? - Odwrócił się, waząc w dłoni mieszek Brady'ego. - Och, to cudowne, cudowne. Pójdę jej powiedzieć. Pora już, żebym się trochę zabawił...

Kosma i Thomas wdrapali się na dach powozu, a stamtąd na wysoki kamienny mur, który otaczał na całym obwodzie wiejską posiadłość Allertona. Regina dała im około dziesięciu minut na przejście przez zarośla i zajęcie pozycji (plus dodatkowe pięć minut, jakie musiał poświęcić Thomas, żeby namówić Kosmę do zeskoczenia z muru), po czym kiwnęła głową Davidowi, który postukał laseczką w dach powozu.

Rooster zdążył już zawrócić, podjechawszy kawałek dalej po wąskiej gruntowej drodze. Teraz wjechał z powrotem na bardziej uczęszczany gościniec, a potem niemal natychmiast przystanął przy małej stróżówce na skraju posiadłości.

- A co zrobimy, jeżeli nas nie wpuszczą? - zapytał David i wyjrzał nerwowo przez okno, bo do powozu podszedł krzepki człowiek o niemiłym wyrazie twarzy i podniósł oczy na Roostera.

- Nie bądź niemądry, oczywiście, że nas wpuszczą - zapewniła go Regina, a potem siedziała i gryzła palce, dopóki nie usłyszała, że ciężka żelazna brama otwiera się z jęklwym zgrzytem, a powóz znowu turkocze. - Widzisz, a nie mówiłam - powiedziała wtedy z wielką ulgą. - Istnieje taka niepisana zasada, że z domu arystokratów nigdy nie odprawia się przyjeżdżających w gościnę hrabiów i temu podobnych.

- Wcale tego nie wiedziałaś. Nie mogłaś tego wiedzieć na pewno - zwrócił jej uwagę David, ocierając spocone czoło chusteczką. Biedny David. Chociaż tak kochał grać, zawsze bardzo denerwował się przed każdym występem.

- W porządku, nie mogłam wiedzieć tego na pewno, ale Thomas tak twierdził, a Thomas wie niemal wszystko o wszystkim.

- Mam nadzieję, że będzie też wiedział, jak nas uratować, jeżeli nam się nie uda - mruknął David i westchnął. - Wciąż jeszcze nie rozumiem, po co to wszystko.

Regina przewróciła oczami. David naprawdę przypominał romantycznego bohatera - dopóki ktoś pamiętał, by mu wetknąć drewniany miecz w dłoń i podsunąć odpowiednie słowa.

- Tłumaczyłam ci to już dwa razy, Davidzie. Mamy odwrócić ich uwagę. Allerton jest w Londynie, więc pewnie w domu zostało tylko kilkoro służby, jeśli nie liczyć ludzi, którzy pracują na polach, a oni tak czy owak znajdują się po drugiej stronie tego muru. Musimy skupić na sobie uwagę służących, żeby Thomas i Kosma mogli się swobodnie poruszać po zabudowaniach gospodarczych, żeby mogli zaglądać do okien i tak dalej. Posłuchaj, zostaniemy tam przez niecałą godzinę, więc postaraj się okazać trochę odwagi, proszę.

Głowa Davida uniosła się w górę, a jego gładkie policzki okryły się palącym

rumieńcem rozdrażnienia.

- Ja jestem odważny! - zaprotestował. - Ale byłoby lepiej, gdybym to ja poszedł razem z Thomasem. Kiedy Kosma razem z tą swoją tuszą będzie przedzierał się przez krzaki, narobi pewnie tyle hałasu, że umarłego by obudził.

- To prawda, ale tylko ty masz takie śliczne ubrania. Poza tym jesteś taki przystojny, że wszystkie pokojówki będą się tłoczyły wokół ciebie i omdlewać, byle tylko na ciebie spojrzeć, a wszyscy mężczyźni będą gapić się na kobiety, które się będą gapiły na ciebie. To naprawdę proste, jeżeli się nad tym zastanowisz. Pewnie możesz uznać za karę boską to, że jesteś taki ładny, ale takie są fakty.

Jej słowa wywołały pożądany efekt, ponieważ David wyprostował się na siedzeniu, przysładził włosy, by mieć pewność, że układają się idealnie, a potem odsłonił zęby i przesunął po nich palcem, jakby polerował ich powierzchnię. Regina odwróciła głowę i przewróciła oczami.

Powóz podskakiwał po drodze, która od dłuższego już czasu nie widziała świeżej warstwy żwiru, i w końcu zatrzymał się na długim, pochyłym podejździe pod drzwi frontowe raczej skromnej wiejskiej rezydencji.

Regina wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak drzwi otwierają się i jakaś starsza, ubrana na czarno kobieta, wycierając ręce w wielki biały fartuch, schodzi po granitowych schodach.

- Widzisz? Na miejscu nie ma nawet kamerdynera. To będzie proste. Do roboty, Davidzie. Nie przestawaj się tylko uśmiechać, dobrze?

Rooster już zeskakiwał z kozła, wymachiwał rękami i zalewał potokiem słów kobietę oraz dwóch lokajów, którzy wychynęli za nią z domu. Nie przestając gadać, otwierał drzwiczki powozu i wyciągał schodki, a potem cofnął się, kiedy David, w całej swojej chwale, zeskoczył na ziemię.

Blask słońca oświetlał jego wspaniałą głowę, pieścił gładką skórę i połyskiwał na prostych białych zębach. Kobieta, która z pewnym powątpiewaniem patrzyła na Roostera, otworzyła usta i zagapiła się na Davida, a on uśmiechnął się do niej i powitał ją, skłoniwszy głowę.

- Zaczyna pani - odezwał się, wyciągając rękę i podchodząc do gospodyni, która najpierw przykucnęła w ukłonie, a potem sama również podała mu rękę, następnie szybko ją odebrała i dokończyła ukłon. Nie minie chwila, pomyślała, krzywiąc usta, Regina, a David rozsiądzie się w bawialni i będzie się opychał ciasteczkami, a gospodyni zaproponuje, że zabije dla niego tucznego cielca.

- Nie potrafię - ciągnął David - po prostu nie potrafię powiedzieć pani, jak

bardzo to fortunate dla mojej siostry i dla mnie, że rozpoznałem herb na bramach jego lordowskiej mości. Całymi godzinami jeździliśmy w kółko, moja droga pani, kompletnie się zgubiwszy. Moja siostra przysięga, że ten powóz duszę z niej wytrzęsie, jeżeli nie będzie mogła przez kilka chwil posiedzieć, wypić kilku łyków herbaty i dojść do siebie.

- Pana siostra, sir? - zapytała gospodyni, spoglądając za jego plecy na powóz.

- To znak dla ciebie, Gino - szepnęła Regina. Lekko się wstrząsnęła, a potem wyciągnęła chusteczkę i przyłożyła ją do ust, kiedy David podszedł, by pomóc jej zejść po niskich stopniach na ziemię.

- Och, Davidzie, jak dobrze, że już nie jedziemy - szepnęła, przyciskając chusteczkę i ciężko wspierając się na jego ramieniu. - Przysięgam, że z radością popełniłabym morderstwo za filiżankę herbaty.

Zerknęła spod oka i zobaczyła, jak gospodyni podejmuje decyzję.

- Ty - rzuciła do jednego z dosyć niechlujnych chłopaków, którzy wyszli ze stajni, by popatrzeć, co to za zamieszanie - odprowadź powóz przed drzwi. Zajmij się końmi.

Potem odwróciła się do Roostera, który stał, milcząc, z kapeluszem w rękę, i uświadomiła sobie, że chociaż młody dżentelmen jest taki ładny, to stangret - wspaniały, mocny okaz mężczyzny - dużo łatwiej mieści się w zasięgu jej marzeń.

- A pan, sir, może potem przejść do kuchni. Znajdą się dla pana ciastka i piwo, jestem tego pewna.

- Tak, pani - powiedział Rooster, ponownie wdrapując się na kozioł, i pojechał za chłopakami, którzy biegli przed nim w kierunku stajen.

- Czy zechcielibyście państwo wejść teraz do środka? - zapytała gospodyni, gestem zapraszając Reginę i Davida, by ją poprzedzali. - Młoda dama może udać się prosto na górę, żeby się odświeżyć, a pan, sir, może przyłączyć się do reszty towarzystwa w bawialni.

Regina zatrzymała się jak wryta ze stopą na pierwszym stopniu.

- Reszty towarzystwa? - szepnęła do Davida. - Jakiego towarzystwa? Boże, Davidzie, jakiej reszty?

David, z chwilą kiedy znalazł się na scenie i stanął, tak jak w tej chwili, przed widownią, zareagował wspaniale na tę nieprzewidzianą komplikację.

- Reszty? Dobry Boże, czyżbyśmy się mieli narzucać? Absolutnie nie chcielibyśmy się narzucać, pani...?

- Pani Cooper, sir - odpowiedziała mu gospodyni.

- Ach, tak, pani Cooper. Proszę wybaczyć mojej siostrze, ale uważa ona, że nie najlepiej się w tej chwili prezentuje i zdecydowanie wolałaby oddalić się raczej do najbliższej

gospody niż bezceremonialnie wtargnąć do bawialni waszego pana. Czy wasz pan przebywa obecnie w domu?

Pani Cooper przytaknęła.

- Hrabia Allerton, tak, oraz jego goście. Ale mogę zabrać pana siostrę prosto na górę, by nie musiała się trapić tym, że nie najlepiej wygląda.

- Wydostań... nas... stąd - szepnęła Regina, wbijając Davidowi palce w przedramię.

Ale David już się rozpędził i niech dobry Bóg ma ich wszystkich w opiece.

- Wspaniale - rzekł, niemal siłą wciągając Reginę na następny stopień. - Moja siostra pójdzie z panią, a ja przywitam się z panami, napiję się z nimi czegoś czy coś w tym rodzaju. Proszę tylko pozwolić, że zamienię z siostrą kilka słów, i już idziemy.

- Czy ty zwariowałaś? - zapytała Regina, kiedy pani Cooper wzruszyła ramionami i z powrotem weszła do domu. - Tu jest Allerton.

- Tak, ale ty idziesz prosto na górę, a mnie on nigdy nie widział. Och - dodał, znowu ją ciągnąc na schody - masz teraz na imię Rose, prawda? Ja jestem David Manners, a ty jesteś moją siostrą, Rose Manners. Zobaczysz, Gino. Wszystko będzie wspaniale. Po prostu wspaniale.

- Wręcz przeciwnie, jeżeli będziesz zwracał się do mnie: Gino przypomniała mu Regina zwięźle. A ponieważ dwaj przyglądający im się lokaje zaczęli okazywać nadmierne już zainteresowanie, a Rooster i powóz zniknęli za rogiem, głęboko wciągnęła powietrze i wstąpiła na schody. - Dziesięć minut, Davidzie, a potem odjeżdżamy, rozumiesz?

- Tak, tak - przytaknął David, z roztargnieniem rozglądając się po holu, jakby właśnie wyszedł na scenę w Covent Garden. - Łyczek czegoś mocniejszego z panami. Wiesz, Rose, czasami wydaje mi się, że urodziłem się do tego.

- A ja się martwiłam, że będzie taki zdenerwowany, że słowem się nie odezwie - mamrotała pod nosem Regina w kilka chwil później, kiedy za panią Cooper zamknęły się już drzwi i mogła rozejrzeć się po pokoju.

Podeszła do toaletki z białą falbaną, podniosła małą niebieską buteleczkę i powąchała jej zawartość. Przyszło jej na myśl, że musi znajdować się w pokoju lady Bellinagary. Jakie to dziwne, że gospodyni wprowadziła ją właśnie tutaj, chyba że reszta domu stała pod holenderskimi pokrowcami.

Holenderskie pokrowce. Holandia. Tulipany. Jak mogła zapomnieć?

Przebiegała od okna do okna, wyglądając na zewnątrz, szukając jakiegoś śladu po Thomasie i Kosmie, widoku na budynek, który mógłby zostać wykorzystany jako... tam stało

coś takiego! Podłużny, niemal na całej długości przeszklony budynek za stajniami. Wyglądał na stosunkowo nowy, niewykończony. Dopiero ten widok pozwolił Reginie uwierzyć, że istnieje choć cień nadziei, a stało się tak po raz pierwszy od chwil grozy, jakie przeżyła minionej wiosny.

Kiedy przypatrywała się budynkowi, ze szpaleru drzew wyłonił się Thomas. Nisko pochylony dobiegł do budynku, rozpląszczył się na jego ścianie i osunął w kucki, plecami do szkła.

- Podnieś że się, człowieku, wstań - poganiała go Regina cicho, a potem wstrzymała oddech, bo wstał, odwrócił się, przyłożył dłonie po obu stronach do oczu i przycisnął nos do szyby. - Tak? Tak? Co tam widzisz? Och, Thomasie, co widzisz?

Brady spacerował po salonie Selbourne'a, uderzając pięścią o dłoń i przeklinając po nosem.

- Brady? - powiedział ma powitanie księżę, powoli wchodząc do pokoju i przeżuwając kęs jabłka, które trzymał w ręce. - Powiedziano mi, że wtargnąłeś do mojego domu i zażądałeś spotkania ze mną. Drugi raz w ciągu jednego dnia, czuję się pochlebiony. Ale czy nie powinieneś być jeszcze na przejażdżce z...

- Nie ma jej - przerwał Brady przyjacielowi. - Diabli nadali, Bram, nie ma jej! Bram zmarszczył brwi.

- Lady Belle?

- Nie, Reginy. Nie ma jej. - Brady wbił sobie palce we włosy, odwrócił się plecami do Brama i znowu zaczął spacerować tam i z powrotem po pokoju; nie powolnymi, miarowymi krokami człowieka, pogrążonego w rozmyślaniach, tylko nerwowymi, pełnymi napięcia ruchami zamkniętego w klatce lwa.

- Nie ma jej? A gdzie jest?

- O to właśnie chodzi: nie wiem- rzekł Brady, rzucając się na fotel. - Zniknęli wszyscy, więc nie ma kogo zapytać. Nie ma Reginy ani Thomasa, ani Kosmy, ani tego cymbała. Nie dość tego, cymbał zostawił jeszcze dla mnie liścik. Mieli z Thomasem pilnować Thorndyke'a, cholerny świat.

- Rozumiem, że w liściku nie znalazłeś informacji, dokąd udała się Regina - powiedział Bram, odkładając jabłko i nalewając im po kieliszku wina. - Masz, wypij to. Fatalnie wyglądasz.

- Czuję się też fatalnie - mruknął Brady, wychylając wino jednym haustem. - Nie mogę w to uwierzyć, Bram. Nie mogę w to uwierzyć, że mogła tak po prostu wyjechać. O

Boże, zupełnie źle to rozegrałem... wszystko... od początku do końca.

Bram usiadł i popatrzył na przyjaciela.

- Czy jesteś pewien, że wyjechała? Zabrała ze sobą ubrania?

Brady potrząsnął głową.

- Nie, ale to nic nie znaczy. Regina nie zabrałaby ubrań. Przecież to ja je kupiłem, pamiętasz?

- No dobrze - pokiwał głową Bram. - A czym odjechała? Wzięła dorożkę?

Brady podniósł wzrok i zagapił się na przyjaciela.

- Nie. Nie wzięła. Ona... oni... wzięli mój powóz. Z Roosterem na koźle, jak już o tym mowa.

Bram oparł się i rozłożył ręce.

- Więc chyba sam widzisz, jak się sprawy mają, prawda? Jeżeli nie wzięłaby ubrań, to i nie uciekłyby twoim powozem. A podejrzewam, że raczej nie uciekłyby z Roosterem. Po prostu pojechali na przejażdżkę. Boże, Brady, jesteś w oplakany stanie. Pojechali na przejażdżkę.

Brady potarł sobie kark, rozważając taką możliwość.

- Pewnie to niewykluczone, ale miała nie wychodzić z domu. Wyraźnie jej zapowiedziałem...

Przerwał mu ryk śmiechu Brama.

- No, sprawa się wyjaśniła. Zapowiedziałeś jej, że ma nie wychodzić z domu. Gdybym kiedykolwiek coś takiego powiedział Sophie, byłaby w pół drogi do Dover, zanim bym ją znalazł. A skoro już ustaliliśmy, gdzie musi być Regina, powiedz mi, co w swoim liściku napisał chłopiec. Czy miałeś rację? Czy tym trzecim jest LeMain?

- Co? - zapytał Brady, którego wnioski Brama nie do końca uspokoiły. I wiedział dlaczego, chociaż nigdy nie przyznałby się do tego przyjacielowi. Poszedł do swoich pokoi, by zapytać Rogersa, czy nie wie, gdzie się podziewa Regina, i znalazł naszyjnik z pereł porządnie ułożony na łóżku. Nawet jeżeli pojechała tylko na przejażdżkę, nawet gdyby wróciła, dała mu jasno do zrozumienia, że nie wróci do niego.

- Ten liścik, Brady. Co w nim było? Proszę cię, skup się.

- Och, tak, oczywiście - powiedział Brady i znowu zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, czując, że powinien być zupełnie gdzie indziej... sam nie wiedział, gdzie, ale zdecydowanie nie tutaj. - Tym trzecim nie jest LeMain, jak przypuszczałem. To sir Randolph. W niecałe pięć minut po przyjeździe Allertona wysłali lokaja, żeby sprowadził go do mieszkania Thorndyke'a.

- Tilden? Co ty powiesz? W takim razie dobrze, że nie zdecydowałeś się straszyć LeMaina. Pewnie by twojego ducha zastrzelił.

Brady przystanął i uniósł w górę rękę. - Tak, tak, ale to jeszcze nie wszystko. Pamiętaj, że pojechałem, by zabrać lady Belle na spacer?

- Pamiętam. I pamiętam również, że radziłem ci jechać do domu. Chyba powinienes był mnie posłuchać.

Brady gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie, nie mogłem zrobić nic lepszego, niż pojechać do rezydencji Allertona. Porozmawiałem sobie z Kenwardem.

- Z wicehrabią? A co dobrego mogła przynieść rozmowa z nim? Przecież to idiota.

Brady zacisnął dłonie i postukał się pięściami po ustach.

- Idiota. Masz rację. Ale powiedział coś, Bram, czego w życiu bym się nie spodziewał. A mianowicie, że przez ostatnie kilka dni po domu jego ojca biegali tam i sam obłąkani cudzoziemcy, a Allerton zdradził synowi, że wkrótce będą bogaci jak Krezus.

- Tak ci powiedział? - zapytał Bram, wstając. - Dziwne. Ciekawe, że czy Allerton wie, że jego syn ma taki długi ożór. Mów dalej. Jest coś jeszcze, prawda?

- O tak, zdecydowanie jest coś jeszcze. Zdaniem wicehrabiego Allerton zdobędzie fortunę dzięki bukiecikom. Pomyśl o tym, Bram. Pomyśl o tym przez jakieś trzydzieści sekund, a potem powiedz mi, do jakich doszedłeś wniosków; jestem dość pewien, że twoje wnioski będą się pokrywały z moimi.

Przyjaciel nie zawiódł go.

- Czarny tulipan. To jedyne wyjaśnienie.

- Jedyne wyjaśnienie, ale nie jedyne pytanie - stwierdził Brady, któremu nie dawała spokoju jakaś myśl, skubiąca go po obrzeżach umysłu, coś ważnego, coś, na co wcześniej nie zwrócił uwagi. I nagle zrozumiał.

- Mam! Mam! Allertona nie było w domu!

- No to co? - zapytał Bram, podchodząc do ściany, by pociągnąć za sznur od dzwonka. - Mówiłeś, że zamknął się z sir Randolphem u Thorndyke'a.

Brady potrząsnął głową.

- Nie, nie. David pisał, że pojechał za nimi, a oni, wszyscy trzej, udali się z powrotem powozem Allertona do jego rezydencji. Ale kiedy przyjechałem po lady Belle, nie było ich tam. Jeżeli nie było ich tam, Bram... to gdzie się podziiali? I gdzie jest Regina?

- Dzwonił pan, sir? - zapytał od drzwi jeden z lokajów Selbourne'a.

- Tak, George. Podprowadźcie mi, proszę, za dziesięć minut mój powóz... nie, lepiej konia. To mi da czas, żebym się przebrał. - Tu odwrócił się do Brady'ego, który w swoich jaśnusiętko błękitnych jedwabkach wyglądał co prawda olśniewająco, ale całkowicie nieestosownie. - Najpierw na Portman Square, po konia i żeby się przebrać, a potem do Allertona. Ktoś powinien wiedzieć, dokąd się udał.

- Nie chciałem budzić jej nadziei - mówił Brady, potrząsając głową. - Jak tylko uświadomiłem sobie, co Kenward powiedział, pomyślałem... ale nie byłem pewien, czy mogę jej powiedzieć, rozumiesz? Chciałem się nad tym zastanowić, rozważyć to i pewnie pojechać do Little Woodcote, żeby posprawdzać, co i jak...

- Zrozumiałe, zrozumiałe. - Bram objął przyjaciela za ramiona i podprowadził go do drzwi. - Och, przyszło mi na myśl jeszcze jedno, jeżeli nie chcesz się zdradzić, nie możemy dopuścić, by ktoś zobaczył cię na mieście w czymkolwiek poza tymi jedwabkami, więc do rezydencji Allertona pojedę sam i wrócę do ciebie. Dołożę starań, by spotkać się z tobą na Portman Square jak najszybciej. Miejmy tylko nadzieję, że Regina już tam będzie, kiedy wrócisz do domu.

- Jeżeli będzie, to niewykluczone, że jej kark skręcę - oznajmił Brady z przekonaniem, idąc przez hol do swojej kariatki.

- Ach, młoda wspaniała miłość - mruknął Bram, wstępując na schody, by przebrać się w strój do konnej jazdy. - Pamiętam te dni.

Regina stała przy oknie, przygryzając dolną wargę i przyglądając się, jak Thomas kieruje się za róg budynku, a potem za nim znika. Dokąd poszedł? Co zobaczył?

Zaczęła liczyć, usiłując zorientować się, ile trwa jego nieobecność, i doszła do całych pięciuset, zanim pojawił się znowu, wybiegł zza budynku i zniknął między drzewami.

Pięćset. Zastanowiła się nad tym. Musiało go nie być... ile? Trochę ponad pięć minut? Tylko tyle? Jej się wydawało, że chyba kilka godzin. Ale wszystko jedno, ile go nie było, coś musiał zobaczyć, a teraz schronił się już bezpiecznie pod osłonę drzew.

Czas odjeżdżać, jeżeli tylko Davidowi uda się z tego domu wyrwać.

Regina rozejrzała się po pokoju, szukając sznura od dzwonka, ale nie było go. A nie mogła zejść na dół po schodach, by kogoś poszukać, i narażać się na ryzyko, że Allerton zobaczy ją i rozpozna.

Rozpozna ją? To jest pomysł!

Podbiegła do toaletki i zaczęła wysuwać szufladki, modląc się w duchu, by rumieniec na policzkach lady Bellinagary okazał się tak fałszywy, jak jej się przy ich spotkaniu zdawało. Ponieważ tam, gdzie był jeden z słoiczek z barwiczką, pewnie znajdzie się ich więcej.

Usiadła przy toalecie i zaczęła wyjmować spinki z włosów, bezlitośnie rujnując śliczną, zaczesaną do góry fryzurę, którą Maude ułożyła jej tego ranka.

- Proszę odejść! - zawołała, kiedy ktoś zastukał do drzwi. -Nienawidzę tego, kiedy się mnie niepokoi, jak mam kłopoty z żołądkiem. Proszę tylko kazać podprowadzić powóz i powiedzieć mojemu bratu, że życzę sobie wyjechać... za piętnaście minut. Dziękuję!

- Ale, panienko... - powiedziała pokojówka, otwierając drzwi.

- Niech wchodzi do środka, nie wchodzi! - krzyknęła Regina zupełnie szalonym głosem, ukrywając twarz w dłoniach. - Tak się boję. Mam... obsypało mnie... na całej twarzy. O Boże, o Boże, Boże, ratuj mnie! A jeżeli to ospa?

Uśmiechnęła się szeroko do własnego odbicia, kiedy drzwi z trzaskiem się zamknęły i usłyszała, jak pokojówka biegnie korytarzem w poszukiwaniu pani Cooper.

Wstała, przekręciła klucz w zamku, na wypadek gdyby pani Cooper okazała się bardziej zaciekawiona niż przerażona ospą, i wróciła do toaletki. Miała coś do zrobienia...

Brady wyglądał z okna bawialni, wychodzącego na Portman Square, kiedy Bram podjechał na dużej gniadej klaczy pod rezydencję, i czekał już w holu, gdy przyjaciel wchodził do środka.

- No? No i czego się dowiedziałeś?

Książę już zaczynał mu odpowiadać, ale nagle cofnął się o krok i pokazał palcem na Brady'ego.

- Na miłość boską, co to ma być?

Brady rzucił na siebie okiem. Ubrany był w jasnobrązowe spodnie z kozłej skóry, z kokardami u kolan. Pod brodą i przy mankietach pienily się koronki, żółta kamizelka haftowana była w końskie łby, a ramiona jaskrawozielonego surduta wypchane tak grubymi poduchami, że wszystkie londyńskie gołębie mogłyby przysiąść na nich jak na grzędzie, jak tylko wyjdzie na ulicę.

- To ma być wyobrazenie Watkinsa na temat tego, co dżentelmen z kontynentu powinien nosić, kiedy się udaje na konną przejażdżkę - wyjaśnił, lekceważąc sprawę swego absurdalnego stroju. - Czego się dowiedziałeś?

- No cóż, po pierwsze, dowiedziałem się, że lady Belle zna słownictwo, o jakie nie posądziłbym żadnej damy - odrzekł Bram, wymijając Brady'ego, żeby wejść do bawialni, gdzie zamierzał nalać sobie kieliszek wina. - Dobrze, że Gawain Caradoc niedługo zamierza się ulotnić. W przeciwnym razie hrabia nie byłby jedyną osobą w rodzinie, która szukałaby sposobności, by wbić mu nóż w plecy.

- Wysłałem już kwiaty i przeprosiny, ale nie jestem człowiekiem miłym - powiedział Brady, na moment troszkę się odprężając. - Co jeszcze? Co z Allertonem?

- Pojechał do Little Woodcote - ciągnął Bram, wychylając wino do dna. - Często tam wpada na jeden dzień, jak powiedziała lady Belle. Wiesz, przyszło mi na myśl, żeby kupić jakąś oryginalną wiejską chatę gdzieś w pobliżu miasta, żeby Sophie mogła dokładnie coś takiego robić... wywieźć dzieci z miasta na kilka dni, zażyć trochę odpoczynku od...

Brady uniósł ręce w górę i książkę zamilkł.

- Pojechał do Little Woodcote? Sam?

- Ależ Brady, jakże miałem o coś takiego pytać? Jestem księciem, muszę mieć na względzie swoją reputację i takie różne. Przecież wyglądałoby to nader dziwnie, gdybym wypytywał lady Belle, dokąd to jej ojciec jeździ i z kim. Nie wiem, czy pojechał sam. Ale wróci do miasta przed wieczorem.

- Podobnie jak Regina, jeżeli się nie mylisz - stwierdził Brady, biorąc rękawiczki

i kapelusz. - O co chcesz się założyć, że Thomas i David dowiedzieli się, dokąd udaje się Allerton, wrócili tutaj, powiedzieli o tym Reginie i wszyscy za nim pojechali? Niewykluczone, że za całą ich trójką? Czy to brzmi logicznie?

Bram wydał wargi i pokiwał głową.

- Tak, tak. Sophie tak właśnie by postąpiła. Nie należy do kobiet, które zasypiają gruszki w popiele, pozwalając, by bawił się kto inny. Czy pamiętasz, jak opowiadałem ci, że pewnego wieczoru skradaliśmy się oboje, usiłując zwrócić mojej drogiej ciotce coś, co...

- Powinni byli już podprowadzić mojego konia - przerwał mu Brady. - Jedziesz ze mną?

- Mój drogi Gawainie - oświadczył Bram, nasadzając sobie kapelusz na głowę - za nic na świecie nie chciałbym tego stracić.

Regina właśnie dokonywała ostatnich poprawek w swoim ogromnie zmienionym wyglądzie, kiedy znowu rozległo się pukanie do drzwi.

- Rose? Rose! Otwórz drzwi. Pani Cooper mówi... o mój Boże!

Zanim David zdążył powiedzieć coś jeszcze, na przykład: „Dobry Boże, Gino!”, Regina wciągnęła go do środka i zamknęła za nim drzwi.

- Co ty, do jasnej ciasnej, wyprawiasz? - zapytał David, wytrzeszczając na nią oczy.

- Próbuję nas wydostać z tego domu w całości, to właśnie wyprawiam - powiedziała mu Regina, podchodząc do łóżka, żeby wziąć kapelusik, który na szczęście miał szerokie rondo, więc częściowo ukrywał jej twarz.

- Ale dlaczego? Tak cudownie bawiłem się tam na dole -protestował David, który najwyraźniej w ogóle zapomniał, po co tutaj z Reginą przyjechali. - W salonie aż tłoczno jest od interesujących ludzi, chociaż co drugiego słowa z ich wypowiedzi nie rozumiem. Pani Cooper przyniosła takie małe ciasteczka... całe zalane lukrem i ozdobione małutkimi cukrowymi kwiatkami...

- Davidzie! - wykrzyknęła Regina, chwytając go za rękę. - Spróbuj sobie przypomnieć, po co tu przyjechaliśmy. Widziałam przez jedno z okien Thomasa, udało mu się coś zobaczyć, teraz już wrócił znowu do zagajnika. Będą na nas czekać, ale jeżeli Allerton mnie pozna, to będą czekać w nieskończoność, bo ty i ja stracimy życie. Rozumiesz teraz?

David ściągnął brwi, a potem pokazał palcem na Reginę.

- Ale... to?

- Konieczne, wierz mi. Allerton będzie chciał się z nami pożegnać. Nie możemy

do tego dopuścić, prawda?

- Tak, ale...

- Davidzie - Regina z trudem powstrzymywała się, by nie ogłuszyć go porządnym klapsem, co byłoby działaniem bezsensownym, bo już w tej chwili zachowywał się jak ogłuszony, skoro nie zdawał sobie sprawy z niebezpieczeństwa, które groziło im, dopóki pozostawali pod dachem Allertona. - Davidzie drogi - ciągnęła, opanowując złość. - Byłeś cudowny. Wspaniały! Ale teraz czas, żebyś się uklonił i zszedł ze sceny. Poradzisz sobie z ostatnią kwestią?

David spojrział w kierunku okien, a potem znowu na Reginę.

- Dobrze już, dobrze. Przepraszam cię, Gino. Rzeczywiście chyba mnie trochę poniosło. Co chcesz, żebym zrobił?

- Wystarczy, że wrócisz na dół i każesz podprowadzić do drzwi nasz powóz, powiedz też wszystkim, że twoja siostra jest ciężko chora, i przyjdź po mnie na górę. Nikt nie będzie protestował, jestem tego pewna, zwłaszcza jeżeli uwierzą, że mogę mieć ospę. Weź mnie pod rękę, ustaw się pomiędzy mną a Allertonem i wyprowadź mnie stąd, dobrze? Możesz to zrobić?

- Ależ oczywiście, że... ospę? Masz ospę? Gino, czy ty masz pojęcie, co z moją cerą może zrobić ospa?

- A czy ty, Davidzie, masz pojęcie, co z twoją cerą może zrobić dłuższy pobyt pod ziemią na głębokości sześciu stóp? -zapytała Regina, która najchętniej mocno by przyjacielem potrząsnęła. - Idź już!

Wróciła do toaletki, by jeszcze raz sprawdzić, jak wygląda, i równocześnie zawiązała wstążki kapelusika pod brodą. Przygarbiła się nieco, jakby z wyczerpania, opuściła powieki do pół masztu i dotąd poruszała szczękami, aż nadmiar śliny spłynął jej po brodzie.

- Świetnie - mruknęła, głęboko odetchnęła i czekała na powrót Davida.

Nie musiała czekać długo, ale kiedy David wrócił, nie był sam. Towarzyszyła mu pani Cooper, zasłaniając sobie fartuchem twarz i zakrywając nos oraz usta. Stała w otwartych drzwiach, nie przekraczając progu, i przyglądała się bacznie Reginie, która ciężko opierała się o fotel przed toaletką.

- Och, proszę nie podchodzić bliżej - błagała Regina. Uniosła jedną rękę, jakby chciała gospodynię ostrzec, a potem zakryła usta dłonią i się rozkaszała. Kaszłała głośno, okropnie, aż całe jej ciało się wstrząsało i drgały ramiona. Odsunęła dłoń, po brodzie ciekła jej ślina. - Taka jestem chora... taka chora - mamrotała. - Davidzie... Davidzie, pomóż mi. Chcę do domu. Do mamy... chcę do mamy...

- Na moje gwiazdy! - wykrzyknęła pani Cooper spoza fartucha.
- Rose, kochana, nie możesz stąd wyjechać. Za bardzo jesteś chora. - David odwrócił się do pani Cooper i położył rękę na jej ramieniu. - Będzie ją pani pielęgnowała, prawda?

Gospodyni strząsnęła jego rękę i cofnęła się o kilka kroków.

- Ja? Ależ to dziecko chce do mamy. Słyszał ją pan, sir. A pański powóz już podjechał. Proszę ją tylko stąd wyprowadzić, zanim jaśnie pan ją zobaczy. I tak będę musiała spalić wszystko w pokoju lady Belle. Och, jakże ja to jej wytłumaczę? Niech ją pan wyprowadzi, sir... niech ją pan wyprowadzi!

David odegrał wielką scenę, przechodząc przez pokój, z oporami wziął Reginę pod rękę i bardzo niechętnie pozwolił jej oprzeć się o siebie.

Regina zastanawiała się, czy jest nawet lepszym aktorem, niż przypuszczała, czy też może na wpół uwierzył w tę ospe.

Nie miało to naprawdę żadnego znaczenia i po kilku chwilach już schodzili ze schodów, a Regina z trudem opanowała chęć, by puścić się biegiem, kiedy mijali zamknięte drzwi do bawialni.

I oto siedzieli już w powozie, i Rooster wioził ich z powrotem w stronę stróżówki, na gościniec, na tę gruntową drogę, gdzie Kosma i Thomas mieli czekać z wiadomościami, które albo przepelnia radością serce Reginy... albo je znowu złamią.

Kiedy Brady i księżę wydostali się z ciasnoty londyńskich uliczek, nie puścili się galopem na ratunek bez żadnej dbałości o konie, tylko jechali statecznie, chociaż się nie ociągali. W tym tempie jazda do Little Woodcote nie powinna zająć więcej niż godzinę, a wierzchowcom zostanie dość sił, by mogły opuścić tę miejscowość w pośpiechu, jeżeli zaistnieje taka konieczność.

Dzięki temu Brady miał dość czasu, by zastanowić się nad wszystkim, co wydarzyło się od jego pierwszej podróży do Little Woodcote. Nad popełnionymi błędami, nad otrzymanymi nauzkami. I miał czas opracować taki plan, który pozwoli Gawainowi Caradocowi zniknąć, a Reginę przekonać, że jeżeli ona też zniknie, to życie ich obojga straci cały sens, a otrzymane nauzki staną się bezwartościowe.

Miał nawet czas wyobrazić sobie, jak ślicznie będzie płonął ognisko ze wszystkich Gawainowych ubrań, oraz powód, by się nad tym widokiem zastanawiać, jako że jego zdobnych w kokardy spodni nie powinien zakładać nikt, kto pragnąłby wygodnie przejechać się na wieś.

- Brady, spójrz no przed siebie - zawołał do niego Bram, kiedy Brady któryś kolejny raz próbował znaleźć jakiś sposób, by wygodnie usiąść na koniu. - Czy to nie twój powóz jedzie naprzeciw nas?

Brady popatrzył w dal i natychmiast rozpoznał swój powóz oraz Roostera na koźle. Popędził konia, wyjechał na środek drogi, uniół obie ręce w górę i zaczął nimi wymachiwać tak, że Rooster go zobaczył i zdołał gwałtownie zatrzymać powóz o niecałe dziesięć stóp od konia i jeźdźca.

Brady w jednej chwili znalazł się na ziemi i puścił się biegiem do drzwiczek powozu, a kiedy je otworzył, wypadł z nich prosto w jego ramiona Kosma.

- Dość tego - narzekał Kosma, podnosząc swą masywną osobę z ziemi. - Będę się trzymał naszego wozu i naszej spokojnej pary, Hekate i Hektora. Ten człowiek najpierw gna konie jak szalenciec, a potem zatrzymuje się bez uprzedzenia. - Wstał, zaczął się otrząpywać, a potem uświadomił sobie, do kogo mówi. - Milord Singleton?

- Matildo - rzekł Brady, uchylając kapelusza. - Wydaje mi się, że gdzieś zapodziała pani swój gorset.

- Tak, milordzie - przyznał Kosma, cofając się o krok od otwartych drzwi, żeby Brady mógł na własne oczy zobaczyć płataninę rąk i nóg w powozie. - Mamy dobre wiadomości, milordzie.

- Chcesz powiedzieć, że ciągle jeszcze jej nie zabiliście, żebym mógł to zrobić własnoręcznie? - zapytał Brady, kiedy Thomas najpierw wysunął z powozu długie nogi, a potem sam wysiadł. - Jakże uprzejmie z waszej strony.

Serce mu biło tak gwałtownie, że nie mógł się nadziwić, iż nie wyskakuje z piersi - chociaż niesłychanie ciasno opinająca tors, haftowana w końskie łby kamizelka nie dopuściłaby pewnie do tego żenującego wydarzenia.

- Ona jest w środku, prawda? - zapytał, kiedy David, wyglądając nieco mniej przystojnie niż zwykle, wysiadał z powozu.

Książę również zsiadł z konia i teraz stał, przyglądając się trzem panom, którzy towarzyszyli panie Reginie Bliss do Little Woodcote.

- Wiesz, Brady, nie możemy mówić, że pojechała bez ochrony... - Tu popatrzył znowu... na Kosmę, który z jakiegoś bliżej nie wyjaśnionego powodu cały pokłuty był jeżynami. Na Thomasa, który z zapalem ocierał policzki obszytą koronkami chusteczką. Na Davida, który jeździł oboma rękami po twarzy, jakby chciał przeprowadzić inwentaryzację swego stanu posiadania i upewnić się, że nadal ma dwoje oczu, jeden nos i jedno usta, i że żaden z obiektów nie doznał uszczerbku, kiedy Rooster zatrzymał powóz, potrząsając przy

tym pasażerami jak kostkami do gry w kubku. Bram westchnął i dodał:

- Ściśle rzecz biorąc, może to nie była ochrona. Ale nie pojechała sama i jest bezpieczna. Więc nie krzycz, Brady. Uwierz mi, nic ci to nie da, jeśli będziesz na nią krzyczał.

Brady lekko odwrócił głowę, zerknął na Brama, unosząc jedną brew wysoko w górę, potem odwrócił się i zajrzał do mrocznego wnętrza powozu.

- Regino! - ryknął. - Wychodź stamtąd... i to już!

- Dlaczego, kiedy Sophie coś komuś radzi, to ludzie jej słuchają? - narzekał książę i poszedł przytrzymać konie, zanim sobie gdzieś poszły.

Ledwo Brady zdążył pomyśleć, że może nie powinien był wrzeszczeć, wypadła nagle na niego z powozu jasnoniebieska suknia w towarzystwie słomkowego kapelusika, którego rondo uderzyło go mocno w oko, i zaatakowała go para rąk, niemal go przy tym dusząc.

- Regina! - wykrzyknął, objął ją mocno i przycisnął do siebie, przy czym stopy Reginy uniosły się co najmniej o sześć cali nad ziemię. - Mój Boże, Regino, myślałem, że już cię nigdy nie zobaczę. - Zapomniał o całym swoim gniewie, okręcił ją dookoła i przycisnął do piersi. - Ale jesteś tutaj... znalazłem cię... - Niechętnie postawił ją na ziemi i cofnął się, by na nią popatrzeć - i cała jesteś w pryszczach? Co u licha...?

- Dokładnie to samo jej mówiłem, milordzie - pisał David, który zdążył się już upewnić, że jego ładna buzia nie doznała najmniejszego uszczerbku, kiedy zleciał na podłogę w powozie. - Wmawiała mi, że to ospa, ale ja powiedziałbym, że dużo bardziej przypomina odrę. A co pan powie?

Brady nie przestawał przyglądać się Reginie. Całe ręce i twarz pokryte miała czerwonymi wypryskami, cera pod tymi wypryskami była blada, chorobliwie biała. Uniósł rękę i potarł kciukiem policzek dziewczyny: czerwone wypryski się rozmasały.

- Czy ja chcę coś o tym wiedzieć? - zapytał ją.

Regina potrząsnęła głową, uśmiechając się przez łzy, które spływały po twarzy i zmywały chorobliwą bladość.

- Nie, chyba nie, milordzie - przyznała uczciwie, a potem znowu rzuciła mu się w ramiona. - Oni żyją, Brady! Mama i papa, oni żyją!

- Tak, sądziłem, że może tak być - powiedział Brady i przymknął na moment oczy, zastanawiając się, jak i w którym kierunku rozwinie się teraz sytuacja przy tej dodatkowej komplikacji, co prawda radosnej, ale poważnej.

- Mam propozycję, Brady - zwrócił się do niego książę, jakby czytał w myślach przyjaciela. - Jeżeli jeden z tych wspaniałych dżentelmenów zechce towarzyszyć mi do miasta

na twoim koniu, pozostałych dwóch będzie mogło dosiąść się do Roostera na kozioł. Chyba że się mylę i ty oraz panna Bliss nie odczuwacie potrzeby odbycia poufnej rozmowy?

W odpowiedzi Brady chwycił Reginę na rękę i ze zręcznością, która jego samego przyprawia o zdumienie, wsiadł razem z nią do powozu, zamknął drzwi, zaciągnął zasłony... a wszystko to w jednym okamgnieniu.

Regina uczepliła się szyi Brady'ego, nie chcąc, a może i nie mogąc go puścić.

- Nie widziałam ich, ale Thomas rozmawiał z nimi... i czują się dobrze, nic im nie jest. Zostali uwięzieni, a papa dostał rozkaz wyhodowania następnego czarnego tulipana. Och, Brady, papa obiecał, że tym razem odniesie sukces, i mają już tylko kilka dni, zanim pączki się otworzą. Przyjechaliśmy na ratunek w samą porę! Oczywiście ratować ich będziemy nie w tej chwili. Pewnie powinniśmy teraz wrócić do Londynu i przyjechać tu później, bo... zresztą wszystko jedno. Pewnie już to wiesz, prawda?

Uniosła lekko głowę i popatrzawszy na umazaną kamizelkę Brady'ego, powiedziała trochę niemądrze, ale wciąż jeszcze nie była w stanie choćby w przybliżeniu jasno myśleć:

- Ojej. Zniszczyłam ci surdut.

- Cóż za szkoda. - Brady przyciągnął ją znowu blisko do siebie. - Wracaj ze mną do domu, Regino, i obiecaj, że zniszczysz go do reszty - poprosił, a ona uśmiechnęła się, czując, jak pierś hrabiego zafalowała, kiedy wybuchnął śmiechem.

Tak bardzo kochała tego mężczyznę. I tak bardzo musiała go rozczarować, kiedy opuściła Portman Square, po tym jak stanowczo jej tego zakazał, i wyruszyła do Little Woodcote, i niewiele brakowało, a wpakowałyby się w bardzo poważne tarapaty...

Powóz jechał w stronę Londynu. Regina położyła ręce na ramionach Brady'ego i lekko się od niego odsunęła, chociaż nadal siedziała mu na kolanach.

- Skąd? Skąd wiedziałeś, że mama i papa jeszcze żyją?

Brady objął dłonią jej policzek.

- Czy nie możemy o tym porozmawiać później? - zapytał, przysuwając twarz do jej twarzy.

- Ale... ale musimy coś zrobić. Musimy ich uratować... zabrać ich stamtąd dziś w nocy. Tak ustaliliśmy, prawda?

Brady rozwiązał jej wstążki pod brodą.

- Dziś w nocy. Zdecydowanie.

- Tak, dziś w nocy... zanim te tulipany zakwitną... i ja muszę wyglądać okropnie.

Miała prawdopodobnie zamiar powiedzieć coś jeszcze, ale kiedy usta Brady'ego

dotknęły jej warg, powieki Reginy opadły, żołądek wykonał to swoje malutkie salto... no i zapomniała, o co jej właściwie chodziło.

- Och, Brady. - Westchnęła wtulona w jego ramię, kiedy przerwał pocałunek i zaczął leciutko gryźć ją w szyję. - Nie powinniśmy tego robić.

- Nie powinienem był brać cię do łóżka wczoraj w nocy. I nie powinienem był zostawić cię samej dziś rano – rzekł Brady pomiędzy jednym pocałunkiem a drugim, gładząc rękami całe jej ciało. - Powinienem był powiedzieć ci, że cię Kocham... powiedzieć ci, jak bardzo cię Kocham.

Regina nie zauważyła, że po policzkach spływają jej łzy.

- Ja... ja oddałam ci perły - szepnęła, odchylając głowę, żeby mógł pocałować ją w szyję, przycisnąć wargi do skóry nad głębokim dekoltem sukni. - Myślałam, że dla ciebie lepiej będzie, jeżeli wyjadę z Londynu. Myślałam, że jesteś mi tylko wdzięczny. Myślałam...

- Za dużo myślisz - przerwał Reginie Brady i unióśł głowę, by spojrzeć jej prosto w twarz. - Za dużo mówisz i za dużo myślisz, zwłaszcza jeżeli myślałaś, że mogłoby być dla mnie lepiej, gdybyś wyjechała z Londynu. Lepsze może być dla mnie tylko jedno, księżniczko: jeżeli już nigdy nie będę się budził bez ciebie w ramionach. Kocham cię, księżniczko. Tak bardzo cię Kocham.

- Och, Brady, i ja ciebie Kocham. Kocham Gawaina. Mama i papa żyją. Kocham cały świat! - wykrzyknęła Regina i znowu poddała się jego pocałunkom.

- Wiesz co, stary przyjacielu, masz niesłychanie zadowolony wyraz twarzy. Powinieneś uważać, żeby ci jej ktoś nie zechciał uszkodzić - powiedział książę, kiedy Brady wszedł do bawialni w chwilę po tym, jak zegar na kominku wydzwonił ósmą.

Brady, świeżo wykąpany, ubrany w swojskie i wygodne ubranie, szeroko się uśmiechnął, nalewając kieliszek wina dla przyjaciela, a potem drugi dla siebie.

- Teraz wiesz, jak czułem się za każdym razem, kiedy ty i Kipp patrzyliście na swoje śliczne żony. Zdumiewające, czyż nie, jak jedna mała kobieta może szturmem wziąć życie człowieka i całkowicie je zmienić.

Bram przyjął kieliszek, który podawał mu Brady, potem oparł się i skrzyżował muskularne nogi.

- Thomas i ja odbyliśmy bardzo interesującą rozmowę w drodze powrotnej do miasta. A więc to prawda. Matka i ojciec żyją. Tak jak sądziliśmy, od kiedy Kenward zaczął rozwodzić się nad bukiecikami i fortuną.

- I kolorami - przypomniał mu Brady, siadając na kanapce naprzeciw

przyjaciela. - Oczywiście jeżeli rozmawiałeś z Thomasem, to wiesz, że wszyscy doszliśmy do tego samego wniosku, chociaż różnymi drogami.

- Tak - przyznał z uśmiechem Bram. - Słyszałem.

Brady potrząsnął głową.

- Regina w końcu wyznała mi całą prawdę. Nie mogę uwierzyć... wprost uwierzyć nie mogę. Nie chciała mi mówić, że poszła w krzaki ze... ze względów osobistych, a potem, kiedy wróciła, jej rodzice zniknęli razem z wozem. Rodzice po prostu ją zostawili, prawie jakby zapomnieli o jej istnieniu, a przynajmniej tak to widzi Regina. Ja nie jestem taki pewien. Moim zdaniem rodzice nie chcieli, by ktokolwiek dowiedział się, że Regina w ogóle z nimi była, próbowali ją w ten sposób chronić. Tak czy owak nie chciała, by wyglądało na to, że rodzice się o nią nie troszczą, więc nam kłamała. Wcale nie obudziły jej krzyki, ojciec nigdy nie kazał jej uciekać...

- Uciekać co sił, wydaje mi się, że coś właśnie takiego usłyszał od niej Thomas. Bardzo to teatralny zwrot. Powinieneś być już wtedy zacząć coś podejrzewać, stary przyjacielu.

Brady wzruszył ramionami.

- Prawda, ale na swoją obronę powiem, że cała jej rodzina to aktorzy. Nie widziałem nic dziwnego w tak melodramatycznym sformułowaniu. Chyba się raczej dziwiłem, że jej ojciec nie wyrecytował jakiegoś cytatu z Szekspira, chcąc ją ostrzec.

Bram położył dłoń na sercu.

- „Przez wzgórza, rozłogi, przez krzaki i głogi...”² uciekaj, uciekaj, moje najdroższe dziecko.

- Tak, coś w tym rodzaju - zgodził się Brady z uśmiechem. - Ale to wcale nie było tak. Jej rodzice poszli bez oporów z Allertonem, tyle że nie wrócili. A ponieważ Allerton nigdy nie widział Reginy, nie miał pojęcia, że ona tam była i że czekała na ich powrót. Cała reszta jest bardzo zbliżona, Regina udała się do majątku i zobaczyła wóz rodziców. Czekala całymi dniami, przez tydzień, przycupnąwszy na murze, i wypatrywała ich, ale nie pojawili się ani razu, a trzeciego dnia wóz został spalony.

- Przekonany jestem, że doszedłbym do tego samego wniosku, do jakiego doszła Regina - powiedział Bram z westchnieniem. - Po co palić wóz, jeżeli są ludzie, którzy mogą nim jeździć? Thomas mówił mi, że czekali na Reginę i jej rodziców przez niemal dwa tygodnie, ale potem pojechali dalej, bo musieli zarobić na jedzenie, a na miejscu nie było takiej możliwości. Jechali zwykłą trasą w nadziei, że Regina i jej rodzice dogonią ich, ale tak

² William Szekspir (przeł. Stanisław Koźmian).

się nie stało. Ponieważ rodzice siedzieli zamknięci w Little Woodcote, a Regina była w Londynie u Żeliwnej Gerty, a potem u Kippa i Abby, i wreszcie u ciebie.

- Ale kiedy Regina ponownie spotkała się z Thomasem i przyjaciółmi i opowiedziała im całą historię, Kosma wbił sobie do głowy, że nawet Allerton nie byłby na tyle głupi, by zabijać kurę znoszącą złote jaja, że dopóki będzie wierzył, iż Blissingtonowi uda się wyhodować tego czarnego tulipana, zachowa go przy życiu. I miał rację. - Brady zajął do pustego kieliszka. - Przypuszczam, że Thomas przekazał ci, czego się dziś dowiedział od rodziców Reginy?

Książę przytaknął.

- Pana Blissingtona kilkakrotnie spotkało niepowodzenie, ale udało się, że tym razem mu się udało. Że rozkwitnie co najmniej sto czarnych tulipanów, że rozwiną się z pąków, nim skończy się ten tydzień. Stąd tyle zagranicznych gości u Allertona i dlatego powiedział synowi, że bogaci będą jak Krezus.

- Ale jeżeli Blissington zawiedzie i tym razem, to umrze. Allerton jest w rozpaczliwej sytuacji, i to po części przeze mnie. Drażniłem go Reginę, paradowałem przed nim z tymi cholernymi tulipanami w butonierce, goniłem za Thorndyke'iem. Musi wiedzieć, że pojawił się jakiś problem, że ktoś go wytropił... może Gawain, może ja... Jak się nad tym zastanowić, to nawet gdyby te tulipany naprawdę okazały się czarne, Blissingtonowie równie dobrze mogliby już nie żyć. Allerton nie może pozwolić sobie na to, by istniały jakiegokolwiek dowody, gdybym przypadkiem ujawnił przed światem, co wiem. Mimo to w jednym dopisało nam szczęście. Blissingtonowie są więźniami już tak długo, że Allerton stał się nieostrożny albo może brak mu funduszy na więcej niż jednego strażnika. Wystarczy stuknąć go po głowie i już dostaniemy się do oranżerii, a potem odjedziemy z Blissingtonami.

- Masz rację. Właściwie to żadne ryzyko. Tak więc tej nocy wracamy do Little Woodcote i zabieramy ich stamtąd - podsumował Bram, podnosząc się i sygnalizując tym gotowość, by ruszać w drogę. - A Allerton, kiedy usłyszy, że zniknęli, zanim zdążyliśmy go w jakikolwiek sposób zdemaskować, będzie zapewne na kolanach dziękował swojemu losowi, bo spadnie mu z głowy problem, jak ich się pozbyć. Oczywiście pod warunkiem, że zostawimy mu tulipany.

Ale Brady potrząsnął głową.

- Już dosyć cię narażałem, przyjacielu. Sophie głowę by mi urwała, gdyby ci się cokolwiek miało stać.

- Brady- uśmiechnął się książę- Sophie głowę by ci urwała, gdybyś mi zepsuł zabawę.

- W takim razie ruszamy za pięć minut - zdecydował Brady. - Jak tylko przyłączy się do nas Thomas. Pomyślałem, że lepiej będzie, jeżeli Blissington zobaczy jakąś znajomą twarz, kiedy włamiemy się do oranżerii, by go uratować.

- Dobry pomysł. A Regina? Co z nią? Z pewnością też zechce pojechać.

Brady uśmiechnął się.

- Regina pogodziła się z tym, że zostaje na Portman Square i zostawia ratowanie rodziców mnie, najuprzejmiej ci dziękuję. Ona mi ufa, rozumiesz.

Książę popatrzył na niego dziwnie.

- Na Boga, człowieku, musiałeś wyprzedzić Kippa i mnie o wiele mil, jeżeli ona cię już tak słucha. Moje gratulacje.

- Przyjmuję - rzeki Brady, obciągając mankiety. - Nie rozumiem, dlaczego ty czy nasz przyjaciel Kipp mieliście tyle kłopotów. Wyjaśniłem jej, jaka jest sytuacja, zwróciłem uwagę, że tylko by przeszkadzała, a ona przyznała, że mam rację. Ja jestem mężczyzną, a ona kobietą. Ja wyprawiam się na ratunek, a ona czeka tutaj, gotowa podać herbatę czy coś innego, kiedy wrócimy. W czym problem? A może udzielić ci kilku lekcji...?

- Bardzo zabawne. Ale chodź już, ruszajmy. Wolałbym wrócić do miasta przed świtem, bo będzie nam potrzebny cały dzień na ułożenie planów, jak tę sytuację rozwikłać.

- Och, ja mam już cały plan w głowie - zapewnił przyjaciela Brady, podążając za nim do holu. - Czy nie mówiłem ci o tym? Regina powiada, że jestem genialny. A mnie się wydaje, że musi mieć rację.

- Pojechali - powiedziała Regina, wyglądając przez okno na Portman Square. - Jeżeli dopisze im szczęście, wrócą przed północą, a mama i papa razem z nimi.

- Albo nawet wcześniej, bo noc jest piękna, księżyc będzie w pełni, a konie hrabiego są najwspanialsze na świecie, nawet jeśli powozi Rooster. - Kosma, który siedział rozluźniony na jednym z foteli hrabiego przed kominkiem, popatrzył na Davida i ponaglił go: - Czy masz zamiar ślęczeć nad tym przez całą noc? Pionkiem, chłopcze, pionkiem. To twój jedyny ruch.

- Ale wtedy ty zbijesz mi królową - zaprotestował David, potrząsając głową. - Nigdy tej gry nie wygram.

- No to dobrze, że jesteś taki ładny, prawda? - pocieszył go Kosma, a Regina stanęła z tyłu za jego fotelem, przechyliła się przez oparcie i ucałowała go w czubek głowy, równocześnie zsuwając ręce po ramionach na pierś przyjaciela. - Nie mam klucza w kieszeni, najdroższa, ma go hrabia. Zamknął nas tu równie skutecznie jak ciebie. Wydaje mi się, że

siedzimy tu tylko po to, by dopilnować, żebyś nie powiązała razem prześcieradeł i nie uciekła przez okno. Bo taki byłby twój zapasowy plan, jak przypuszczam?

Regina uderzyła dłońmi w oparcie fotela, zamruczała pod nosem coś niezbyt ślicznego i podeszła znowu do okna.

- Nie mogę uwierzyć, że zamknął nas tutaj na klucz. Przecież powiedziałam, że zostanę w domu, prawda? Nawet obiecałam mu to. Ktoś mógłby pomyśleć, że mi nie ufa.

- Tak - przytaknął Kosma, puszczać oko do Davida. -Ktoś mógłby. Naprawdę mi się ten młody człowiek podoba. -David westchnął i w końcu wykonał swój ruch, a Kosma pochylił się i zbił czarną królową. - Szach i mat.

Kippa Rutlanda w środku nocy wyrwało ze snu głośne łomotanie w drzwi frontowe, a kiedy posłaniec oddał mu pospiesznie nabazgraną wiadomość od Brady'ego, wicehrabia Willoughby ubrał się pospiesznie, napisał kilka słów do żony, Abby, który nadal mocno spała, potem ucałował ją w czoło, wymknął się z domu, dosiadł konia, który już stał pod drzwiami, i na złamanie karku popędził do Londynu.

Zatrzymał się w swej londyńskiej rezydencji, by się wykapać, zjeść coś i się przebrać. Pojawił się na balu lady Jersey, kiedy pierwsza grupa gości już wstąpiła na schody, została powitana przez panią domu i przeszła do zatłoczonej, przegrzanej sali balowej.

Przecisnął się przez cizbę ludzką, chwycił kieliszek wina od mijającego go kelnera i przestał się przepychać dopiero wtedy, kiedy zobaczył księcia Selbourne, który stał w pobliżu greckiej kolumny i rozmawiał z przysadzistą tłustą damą, dama miała na głowie ohydny fioletowy turban, z którego sterczały strusie pióra.

- Dobry wieczór - powiedział, kłaniając się damie, a następnie ze ściągniętymi brwiami zerkając na Brama. - Nie sądzę, by mnie pani już wcześniej przedstawiono.

- Pani Matilda Forrest - wyjaśnił Bram - najdroższa przyzwoitka Reginy. Pani Forrest, czy pozwoli pani, że przedstawię jej wicehrabiego Willoughby, który właśnie przyjechał ze wsi?

Kosma popatrzył na księcia.

- I co ja mam teraz zrobić, wasza wysokość? Dygnać? Podać mu dłoń do pocałowania? Może nie być zachwycony, kiedy mu już wszystko powiemy. Ja na pewno nie byłbym zachwycony. Ani trochę. Gdyby zamiast mnie wystroił się w ten sposób Thomas, pewnie byłby zachwycony, ponieważ jego lordowska mość to wspaniały okaz, ale ja nie jestem Thomasem.

Kipp popatrzył na Brama zdezorientowany, a potem przyjrzał się ponownie pani Forrest.

- Mam za sobą długi dzień, Bram. Proszę o wyjaśnienia.

- Pani Forrest to w rzeczywistości Kosma, jeden z aktorów należących do trupy Reginy - rzucił książkę, jakby się to rozumiało samo przez się, potem lekko się odwrócił i pokazał głowę. - A tamten chłopak, którego pozerają wzrokiem wszystkie obecne tu dzisiaj kobiety... a do tego co najmniej trzech panów, a przynajmniej tylu naliczyłem do tej chwili... to David. Odrażający, nieprawdaż? Gdyby zobaczył go Michał Anioł, to wykorzystałby go do

swego „Dawida”, a żadna z dam nie zauważyłaby braku figowego listka. On też jest aktorem, gdybyś zamierzał o to pytać.

Kipp potrząsnął głową.

- Jak ty ich tu wprowadziłeś? Sally Jersey jest przecież nadzwyczaj skrupulatna.

- To proste. Obiecaliśmy jej takie atrakcje, że jeszcze przez następnych sześć sezonów ludzie nie przestaną gadać o tym balu - wyjaśnił Bram. - Ale nie koniec na tym. Na lewo od ciebie, w nie najlepiej dopasowanym liliowym stroju, uszytym w zasadzie dla naszego zacnego przyjaciela, Brady'ego, stoi trzeci z aktorów, Thomas. O wyznaczonej porze, na dany znak... jak powiada Regina... wszyscy trzej zastawią sobą drzwi, najbliższe rozgrywającej się scenie. Ty i ja posłużymy w podobnym charakterze. Nie chcielibyśmy, by ktoś wyszedł za wcześnie, rozumiesz.

- Niczego nie rozumiem - sprostował lapidarnie Kipp. -Wiem tylko tyle, że dostałem od Brady'ego liścik, w którym prosił mnie, bym wziął udział w dzisiejszym balu i był gotów na wszystko. Jadąc do miasta, zastanawiałem się przez cały czas, co może oznaczać to „wszystko” - ciągnął, popatrując na Kosmę - ale najwyraźniej ani przez moment nie byłem bliski rozwiązania. Czy Brady jest tutaj? Czy mamy dość czasu, żebym zrozumiał, co się dzieje, czy też spodziewasz się, że po prostu stanę w którychś drzwiach i będę zawracał każdego, kto chciałby przez nie wyjść? Takie postępowanie powinno mi przysporzyć popularności.

- Pani Forrest? Czy zechce nam pani wybaczyć? - zwrócił się Bram do Kosmy, biorąc Kippa pod rękę. - Chodź ze mną, Kipp. Wyjdziemy na balkon i tam ci wszystko wyjaśnię. Oraz przedstawię ci jeszcze dwóm aktorom, którzy chwilowo ukrywają się właśnie na balkonie, by ich nikt nie zobaczył. Mamy tylko nadzieję, że nie zaczną padać. Bardzo chcieliby cię poznać, nawiasem mówiąc, i podziękować za serdeczną opiekę, jaką otoczyłeś ich córkę.

- Ich... co tu się, do wszystkich diabłów, dzieje? - zapytał Kipp, wychodząc z Bramem i równocześnie oglądając się przez ramię na Kosmę, który figlarnie pomachał mu na pożegnanie.

Brady stał na skraju sali balowej i czekał, aż Regina, która poszła sprawdzić, jak mają się rodzice, wróci z balkonu. Zachowywała się tak, jakby obawiała się, że jeżeli spuści ich z oka na dłużej niż pięć minut, znowu się gdzieś zapodzieją.

Uśmiechnął się na wspomnienie ich zroszonego łzami, niesłychanie radosnego spotkania. Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy, kiedy przypomniał sobie, jak Regina, gdy

już uściskali się wszyscy serdecznie, zaczęła surowo besztać rodziców, że „okazali się tacy niemądry i musiała zamartwiać się o nich niemal na śmierć”.

Wyraźnie w tej małej rodzinie to Regina grała rolę rodzica.

Edward i Cecilia Blissingtonowie stanowi wyjątkową parę. Regina najwyraźniej odziedziczyła urodę po matce, która była drobna i szarooka jak córka, tylko że Cecilia wydawała się preferować stroje, składające się z wielu warstw półprzezrzystych draperii, a lśniące, długie aż do ramion loki nosiła rozpuszczone. Była piękna raczej teatralną urodą, a draperie i włosy, i wdzięcznie trzepoczące się dłonie ukrywały fakt, że lewą nogę miała mocno ułomną po wypadku, któremu uległ wóz na rok przed narodzeniem Reginy, jak się Brady od niej dowiedział.

Prawdę rzekłszy, Brady nie zauważył, by Cecilia kulała, uwagę jego zwrócił raczej fakt, że przechodząc... a właściwie przepływając z jednego miejsca na drugie, nieodmiennie podtrzymuje wokół siebie rozchylone draperie, falujące niczym na wpeł złożone skrzydła. Widok był fascynujący i wyjaśniał, czemu Edward Blissington nigdy nie próbował zbiec z Little Woodcote. Cecilia nie mogła biegać, nie udałoby jej się wdrapać na wysoki kamienny mur wokół posiadłości Allertona, poza tym nie dotrzymałaby mu kroku, gdyby musieli uciekać przed pościgiem.

Oczywiste było również to, że Edward Blissington uwielbia swoją Cecilie. Kiedy Bram i Brady wyłamali drzwi do oranżerii, a potem rozbili zamek w drzwiach do niewielkiego pomieszczenia, w którym, jak powiedział im wcześniej Thomas, przebywali Blissingtonowie, jeżeli nie byli zajęci tulipanami, Edward własnym ciałem zasłonił żonę i uprzedził, że jeżeli „skrzywią jeden włos na głowie tej zacnej kobiety, to źle się to dla nich skończy!”

Nie sposób nie polubić człowieka, który broni swej kobiety. Zwłaszcza że bronił jej pan w okularach, wysoki, chudy, przygarbiony trochę w ramionach, który wyglądał na ponad dwa razy starszego od Brady'ego, na nogach miał kaptcie, a na sobie wielki, poplamiony ziemią fartuch, i wymachiwał małą gracką, będącą jedyną dostępną mu bronią.

Thomas pospiesznie ustawił się między Bradym a księciem i równie pospiesznie wyjaśnił, że Regina wysłała tych „dwóch wspaniałych dżentelmenów”, by uratowali jej rodziców i zawieźli do córki.

I właśnie wtedy, pomyślał, krzywiąc się, Brady, zaczęły się problemy.

Edward za nic nie chciał zostawić tulipanów, a Cecilia wzbraniała się zostawić Edwarda. Edward był pewien, że jeszcze tylko parę dni, najwyżej jeden albo dwa, a pokażą się czarne tulipany. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że tym razem odniósł sukces.

Przecież nie mógł zostawić swoich tulipanów temu okropnemu, straszemu barbarzyńcy, który w dziele całego życia potrafił dostrzec wyłącznie pieniądze. Od czegoś takiego serce się kroilo. Dosłownie.

- Drogi panie - tłumaczył mu Brady rozsądnie - nie istnieje coś takiego jak czarny tulipan. I pan o tym wie, i ja też. Cały świat o tym wie. Tym razem nie uda się panu zagadać hrabiego. Kiedy tulipany się otworzą, Allerton pana zabije, pana, i pana żonę razem z panem. Niezależnie od tego, czy kwiaty okażą się czarne, żółte czy zielone w białe kropki.

- Synu, nie istnieją zielone tulipany - sprostował Edward Blissington, potrząsając głową, pokrytą wyjątkowo gęstymi, długimi aż do ramion, śnieżnobiałymi włosami. - Każdy głupi to wie.

Brady pamiętał, że w tym momencie zgrzytnął zębami, odwrócił się i powiedział do Bramy:

- Chyba kolej na ciebie.

- Panie Blissington - włączył się do rozmowy Bram. Chusteczką odkurzył krzesło, a potem usiadł, starannie rozpościerając poły surduta. - Rozumiem, jak bardzo zaangażował się pan w ten projekt... projekt, który siłą narzucił panu hrabia Allerton...

- Siłą narzucił? O nie, tylko nie siłą. No, może na samym początku, ale przecież wiem, co potrafię. Ja już...

Brady okręcił się gwałtownie i spiorunował go wzrokiem.

- Czy pan zwariował? - wrzasnął tak, że Bram musiał przypomnieć mu, iż nie po to zakradali się tu ukradkiem z nadzieją, że w podobny sposób uda im się wymknąć, by teraz wykrzykiwać na cały głos i budzić wszystkich w promieniu kilku mil. - Czy pan zwariował? - powtórzył Brady, któremu nadal nie udawało się powiedzieć niczego bez zgrzytania zębami. - Czy pan ma pojęcie, co działo się z Reginą od chwili, kiedy Allerton was tu sprowadził?

- Ależ oczywiście, że mamy pojęcie - odezwała się Cecilia Blissington, kiwając głową. - Lord Allerton zabrał Ginę do Londynu jako damę do towarzystwa swojej córki, lady Bellinagary. Okazał wielką życzliwość, chociaż nie mogliśmy się z nią zobaczyć. Tak bardzo pochłaniały ją nowe stroje i uczęszczanie na bale oraz inne imprezy. Lord Allerton przyrzekł, że da jej wspaniały posag, kiedy tulipany już rozkwitną.

- A wyście mu uwierzyli? - zawarczał Brady, targając się oboma rękami za włosy. Niewiele brakowało, a chwyciłby Blissingtonów za kark i stukał ich głowami o siebie, dopóki nie pojmą, jaka była prawda.

- Proszę pozwolić, milordzie - powiedział wtedy Thomas i popchnął Brady'ego w stronę drzwi prowadzących do oranżerii. - Dołączę do pana za kilka minut.

Brady opierał się, dopóki Bram nie wziął go pod rękę i nie wyprowadził w chwili, kiedy Thomas mówił:

- Edwardzie, Cecilio kochana, wyjmijmy głowy z doniczek z tulipanami i spróbujmy zrozumieć, jak się sprawy mają...

Z uśmiechem przypomniał sobie, jak jechali z powrotem do Londynu, osiągnąwszy swój cel... a nawet jeszcze więcej... a potem rozejrzał się po zatłoczonej sali balowej i zastanowił, kto z obecnych za krótką chwilę będzie go oklaskiwał, kto uda, że go nie zna, a kto z radością widziałby go raczej na dnie Tamizy. Regina ostrzegala go, że wiele zależy od tego, w jaki sposób wypowie swoją kwestię.

- Oceniasz widownię? - zapytała Regina, podchodząc i opierając się na jego rękę. - Wino płynie szeroką strugą, a to powinno nam się przysłużyć. Ale musisz być przygotowany, że pochwalą cię za to, czego dokonałeś, a zgania za to, jak tego dokonałeś.

- Wspominałaś już o tym - powiedział Brady i przyjrzał się jej. Stała obok niego w jedwabnej sukni koloru kości słoniowej, z perłami od niego na szyi. - Dopóki mnie będziesz kochała, nic mi się nie stanie. Jak twoi rodzice?

- Mama nie może się doczekać, by przyłączyć się do zabawy, a papa martwi się o swoje tulipany. Jest przekonany, że otwierają się właśnie w tej chwileczce. Dziękuję ci, Brady, że ich nie nienawidzisz.

- Nie mogę ich nienawidzić, księżniczko - szepnął Brady. - Chociaż muszę przyznać, że wciąż jeszcze cholernie trudno jest mi uwierzyć, iż oni naprawdę przekonani byli, że Allerton przez te wszystkie miesiące się tobą zajmował.

- Papa zawsze wierzył w to, w co najłatwiej było uwierzyć - wyjaśniła mu Regina z westchnieniem. - Ale teraz ma straszne wyrzuty sumienia, biedaczysko. Nie pamiętam, żeby był taki przybity od czasu, kiedy wydał roczne dochody na maszynę, która rzekomo miała produkować suchy deszcz.

Brady popatrzył na nią, unosząc w górę jedną brew.

- Suchy deszcz?

Regina przytaknęła.

- O, tak. Należało wlać wodę do wielkiego, zawieszony go na krokwiach wiadra, pokręcić korbą, a na scenę spadnie suchy deszcz, który będzie wyglądał jak prawdziwy, tylko że nie zmoczy aktorów podczas recytacji. - Westchnęła z głębi duszy i potrząsnęła głową. - Biedny Kosma. Niemal utopił się w samym środku swojego monologu. A potem był jeszcze... przestań się śmiać!

Brady wepchnął sobie rozek obszytej koronkami chusteczki do ust i odwrócił się.

Udawał, że przygląda się liściom posadzonej w doniczce palmy, która stała za jego plecami, dopóki nie zdołał się opanować. Otarł oczy, odwrócił się znowu do Reginy i powiedział:

- W porządku, przebaczam mu. Przebaczyłbym mu wiele, jeżeli masz do opowiedzenia jeszcze kilka takich historyjek.

- Och, dziesiątki, a Kosma i Thomas znają ich setki - zapewniła go Regina, uśmiechając się szeroko... i nagle jej uśmiech zbladł. - Ojej, popatrz. Przyszedł Allerton. Po prostu wszedł na salę razem z sir Randolphem i baronem Thorndyke'iem. Księżę i hrabia są na balkonie razem z mamą i papą, ale obiecali, że wrócą na dół, jak muzyka przestanie grać, i staną na posterunku. Czy jesteś gotowy?

- Bardziej już gotowy nie będę, nie ma co na to liczyć - mruknął Brady, patrząc na drugą stronę sali balowej i przyglądając się, jak Allerton kroczy ze swymi koleżkami po bokach, a cała trójka wygląda na dosyć zadowoloną z siebie.

Najwyraźniej nie dotarły do nich jeszcze wieści z Little Woodcote. Zdumiewające, jak kilka wetkniętych w odpowiednie kieszenie funtów może opóźnić wieści, przekazywane z Little Woodcote do Londynu; z pewnością pomogło również to, że Allerton przez ostatnie dwa kwartały nie płacił swojej służbie poborów.

- Brady? Nie ruszyłeś się z miejsca - zagadnęła go Regina. - Może uznałeś, że to zbyt ryzykowne? Jeżeli tak, nie będę ci miała za złe. Naprawdę. Kiedy podjąłeś decyzję, by nie demaskować Allertona, ponieważ pociągałoby to za sobą ujawnienie przed całym światem drobnego oszustwa papy, byłeś naprawdę wspaniały. Ale przyznaję również, że nie będziemy się mogli czuć bezpieczni, dopóki Allerton dysponuje swobodą ruchów i może planować zemstę. Czy istnieje jednak inne wyjście z sytuacji?

- Jeżeli w ten sposób chciałaś dodać mi odwagi, księżniczko - powiedział jej Brady - to za nic nie chciałbym cię widzieć na czele oddziału, gotującego się do walki. Zostań tu i niech ja już z tym wszystkim skończę, zanim stracę zimną krew. Nie żebym lękał się stanąć twarzą w twarz z moimi znajomymi. Ale nienawistna jest mi myśl, że przemawiał będę jako Brady, a wyglądał jak Gawain. Czy twoi rodzice na pewno zrozumieli, co...

- Papie nigdy w życiu nie zdarzyło się zapomnieć ani jednej linijki tekstu, a występował na scenie, kiedy jeszcze chodził w koszulinie. Wystarczy go zapytać. Tylko że nie teraz. Nie pozwalał nam nigdy ze sobą rozmawiać co najmniej przez dwie godziny przed występem. Powiadał, że to przynosi pecha.

- Ale chyba nie zdaje mi się, że wspomniałaś, iż Bram i Kipp poszli właśnie na balkon, by z nim porozmawiać?

Regina wykrzywiła się, potem postarała się uśmiechnąć.

- Och, dobrze, zdarzało się już, że papa się mylił... - zamruczała cichutko i pchnęła Brady'ego w plecy. - Pamiętaj, że cię kocham.

- Mam tylko nadzieję, że bardziej kochasz mnie niż obracanie się w wyższych kręgach towarzyskich, księżniczko, ponieważ może tak się zdarzyć, że kiedy dzisiejszy wieczór dobiegnie końca, noga nasza więcej tu nie postanie - rzekł Brady, a potem skierował się do Sally Jersey, która uśmiechnęła się, kiedy do niej podchodził, wyraźnie przygotowana na to, by ją „zabawił”.

Regina musiała walczyć ze sobą, by nie gryźć palców, kiedy przyglądała się, jak Brady toruje sobie drogę po obwodzie parkietu, zmierzając w stronę pani domu.

Co za dzień mieli za sobą! Wydawało jej się, że przez kilka tygodni czekała w sypialni Brady'ego, wyglądając przez okno, zanim powóz wjechał na Portman Square, a wtedy kłamliwy Kosma wyciągnął klucz z buta, otworzył drzwi, a ona niemal zbiła go z nóg, rzucając się ku schodom.

Jakże się obejmowali, jak płakali, jak się śmiali! Mama wyglądała na zmęczoną i trochę zdezorientowaną, ale papa miał charakterystyczną dla siebie, niewzruszoną minę i przemawiał spokojnym głosem. Spokój ten, zdaniem Thomasa, mógł narodzić się tylko w umyśle, który nigdy nad niczym zbyt dokładnie się nie zastanawiał.

Któregoś dnia może opowie im, jak żyła przez ten rok bez nich. Ale może i nie. Papa poczułby się zdruzgotany, a mama płakałaby całymi dniami. Niech się lepiej cieszą opowieścią, którą przekazał im Brady po drodze do Londynu, tą, którą sama ułożyła, a która była kłamstwem dużym, ale nie na tyle, by rodzice nie zdołali go przełknąć.

Miała tylko nadzieję, że papa zapomni o swoim zamiarze odszukania pani Gertrudy Żeliwnej i podziękowania jej za życzliwość okazaną córce.

Kiedy już rodzice się rozgościli, a stało się tak dopiero nad ranem, Brady wziął Reginę za rękę i poprowadził do swojej sypialni, przepaszając po drodze - choć bez przekonania - że zamknął ją na klucz, kiedy wyprawił się z Bramem do Little Woodcote.

Regina usiłowała potraktować go surowo, przestrzec przed karą, która niechybnie spadnie na niego, kiedy się najmniej będzie spodziewał, ale nie udało jej się powiedzieć tego z przekonaniem; za bardzo się czuła szczęśliwa, że rodzice są znowu blisko, za bardzo się cieszyła, że Brady wrócił zdrów i cały, kolejny raz z życzliwości wtrąciwszy się w jej życie.

Położyli się razem i leżeli blisko siebie, rozmawiając o jej rodzicach, o czekającym ich wieczorze, o życiu, jakie ich czeka, kiedy ten wieczór będą już mieli za sobą. Całowali się, tulili do siebie, ale się nie kochali. Brady powiedział, że nie będą się kochali, dopóki się nie

pobiorą.

Była to szlachetna myśl, chociaż Regina w głębi duszy podejrzewała, że ma ona wiele wspólnego z faktem, iż Brady dwukrotnie w ciągu jednego dnia pojechał konno do Little Woodcote i był teraz tak zmęczony, że mógł tylko tulić ją, całować i wreszcie zasnąć w jej ramionach.

Tak bardzo go kochała...

- No, zaczyna się - powiedział książę, który podszedł do niej i przyglądał się, jak Brady i lady Jersey przechodzą na środek sali. W tej samej chwili na galeryjce nad ich głowami, gdzie sumiennie rzępolili muzykanci, pojawił się służący. Powiedział coś półgłosem, muzyka nasiliła się do czegoś przypominającego fanfarę, potem się urwała, a kilku tancerzy nie mogło się połączyć, czy kończyć rozpoczętą figurę taneczną, czy może się zatrzymać - przez co, prawdę mówiąc, wyglądali dość głupio.

Sally Jersey klasnęła w dłonie, a potem zaczęła machać rękami tak, jakby przepędzała kurczaki, w przekonaniu że wystarczy to zrobić, a tłum tancerzy się cofnie - okazało się zresztą, że miała rację.

- Panie i panowie - zawołała swoim zdumiewająco nieładnym głosem - moi drodzy przyjaciele! Czeka nas dziś wieczorem wielka przyjemność. Gawain Caradoc, hrabia Singleton, zgodził się nam coś opowiedzieć. Czy to nie cudowne?

W pobliżu Reginy dało się słyszeć mamrotanie głosów - przeważnie męskich i przeważnie lekceważących - ale nikt nie ośmielił się otwarcie sprzeciwić pani balu, która właśnie wyciągała ramiona do Brady'ego, ponaglając go, by wystąpił do przodu.

Hrabia Singleton prezentował się oczywiście wspaniale, jeżeli ktoś przepada za brokatami w dwu odcieniach jaśnieutkiego błękitu oraz kamizelkami w żółte i białe paski. Za przydługimi włosami, przewiazanymi żółtą wstążką. Za olbrzymimi, oprawnymi w srebro monoklami, zwisającymi na srebrnych łańcuszkach. Za pantalonami z wzorzystym lampasem. Za czarnymi wieczorowymi pantoflami z wielkimi srebrnymi klamrami. Za piniącymi się pod szyją i przy mankietach koronkami, szafirowymi guzikami i biżuterią w postaci diamentowej agrafy, którą do szerokich klap przypięty był nie jeden, ale trzy tulipanowe pączki.

Brady niespiesznie wyszedł na środek parkietu, brodę zadarł wysoko do góry, jedną rękę oparł na biodrze, a drugą lekko wyciągnął przed siebie, trzymając za rozek chusteczkę.

Brakuje mu tylko róży w zębach, pomyślała z uśmiechem Regina, oraz fałdzistej jedwabnej peleryny. No i może jeszcze małpki na smyczy.

Pochylił się nad dłonią Sally Jersey i przyciskał ją do ust na tyle długo, by zaintrygować widownię, a potem odwrócił się i elegancko wszystkim uklonił.

- Zechciejcie mi państwo wybaczyć, że przerywam im wieczorną zabawę - rozpoczął czystym głosem, nieco przeciągając słowa. - Ale lady Jersey ma rację. Rzeczywiście, chciałbym wam coś opowiedzieć. Opowiedzieć i... ujawnić. Ale zacznę od opowieści.

Bram zostawił Reginę i przeszedł na posterunek przy drzwiach. Regina rozejrzała się po sali i zobaczyła, że niemal wszyscy przyglądają się Brady'emu, niektórzy z zainteresowaniem, inni z ledwo skrywanym znużeniem. Kilka osób śmiało się, a jeden młody kawaler przedrzeźniał pozę Brady'ego, zachwycając tym swoich kolegów.

- Policz do dziesięciu - szepnęła Regina, powtarzając radę, jakiej wcześniej udzieliła Brady'emu. - Ni więcej, ni mniej. Daj im czas, by się uspokoił, ale nie dopuść, by ich uwaga się rozproszyła.

Rzuciła okiem w stronę drzwi prowadzących na balkon i zobaczyła, że Kosma i Thomas stoją już na posterunku. Dalej widać było dwoje drzwi, prowadzących na schody. Bram stał przy jednych, a Kipp przy drugich.

- ... trzy... cztery... - Szukała w tłumie Allertona i jego dwóch towarzyszy i odkryła, że stoją o trzy filary od niej, po tej samej stronie parkietu. Dobrze. Dobrze. Wszyscy byli na miejscach.

- ... sześć... siedem...

- Co on zamierza zrobić? - zapytała lady Bellinagara, a Regina wzdygnęła się i niemal upuściła wachlarz.

- Lady Bellinagaro, witam - powiedziała, patrząc na nią i z uśmiechem zauważając róż na policzkach i wargach. - Jakże miło panią znowu zobaczyć.

- Miło? Czy tak pani to nazywa? Serdecznie żałuję, że panią w ogóle poznałam. Pani opiekun, madame, jest podłym, pozbawionym zasad...

- Cśśś! Zaraz zacznie mówić - przerwała jej Regina. - Będzie pani chciała tego posłuchać. Wszystko pani zrozumie, jestem tego pewna.

Brady spojrział na Reginę. Kiwnęła głową i hrabia wysunął się o krok do przodu.

- Chciałbym tylko jeszcze dodać, że moja opowieść jest prawdziwa. Opowiem państwu o moim kuzynie, Bradym Jamesie, nieodżałowanym świętej pamięci hrabim Singleton. Oczywiście - dodał z szerokim uśmiechem - gdyby nie było świętej pamięci hrabiego Singleтона, nie istniałby obecny hrabia Singleton, a więc rozumiecie państwo sami, że moja wdzięczność dla tego człowieka nie zna granic.

- Zuchwalec - skomentował jakiś mężczyzna za plecami Reginy. - Nawet żałobnej opaski nie założył, prawda?

Regina przygryzła dolną wargę. Ten człowiek ma rację; Brady zapomniał o opasce. No cóż, to niedopatrzenie szybko się wyjaśni. Może nie zostanie wybaczone, ale wyjaśnione na pewno.

- Chciałbym państwu powiedzieć, że dowiedziałem się, iż mojego kuzyna zamordowano - kontynuował Brady i wyciągnął przed siebie ręce, kiedy obecni zaczęli szemrać. - Tak, tak, wszyscy o tym wiecie. Osobiście przekonany byłem, że jego śmierć to wypadek, a może nawet samobójstwo, dopóki nie zwrócono mi uwagi, że rzadko zdarza się, by dżentelmen najpierw sam siebie pobił, a potem własnoręcznie spuścił się w worku do podwodnego grobu.

Tu wyjął tabakierkę z kieszeni, zręcznie ją otworzył, „wciągnął” do obu nozdrzy po szczypcie tabaki, a na koniec lekko dotknął chusteczką górnej wargi.

- Zechciejcie mi, drodzy państwo, wybaczyć, ale w tym momencie musiałem dodać sobie odwagi, ponieważ stoję tu dziś wieczorem przed wami, by powiedzieć, że śmierć mojego kuzyna nie była wynikiem pospolitego rabunku, że nie zginął z rąk miejscowych rzezimieszków. O, nie, nie, nie! Dowiedziałem się, że kuzyn mój został zamordowany... pobity, zapakowany w worek, obciążony łańcuchami i wrzucony do Tamizy... przez osoby przebywające na tej sali.

Wszędzie naokoło Reginy damy odwracały się do dżentelmenów, lordowie odwracali się do lordów, a tu i tam podnosiły się okrzyki:

- Nie! To nie może być prawda!

Brady uniósł ręce, prosząc o ciszę, i powiedział:

- Obawiam się, że jednak to jest prawda. Mój kuzyn, widzicie państwo, miał jedną okropną wadę. Był bardzo, bardzo wścibskim człowiekiem. Zawsze wtykał nos w nie swoje sprawy. - Tu wzruszył ramionami i teatralnie westchnął. - Była to tylko kwestia czasu, zanim wetknie ten swój nos w całkiem niewłaściwą sprawę.

- Czyją? - zawołał ktoś zza pleców Reginy, która rozpoznała głos księcia.

- Ach, ogromnie się cieszę, że zadaliście państwo to pytanie - rzekł Brady. - Ale zanim będę mógł sprawę wyjaśnić, muszę chyba przytoczyć jeszcze jedną opowieść, tym razem o pewnej niewinnej młodej dziewczynie, która została sama na świecie, bez grosza przy duszy i bez przyjaciół, kiedy odebrano jej rodziców i uwięziono ich z niegodziwym zamiarem dorobienia się osobistego majątku. Rodzice ci, a szczególnie ojciec, dysponowali czymś, czego pożąдали mordercy. Zamiast przedmiot zainteresowania kupić, co byłoby

uczciwym sposobem zawarcia transakcji, mordercy zamknęli ich oboje i zażądali tego, na czym im zależało.

- O czym on mówi? Coś papie bez sensu, prawda? - zapytała lady Bellinagara, a Regina zignorowała jej pytanie.

- Ale chwilowo dość o jej rodzicach - przerwał sam sobie Brady i zaczął spacerować po środku parkietu, kierując swoje słowa to do tej, to do innej grupki gości. - Wróćmy do naszej biednej, niewinnej dziewczyny. Zagubionej. Pozbawionej rodziców i dachu nad głową. Bez grosza przy duszy. Dokąd mogła się udać? Co mogła zrobić?

Brady przerwał dla efektu i strzepnął jakiś kłaczek z kamizelki.

- Powiem wam, czego ta dziewczyna dokonała, przyjaciele. Ona przetrwała. Młoda, niewątpliwie. Niewinna, bezspornie. Zrozpaczona, zboleła i przerażona, zdecydowanie. Ale nie załamana, panie i panowie. Dumna i wytrzymała, znalazła cel w życiu: odkryć, kto zamordował jej rodziców, i się zemścić.

- Zamordował? Chce pan powiedzieć, że jej rodzice nie żyją?

Brady spojrzał na lady Jersey, która zadała to pytanie.

- Nie, milady, nie powiedziałem, że jej rodzice nie żyją. Ale ta młoda kobieta przekonana była o ich śmierci. Co jest gorsze? Pewność, że jest się sierotą, czy świadomość, że rodzice zostali uwięzieni i że nie można nic zrobić, by ich uratować? Może wiara, że nie żyją, była łaskawsza?

- Nadal nic nie rozumiem - zaprotestowała lady Jersey. - Co to wszystko ma wspólnego z pana kuzynem? A tak nawiasem mówiąc, ma pan rację, był bardzo wścibski, ale nigdy nie zniżył się do podłości. Raczej go lubiłam. Młody, tak, niemądry, tak, ale w żadnym razie nie podły.

Brady uklonił się.

- Dziękuję pani, madame. Ale kontynuujmy! - Ruszył po obwodzie parkietu i przemawiał, niektórych ze słuchaczy mijając, a przy innych przystając i zwracając się do nich bezpośrednio. Wszyscy wpatrywali się w niego, z zainteresowaniem chłonąc jego słowa, chociaż na niektórych twarzach malował się kompletny brak zrozumienia.

- Wyobraźcie sobie, państwo, z łaski swojej, tę samotną, nieszczęśliwą, zdesperowaną dziewczynę. Wyobraźcie ją sobie samą w Londynie. Chodzi po ulicach, jest głodna, nie ma się gdzie podziać, nie ma gdzie złożyć głowy. Wszyscy wiemy, co dzieje się z niewinnymi dziewczętami w Londynie, czyż nie?

Przerwał i podniósł dłoń do góry.

- Ale nie z tą! O, nie, nie z tą. Ponieważ, panie i panowie, ta dziewczyna

spotkała na swojej drodze wicehrabinę Willoughby, aniola nie kobietę, i została przyjęta do domu wicehrabiostwa jako pokojówka. - Tu nieco ściszył głos. Regina patrzyła z uśmiechem, jak kilkoro ludzi posuwa się do przodu, by nie uronić ani słowa.

- I to tam, w domu swoich przyjaciół, zobaczył ją mój kuzyn. To tam zorientował się, jaka jest nieugięta, jak czysta, i te zalety rozbudziły jego sympatię, skłoniły do zadania sobie pytania: „dlaczego”. Pragnął się tego dowiedzieć z głębi serca, ponieważ po raz pierwszy i ostatni w życiu szczerze się zakochał. A była to głęboka, cudowna, pełna frustracji miłość. Musiał dowiedzieć się, dlaczego. Dlaczego ta bezspornie niezwykła istota służy w domu jego przyjaciela? Skąd się tam wzięła? Tak więc, jak może się już państwo domyślcie, mój kuzyn zaczął zadawać pytania. Dziewczyna robiła uniki, bała się, tragedia, jaką przeżyła, kazała jej nie ufać dżentelmenowi z towarzystwa.

- Znowu to powtórzył. Chodzi o jednego z nas - zawołał jakiś głos, bez wątpienia należący do wicehrabiego Willoughby. - Powiedz nam! Powiedz!

- Na Boga! Trochę cierpliwości, proszę. Dowiedziawszy się od dziewczyny, skąd przyjechała do Londynu, mój kuzyn opuścił miasto i udał się do tej niewielkiej, położonej w pobliżu wioski. Zadawał pytania, zostawił swoją wizytówkę, miał nadzieję uzyskać odpowiedź. I uzyskał ją, panie i panowie, pewnej nocy. Zeszłej wiosny, kiedy to napadło na niego trzech mężczyzn, pobiło go na kwaśne jabłko i wrzuciło do Tamizy. Nigdy się nie miał dowiedzieć, dlaczego, nigdy już nie miał zobaczyć tej młodej kobiety, nigdy nie miał kochać, ożenić się, poznać szczęścia, którego pragnął.

- Co za krańcowe bzdury - odezwała się lady Bellinagara donośnym głosem. - Jakby hrabia mógł ożenić się z takim zerem... z pokojówką! Wyśmiano by go w towarzystwie!

- Dlaczego, milady? - zapytał Brady, podchodząc do niej i spoglądając z wysokości swego wzrostu przez monokl. - Pani nadal obraca się w towarzystwie, a przecież nikt się o panią nie oświadcza.

Regina chwyciła lady Bellinagarę za rękę, która już unosiła się, by dać Brady'emu w twarz.

- Nikt tego nie słyszał poza naszą trójką, milady. Chwilowo sympatię ma po swojej stronie jego lordowska mość. Niech pani da spokój.

Lady Bellinagara patrzyła na nią przez kilka chwil, a potem odwróciła się na pięcie i skierowała na tyły sali balowej. Wicehrabia Willoughby zerknął na Reginę, która skinęła głową, i odstąpił od drzwi, by pozwolić jaśnie pani wyjść. Może okazać więcej zyczliwości, jeżeli pozwolą jej nie usłyszeć, jak Brady zakończy swoją opowieść.

- A teraz - rzekł Brady, wracając na środek parkietu - spróbujmy się dowiedzieć tego, czego nie udało się dowiedzieć mojemu wścibskiemu kuzynkowi. Dowiedzmy się, dlaczego go zabito, dlaczego rodzice młodej kobiety zostali uwięzieni, dlaczego porzucono ją w samotności, pozbawioną rodziny, bez przyjaciół, jakby nikogo nie obchodziło, czy przeżyje, czy nie. Pozwólcie, przyjaciele, że opowiem wam o... tulipanach.

- Tulipanach? - Sally Jersey uniosła dłoń w górę i trzepnęła nią w kierunku trzech świeżo rozkwitłych pączków w klapie Brady'ego. - Ma pan na myśli... tulipany? Takie jak te? To była interesująca opowieść, milordzie, ale przestaje już być zabawna. Tulipany? A cóż groźnego może kryć się w tulipanach?

- Groźnego, milady? Dobre pytanie. Kwiaty nie mogą być groźne. Jednak w tym przypadku były i nadal są. Ponieważ ja mówię o czarnych tulipanach. Czarnych jak heban, czarnych jak węgiel, czarnych jak bezgwiazdna noc, jak serce zabójcy. Nierealny kolor, nierealne przedsięwzięcie. - Podszedł do miejsca, gdzie stał Allerton ze swoimi przyjaciółmi. - Czy zgadza się pan, milordzie? Czy czarne tulipany nie są czymś nierealnym?

- A skąd ja miałbym wiedzieć? - odpalił hrabia, twarz miał bez wyrazu, oczy zimne z wściekłości. - Niezbyt ciekawa jest ta pana opowieść, sądzę, że wszyscy tu obecni się ze mną zgodzą. Kompletnie pozbawiona sensu.

- Ach, ale proszę pana jeszcze o chwilę cierpliwości, milordzie, bo teraz zacznie się interesująca część, przyrzekam to panu. Obecnie wszystkie wątki połączą się ze sobą.

Odwrócił się od hrabiego i znowu zaczął przemawiać do wszystkich zgromadzonych.

- Tulipany, panie i panowie. Niegdyś takie rzadkie, tak cenione, że jedna cebulka mogła przynieść równie wysoki dochód, jak dwadzieścia akrów zboża na pniu. Jedna cebulka! Te szalone czasy już minęły, oczywiście, ale wróciłyby w jednej chwili... w jednym mgnieniu oka... gdyby ktoś zdołał wyhodować czarnego tulipana. Ten, któremu udało się wyhodować taką rzadkość, stałby się najbogatszym człowiekiem w Anglii... a może i na świecie. Z pewnością taki skarb wart byłby wiele... może nawet wart byłby morderstwa. Czy zgadza się pan ze mną teraz, milordzie? Baronie Thorndyke? Sir Randolphie?

- Allerton? - zawołał David z drugiej strony sali; chociaż zasłaniał dłonią usta, dykcję miał nadal doskonałą. - Czy chce pan powiedzieć, że to Allerton zabił hrabiego?

- A pozostałych dwóch? Co z nimi? - dopytywał się Thomas, jego głos dochodził z jeszcze innego zakątka sali.

- Oburzające! - wykrzyknął Allerton, kiedy podniosły się następne głosy, zaczęto zadawać następne pytania. - Nie będę tu stał i pozwalając, by mnie w ten sposób obrażano. Jak pan śmie!

- Ależ śmiem, sir, ponieważ młoda kobieta, którą kochał mój kuzyn, stała się moją podopieczną. Śmiem, sir, ponieważ wysłuchałem jej opowieści, a potem wyprawilem się do Little Woodcote, które wcześniej odwiedził mój kuzyn, by przekonać się, co mnie uda się odkryć. Panno Blissington? Proszę się do mnie przyłączyć.

Regina poczuła, że skupiają się na niej spojrzenia wszystkich obecnych na sali, wyszła na środek parkietu i ujęła dłoń Brady'ego.

- Jeszcze trochę i będzie po wszystkim, księżniczko -szepnął do niej.

- Tak, ale pospiesz się. Czy zauważyłeś, że nie wszyscy słuchacze darzą nas wielką sympatią?

- Zwróciłem - zapewnił ją Brady, a potem zwrócił się znowu do Allertona. - Pyta pan, jak śmiem pana oskarżać? Śmiem tak postępować, panie hrabio, ponieważ znalazłem wielce szanownego botanika, profesora Edwarda Blissingtona, oraz jego żonę Cecilie, którzy uwięzieni byli w oranżerii w pana posiadłości, a przy nich znalazłem setki doniczek z tulipanami. Proszę zaprzeczyć, jeżeli się pan ośmieli.

- Zaprzeczam... zaprzeczam każdemu słowu! - ryknął z wściekłością Allerton, podczas gdy sir Randolph i baron Thorndyke cofali się, pragnąc odciąć się od swego przyjaciela. - A wy dwaj dokąd się wybieracie! - huknął, odwracając się, by spiorunować ich wzrokiem

- Czy zaprzeczy pan także, milordzie, że zamknął pan tych dwoje zacnych ludzi w swojej oranżerii na rok, że byli pana więźniami, niewolnikami?

Regina przygryzła wargę, kiedy z balkonu weszli na salę jej rodzice. Panowie i panie z towarzystwa rozstępowali się, by ich przepuścić. Ojciec, ze związaną na karku grzywą siwych włosów, kroczył powoli, z podniesioną głową, podtrzymując pod rękę żonę, która ostentacyjnie kuląła.

Baron Thorndyke, który tak niedawno widział na własne oczy ducha, wrzasnął, odwrócił się i biegiem rzucił w kierunku drzwi. Zatrzymał go przy nich książę Selbourne, okręcił jak baka i popchnął z powrotem w stronę parkietu.

- Och, niech pan nie ucieka, drogi baronie - poprosił Brady, kiedy Thorndyke, mając Brama tuż za plecami, został z powrotem zapędzony na miejsce. - To jeszcze nie koniec. Lordzie Willoughby, czy zechciałby pan otworzyć drzwi, które ma pan za plecami?

- Z przyjemnością - powiedział Kipp i pchnął obydwie skrzydła, a potem cofnął się, bo na salę wkroczył Wadsworth- istne wcielenie gracji w tych zdumiewających okolicznościach - pchając przed sobą niewielki wózek na dwóch kółkach, wypełniony setką doniczek z rozkwitłymi tulipanami. Ciemnofioletowymi tulipanami.

- Czy należą do pana, milordzie? - zapytał Brady, kiedy Wadsworth wprowadzał wózek na środek parkietu.

Thorndyke, który poniewczasie zorientował się, że i tak już powiedział za dużo, i Allerton, który wzbraniał się powiedzieć cokolwiek, stali jak wrośnięci w ziemię i patrzyli na morze ciemnofioletowych tulipanów.

Ale sir Randolph to całkiem inna para kaloszy.

- Fioletowe! - ryknął, podbiegając do wózka, podnosząc to jedną doniczkę, to drugą, i potrząsając nimi Allertonowi pod nosem. - Fioletowe jak wszyscy diabli! Czy wiesz, co to znaczy? Jesteśmy zrujnowani, Allerton. Wszyscy... zrujnowani!

- Zamknij... się - rozkazał mu Allerton zwięźle, a panowie i panie z towarzystwa zebrali się wokół wózka i zabierali z niego doniczki, pragnąc mieć jakąś pamiątkę po tym niezwykłym wieczorze.

- Zamknąć się mam? - powtórzył sir Randolph, unosząc trzymaną przez siebie doniczkę wysoko nad głowę. - To wszystko był twój pomysł. Jednego czarnego tulipana widziałeś, tak mówiłeś. Profesor ci go pokazał...

- On nie jest żadnym profesorem - wycodził przez zęby Allerton, potrącony przez tłum ludzi, z których każdy pragnął zagarnąć dla siebie chociaż jednego tulipana, usłyszeć zakończenie całej historii i popatrzeć, jak trzech znajomych będzie prowadzonych do kata.

- Brady, zrób coś! - wykrzyknęła Regina, czując, że ją samą tłum również popycha w kierunku wózka, i że uwięzia w czeredzie szlachetnie urodzonych, świetnie ubranych idiotów.

- Dobrze - powiedział Brady, ujął ją w tali, podniósł na wózek i sam wszedł tam za nią. - Panie i panowie! - zawołał pełnym głosem, próbując przebić się przez wrzawę. - Moja opowieść nie dobiegła jeszcze końca.

- A właśnie, że dobiegła - wrzasnął ktoś w tłumie. - Allerton i sir Randolph, i ten Thorndyke... trzymam go za rękę, żeby nie mógł uciec... zabili pana kuzyna. A teraz niech mi ktoś rzuci jedną z tych doniczek!

- A wszystko tak dobrze szło na próbie - jęknęła Regina, trzymając się Brady'ego, żeby nie spaść z wózka. - Obawiam się, kochanie, że nie jest ci pisana kariera sceniczna.

- Mógłbym pozwolić na to, by ich powiesili - powiedział Brady. - Moi znajomi nadal przekonani są, że zostałem zamordowany. - Rozejrzał się po ludziach, których kiedyś nazywał przyjaciółmi. W gruncie rzeczy zachowywali się w tej chwili tak samo jak Żeliwna

Gerta, kiedy razem z kompanami rzuciła się zbierać miedziaki z bruku przed Covent Garden.

- Nie możesz czegoś takiego zrobić - zaprotestowała Regina. - Wiesz, że nie możesz.

- No dobrze - mruknął Brady, a potem włożył palce w kąciaki ust i gwizdnął. Rozległ się przeraźliwy dźwięk, na który wreszcie zwrócili uwagę wrywający sobie doniczki pazerni arystokraci.

- Powiedziałem państwu, że przyszedłem tu, by opowiedzieć wam pewną historię - oznajmił donośnym tonem, kiedy szmery ucichły. Dochodziły już tylko z lewej strony sali, gdzie Sally Jersey walczyła z Matilda Forrest o ostatnią doniczkę z tulipaniem. - Wiecie państwo, że hrabia Allerton, sir Randolph Tilden oraz baron Thorndyke spodziewali się, iż napełnią sobie kieszenie, przy sposobności opróżniając wasze, kiedy uda im się zmusić zacnego profesora, by wyhodował cebulki prawdziwych czarnych tulipanów. Wiecie, że panna Blissington została sama, przekonana, że jej rodzice nie żyją, i że musiała jakoś sobie radzić. Wiecie, że Brady James wetknął nos w życie panny Blissington, co doprowadziło do tego, że Allerton i pozostali dwaj panowie napadli na niego, pobili go i wrzucili go Tamizy, by tam się utopił. Niemniej jednak jest jeszcze kilka spraw, o których nie wiecie, i proszę, byście łaskawie zgodzili się posłuchać, kiedy będę o nich opowiadał. Po pierwsze, profesorowi Blissingtonowi rzeczywiście udało się wyhodować czarnego tulipana. Jednego czarnego tulipana, którego niemądrze pokazał Allertonowi, którego niemądrze przyrzekł rozmnożyć do setki dla tegoż lorda Allertona. Lord zaś uwięził ich oboje, profesora z żoną, do czasu, kiedy te sto cebulek wyhodują.

Czarny tulipan, którego wyhodowali, zwiędł z powodu jakiejś fatalnej, wrodzonej wady. A może sama natura zniszczyła tego tulipana, wiedząc, jaką tragedię ściągnąłby na świat? Kto to wie? Wiemy natomiast, że nie udało się go rozmnożyć. Profesor próbował nieskończoną ilość razy powtórzyć swoje osiągnięcie, ale bezskutecznie. Świat zobaczył jednego czarnego tulipana, ale więcej go nie zobaczy.

Regina uścisnęła dłoń Brady'ego, dziękując mu ponownie za tę genialną opowieść, za to, że swoim wyjaśnieniem ocalił jej ojca i nie dopuścił, by uznano go za szarlatana, który przynajmniej po części sam winien był tych udręk, jakich doświadczył.

- Allerton i jego przyjaciele popełnili niegodziwy uczynek, moi drodzy. Porwali przyzwoitego człowieka i jego żonę. Zostawili młodą kobietę samą, bez grosza przy duszy. Próbowali zabić lorda Singletona...

- Próbowali? - wtrąciła lady Jersey, przyciskając doniczkę z tulipaniem do haftowanego koralikami łona. - Przecież im się udało!

- Nie, milady, nie udało im się. Wręcz przeciwnie, udało im się ocalić lorda Singletona. Próbowali wysłać go na śmierć, a zamiast tego pokazali mu życie. Pokazali, jakie to życie być powinno, co nań powinno się składać, co może znaczyć. Dali mu szansę, by wrócił do Londynu jako Gawain Caradoc, by dowiedział się, że Brady James nie był najlepszym z przyjaciół ani najlepszym z dżentelmenów. Otrzymał od nich wielki dar: sposobność, by zapoznać się popełnionymi błędami, by znaleźć miłość. Dzięki nim mogę stanąć tu dziś wieczorem przed wami wszystkimi, zacni państwo, i z głębi serca przyrzec wam, że będę się starał być lepszym człowiekiem.

Gdzieś w połowie wyznania Brady'ego ksiązę Selbourne i wicehrabia Willoughby wspięli się na wózek, by stanąć u boku przyjaciela.

- Dobra robota, Brady - pochwalił go ksiązę, poklepując po plecach.
- Ja napisałbym to lepiej - zapewnił Kipp - ale zgadzam się, dobra robota.

Reginie łzy strumieniem spływały po twarzy, kiedy przyglądała się, jak Brady głęboko wciąga powietrze, powoli je wypuszcza, a potem schodzi z wózka, by stawić czoło ludziom, których oszukał; czy przyjmą go z powrotem do swego grona, po tym jak powstał z podwodnego grobu, czy też - jak to potrafią - odwrócą się od niego?

W tłumie zapadło milczenie. Przerwał je w końcu Allerton, mówiąc:

- A więc to naprawdę pan? Nie umarł pan? Nikogo nie zamordowaliśmy?
- Nie, nie zamordowaliśmy. Przebaczam wam. Stać mnie na to. Przebaczam wam. Profesor, jego żona i córka również wam przebaczą. Ale nie mogę mówić w imieniu wszystkich tu dziś obecnych ani tych, którzy się o tym dowiedzą jutro.

Allerton szeroko się uśmiechnął, poprawił na sobie surdut i odwrócił się do ludzi, których znał przez całe swoje życie. Jeden za drugim pokazywali mu plecy. Jeden za drugim podchodzili do Brady'ego, poklepywali go po ramionach, mówili do niego „ty stary przechero” i potrząsali jego dłonią.

Allerton i jego przyjaciele byli skończeni. Od lat żyli, wykorzystując nazwiska rodowe i zadłużając się coraz bardziej. Dzięki wysokiej pozycji towarzyskiej udawało im się jednak nie dopuszczać do siebie natrętnych wierzycieli. Teraz, kiedy towarzystwo ich odrzuciło, wierzyciele pojawią się na ich progu, nim zaświta ranek, i będą żądali spłaty wszystkich długów, ponieważ człowiek, który stracił poparcie towarzystwa, traci wszystko. Nie minie miesiąc, a przynajmniej Allerton znajdzie się w więzieniu przy Fleet Street za długi, a jego przyjaciele wkrótce się tam do niego przyłączą. Ich pozycja towarzyska legnie w gruzach. Domy i majątki zostaną im odebrane. Pod pewnymi względami śmierć przez powieszenie byłaby łaskawsza.

- Wszystko się świetnie ułożyło, prawda? - zapytała Regina Brama, kiedy pomagał jej zejść z wózka. Przyjrzała się Brady'emu, zobaczyła, jak błyszczą mu oczy. – Naprawdę uważam, że wszystko będzie w porządku.

Bram wykonał lekki gest głową. Regina obejrzała się i zobaczyła, że podchodzi do niej lady Jersey. W jednej ręce trzymała doniczkę z tulipanem, a drugą wyciągnęła do Reginy i ujęła jej dłoń, by powitać ją w wyższych kręgach towarzyskich.

- O, tak, moja droga. Powiedziałbym, że wszystko będzie w jak najlepszym porządku.

Epilog

Brady'emu marzył się buchający płomieniami wielki stos, ale to jego marzenie nie miało się ziścić, chyba żeby uznać (a tak właśnie uczynił hrabia), iż rolę stosu spełniło ognisko, rozpalone w posiadłości Allertona tej samej nocy, kiedy on i księżę ratowali Blissingtonów, a dzielna pani Cooper wzięła się za palenie pościeli, zasłon i innych rzeczy lady Bellinagary.

A wielki stos nie buchnął płomieniami, ponieważ Thomas bardzo upodobał sobie niecodzienne stroje Gawaina Caradoca i Brady podarował mu je wszystkie, do ostatniej obszytej koronkami chusteczki i kłamry do butów.

Nieco trudniej było rozwiązać sprawę Edwarda i Cecylia Blissingtonów. Regina chciała, by zostali razem z nią, pojechali do Singleton Chase, tam się osiedlili i hodowali tulipany. Ale słodka, życzliwa i obdarzona niezwykle silną wolą Cecilia oznajmiła z pewną gwałtownością, że uprzejmie dziękuje, ale ma dość oglądania tulipanów i marzy o tym, by znowu wyruszyć w drogę.

Z pewnością zimować mogą w Singleton Chase. Z pewnością trupa skorzysta z gościnności hrabiego - ale ona osobiście tęskni już za tym, by zagrać lady Makbet, usłyszeć oklaski, spać pod gwiazdami i oglądać ukochaną Anglię z własnego wozu.

Z tym przynajmniej nie było kłopotów. Nowy wóz został kupiony, wyposażony i pomalowany. Załadowano nań nowe kostiumy, dekoracje i wszystko, co się tylko zamarzyło Edwardowi i Cecylii, i nie minął miesiąc od ślubu Brady'ego i Reginy, a połączona trupa Objazdowego Teatru Blissingtona wyruszyła znowu w drogę, obiecując, że będą pisać i że pojawią się w Singleton Chase przed świętami Bożego Narodzenia.

Allerton zaryglował się od wewnątrz we własnym gabinecie, chcąc powstrzymać ludzi, którzy zamierzali powynosić mu z domu wszystkie meble, by pospłacać nimi choćby część długów, i w tydzień po przyjęciu u lady Jersey wyświadczył światu wielką przysługę, strzelając do siebie z pistoletu. Jego znajomkowie wybrali więzienie przy Fleet i mieli tam rezydować przez dłuższy czas, a nikt z towarzystwa nie okazywał najmniejszej ochoty, by przyjść im z pomocą.

Brady i Regina zostali w mieście, bo Brady chciał ponaprawiać stosunki z ludźmi, których oszukał, grając rolę Gawaina - choć to czasami nie było łatwe. Niektórzy nadal nie mieli ochoty z nim rozmawiać; martwiłoby go to, gdyby ich chociaż trochę bardziej lubił. Ale ponieważ ich nie lubił, czuł się zadowolony.

To za mało powiedziane zadowolony. Patrzył na świat - swój świat - nowym i mądrym spojrzeniem. Orientował się w jego głupocie, akceptował dziwactwa i po raz pierwszy w życiu mógł powiedzieć, że szczerze cieszy go towarzystwo bliźnich.

Nie znaczy to, że zamierzał spędzić większość życia w Londynie. Już nie. Singleton Chase miał dla niego teraz urok, którego hrabia przez całe lata nie dostrzegał. Cieszyły go miesiące, które spędzał z Reginą w majątku, cieszyło go tam ich wspólne życie, wzajemna miłość i to, że zakochiwali w sobie coraz mocniej z każdym mijającym dniem.

Kupił psa. A nawet dwa psy: jednego dla siebie, a drugiego dla Reginy. Gawain wciąż jeszcze nie sypiał z głową na stopach Brady'ego, ale za to pogryzł swojemu panu drugą co do jakości parę wysokich butów. Caradoc wszędzie łąził za Reginą jak zakochany szczeniak, czym po prawdzie był.

Brady nie krył zdziwienia, że mogło mu się kiedyś wydawać, iż jest szczęśliwy, i czuł się zaszokowany świadomością, jak puste było to szczęście, jak mało dawało satysfakcji, jakie było jałowe. Znalazł teraz nowe szczęście i wiedział już, na czym polega różnica; całym sercem przekonany był, że tkwi ona w miłości. W kochaniu. W byciu kochanym.

Zrozumiał, co odkrył Bram, co odkrył Kipp. I chociaż na przykład w tej chwili nie posiadał się ze zdumienia, że już od godziny w milczeniu siedzi w bawialni w Singleton Chase i z uśmiechem na twarzy przygląda się, jak jego żona nieskończenie drobnym ścięciem szyje następną koszulkę, przeznaczoną dla jego syna albo córki, zdawał sobie równocześnie sprawę, że spotkało go większe szczęście, niż miał się prawo spodziewać.

- Uśmiechasz się znowu, kochany - odezwała się Regina, unosząc koszulkę do ust, żeby odgryźć kawałek nitki. - O czym myślisz?

- Właściwie to o niczym - powiedział jej. - O liście Kippa, w którym donosi o narodzinach syna. O naszej wizycie u Brama i Sophie w przyszłym miesiącu i o tym, że Bram dziesiątki razy będzie powtarzał: „A nie mówiłem”, a ja za każdym razem mu wybaczę. I myślę o tym, jak bardzo chcę się z tobą kochać...

Regina uśmiechnęła się i przechyliła głowę na bok.

- I ograniczasz się do myślenia? A przecież mamy co najmniej dwie pełne godziny, zanim zadzwoni gong na obiad.

Brady przez moment zastanawiał się, a potem uznał, że właśnie otrzymał zaproszenie. A może nawet wyzwanie. Odstawił kieliszek z winem i zbliżył się do żony.

- Wiesz, księżniczko, przyrzekłem sobie, że już nigdy nie będę musiał oglądać się wstecz na własne życie i żałować tego, czego nie zrobiłem.

Reginę przeszedł lekki dreszcz, odłożyła szycie, wstała i przesunęła dłonią po piersi

Brady'ego.

- Ba, drogi panie, czyżbyś chciał dać mi do zrozumienia, że nie życzyś sobie, by to popołudnie znalazło się na liście spraw, których żałujesz?

- Tak, możesz to w ten sposób zrozumieć - powiedział Brady, biorąc ją w objęcia.

Regina oparła się obiema rękami o jego pierś, trzymając go na odległość.

- Ale niechże pan, zacny panie, zaczeka. Muszę to przemyśleć. Czy powinnam powiedzieć, że jestem zachwycona, i okazać się rozpustnicą? Czy może wyprzeć się zainteresowania i przyjąć na siebie piętno kłamczuchy?

Brady uśmiechnął się nieco złośliwie.

- Ach, moja najdroższa hrabino, przekonany jestem, że doszła do mnie pogłoska, niewykluczone nawet, że ktoś mi ją wyszeptał wprost do ucha, iż przysięgłaś już nigdy nie kłamać.

Regina lekko opuściła głowę, a potem popatrzyła na niego przez rzęsy.

- No tak, było coś takiego, prawda, milordzie? Biedaku mój... okazuje się, że poślubiłaś rozpustnicę - wyszeptano, a potem roześmiała się, kiedy porwał ją na ręce i wyniósł z bawialni do holu.

- Przesuń obiad o godzinę później, Wadsworth, jeśliś łaskaw - zwrócił się do kamerdynera, który opróżniał torbę z pocztą i wykladał listy na duży stół o marmurowym blacie pod żyrandolem.

- Dokładnie to właśnie miałem zamiar zrobić - rzekł Wadsworth, przewracając oczami. A potem, kiedy Regina rozchichotała się, kryjąc twarz na ramieniu Brady'ego, uśmiechnął się, odwrócił energicznie na pięcie i pełen szczęścia skierował się do kuchni.